

Tajemnica

BLACK

RABBIT

Świat Książki

HALL

EVE CHASE

Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Prolog Rozdział pierwszy Rozdział drugi
Rozdział trzeci Rozdział czwarty Rozdział piąty Rozdział szósty Rozdział siódmy
Rozdział ósmy Rozdział dziewiąty Rozdział dziesiąty Rozdział jedenasty Rozdział
dwunasty Rozdział trzynasty Rozdział czternasty Rozdział piętnasty Rozdział
szesnasty Rozdział siedemnasty Rozdział osiemnasty Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty Rozdział dwudziesty pierwszy Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci Rozdział dwudziesty czwarty Rozdział dwudziesty
piąty Rozdział dwudziesty szósty Rozdział dwudziesty siódmy Rozdział
dwudziesty ósmy Rozdział dwudziesty dziewiąty Rozdział trzydziesty Rozdział
trzydziesty pierwszy Rozdział trzydziesty drugi Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty Rozdział trzydziesty piąty Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy Epilog Podziękowania

EVE CHASE

Tajemnica

BLACK


RABBIT

HALL

Z angielskiego przełożyła
Anna Zielińska


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
BLACK RABBIT HALL

Wydawcy
Grażyna Woźniak
Agnieszka Koszałka

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja
Elżbieta Kobusińska

Korekta
Marianna Filipkowska
Jadwiga Piller

Copyright © Eve Chase Ltd. 2015
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Anna Zielińska 2016

Świat Książki
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Łamanie
Joanna Duchnowska

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl, tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-076-6

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Dla Oscara, Jago i Alice

Dla mnie był najmądrzejszy i kiedy mówił mi
O węzłach i ptakach, i które Bóg kocha bardziej,
Myślałam, że jego wiedza znaczy granicę,
Gdzie ludzie ślepną i tylko widzą aniołowie.

Gdy mówił: Óóó, wstrzymywałam oddech,
Kiedy mówił: Chodź, szłam pełna wiary.

George Eliot, *Brat i siostra*

Prolog

Amber

Ostatni dzień letnich wakacji, 1969, Kornwalia

Czuję się bezpiecznie na wąskiej skalnej półce, w każdym razie bezpieczniej niż w domu. Parę stóp od ścieżki nad morze. Dwadzieścia minut wspinaczki po stromiźnie od granicy posiadłości. Bezpiecznie daleko od czujnych okien Black Rabbit Hall. Opuszczam się ostrożnie po ścianie klifu, chwytając się kęp traw, w uszach huczy mi morze. (Lepiej nie spoglądać w dół). Mały zeskok, gdy z napięcia zamiera serce, i już stoję na linii nieba.

Zbyt duży krok i byłoby po wszystkim. Nie zrobiłabym tego. Ale odpowiada mi myśl, że mogłabym. Że dziś mam jakąś kontrolę nad swoim losem.

Przywieram plecami do skały i próbuję wyrównać oddech. Te gorączkowe poszukiwania; las, pokoje, mnóstwo schodów. Pięty obtarte w przyciasnych tenisówkach. I nadal nic. Gdzie oni są? Osłaniam oczy dłonią i wodzę wzrokiem po butelkowiezielonych szczytach klifu. Pusto. Na drodze też nikogo nie widać. Tylko krowy pasą się na łące.

Osuwam się plecami po skale, przysiadam na piętach i bezwstydnie zadzieram ohydną brązową sukienkę. Wiatr przeslizguje się pomiędzy podgiętymi, gołymi nogami.

Nareszcie nieruchoma, wyrównuję oddech. Nie potrafię uwolnić się od myśli o tym, co dziś zaszło. Nawet odgłos fal rozpryskujących się o skały sprawia, że na nowo piecze mnie policzek po tamtym uderzeniu. Wystarczy, że przymknę oczy, i natychmiast pod powiekami pojawia się obraz domu; szara bryła z twardego kamienia. Wolę więc mieć je otwarte i błądzić wzrokiem po bezkresnym różowym niebie, gdzie słońce i księżyc wiszą niczym pytanie i odpowiedź. Zapominam, że powinnam skupić się na poszukiwaniach. Że minuty płyną szybciej niż obłoki o zmierzchu. Myślę jedynie o ucieczce.

Nie wiem, jak długo tak siedzę. Z zadumy wyrzywa mnie ogromny czarny ptak nurkujący tak nisko nad klifem, że szponami mógłby mi się wczepić we włosy. Kulę się odruchowo pod powiewem jego skrzydeł, aż dotykam nosem do chłodnej skóry na kolanach. Kiedy podnoszę głowę, mój wzrok nie zatrzymuje się na niebie, tylko na jakichś łachmanach podrygujących na wysokiej fali wzbierającego przyplwy.

Nie, to nie łachmany ani szczątki łodzi. Chyba coś żywego. Delfin? A może te meduzy, które przez cały tydzień prąd znosił w naszą zatoczkę niczym

zapomniany ładunek misek z szarego szkła. Kto wie? Wychylam się poza krawędź, żeby lepiej się przyjrzeć. Wiatr miota moimi włosami, serce przyspiesza rytm, bo czuję, że coś straszego przemieszcza się pod połyskliwą, niebieską powierzchnią, ale nie widzę, co to jest. Jeszcze nie. Zobaczę za parę sekund.

Rozdział pierwszy

Lorna

Trzy dekady później

To jedna z tych podróży. Im bliżej celu, tym trudniej wyobrazić sobie, że kiedykolwiek się do niego dotrze. Zawsze trafi się na kolejny zakręt albo wyboisty kawałek ślepej drogi zamkniętej bramą wjazdową na farmę. I robi się późno, za późno. Ciepły letni deszcz bębni o dach samochodu.

– Wiesz co, odpuśćmy i wracajmy do pensjonatu. – Jon wyciąga szyję, żeby lepiej widzieć rozmyty zarys drogi za szybą. – Weźmiemy po piwku i zaplanujemy wesele gdzieś w pobliżu obwodnicy M-25. Co ty na to?

Lorna opuszką palca rysuje domek na zaparowanej szybie. Dach. Komin. Wirek dymu.

– Odpada, kochanie.

– W takim razie może w jakimś słonecznym miejscu z ciepłym mikroklimatem?

– Ha, ale zabawne. – Pomimo rozczarowań, jakie dotąd przyniósł ten dzień – żaden z domów weselnych bowiem nie spełniał ich oczekiwań: wszędzie tani blichtr i wyśrubowane ceny – Lorna jest całkiem szczęśliwa. Ta podróż tylko z mężczyzną, którego niedługo poślubi, w rześącym, czerwonym fiaciku podczas zwariowanej pogody ma w sobie coś radosnego. Po latach, starzy i siwi, będą wspominać tamtą jazdę w deszczu, gdy byli młodzi i zakochani.

– Cudownie. – Jon, mrużąc oczy, wpatruje się w ciemny kształt majaczący we wstecznym lusterku. – Jeszcze mi tylko potrzeba do szczęścia tego cholernego wielkiego kombajnu na tyłku. – Zatrzymuje się przed skrzyżowaniem, gdzie przekrzywione przez wiatr drogowskazy niewiele im mówią. – No i gdzie teraz?

– Zgubiliśmy się? – droczy się z nim Lorna, rozbawiona tą myślą.

– Nawigacja się pogubiła. Chyba straciliśmy zasięg. To możliwe tylko w twojej ukochanej Kornwalii.

Ach, to dziecinne marudzenie Jona, które natychmiast się skończy na widok domu albo zimnego piwa – myśli Lorna, uśmiechając się w duchu. On, w przeciwieństwie do niej, nie roztrząsa wszystkiego ani nie doszukuje się symbolicznych znaków w przeszkodach.

– Dobra. – Ruchem głowy wskazuje na kolana Lorny, gdzie leży byle jak poskładana i obsypana okruchami mapa. – Jak tam twoja umiejętność czytania mapy, skarbie?

– Hmm... – Lorna szamocze się z mapą, po czym rozkłada ją, a okruchy spadają na rudą wykładzinę podłogi, gdzie walają się już butelki po wodzie. – Tak z grubsza, według mojej znajomości kartografii, powinniśmy w tej chwili jechać przez Atlantyk.

Jon sapie zniecierpliwiony i prostuje nogi, za długie na tak mały samochód.

Lorna przechyła się i gładzi go po udzie, gdzie wypłówały denim opina się na mięśniu. Wie, że Jon jest zmęczony jazdą w deszczu po nieznanym drogach i zwiedzaniem domów weselnych. Został im jeszcze ten najbardziej oddalony i najtrudniejszy do zlokalizowania. Byliby teraz na Wybrzeżu Amalfijskim, gdyby się nie upierała przy tym wyjeździe do Kornwalii. Nie ma prawa mieć pretensji do Jona, że jego cierpliwość się kończy.

Oświadczył się jej w Boże Narodzenie, wiele miesięcy temu. Sosnowe igły trzaskały pod jego zgiętym kolanem. To wystarczyło na długi czas. Podobało jej się narzeczeństwo, ten stan błógiego zawieszenia; należeli do siebie i budząc się rano, nadal chcieli być razem. Bała się, żeby nie zapeszyć tego łatwego szczęścia. Zresztą nie musieli się spieszyć. Mieli przed sobą cały czas świata.

I naraz tego czasu już nie było. Kiedy w maju niespodziewanie zmarła matka Lorny, rozpacz ściągnęła ją z powrotem na ziemię i nagle uznała ślub za nieodzowny i niesłychanie pilny. Śmierć matki uświadomiła jej, że z niczym nie można zwlekać ani niczego odkładać na później, gdyż każdemu człowiekowi jest coraz bliżej do obwiedzonej na czarno daty w kalendarzu. Ta myśl, z jednej strony paraliżująca, a z drugiej dziwnie budująca, sprawiła, że Lorna zapragnęła garściami chwycić życie i w deszczowy niedzielny poranek spacerować w swych szczęśliwych czerwonych szpilkach po Bethnal Green Road, omijając walające się tam śmieci. Dziś rano ubrała się w słonecznożółtą sukienkę z second-handu; vintage z lat sześćdziesiątych. Kiedy, jak nie teraz, ma ją nosić?

Jon zmienia bieg i ziewa.

– Lorna, przypomnij mi, jak się to miejsce nazywa.

– Pencraw – odpowiada pogodnie, żeby poprawić mu nastrój. Ona dobrze wie, że gdyby to od niego zależało, po prostu upchnąłby całą swoją liczną rodzinę do namiotu w ogrodzie przed domem rodziców w Essex i byłoby po krzyku. A potem zamieszkaliby gdzieś w pobliżu uwielbiających go siostr, po zamianie ich mikroskopijnego mieszkania w centrum na podmiejski dom ze zraszacem trawnika, aby Lorraine, jego matka, mogła pomagać przy dzieciach, które szybko zaczęłyby przychodzić na świat. Na szczęście to nie zależy od Jona. – Pencraw Hall.

Jon przeczesuje palcami płową czuprynę, końce włosów są niemal białe od słońca.

– Jeszcze jedna próba?

Lorna obdarza go promiennym uśmiechem. Jak ona kocha tego mężczyznę!

– Ach, diabli, pojedźmy tędy. Jedna szansa na cztery, że to właściwa droga. Może uda nam się zgubić ten kombajn. – Naciska mocno pedał gazu.

Nie gubią go.

Cały czas pada. Wycieraczki, poskrzypując, formują śnieżne wałeczki z płatków trybuły klejących się do przedniej szyby. Serce Lorny zaczyna szybciej bić pod świeżo wyprasowaną bawełnianą sukienką.

Co prawda ona sama niewiele widzi przez strugi wody spływające po szybie, lecz wie, że są za nimi zadrzewione doliny, strumyki i wąwozy półwyspu Roseland. Wyczuwa ich potężną obecność we mgle. Pamięta, jak jeździła po tych drogach w dzieciństwie – prawie każdego lata zaglądali do Kornwalii – i jak morska bryza wpadająca przez opuszczone szyby wywiewała z samochodu ostatnie resztki brudnego londyńskiego powietrza i usuwała napięcie z twarzy matki.

Znerwicowana kobieta, jej matka, całe życie cierpiała na bezsenność. Chyba tylko nad morzem się wysypiała. Kiedy Lorna była mała, zastanawiała się, czy przypadkiem w kornwalijskim powietrzu nie unoszą się jakieś usypiające opary, tak jak nad makowym polem w *Czarnoksiężniku z Krainy Oz*. Teraz cichy głos w jej głowie podszeptował, że może to nie były opary, lecz dziwne rodzinne tajemnice. Jednak wołała zachować tę myśl dla siebie.

– Jesteś pewna, że ten stary dom nadal tam stoi? – Jon trzyma ramiona sztywno wyprostowane na kierownicy. Oczy ma zaczerwienione od wpatrywania się w drogę.

– Stoi. – Lorna zgarnia długie ciemne włosy i skręca je na czubku głowy w kok. Kilka pasemek się wymyka i wiję po bladej szyi. Czuje na sobie parzące spojrzenie Jona; uwielbia jej szyję z dziecięco miękką skórą tuż za uszami.

– Przypomnij mi, jak to szło. – Jon z powrotem kieruje oczy na drogę. – To jakaś stara posiadłość, którą odwiedzałyście z mamą podczas wakacji?

– Dokładnie tak. – Potwierdza entuzjastycznym skinieniem głowy.

– Twojej mamie ta rezydencja bardzo się podobała. Tyle pamiętam. – Marszcząc czoło, zerka w lusterko. – Ale skąd twoja pewność, że to będzie właśnie to miejsce?

– Pencraw Hall wyświetlił mi się w katalogu domów weselnych w Internecie. Natychmiast go rozpoznałam. – Tyle wspomnień już przybladło: hiacyntowa nuta ulubionych perfum mamy, niecierpliwe kłaskanie językiem, gdy szukała okularów do czytania. Natomiast w ostatnich tygodniach powróciły bardzo wyraźne inne, dawno zatarte, pozornie przypadkowe wspomnienia. Szczególnie jedno z nich. – Widzę, jak mama wskazuje palcem taki duży, stary dom. Patrzy na niego z zachwytem. Do dziś to pamiętam. – Lorna, obracając na palcu pierścionełk zaręczynowy z brylantem, przypomina sobie szczegóły. Ciężar papierowej tutki w różowe paski, pełnej krówek. Rzekę. – Tak. Jestem prawie pewna, że to ten sam dom.

– Prawie? – Jon kręci głową i wybucha tym swoim głębokim śmiechem, który zdaje mu się obijać o żebra. – Boże, jak ja cię Kocham!

Przez chwilę jadą w przyjaznej ciszy, Jon jest zamyślony.

– Kochanie, jutro ostatni dzień.

– Wiem. – Lorna wzdycha, bo myśl o powrocie do gorącej, zatłoczonej metropolii jest jej nie w smak.

– Miałabyś ochotę na coś niezwiązanego z weselem? – Jego głos jest rozbrajająco ciepły.

Lorna uśmiecha się zaintrygowana.

– Jasne. A co masz na myśli?

– No wiesz, pomyślałem, że może jest... jakieś inne ważne dla ciebie miejsce, które chciałabyś zobaczyć – mówi z zakłopotaniem. Odkasłuje i szuka jej ciemnych oczu we wstecznym lusterku.

Lorna nie odpowiada na jego spojrzenie. Uwalnia koczek spod palców i włosy opadają na zarumienione policzki.

– Właściwie nie – bąka. – Chcę jedynie obejrzeć Pencraw.

Jon wzdycha, zmienia bieg i nie kontynuuje tematu. Lorna zmazuje rysunek domu z zaparowanej szyby i zatopiona w myślach, patrzy na drogę przez wytarty otwór, przyciskając nos do zimnego szkła.

– No tak. A jakie są opinie? – pyta Jon.

– Hmm – waha się. – No cóż, nie ma żadnych.

On unosi brew.

– Ale zadzwoniłam tam i rozmawiałam z asystentką właścicielki czy kimś w tym rodzaju. Z panią Endellion.

– A co to za nazwisko?

– Kornwalijskie.

– Czy według ciebie „kornwalijskie” wszystko tłumaczy?

– No a jak! – Śmiejąc się, wysuwa stopy ze srebrnych klapek i opiera je na twardym szarym kokpicie, zadowolona, że widać ślady opalenizny, a granatowy lakier dobrze się trzyma na paznokciach. – Wyjaśniła, że to prywatny dom. W tym roku po raz pierwszy go wynajmują, trudno więc o opinie. Uważam, że nie ma w tym nic podejrzanego.

– Czasem bywasz taka naiwna – zauważa, uśmiechając się.

– A ty, skarbie, cholernie cyniczny.

– Rzeczowy, konkretny. – Zerka w lusterko i poważnieje. – Jezu.

– Co?

– Ten kombajn. Prowadzi go chyba jakiś emerytowany sfrustrowany rajdowiec. Wisi mi na ogonie. Zwolnij, dziadku.

– Daj po klaksonie.

– Widziałaś wielkość tych ostrzy?

Lorna zastyga w fotelu z pasmem włosów nawiniętym na palec. Maszyna rzeczywiście wygląda groźnie na tej wąskiej drodze, która bardziej przypomina tunel ograniczony po bokach stromymi skałami i zadaszony zachodzącymi na siebie koronami drzew. Spuszcza nogi na podłogę samochodu i wsuwa stopy w klapki.

– Zatrzymamy się przed najbliższym wjazdem na farmę i spróbujemy zawrócić – odzywa się Jon po paru pełnych napięcia minutach.

– Oj, przestań...

– To niebezpieczne, Lorno.

– Ale...

– Na pocieszenie powiem ci, że ten dom zapewne nie różni się niczym od innych. Jakieś kiepskie centrum konferencyjne. A jeżeli jest atrakcyjny, to i tak nas nie będzie na niego stać.

– Nie. Ja intuicyjnie czuję, że to ma być ten dom. – Owija ciasniej pukiel włosów na palcu, aż różowieje opuszek. – Mam przeczucie.

– Ty i twoje przeczucia.

– Ty też byłeś przeczuciem. – Kładzie mu dłoń na kolanie akurat w chwili, kiedy on napina mięśnie, ostro hamując.

Wszystko dzieje się naraz: pisk opon, gwałtowny skręt w lewo, ciemny kształt śmigający przez drogę ku krzakom. A potem przerażający bezruch. I bębnienie deszczu o dach.

– Lorno, nic ci się nie stało? – Dotyka wierzchem dłoni jej policzka.

– Nie, nie, wszystko dobrze. – Ona przesuwając językiem po wnętrzu ust i czuje metaliczny smak krwi. – Co to było?

– Jeleń. Jestem pewien, że jeleń.

– Och, Bogu dzięki, nie człowiek.

Jon cicho gwiżdże.

– No, niewiele brakowało. Na pewno jesteś cała?

Pukanie w drzwi po stronie kierowcy. Owłosione knykcie i czerwona spękana skóra. Kombajnista jest górą obleczoną w pomarańczową kurtkę z kapturem, ociekającą wodą.

John z niepewną miną opuszcza szybę.

– Przepraszam za ostre hamowanie.

– Cholerny jeleń. – Twarz mężczyzny, dzika jak krajobraz wokół, wypełnia okno. Zerka ponad ramieniem Jona w głąb samochodu i zatrzymuje tępe spojrzenie na Lornie. Jego wzrok mówi, że nieczęsto spotyka filigranowe trzydziestodwuletnie brunetki w żółtych letnich sukienkach. Że raczej w ogóle nie widuje zbyt wielu kobiet.

Lorna chce się do niego uśmiechnąć, lecz czuje, jak drżą jej kąciki ust. Prędeż się rozplacze. Teraz dociera do niej, jak mało brakowało do nieszczęścia.

Trudno to przyjąć do wiadomości, przecież są na wakacjach, a na urloпах zawsze czuła się nieśmiertelna, szczególnie z Jonem, bo jest opiekuńczy, a do tego silny jak tur.

– Przełazą przez dziury w żywopłotach. Dopiero co, w zeszłym miesiącu, spowodowały wypadek. – Kwaśny oddech mężczyzny owiewa ciasne wnętrze samochodu. – Dwa zostały poturbowane kawałek stąd. Przekłeta, wałęsająca się zwierzyna.

Jon odwraca się do Lorny.

– Ktoś stara się dać nam coś do zrozumienia – mówi. – Chyba wystarczy na dziś?

Ona czuje drżenie jego palców, wie, że lepiej nie przeciągać struny.

– Dobrze.

– Nie rób takiej miny. Wrócimy tu kiedyś.

Nie wróca, to pewne. Za daleko mieszkają. Są zbyt zajęci. Za ciężko pracują. Jak tylko znajdą się w domu, rodzinna firma deweloperska Jona zabierze się do nowego zlecenia, budowy jakichś luksusowych apartamentowców w Bow, a ją czeka początek roku szkolnego, bo do pierwszego września niedaleko.

– Szukamy takiego starego domu. – Jon sięga do skrytki po coś słodkiego, żeby uspokoić drżenie rąk. Znajduje zapomniany, na wpół rozwinięty miętowy cukierek. – Pencraw Hall?

– Och. – Twarz mężczyzny ginie w głębi kaptura.

Lorna prostuje się, czując, że ta nazwa nie jest mu obca.

– Zna go pan?

Skwapliwe skinienie głową.

– Black Rabbit Hall.

– Nie, nie, my szukamy Pencraw Hall.

– Miejscowi nazywają go Black Rabbit Hall.

– Black Rabbit Hall – powtarza powoli Lorna, jakby smakując tę nazwę.

Podoba jej się. – To gdzieś niedaleko?

– Właściwie jesteście prawie na podjeździe.

Lorna, rozpromieniona, odwraca się do Jona. Już nie pamięta, że byli o włos od śmierci.

– Jeden zakręt kawałek stąd, trudno go przeoczyć, i jesteście na farmie, a raczej na tym, co z niej zostało. Po mniej więcej pół mili wjeżdżacie na teren posiadłości. Zobaczycie drogowskaz. Znaczy: może go zobaczycie. Stoi w zaroślach. Trzeba się rozglądać. – Znowu przypatruje się Lornie. – Dziwne miejsce. Czemu chcecie tam jechać, jeśli wolno spytać?

– Hmm... – Lorna bierze oddech, gotowa snuć wspomnienia.

– Sprawdzamy, czy nadaje się na wesele – wyprzedza ją Jon. – Hmm, mieliśmy sprawdzić.

– Wesele? – Mężczyzna wytrzeszcza oczy. – A niech mnie! – Wodzi spojrzeniem po Lornie i Jonie. – Wyglądacie na miłą parę. Nie jesteście stąd, co?

– Z Londynu – odpowiadają cicho zgodnym chórem.

Mężczyzna kiwa głową, jakby to wszystko wyjaśniało. Opiera dłoń na opuszczonej szybie, para na szkle tworzy kształt grubej rękawicy.

– Według mnie Black Rabbit Hall nie nadaje się na wesele.

– Och! Czemu? – pyta Lorna. Opuszcza ją dobry humor, chce, żeby ten człowiek już sobie poszedł.

Mężczyzna marszczy czoło, nie wie, ile może zdradzić.

– Przede wszystkim jest zapuszczony. Pogoda tutaj taka, że domy niszczej, jeżeli się ich nie odnawia. W ten akurat od lat nikt nie wkłada pieniędzy. – Oblizuje językiem spękane wargi. – Ludzie powiadają, że w sali balowej rosną hortensje i w ogóle dzieją się tam dziwne rzeczy.

– Och... podoba mi się to.

Jon przewraca oczami.

– Niech pan jej nie zachęca – mówi, tłumiąc śmiech.

– Lepiej już sobie pójdę. – Kombajnista wydaje się zbity z tropu. – Uważajcie na siebie, co?

Patrzą, jak odchodzi ciężkim krokiem, słyszą tupanie na ażurowych metalowych stopniach, gdy wspina się do kabiny. Lorna nie wie, co o tym wszystkim myśleć.

Natomiast Jon i owszem.

– Trzymaj się mocno! – poleca. – I patrz, czy nie ma w pobliżu jelonków Bambi. Wycofam się na rozstaje. Wracamy do cywilizacji i zimnego piwa. Bezzwłocznie.

Lorna chwyta go za ramię, ten uścisk mówi, że ona nie żartuje.

– To śmieszne, żeby teraz zawracać. Wiesz, że mam rację.

– Słyszałaś, co mówił ten gość.

– Jon, musimy to zobaczyć na własne oczy, chociażby po to, żeby sprawdzić jego słowa.

– Nie mam dobrych przeczuć. – Kręci głową.

– Ty i twoje przecucia. – Lorna cytuje jego wcześniejszą uwagę, żeby go rozśmieszyć. – Nie upieraj się. Tak bardzo chcę zobaczyć to miejsce.

Jon zastanawia się, bębniąc kciukami o kierownicę.

– Masz u mnie dług.

Lorna przychyła się ponad ręcznym hamulcem i przyciska usta do ciepłego zarostu na podbródku. Jon pachnie obietnicą seksu i pełnoziarnistymi herbatnikami.

– Z przyjemnością spłacę.

Jon uśmiecha się łobuzersko i przekręca kluczyk w stacyjce. Czerwony fiacik trochę buksuje, przyspiesza i niczym kropelka krwi toczy się po wilgotnej

zielonej drodze, aż wreszcie ginie pod baldachimem z drzew.

Rozdział drugi

Amber

Fitzroy Square, Londyn, kwiecień 1968

Wszyscy mówią, że Mama miała szczęście, bo mogła bardziej ucierpieć w tym wypadku. Gdyby taksówką trochę mocniej zarzuciło, wpadłoby na ten żelazny słupek na Bond Street, a nie tylko się o niego otarli. Mama się potłukła, kiedy poleciała wraz zakupami na drzwi, na szczęście zgiętym ramieniem osłoniła twarz, gdy uderzała o szybę. Natomiast nowym, fantazyjnym kapeluszem nic się nie stało. Taksówkarz nie wziął od Mamy pieniędzy za kurs. Ale to marna pociecha.

Po dziesięciu dniach nadal ma musztardowożółty siniak na kolanie, a zwichnięty nadgarstek unieruchomiony na szynie. Tkwi w fotelu, nawet w to sobotnie przedpołudnie, zamiast grać w tenisa w Regent's Parku albo bawić się w berka z moją młodszą siostrą w ogrodzie.

Teraz też siedzi w turkusowym fotelu przy oknie w salonie, z nogą w pończosze opartą sztywno na stołku, i patrzy na czarne parasole przemieszczające się na placu poniżej. Wzrok ma jakiś nieobecny. Twierdzi, że to przez te środki przeciwbólowe. Ale ja wiem, że Mama jest myślami w Black Rabbit Hall albo na starej rodzinnej farmie w Maine czy w jakimś innym oddalonym i dzikim miejscu, gdzie można swobodnie jeździć konno. Jednak Maine jest daleko, a Black Rabbit Hall wydaje się jeszcze bardziej odległy.

– Proszę pani, czy przynieść herbaty? – pyta Nette, taktownie omijając wzrokiem potworny siniec na nodze mamy.

Nette jest nowa. Pracuje u nas od trzech miesięcy. Sepleni, znak szczególny, a trafiła tu od skostniałej rodziny na Eaton Square, gdzie, jak mówi Mama, „nadal udają, że jest tysiąc dziewięćset trzydziesty rok”. Myślę, że Nette woli być tutaj. Ja bym wołała.

– A może podłożyć jeszcze jedną poduszkę?

– Nie, dziękuję, Nette. Tak się o mnie troszczysz. Jest mi całkiem wygodnie, a przez ostatnie dni wypiałam tyle herbaty, że kolejna filiżanka mogłaby kompletnie rozstroić mi nerwy. – Mama uśmiecha się, pokazując przerwę między przednimi zębami, przez co jej uśmiech wydaje się jakby szerszy. W tę szparę może nawet wsunąć zapalną. – I, Nette, proszę, zwracaj się do mnie „pani Alton”, albo lepiej „Nancy”. Tutaj nie musimy być tacy formalni, naprawdę.

– Dobrze, proszę pa... – Urywa i uśmiecha się speszona. Bezgłośnie zbiera

na srebrną tacę pustą filiżankę i do połowy zjedzone ciastko Battenberg. Boris wachluje ogonem i po psiemu wpatruje się w nią błagalnym wzrokiem. Co prawda Nette ma zakaz podsuwania psu smakołyków – Boris jest grubym łakomczuchem i kiedyś pożarł kostkę masła na jedno posiedzenie, a potem zwymiotował na schodach – lecz wiem, że Nette podkarmiła go w kuchni, gdy nikt nie widzi. I za to ją lubię.

– Chodź do mnie – przywołuje mnie Mama, kiedy Nette znika za drzwiami. Przyciąga taboret od pianina i go poklepuje.

Siadam, kładę głowę na jej kolanach i wdycham zapach skóry przez jedwab soczyście zielonej sukienki. Mama gładzi mnie po włosach. A ja, czując się jednocześnie jej powiernicą i dzieckiem, mogłabym trwać tak bez końca albo przynajmniej do lunchu. Ale wiem, że nie zawłaszczę tych kolan na długo, bo jest nas sporo: ja, Barney, Kitty, tata i jeszcze Toby, mój brat bliźniak, gdy przyjeżdża ze szkoły z internatem, i wszyscy roszczą sobie do nich pretensje. Czasami odnoszę wrażenie, że Mamy jest za mało, żeby nas sobą oddzielić.

– Mamuś, twoja noga wygląda jak baleron.

– Ha, dzięki, skarbie!

– Ale ta druga nadal jest ładna – dodaję szybko, zerkając na zdrową nogę, długą i smukłą, z wyprężoną jak u baleriny stopą, gdzie drugi palec, intrygująco dłuższy od pierwszego, wypycha szewek pończochy.

– Jedna ładna noga wystarczy. A z tą drugą wcale nie jest tak źle, jak by się mogło wydawać. – Mama nawija pasmo moich włosów na palec, tak że wyglądają jak ozdobny sznurek podtrzymujący okienne story. Siedzimy przez chwilę w milczeniu, tyka zabytkowy zegar kareciak, do pokoju przenika londyński gwar. – O czym tak dumasz?

– Babcia Esme mówi, że mogłaś zginąć. – Ciągle myślę o tym wypadku. Czarny słupek czekający na czarną taksówkę. Pisk hamulców. Pudła z kapeluszami pod podsufitką. Wydarzenia, które nie mieszczą się w głowie, a jednak się przytrafiają. – To takie niepokojące... sama nie wiem.

Mama uśmiecha się i nachyla nade mną, końce jej miedzianorudych włosów łaskoczą mnie po policzku. Czuję zapach kremu Pond's.

– Skarbie, żeby mnie zabić, potrzeba znacznie więcej niż zwykłej taksówki. Odziedziczyłam geny po przodkach z Nowej Anglii.

Znowu zerkam na spuchniętą nogę i szybko odwracam wzrok, zła na siebie, że nie mogę znieść tego widoku. Dla mnie jest naprawdę dziwny. Normalnie Mamie nigdy nic nie dolega. Nie choruje na grypę. Nie miewa bólów głowy ani czegoś takiego, co ma pani Hollywell, mama Matildy, która w większość dni musi się położyć po lunchu i czasem wcale nie wstaje. Myślę sobie, że jeśli już coś złego musiało się przytrafić Mamie, to dobrze, że nie było aż tak straszne. I że przynajmniej mamy to już za sobą.

– Amber, proszę cię, nie martw się o mnie. – Poduszczką kciuka wygładza mi czoło. – Dzieci nie powinny przejmować się rodzicami, wiesz? Martwienie się to rola matki. Na ciebie też przyjdzie czas.

Wpatrzona w podłogę myślę intensywnie, bo jakoś nie potrafię połączyć tych dwóch punktów, z których jednym jest moje czternaście lat, a drugim ja jako żona i matka. Co się dzieje z drugim z bliźniąt, kiedy jedno wychodzi za mąż? Co w takiej sytuacji robi Toby? To mnie nurtuje.

– Dobrze, już dobrze – mówi, śmiejąc się Mama. – Jeszcze do tego daleko.

– Będiesz mogła nadal jeździć na Rycerzu? – szybko zmieniam temat. Rycerz to holenderski koń ciepłokrwisty. Imię sugerowałoby, że powinien być czarny, ale jest kasztankiem.

– Czy będę mogła jeździć na Rycerzu? No wiesz! – Mama prostuje się, krzywiąc się z bólu. – Jeżeli dłużej będę tkwić w tym fotelu, zwariuję. Nie mogę się doczekać, kiedy dosiędę Rycerza. Jeśli będę musiała, ucieknę do Kornwalii, żeby na nim pojeździć.

Znam Mamę, to całkiem prawdopodobne.

– Prawdę mówiąc, dziś wieczorem mam zamiar namówić tatę, żebyśmy wyjechali do Black Rabbit Hall wcześniej niż zazwyczaj.

– Wcześniej, czyli kiedy?

Poprawia się na poduszkach, szukając wygodnej pozycji.

– W przyszłym tygodniu albo jeszcze szybciej, jeśli Peggy zdaży przyszykować dom.

– W przyszłym tygodniu? – Podrywam głowę z maminych kolan. – Przecież ferie wielkanocne rozpoczynają się dopiero za dwa tygodnie.

– Jeśli chcesz, możesz wziąć podręczniki ze sobą.

– Ale, mamuś...

– Skarbie, i tak za dużo czasu spędzasz z nosem w książkach. Nikomu nie stanie się krzywda, jak opuścisz kilka lekcji. Nadmiar nauki nie służy dzieciom.

– Narobię sobie zaległości.

– Bzdura. Panna Rope mówi, że jesteś prymuską. Nie ma czym się przejmować. Poza tym w Black Rabbit Hall więcej się nauczysz niż w zapyziałej, starej klasie w Regents Park.

– Czego się tam nauczę? – pytam z powątpiewaniem.

– Poznasz życie!

Przewracam oczami.

– Mamo, chyba już znam życie w Black Rabbit Hall.

– Czyżby? – Wygląda na rozbawioną.

– Wyrosłam już z budowania zamków z piasku.

– Nie bądź głuptaskiem. Z tego się nigdy nie wyrasta.

Moje życie jest pełne zamków z piasku. Pierwsze wspomnienie wiąże się

z Tobym. Zgięty we dwoje kopie jak szalony i wyrzuca za siebie złote fontanny piasku. (Jest mańkutem, a ja jestem praworęczna, możemy więc stać blisko siebie i nie trącać się łopatkami). Na koniec wtyka w kopczyk dwie muszle okładniczek. „My – mówi z radosnym uśmiechem. – Na samym czubku”. Mamy wtedy po trzy lata.

– A poza wszystkim powietrze w Londynie jest fatalne – ciągnie Mama. – Ta nieustająca mżawka! Boże drogi, czy tu kiedyś przestanie padać?

– W Kornwalii też najczęściej chodzimy w nieprzemakalnych płaszczach.

– Tak, ale tam pada inny deszcz. I niebo też jest inne. Bezchmurne, widać gwiazdy, spadające gwiazdy, Amber! A nie takie wiecznie zaciągnięte jak tu. – Wskazuje szare chmury wiszące za oknem. – Hej, nie rób takiej miny. Tobie chodzi o coś jeszcze. Co to jest?

– Za dziewięć dni Matilda wyprawia przyjęcie urodzinowe – mówię cicho. Oczyma duszy widzę rozchichotane koleżanki w pastelowych, odświętnych sukienkach. I starszego brata Matildy, Freda, który przyjedzie z Eton. Kiedy się śmieje, unosi jeden kącik ust. Widzę też Matildę, moją najlepszą przyjaciółkę, która jest miła i zabawna i w przeciwieństwie do innych dziewczynek nigdy nie udaje głupiej. – Nie mogę stracić takiej okazji.

– No tak, szkoda, że ominą cię urodziny Matildy. Ale to tylko jedno przyjęcie, skarbie.

Zostawiam dla siebie wiadomość, że nie należę do dziewcząt zapraszanych na mnóstwo przyjęć, lecz Mama chyba to wie, bo jej głos łagodnieje:

– Amber, może w tej chwili to nie bardzo cię przekonuje, ale, uwierz mi, czeka cię jeszcze wiele przyjęć. – Ruchem głowy wskazuje okno. – Popatrz tam. Na ulicę. Co widzisz?

Wyglądam przez okno na biegnącą półkolistą ulicę; wilgotne chodniki, czarne, żelazne ogrodzenie i plama zieleni na środku skweru, gdzie czasem w słoneczne sobotnie przedpołudnia pałaszujemy tosty z pastą wołową.

– Ludzie otrząsają i zamykają parasole? – Odwracam się do niej, niepewna, czy takiej odpowiedzi oczekuje. – Niania z wózkiem?

– Wiesz, co ja widzę, Amber? Cały świat stojący przed tobą otworem. Popatrz, młoda kobieta w zgrabnym, granatowym kostiumiku idzie do pracy. – (Tak na marginesie: Mama nie pracuje, ale w niedzielę ubiera się w granatowy kostium z Paryża. To pewnie też jakaś praca). – Widzę także całującą się parę na ławce... – unosi brew – ...i powiem, że dość namiętnie.

Odwracam wzrok od tej obejmującej się pary – oczywiście tylko dlatego, że Mama siedzi obok mnie – i zastanawiam się, co się czuje, całując się tak zapamiętałe w miejscu publicznym, że nie zwraca się uwagi, kto na ciebie patrzy.

– Jak widzisz, staram się powiedzieć ci, że czeka cię mnóstwo przyjemności, zanim wyjdiesz za mąż.

Szkoła. Koniec szkoły. Być może praca w domu aukcyjnym Christie's. Jakoś trudno dostrzec wolny czas na przyjemności, zanim to wszystko się urwie.

– I co, chyba nie będziesz się przejmować, że ominie cię jedno przyjęcie? – Mama wygładza suknię na kolanach, gdzie materiał pogniótł się pod moją głowę.

– Chyba nie.

– Niezbyt przekonująca odpowiedź.

Usiłuję naburmuszenie pokryć uśmiechem. Cieszy mnie, że Mama udaje, iż liczy na moją aprobatę, stwarza pozory, że mogłabym jej odmówić, a moje zdanie ma jakiegokolwiek znaczenie. Tak, wiem, poszczyściło mi się. Wszystkimi moimi koleżankami twardą ręką rządzą matki, kulturalne, nieco spięte Angielki w wykrochmalonych pastelowych sukniach. One chyba nigdy nie wybuchają śmiechem, odrzucając głowę do tyłu, tak że aż widać taki mały jęczyzek w gardle. Moja Mama potrafi jeździć na koniu na oklep. Na wsi chodzi w dżinsowych spodniach. No i zdecydowanie jest najładniejsza ze wszystkich mam czekających przed szkołą.

– Nigdy nie zapominaj, jakie to szczęście, że nadal mamy Black Rabbit Hall. Tyłu znajomych ojca było zmuszonych zburzyć wiejskie rezydencje i sprzedać ziemię albo wynająć domy obcym ludziom lub zdecydować się na inne podobne okropności. Trzeba to bardzo cenić.

– Podróż tam zajmuje nam całe wieki.

– Pojedziemy wszyscy razem. Będzie zabawnie. – Szturcha mnie. – Wiesz co, może kiedyś utworzą lotnisko w Roseland?

– To się nigdy nie stanie.

– Hmm... no dobrze. – Zakłada mi kosmyk włosów za ucho. – Nie chcemy, żeby pewne sprawy przychodziły zbyt łatwo, prawda?

– Wtedy to nie byłoby nasze specjalne miejsce – mówię bezwstydnie, żeby tylko ją zadowolić. I udaje mi się.

– No właśnie! – Uśmiecha się, a jej oczy połyskują zielono i żółto, jak wierzch i spód liścia. Rozpogadza się i dystans między nami znika. – Zawsze powtarzam tacie, że Black Rabbit Hall to jedyne święte miejsce na tym zwariowanym, zmieniającym się świecie. To nasza ostoja, prawda, Amber?

Waham się. Nie wiem, skąd u mnie to wrażenie, że wszystko zdaje się zależeć od mojej odpowiedzi.

Rozdział trzeci

– Burza dotrze nad rzekę około szóstej – ocenia tata, stojąc na tarasie w pogniecionym kremowym garniturze. Jednym palcem przesuwając fedorę na tył głowy i węszy jak pies myśliwski. Właściwie to oczywiste, że lada chwila rozpęta się burza; powietrze jest ciężkie, ciemne chmury wiszą nad czarną taflą morza, lecz nam nie wypada go pouczyć. Wszyscy wiemy, jak uwielbia tak stać na tarasie, z jedną ręką na balustradzie i oddychając pełną piersią, mrużyć pod nosem o wietrze, pogodzie czy płowych sarnach albo narzekać na króliki i cieknący dach. Co wcale nie znaczy, że ktokolwiek coś z tym robi.

W naszym londyńskim domu nic nie przecieka. Nie kapie. Ani nie potrzaskuje w nocy. Przeciąg nie rozwiewa włosów na korytarzu przy sypialniach. Kawałki dachu nie fruwać przy dużym wietrze jak pranie zerwane z linki. Gdyby tak było, rodzice na pewno ściągnęliby fachowca. Ale w Black Rabbit Hall nie przejmują się takimi rzeczami. Właściwie zaczynam podejrzewać, że tak po cichu całkiem im to odpowiada.

W tej chwili w narożniku mojej sypialni stoi miska, którą Toby nazywa nocnikiem. (Och, Amber, znowu nasiusiałaś do pełna! – nabija się ze mnie, a ja go gonię i biję po głowie książką *Jane Eyre*). W dawnej sali balowej stoi z sześć wiader. Tak tam cieknie, że tylko maluchy ją wykorzystują do jeżdżenia na trójkołowych rowerkach.

Mama ceni sobie „prostotę” w Black Rabbit Hall: nie ma tu wykwalifikowanego personelu. Jest tylko Peggy, która mieszka w domu na stałe i gotuje nam, kiedy przyjeżdżamy, oraz Annie, bezmyślna dziewczyna ze wsi, pozorująca sprzątanie. Dwa lata temu Peggy wyrzuciła ją z powodu lenistwa, lecz ona nie przestała przychodzić. Jest też lojalna grupka leciwych stolarzy – jeden ma szklane oko i jak się go ładnie poprosi, popuka w nie śrubokrętem – oraz jeszcze starszych ogrodników, którzy całe życie pracują u nas dorywczo. Zalatuje od nich końskim nawozem i tak sapią przy każdej przerzucanej łopacie, jakby była ich ostatnią. W domu nie ma niani. Przynajmniej odkąd nasza rodzina nastąpiła w Kornwalii. Żadna z moich koleżanek nie chce w to uwierzyć. Mama nie życzyła sobie, żeby wychowywali nas obcy ludzie, tak jak wcześniej było w przypadku taty, dziadka i wszystkich zmarłych krewnych uwiecznionych na drzewie genealogicznym, które tata trzyma schowane w trzeciej szufladzie biurka.

Nigdy nie wiadomo, na co się trafi w tutejszych szufladach. To mogą być

książeczki reglamentacyjne z drugiej wojny światowej, maski gazowe, naładowany pistolet, złoty pukiel włosów zmarłego niemowlęcia, które, jak mówi tata, gdyby przeżyło, byłoby naszą cioteczną babką. Och, i jest jeszcze rękawiczka księżniczki Małgorzaty. To wszystko wydaje się bardzo ekscytujące.

O telewizorze możemy jedynie pomarzyć. Antyczne radio podłączone do kontaktu sypie iskrami i ledwie łapie sygnał. Najczęściej słychać przerywane trzaskami wiadomości z rybackich kutrów o pogodzie i połowie makreli. Rury całymi nocami pojękują i dzwonią, a kiedy nalewa się wodę do którejś z dużych żeliwnych wanien, łomot jest taki, jakby rozstępowała się ziemia. Co rusz wysiada nam prąd; spięcie, błysk i egipskie ciemności. Dopóki ktoś tego nie naprawi, musimy korzystać z lamp naftowych trzymanyh w składziku, dlatego wszystkie sufity są okopcone.

– Zupełnie jakby dwudziesty wiek nigdy nie zawitał! – Mama śmieje się, jakby to była najlepsza rzecz, jaka może się przydarzyć, a nie coś, co mnie zniechęca do zapraszania koleżanek ze szkoły. Może zresztą to tylko pretekst. Tak naprawdę lubię, kiedy jesteśmy sami. Nie potrzeba nam obcych.

Przeciągam po tarasie Puposzczypa, najbardziej niewygodny na świecie wyplatany fotel, który dziadek przywiózł z Bombaju, i dlatego nie można go wyrzucić – kiedy wyjdę za mąż, kupię nowe meble w domu towarowym – i siadam w pobliżu Toby’ego. Tyle przestrzeni, a jakoś tak się dzieje, że tutaj zawsze lądujemy o jakieś pięć stóp od siebie.

Mam najlepsze miejsca do obserwacji błyskawic srebrzących czubki drzew. Tym razem burza jest jakaś niemrawa. Jakby nie mogła się zebrać z braku energii.

Toby siedzi na kamiennej balustradzie w burzowej cytrynowej poświacie i leniwie kiwa nogami. Obok niego drzemie kot; pręgowany ogon podryguje, trącając drobne, niebieskie kwiatki, które same wyrosły w szczelinach tynku. Tata idzie zbadać sprawę pterodaktyla, który według Barneya zagnieździł się w kominie. Mama usiłuje rozczesać włosy Kitty, a ona jak zawsze piszczy i protestuje, przyciskając do siebie upaprany wałek, czyli swoją ukochaną, jednooką szmacianą lalkę Gałganę. Barney odstawia na ziemię nieduży słoik z kijankami w mętnej wodzie i zaczyna kopać piłkę o ścianę. Bum, bum, bum, jego jasnorude loki podrygują do rytmu. Odgłos uderzeń gumy o mur kojarzy mi się z każdym słonecznym dniem spędzonym w tym miejscu.

Tak jest. Doskonale znam ten obrazek – ja siedzę w wyplatany fotelu, marząc o niebieskich migdałach, Toby na murku macha nogami, zerkając to na mnie, to gdzieś w bok, Mama szczotkuje włosy Kitty, powietrze pachnie praniem i wodorostami. Ta scena powróci kolejnego dnia, tak jak powtarzała się we wszystkie poprzednie wakacje. Nic się specjalnie nie zmienia. Czas ma konsystencję syropu. W rodzinie krąży żart, że godzina w Black Rabbit Hall jest dwa razy dłuższa od tej w Londynie, lecz nie robi się tu nawet jednej czwartej tego,

co tam. Inna sprawa, że w Black Rabbit Hall człowiek się czuje tak, jakby tkwił tu całe wieki, a kiedy stąd wyjedzie, ma wrażenie, że wakacje trwały jedno popołudnie. Może dlatego nikt się nie przejmuje źle chodzącymi zegarami.

Niewiele się tu dzieje.

Wypełnić czas pomagają książki. Ale ja zostawiłam moją na nocnym stoliku i nie chce mi się po nią wspinać po tych wszystkich schodach do wieżyczki. Wpieram się palcami stóp w poręcz fotela i torturuję myślami o urodzinowym przyjęciu, które mnie ominęło; przede wszystkim o Fredzie. Fred w smokingu. Myśląc o nim, czuję, jak moje ciało wypełnia dziwnie błogie ciepło. Ulatuje ono wraz z przeciągłym oddechem, który brzmi nie jak moje, tylko jakieś filmowe westchnienie.

Toby natychmiast odwraca głowę w moją stronę i patrzy czujnie spod firanek rzęs, jakby dokładnie wiedział, o czym myślę. Irytująco się rumienię, co jedynie potwierdza jego podejrzenia.

Urodziliśmy się w odstępnie piętnastu minut. Ja byłam pierwsza. Toby miał pępowninę owiniętą wokół szyi i mało brakowało, a tata utraciłby swojego następcę. Ponieważ powstaliśmy z dwóch osobnych jajeczek, łączy nas tylko wspólny pobyt w brzuchu Mamy i to, że jesteśmy rodzeństwem, a jednak czasem dzieją się dziwne rzeczy: takie, które nie powinny się przytrafiać bliźniętom dwujajowym. Na przykład, kiedy on w zeszłym roku rozbił sobie nos, gdy spadł z huśtawki na drzewie, mnie bez powodu puściła się krew z nosa. Jeżeli przypadkiem budzę się w nocy i podniosę głowę, często widzę, że on też się akurat obudził. Czasem miewamy nawet takie same sny, co może okazać się żenujące, gdy mu się przyśni, że całuje się z Fredem. Śmieszą nas te same „króliki, które kocą się w głowie”, jak mawia Toby – głupie powiedzonko, ale mnie bawi. On nie musi się wysilać, żeby mnie rozśmieszyć. Wystarczy, że poruszy choćby najmniejszym mięśniem twarzy albo wypełni ciszę wypowiedzianym bezgłośnie brzydkim słowem. On szarżuje. Zawsze. A moim obowiązkiem jest przywoływać go do porządku. Myślę, że gdyby mnie tu nie było, nie przeciągałby struny. Kiedy upada, wie, że go podniosę. Czasami w dosłownym sensie. Zazwyczaj Toby jest cały w siniakach. Natomiast oboje nie cierpimy lukrecji.

Przez całe życie byliśmy z Tobym tego samego wzrostu; równo rośliśmy, mieliśmy oczy na tym samym poziomie, a stopy w takiej samej odległości od drewnianego szczytu łóżka, kiedy wyciągał się obok mnie i paplał jak najęty, gdy ja usiłowałam czytać. A teraz jestem od niego o jeden cal wyższa. Mam piersi z wrażliwymi brodawkami, twardymi jak kandyzowane owoce (niestety, moje w porównaniu z piersiami Matildy są miniaturowe, niemniej zapowiadają się obiecująco). Dwudziestego drugiego stycznia – dokładnie pięć po trzeciej po południu w toalecie dla dziewcząt przy pracowni nauk humanistycznych – na moich majtkach pojawiła się lepka, brunatna smuga, coś, co później Mama uznała

dyskretnie za triumfalne nadejście „ciotki”. Tymczasem mój brat bliźniak w wieku czternastu lat pozostaje nadal takim samym tyczkowanym, rudowłosym Tobym (zdumiewająco urodziwym jak na chłopaka, jak raz powiedziała Matilda, po czym się tego wyparła). Głos zrobił mu się skrzekliwy – trochę jak sygnał w naszym radiu – a poza tym rozrósł się w barach, no i nie wyglądamy już na równolatki. Ani na bliźnięta. Jedynym łączącym nas podobieństwem jest kolor włosów. Myślę, że Tobo nie jest z tego zadowolony.

Właśnie wydłubuje mech pomiędzy szarych kamieni balustrady, skręca go w kosmate zielone kulki i pstryka nimi z gzysmu, po czym patrzy, jak daleko doleczą. W Black Rabbit Hall całymi godzinami potrafimy w ten sposób zabijać czas; nie mamy wyjścia.

– Skarbie, chodź mi to potrzymać! – woła mnie Mama. Brązowa gumka do włosów dynda jej między zębami. Macha nad głową żółtą wstążką. Z ręki, „wyleczonej w Kornwalii”, zdjęła szynę. – Włosy po morskiej wodzie są strasznie splątane. Ty widziałas, co twoja siostrzyczka ma na głowie?

Podchodzę do Mamy i bawię się wstążką, podczas gdy ona szczotkuje włosy Kitty.

– Mamuś, ona nurkowała pod fale.

Kitty, w przeciwieństwie do reszty rodzeństwa, które odziedziczyło figurę po Mamie, jest krągła i pulchna i dlatego nie marznie w oceanie. Podobnie jak Barney nie czuje przed nim lęku; idzie przed siebie prosto w fale, dopóki Mama nie pobiegnie za nią i nie wyciągnie jej z powrotem na brzeg. Trochę to niesamowite jak na czterolatkę. Niezłe ziółko z tej naszej Kitty.

– Auu! – Mała umyka spod szczotki. – Mamuś, urywasz Kitty głowę!

– Gdybyś nie sypała sobie piasku we włosy, Mama nie musiałaby ich bez przerwy szczotkować – zauważam.

Kitty wydyma dolną wargę.

– Gdybym była krabem, nie musiałabym się czesać.

– W takim razie daj mi znać, kiedy pokryjesz się skorupką, Kittycat. – Mama kuca za Kitty, przytrzymuje ją kolanami, żeby nie mogła się wiercić, odkłada szczotkę i palcami ostrożnie rozdziela pasma jej delikatnych, jasnych włosów. Nuci przy tym cichutko – to ta sama melodia, którą pamiętam z czasów, gdy byłam w wieku Kitty. Potrafię ją zaśpiewać nawet we śnie, chociaż nie wiem, co to jest.

– Mamuś, pójdiesz ze mną do kryjówki w lesie? – Barney wybija głową piłkę ponad balustradę i oplata cienkie ramionka wokół szyi rodzicielki. – Chcę ci pokazać nowe schowanko.

– Schowanko? – powtarza jak wszystkie matki, kiedy nie słuchają, co się do nich mówi.

– Nowe.

– Bardzo ciekawe. – Kolejna odpowiedź nieobecnych duchem matek. –

Później mi pokażesz. Po burzy. Oj, ostrożnie, Barney. – Po kolei odrywa od szyi jego paluszki. – Udusisz mnie.

Mój mały braciszek przypomina taką miniaturową małą w sklepie zoologicznym u Harrodsa; składa się z rzęs, policzków oraz giętkich kończyn. Potrafi wisieć głową w dół, aż oczy wychodzą mu na wierzch. A najszcześniejszy jest w towarzystwie innych zwierząt: mrówek spacerujących mu po stopie, padalca w złączonych garściach, królików. Barney uwielbia króliki. W zeszłym roku znalazł na trawniku malutkiego króliczka z ciasno zaciśniętymi powiekami i z futerkiem jak puch dmuchawca i nakarmił go ciepłym mlekiem przez pipetkę. Kilka godzin później biedak zdechł, a Barney przepłakał cały dzień i od tego czasu nie przestaje szukać zastępstwa. Tak w ogóle Barney nie należy do beks, nie jest jednym z tych mażących się malców, których widzi się w parku uwieszonych u rąk opiekunek. Zbyt dużo rzeczy go zajmuje i ciekawi, żeby długo trwać w rozpacz. Podobnie jak Toby'ego rozpira go energia, z tą różnicą, że Barney jest najszcześniejszy, chodząc samopas (Peggy mówi, że powinno się go trzymać na smyczy), a Toby zawsze woli być jak najbliżej mnie. Jeszcze do niedawna wylegiwaliśmy się razem na kanapie zwinięci jak dwa znaki zapytania. Podczas kolacji dotykaliśmy się pod stołem czubkami palców. Teraz rzadziej nam się to zdarza. Jesteśmy na to trochę za dorośli. Jeszcze ktoś by zobaczył.

– Teraz, mamuś. Proszę. Może borsuk wpadł w pułapkę – marudzi Barney.

„Pułapkę”, klatkę z gałązek, zrobił dla niego Toby, a prawdopodobieństwo złapania w nią borsuka jest takie samo jak złapanie małego nosorożca. Ale Barney jest przekonany, że złowi borsuczętko, oswoi je i wychowa, chociaż jak dotąd nikt o czymś takim nie słyszał, nie mówiąc już o tym, że gdyby nawet ktoś złapał borsuka, na pewno nie miałby ochoty go udomawiać. Ich ugryzienia są niebezpieczne. Wszyscy nas ostrzegają przed borsukami. A także przed prądami odpływowymi, żmijami i naparstnicą.

– Proszę, mamuś.

– Skoro masz tyle energii, może poćwiczysz robienie gwiazd, tak jak uczyła cię Kitty.

– Ja lepiej robię gwiazdy – oznajmia władcym tonem Kitty.

– No i co z tego? Gwiazdy są dziewczynskie. A ja szybciej biegam. A ty w ogóle nie umiesz biegać.

– Maamoo, a Barney mówi, że ja nie umiem biegać...

– Przestańcie się kłócić. Toby! – woła Mama ponad głową Kitty. – Może pokopałbyś piłkę z młodszym braciszkiem?

– Muszę?

– No.

– Pst! – Toby kiwa na Barneya. – Mam lepszy pomysł. – Umieszcza kulkę z mchu na balustradzie i pstryknięciem strzela nią na taras. Barney wdrapuje się na

murek obok brata. – Jeżeli chcesz poznać męskie zabawy, musisz dorosnąć, okej? – szepce mu Toby do ucha, patrząc przy tym na mnie.

Kręcę głową z politowaniem, jakbym była ponad to.

– Pamiętaj, dobrze wybierz moment. – Toby roluje kulkę z mchu na otwartej dłoni. – Jeżeli chociaż jedną zmarnujesz, będzie po tobie.

– Nie zmarnuję, Toby. Przyrzekam.

– Co wolisz? Wprawki czy... – zniża głos i znowu zerka na mnie, szczerząc zęby w uśmiechu... – strzał w żywy cel.

– Nawet o tym nie myśl – syczę.

Toby spogląda na taras.

– Dobra, spróbujemy z Peggy. Pamiętaj, tylko nie miej do mnie pretensji, jak dostaniesz burę.

– Zgoda – przytakuje Barney.

Czekają kilka minut w kompletnym bezruchu. Dwie pary miodowobrazowych oczu ze złotymi cętkami – zupełnie jak tygrysie oka w kolczykach Mamy – wpatrują się z napięciem w drewnianą bramkę pomiędzy tarasem i kawałkiem wolnej przestrzeni za warzywniakiem, gdzie kury grzebią w ziemi i pranie łopocze na sznurze. Ja usadawiam się wygodnie w moim punkcie obserwacyjnym, udając brak zainteresowania.

– Cel w polu widzenia. – Toby odgarnia z oczu rude loki. Jego włosy, podobnie jak ich właściciel, nie dają się okiełznać. Z powodu trzech naturalnych przedziaków sterczą w różne strony i opadają na czoło, przez co mój brat zawsze wyglądał jak naelektryzowany.

Wychyliam się do przodu i obejmuję kolana ramionami.

Peggy wyłania się z drzwi. Idzie przez taras z koszem białego prania opartym na biodrze i dyndającym woreczkiem z drewnianymi klamerkami.

– Szykuj się, Barney.

Peggy jest w odległości dwóch stóp. Toby przytrzymuje niecierpliwy kciuk Barneya. – Jeszcze nie... poczekaj, aż... – Peggy przybliżyła się o stopę. – I... ognia!

Pierwsza kulka z mchu pada za blisko. Peggy nawet jej nie zauważa. Oj, chyba to popołudnie nas rozczaruje.

– Próbuje dalej, dawaj jeszcze raz – mówi Toby, ustawiając na murku więcej kulek. – Pal!

Znowu za blisko. Beznadzieja.

– Ognia!

Trzecia kulka ląduje w koszu z praniem.

– Jest! – Toby i Barney wyrzucają pięści w górę.

Peggy nie od razu się orientuje, co zaszło. Wpatruje się w zieloną kulkę na białym praniu, a potem powoli przenosi wzrok na krztuszących się ze śmiechu chłopców. Wciąga powietrze przez nos – ona na wiele sposobów pociąga nosem; to

pociągnięcie jest krótkie i sykliwe, jakby wachała skwaśniałe mleko – po czym ujmuje kulkę w palce i wyrzuca ją na ziemię.

– Naprawdę.

Peggy wymawia to „naprawdę” tonem starszej osoby, nauczyciela czy kościelnego. Ma już trzydzieści pięć lat i jest dość stara, lecz nie aż tak jak Ambrose, żółw Matildy. Trudno wyobrazić sobie młodszą lub starszą Peggy czy też w jakimś innym miejscu niż w naszym domu.

Toby twierdzi, że rybak rzucił ją przed ołtarzem i dlatego wylądowała w Black Rabbit Hall jako kucharka, gospodyni i wszystko inne. Nie mam pojęcia, czy to prawda i skąd Toby o tym wie. Ale całkiem możliwe. Czasem łapię ją na zbyt długim wpatrywaniu się w tatę.

– Chłopcy! – woła Mama. – Żadnych wygłupów! Peggy próbuje zaprowadzić porządek.

Zaprowadzanie porządku; to Peggy wychodzi najlepiej w przeciwieństwie do nas wszystkich. Pierwsze dni po naszym przyjeździe z Londynu cały czas się krząta, poruszając się w zawrotnym tempie niczym któraś z mechanicznych zabawek Barneya z przekreśloną sprężynką. Mogłabym przysiąc, że ona tyka, kiedy macha miotełką z piórek jak różdżką albo energicznie wyciera ręce o fartuch, nawet gdy nie ma na nich nawet śladu mąki, jakby chciała pokazać rodzicom, że jest niezastąpiona (no i sławna z pierożków z nadzieniem skwierczącym na złączeniu w kształcie półksiężyca), jakbyśmy nie wiedzieli, że bez niej Black Rabbit Hall szybko zmieniłby się w dymiące rumowisko. A my musielibyśmy się żywić tostami z marmoladą.

Ma taką twarz, na którą chce się patrzeć dłużej, niż wypada – uznaliśmy z Matildą, że to jest właśnie definicja urody – z krągłymi, rumianymi policzkami, za których kolor Peggy wini żar bijący od naszego kuchennego pieca – „bardziej gorący od Hadesu!” – i szare oczy, zawsze śmiejące się prędzej niż usta. Ponieważ moja Mama doprowadza ją do szału twierdzeniem, że może chodzić w czym chce, sama narzuciła sobie rygorystyczny uniform, złożony z ciemnogruntowej spódnicy, która paruje jak pudding, jeśli stanie przed kominkiem w wilgotny dzień, oraz z białej bluzki z małą falbanką przy szyi i wiązanego w talii fartucha w biało-niebieskie pasy z imieniem wyhaftowanym w lewym rogu kobaltowym kordonkiem przez Szaloną Mary z wioski. Przypuszczam, że może mieć kilka fartuchów, ale nie wiem tego na pewno, bo muszą być identyczne. Ilekroć myślę o Peggy, zawsze widzę, jak ten fartuch podkreśla jej niewiarygodnie szczupłą talię, a potem rozdyma się na brzuchu i rozłożystych biodrach niczym cyrkowy namiot. Barney uwielbia się pod nim chować.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że Peggy ubóstwia Barneya i podkarmia go zakazanymi żelkami, które trzyma wysoko na półce w pogietej puszcze po herbacie. Mówi, że przypomina najmłodszego jej brata, Małego Lionela. (Jest najstarsza

z ośmiorga rodzeństwa i wychowała się jakieś pięć mil stąd w chatce nad morzem; takiej maleńkiej i krzywej jak domek, który Kitty ulepiła z piernika na Boże Narodzenie). Pewnie go lubi też za to, że wtyka stokrotki w jej kędzierzawe brązowe włosy, tak gęste, że kwiatki nigdy nie wypadają. Poza tym Barney ma zwyczaj opierać się o jej łydki, gdy przegania biedronki z palca na palec. Peggy ma potężne łydy, a stopy malutkie, więc jej nogi gwałtownie zwężają się na wysokości kostek, przez co wyglądają zupełnie jak takie rożki do wyciskania kremu na tort. Wydaje się, że ona w każdej chwili może upaść, a jednak nigdy się nie przewraca.

– Barney! – woła Peggy, udając, że jest na niego zła. – To twoja robota?

Toby obejmuje go opiekuńczo ramieniem.

– Oj, Peggy, daj spokój. Nie ma śladu na praniu.

– Tym razem wam się upiekło.

Tata zbliża się do nich; wyciągnięty cień z nienaturalnie długimi nogami, na tle słońca podobnego do połówki brzoskwini z puszki. Ciekawe, jak on to załatwi. Zadziera podbródek, drapie się po szyi.

– Co się dzieje?

U Peggy mały srebrny krzyżyk kołysze się na łańcuszku w zagłębieniu pomiędzy obojczykami. Barney wstrzymuje oddech. Toby macha nogami, zachowując kamienny spokój.

– Nic takiego, panie Alton! – mówi Peggy i zawraca do domu, rzucając przez ramię groźne spojrzenie Toby'emu.

Nic więcej się nie dzieje.

*

– No, szybko się z tym uporałyśmy, prawda? – Mama podnosi się z kucek i patrzy z satysfakcją na Kitty. Wiatr wydyma jej białą bluzkę jak żagiel. – Gotowe. Piasek wyszczotkowany. Warkoczyki. Kokardki. Dziewczynka jak z obrazka. – Odwraca się do taty. – Hugo, czy nasza Kittycat nie jest śliczna?

Tata obejmuje Mamę w talii, przyciska nos do jej szyi i wacha ją jak kwiat.

– Tak samo jak jej matka.

Mama opiera podbródek na jego ramieniu i stoją tak przez chwilę, kołysząc się jakby poruszani wiatrem. Odwracam wzrok. Zachowują się tak, jakby nic poza nimi nie istniało, a ja w takich chwilach wyobrażam ich sobie takimi, jakimi musieli być w niewiarygodnie odległych czasach, jeszcze przed moimi narodzinami. Myślę sobie, że my z Tobym wzięliśmy się właśnie z takiego intymnego momentu. Wszyscy z tego powstaliśmy. Wiem, że Barney był „szczęśliwym przypadkiem” – raz, późno w nocy, podsłuchałam, jak o tym rozmawiali – a Kitty Mama urodziła mu do towarzystwa, bo starszą dwójkę dzieliła od niego aż taka duża różnica wieku. Dwa końce półki, jak mówi tata. W zeszłym roku Matilda uraczyła mnie bardziej konkretnym wyjaśnieniem – dzięki

uprzejmości swojej starszej siostry, Annabel, tej, którą wyrzucono ze szkoły Bedales – skąd się biorą takie „szczęśliwe przypadki”. I wiedząc to wszystko, dziwnie się czuję, kiedy widzę rodziców w takiej pozie.

– Hugo, już wiesz, kim są nasi dzicy lokatorzy? – pyta Mama.

Boris, ziejąc, podskakuje u jej stóp.

– To mewy.

– Och, a ja liczyłam na miot pterodaktyli.

– Mamy poważny kłopot, Nancy. Musimy ściągnąć tu kogoś, żeby coś z tym zrobił.

– Czy można mieć im za złe, że wybrały na gniazdowanie Black Rabbit Hall?

Tata śmieje się niskim, tubalnym śmiechem, jaki wydobywa się z gardła wyłącznie wysokich mężczyzn.

– Och, panie Alton... – Mama ściąga mu kapelusz i przechyla się do przodu, aż dotykają się czubkami nosów. Nikt inny nie odważyłby się na taką poufałość. Reszta nas czuje się, jakby stała przed wejściem do któregoś z pomieszczeń, gdy należy zapukać. Tak jak do drzwi biblioteki, kiedy tata tam pracuje. On bardzo dużo pracuje. A to dlatego, że rodzina nie podźwignęła się finansowo po wielkim krachu w 1929 roku, a także po opłaceniu podatku spadkowego po dziadku oraz skutków jego namiętności do kasyn w Monte Carlo. (Tata miał brata, który też lubił hazard, lecz jeszcze przed naszymi narodzinami wypadł z jachtu na Morzu Śródziemnym, a tydzień później rybacy wyłowili jego zwłoki zaplątane w sieci. Niestety, nie udało nam się z Tobym poznać więcej makabrycznych szczegółów, bo imię Sebastiana nigdy nie pojawia się w rozmowach).

– Pani Alton. – Tata mocniej przytula Mamę. Ich cień wyciąga się na trawniku jak kot.

– Idę pojeździć na Rycerzu.

– Chyba nie z tą chorą nogą.

– Nie bądź takim panikarzem. Nic mi nie będzie.

– Nancy, to ryzykowne. – Tata marszczy czoło. Ma krótkie, proste, brązowe brwi, które często ściąga, i gęste ciemne włosy bez śladu zakoli. Matilda mówi, że według jej mamy nasz tata wygląda zupełnie jak Omar Sharif. – Popatrz na niebo, chmurzy się. A dobrze wiesz, jak na Rycerza działa burza. Mówiąc oględnie, wariuje.

– Burza nadciągnie dopiero za jakiś czas. Sam tak mówiłeś. – Mama lekko uderza o udo jego kapeluszem. Wszyscy wiemy, że w końcu postawi na swoim. Tata przypomina masło topiące się na patelni.

– Lekarz mówił, że musisz oszczędzać nogę. I nie powinnaś nadwerężyć nadgarstka.

– Obiecuję, kochanie, że będę jechać na Rycerzu jak na spasionym osle

i trzymać się plaży. – Nakłada tacie kapelusz na głowę i całuje go w usta. – No to pa!

– Jesteś niemożliwa – odpowiada tata i wzdycha, patrząc na nią tak, jakby to właśnie najbardziej mu się w niej podobało.

Kiedy Mama znika, wszyscy się rozpraszamy, zupełnie jak opiłki żelaza, kiedy usunie się magnes.

Żartujemy z Tobym, że to Peggy przepłoszyła burzę. „Wróci, jak zgłodnieje” – przedrzeźnia ją Toby, a ja się zaśmiewam, bo jemu to bardzo dobrze wychodzi, o wiele lepiej niż mnie. Leniwie odpływamy do kuchni na mocno spóźniony podwieczorek, podobno dlatego, że po obiedzie wygasł ogień pod płytą. My z Tobym otwieramy pochód, Kitty wiezie Gałganek w drewnianym wózku dla lalek po prababci, ozdobionym czerwonym balonem przywiązany do rączki, a Barney jak zawsze drepcze obok siostry.

– Ooch, króliki! – woła nagle i puszcza się biegiem na przełaj przez trawnik za dwoma śmigającymi brązowymi punktami uciekającymi przed Borisem. One mają nory pod krzewami hortensji tuż pod lasem. Króliki zawsze zdążą w nich zniknąć, zanim Barneyowi uda się do nich zbliżyć.

Wznoszę oczy do nieba.

– Za każdym razem zachowuje się tak, jakby wytropił stado jednorozców. Ma pięć lat. Widział już miliony królików.

– Pewnie zawsze go będą rajcować – zauważa Toby. – Tylko któregoś dnia zaczniesz się z tym kryć.

*

Pokój stołowy znajduje się pod wschodnią wieżą. Z czerwonymi ścianami i panującą tam wilgocią przypomina środek owocowego ciasta. Jest oddalony o całe mile od kuchni i Peggy narzeka, że od dreptania bolą ją nogi. Dlatego poza Bożym Narodzeniem, niedzielnymi obiadami i okazjami, gdy w posiłkach towarzyszy nam babcia Esme, która twierdzi, że „absolutnie nie odpowiada jej jadać poza stołowym”, zazwyczaj wszyscy jemy w kuchni, moim ulubionym miejscu w całym Black Rabbit Hall. Kuchnia ma chabrowe ściany, bo podobno niebieski kolor odstrasza muchy, oraz spiżarnię z zamkiem w drzwiach, który na szczęście się popsuł. Poza tym tu zawsze jest ciepło, czego nie można powiedzieć o reszcie domu.

Ciekawe rzeczy dzieją się w kuchni: ciasto na chleb rośnie w porcelanowych misach, które wyglądają jak rząd ciężarnych brzuchów; tuste wieprzowe kiszki moczą się w słonej wodzie, zanim wypchane zmieniają się w kiełbasy; w blaszanych wiadrach wiją się węgorze, czekając na poćwiartowanie; często też pływają w nich kraby, których Barney absolutnie nie chce jeść, bo według niego mają duszę. Ja nie mam serca wrzucać tych biedaków do wrzątku – bo coś, co żyje, musi czuć ból –

lecz kiedy są już ugotowane, pomagam Peggy wyciągać z nich „paluchy umarlaka”, czyli chrząstki, blaszki i skrzela, no i wysysam białe mięso z kleszczy. Nieżywe na pewno nie mają mi tego za złe. Ja bym nie miała.

Dzisiaj nie widać żadnych stworów w wiadrach i tylko zupa z okami tłuszczu bulgocze na płycie i już się boimy, że to ten okropny kornwalijski rosół, jedno z dań, które, jak mawia Peggy, „nauczmy się lubić”, ale jak na razie nic z tego nie wychodzi. Czuć niebiański zapach długo oczekiwanych maślanych bułeczek, który najbardziej wypełnia kuchnię za każdym razem, gdy Peggy otwiera duchówkę. Teraz zniecierpliwieni wiercimy się przy starym stole dla służby. Wreszcie pojawiają się na nim bułeczki z zarumienioną na złoto, spękaną górą. Toby rzuca się na największą, lecz skruszony, po chwili oddaje ją mnie. Ja z kolei przekazuję ją Kitty. Barneyowi przypadną najmniejsze, oczywiście, o ile się zdąży załapać. Obowiązuje zasada „nieobecni się nie liczą”.

W korytarzu słychać kroki Mamy w wysokich butach do jazdy. Wszyscy prostujemy się i ożywiamy, czekając na jej wejście.

– Jesteś. – Toby wierzchem dłoni ociera usta z dżemu. Uśmiecha się rozanielony, jakby całe tygodnie jej nie widział.

– Oficjalnie ogłaszam, że na nowo wstąpiło we mnie życie. – Mama odrzuca do tyłu płynną miedź włosów. Na plecach, na białej bluzce ma bryzgi błota, a więc podejrzewam, że nie jechała na Rycerzu jak na spasionym osle i nie trzymała się plaży. – Jeden dwa, trzy – składa chłodne jak wiatr pocałunki na czole każdego z nas, rozgląda się wokół siebie, zerka pod stół. – Gdzie Barney?

Wzruszamy ramionami, bo usta mamy pełne gęstej śmietany i dżemu z zeszłorocznych truskawek.

– Peggy, jednego brakuje. Nie wiesz czasem, gdzie się podziewa Barney?

Peggy stawia na stole kolejny talerz.

– Pani Alton, sądziłam, że jest z panią.

Zaczyna rozdzielać babeczki i celowo robi to bardzo powoli, testując cierpliwość Toby’ego.

– Nie był ze mną. Nicpoń jeden.

– Mamo, on pół godziny temu ganiał za królikami – informuje ją Toby z pełnymi ustami. – Z Borisem.

– Och, ta dwójka – wzdycha Mama z uśmiechem. – Mogę? – Bierze w palce bułeczkę i macza ją w śmietanie. – Grzesznie pyszne, Peggy.

– Przepraszam za Barneya, pani Alton. Powinnam się zainteresować.

– To nie twoja wina, Peggy.

– Staram się jak mogę, pani Alton. – Peggy zawsze to mówi, po czym czeka na potwierdzenie.

– Oczywiście, Peggy. Przyprawdzą go. Nie ma problemu. – Mama pochyla się nad Kitty, krzywiąc się przy tym, jakby zaboląła ja chora noga. – Gdzie znajde

tego gagatka, twego braciszka, Kittycat?

– Czy gagatek to coś z gatek? – chce wiedzieć Kitty. Pomijamy milczeniem to pytanie. Jedyne sposob, żeby potem nie odpowiadać na jej pytania przez cały dzień.

– Będzie w tej nowej kryjówce z Borisem – mówię.

– Powinam się tego domyślić. – Mama pochyła się i podciąga cholewkę. – Zaraz, chwilę... Boris wrócił!

Pies wślizguje się przez drzwi; ogon spuszczone, wzrok pokorny. Wygląda, jakby pochłonał z pół funta smalcu albo poszarpał ulubiony papeć.

Mama gładzi go po głowie, teraz niespokojna, bo Boris wrócił do domu sam.

– Gdzie twój współnik od psot, piesku?

Boris przywiera do jej oficerek.

– Gdzie jest ta kryjówka, skarbie? – zwraca się do mnie Mama.

– Za strumykiem. Nad brzegiem rzeczki. – Nakładam na bułeczkę śmietanę i przyklepuję ją łyżką. – Tam gdzie niedawno paliliśmy ognisko, no wiesz, niedaleko tego dużego drzewa, za którym ziemia robi się grząska. – To nasze ulubione drzewo, stary dąb na błotnistym brzegu rzeczki z długą liną przymocowaną do górnych gałęzi. Opasuje się nogami szorstki węzeł na końcu liny, odbija nogami od skarpy i przelatuje nad wodą, czując podmuch powietrza, podniecenie i pieczenie od tarcia o sznur w dziwnych miejscach.

Z zewnątrz dobiega groźny pomruk. W jednej chwili robi się chłodno, jakby ktoś ściągnął z dnia ciepły pled. Mama podchodzi do okna, opiera się dłońmi o framugę z ciemnego drewna, klęka jednym kolanem na parapecie i wpatruje się w nabrzmiałe niebo nad lasem.

– Coś mi się zdaje, że Barney wróci przemoczony do suchej nitki.

– Nie podoba mi się to, pani Alton. – Peggy dołącza do Mamy i bawi się srebrnym krzyżykiem na szyi. – Jakby sam diabeł pędził te chmury!

Wymieniamy z Tobym spojrzenia, walcząc ze śmiechem. To powiedzenie będziemy później cytować w żartach. Ani trochę nie żał nam Barneya, niech sobie zmoknie.

– Wezmę kalosze i pelerynę i go przyprowadzę.

– Nie, Peggy, zajmij się podwieczorkiem.

Toby zrywa się z krzesła.

– Mamo, pójść z tobą?

– Synku, to bardzo szarmancki gest, ale nie, dokończ jedzenie. Jeszcze nie rozsiodłałam Rycerza, wrócę migiem. – Idąc do drzwi, rzuca przez ramię: – Przynajmniej raz Barney będzie głodny, co?

Peggy, która jako jedyna się z tego nie śmieje, splata ramiona na obfitym biuście.

Krótko po wyjściu Mamy kuchnię rozświetla błysk, jak to się zdarza

w piwnicy, gdy przepala się żarówka. Deszcz grzechocze o szybę, jakby ktoś ciskał o nią setkami koralików. Widzę przez otwarte drzwi, jak czerwony balonik Kitty odrywa się od wózka i niesiony podmuchem toczy się po czarno-białych kafkach w holu.

Peggy patrzy w okno i miętosząc pasiasty fartuch, mruczy coś pod nosem o „biednych rybakach w kipieli”, a my z Tobym znowu skręcamy się od tłumionego śmiechu. Tylko w przemowach Peggy Popple apodyktyczność miesza się z apokaliptycznymi wizjami. Bardzo nam jej brakowało.

– Jeszcze nie wrócili? – Tata wchodzi do kuchni, wsuwając wieczne pióro do kieszonki marynarki. Ma zatroskaną minę. A może kiedy człowiek się starzeje – tata skończył czterdzieści sześć lat – to coś takiego robi się z twarzą.

– Nie ma ich, panie Alton. – Peggy prostuje się i wciąga brzuch. – Ani pani Alton, ani Barneya.

– Kiedy Nancy wyszła?

Kolejny błysk. Ten ujawnia długi, cienki włos na podbródku Peggy, którego dotąd nie zauważyłam.

– Trudno powiedzieć. Jakies pół godziny temu?

– Tym razem nie ujdzie mu to na sucho.

Atmosfera gęstnieje. Wymieniamy z Tobym znaczące spojrzenia. Co prawda rodzice rzadko się sprzeczzają, lecz ogólnie wiadomo, że wyznają różne poglądy na temat „dyscypliny”. Mama uważa, że dzieci nie wolno bić, nawet kiedy są niezdolne. A ze szkół powinny zniknąć kary cielesne. Dzieci należy rozumieć i słuchać, co mają do powiedzenia. Według taty to nowomodne dyrdymały, przez które dzieci stają się rozpaskudzone, upadają imperia i wielkie rody. Na szczęście u nas rządzi Mama, nawet jeżeli udajemy, że jest inaczej.

– Nie zostawię ich w taką pogodę. Peggy, proszę, przynieś płaszcz i duży parasol.

Peggy rzuca się do sionki, pomieszczenia o kamiennych ścianach, gdzie pachnie skórą, wilgocią i trochę psimi kupami. Każdy z tych zapachów z osobna byłby nieznośny, lecz wymieszany z innymi nie jest aż tak okropny, jak by się mogło wydawać. Tata spogląda na Toby’ego i na mnie.

– Amber, nałóż kurtkę.

Nie wiem, czemu wybiera akurat mnie. Cieszę się, choć przykro mi ze względu na Toby’ego, bo wydaje się podłamany. Zastanawiam się więc, jak by tu wziąć go ze sobą, a Peggy w tym czasie wtłacza mnie w zeszlóroczną kurtkę i zapina tak szczelnie, że guzik przy kołnierzu drapie mi podbródek. Potem uchyla drzwi, które wiatr odpycha na całą szerokość, i do środka wpadają strugi deszczu. Na dworze ciemno jak w nocy, zupełnie jakby jakieś wielkie usta wysały przez słomkę całe popołudniowe światło z nieba. Kiedy wychodzę na taras, podmuch wiatru zrzuca stetsona Mamy z głowy jednego z kamiennych sokołów. Zrywam się,

żeby go złapać, lecz tata stanowczym ruchem przytrzymuje mnie za ramię.

– Zostaw ten cholerny kapelusz. Pospieszmy się, Amber. – Ciągnie Borisa za obrozę. – A ty idziesz z nami.

Przestraszony pies, popiskując, usiłuje wycofać się za drzwi.

– Na litość boską, Boris! – Tata przekrzykuje zawroźnienie wiatru. – Co z tobą? Jesteś psem czy myszą?

Boris, z uszami po sobie, zdecydowanie woli być myszą, zostaje więc ściągnięty ze schodów i od razu przykleja się do moich nóg.

– To tylko burza, piesku – uspokajam go, gładząc po puszystym, żółtym futrze. – Nie ma się czego bać, chodź, zaprowadzisz nas do Barneya. Dobry Borisek.

Brniemy pod wiatr po spadzistym trawniku do łukowej gotyckiej bramy z kutego żelaza, lśniące teraz od deszczu. Tata otwiera ją, napierając barkiem na skrzydło, i wchodzimy do lasu. Natychmiast robi się ciszej; huk burzy tłumi ściółka z mchu, paproci i liści.

– Gdzie jest ta kryjówka? – Ton głosu taty wprawia mnie w zdenerwowanie. I to, jak odruchowo pociąga palcami za płatki uszu.

– Najlepiej trzymać się strumyka.

Strumień, wąska strużka w lecie, zrobił się teraz dwa razy szerszy, spieniona woda rozpryskuje się z impetem o skałki, jakby ktoś puszczał ją z węża pod ogromnym ciśnieniem. Przedzieramy się przez parasol z liści wysokich rabarbarów.

Słyszę coś: jakby trzask łamanych witek, szelest gałęzi. Jeleń? Chwytam tatę za rękę; te rogate samce budzą strach, nie tylko w czasie rui. Dłoń taty jest gorętsza, niż się spodziewałam, i śliska od deszczu, a może potu. Mówię sobie, że już niedługo skupieni przed kominkiem będziemy popijać kakao, a nieznośny Barney po reprimendzie posiedzi spokojnie z godzinę lub dwie.

– Tato, jeleń – szepczę, pociągając go za rękę. – Słyszysz?

– Jeleń? – Tata nieruchomieje i nasłuchuje, nieco mocniej ściskając moją dłoń.

Jedno jest pewne, coś się do nas zbliża. Trzeszczą gałązki, słycać stłumiony tętent. To coś jest ciężkie, duże i szybkie; za szybkie. Boris się najeża.

– Tato...

Z niskich zarośli wyskakuje Rycerz. Pędzi, błyskając białkami i parszkając przez rozdęte chrapy.

– Na ziemię! – Tata spycha mnie z drogi szaleńczo mlócających kopyt. Dopiero gdy ich odgłos przycicha, ośmielam się unieść głowę. Akurat w porę, by dostrzec mignięcie czegoś białego w pustym strzemieniu. A potem ciemność.

Rozdział czwarty

Lorna

– Pamiętasz tych cudaków? – Jon, przechylając głowę, zerka z ciekawością na Lornę.

– Wiesz co, chyba tak – potwierdza, po części dlatego, że chce w to wierzyć. Zawsze można manipulować pamięcią. – Tak, oczywiście, pamiętam.

Dwa sokoły wysokie na ponad pięć stóp z dziobami niczym miecze, usytuowane po obu stronach schodów przed wejściem do Pencraw Hall, sprawiają takie wrażenie, jakby w każdej chwili mogły rozpostrzeć skrzydła i wzbić się pod niebo, najpewniej przedtem wyłupiwszy oczy intruzom.

– Twarz ci się mieni. – Jon nie może od niej oderwać oczu.

Lorna, śmiejąc się, próbuje zapanować nad emocjami oraz rozwichrzonymi długimi, ciemnymi włosami. Pencraw Hall nie jest aż tak bardzo okazałą budowlą, właściwie wydaje się mniejszy, niż go zapamiętała, i bardziej przyjazny z tymi małymi, kwadratowymi blankami wzdłuż linii dachu oraz dwoma masywnymi wieżyczkami przywodzącymi na myśl figury szachowe. Całość nieco przypomina przytulne zameczki, jakie rysują dzieci. Lata zaniedbań wcisnęły dom w ziemię; dzikie kwiaty wyrastają ze ścieżek; bluszcz o liściach wielkości talerzy pnie się po frontowej ścianie; pnącza są spojone z tynkiem jak tkanki i kość. A jednak dom jest... monumentalny. Każdej uroczystości ślubnej urządzonej w tym domu towarzyszyłoby poczucie, że dzieje się coś odwiecznego, majestatycznego, zgodnego z naturalnym porządkiem rzeczy. To byłoby właściwe miejsce. Jest właściwe. Tak jak właściwy okazał się tamten moment, gdy Jon po raz pierwszy ją pocałował (na moście Waterloo podczas zadymki). I teraz, tak samo jak wtedy, dwa i pół roku temu, Lorna nie może się doczekać, kiedy zadzwoni do siostry, Louise, i doniesie jej, że go znalazła.

– Na pewno nas na to stać? – Jon przytula ją i obejmuje w tali ramionami. Wiatr podrywa jej żółtą sukienkę. – Nie ponosi cię finansowo?

Lorna znowu się śmieje.

– Nie!

Promień słońca faluje w poprzek schodów jak bom na żaglowcu. Jon osłania oczy dłonią i chłodnym, fachowym spojrzeniem lustruje dach.

– Powiem szczerze, że jeszcze trochę, a trzeba tu będzie chodzić w kasku.

Lorna nie jest ślepa; ona też widzi łuszczące się framugi górnych okien, liszaje odpadającego tynku na blankach i potłuczone dachówki wymieszane

z miodowym żwirem na podjeździe. A jednak w jakiś dziwny sposób oplakany stan posiadłości, zamiast zniechęcać, czyni ją bardziej pociągającą. Kobieta czuje ulgę, że nie zmieniono tego domu w pozbawiony charakteru ośrodek dla korporacji na jednodniowe wyjazdy integracyjne albo nie urządzono tu herbaciarni dla turystów, radośnie odmalowanej farbą marki Farrow & Ball. Ten dom dosłownie ugina się pod ciężarem własnej przeszłości. Jest idealny – Lorna wzdycha w duchu.

Jon delikatnie opiera podbródek o czubek jej głowy.

– Aż trudno uwierzyć, że ktoś tutaj może mieszkać, nie?

– Prawda? – Lorna zachowuje dla siebie wrażenie, że ktoś widział, jak tu wjeżdżali, i teraz też ich obserwuje. Tutaj toczy się życie, jest tego pewna. Zerka przez ramię na porzewiałe samochody na odległym końcu podjazdu; poobijany trójkołowy zielony automobil i szaroniebieski sportowy wóz z bocznymi lusterkami poklejonymi taśmą i z długim pęknięciem na płóciennym dachu.

Jon odwraca Lornę ku sobie, pochyla się nad nią i całuje.

– Mam takie wrażenie, że powinniśmy coś odśpiewać albo odtańczyć na tych schodach – szepcze Lorna. – To właśnie takie miejsce.

Jon jeszcze raz ją całuje.

– Chodź, jesteśmy spóźnieni. – Łapie go za rękę i niecierpliwie ciągnie za sobą po pozostałych stopniach – wszystkich razem siedemnaście. Chcąc nie chcąc, musi je liczyć. Chcąc nie chcąc, widzi sunący za nią koronkowy tren, chociaż dawno uznała, że powłóczyście suknie nie są w jej stylu. Lecz to, czego chce albo chciała, już się zmienia; nowe możliwości unoszą się jak para z mokrych stopni nagrzanym słońcem.

Gdy stają przed drzwiami – czarnymi, absurdalnie dużymi, z kołatką w kształcie lwiej łapy – prostuje fałdy żółtej letniej sukienki i wsuwa rąbek spódnicy pomiędzy kolana, żeby przypadkiem nie podwiały jej wiatr w nieodpowiednim momencie. Chce dobrze wypaść.

– Jon, ty zapukaj – decyduje, nagle zdenerwowana; ogarnia ją dziwne wrażenie z towarzyszącą gonitwą myśli, że oto stoi na progu czegoś więcej niż domu.

Jon naciska dzwonek; to najprawdziwszy gong! Jego bicie dochodzi gdzieś z trzewi budynku. Powolne kroki. Szczekanie psa. Lorna spodziewa się ujrzeć chudą blondynę, koniarę w tweedach i w wyglansowanych butach do jazdy albo starszą damę w rodzaju Duchess of Devonshire, z urody nieco podobną do królowej. Silniejszy podmuch wiatru. Lorna mocniej przyciska kolana.

Gdy drzwi się otwierają, nie umie ukryć zdumienia.

Pomniejszona optycznie przez potężne odrzwia stoi przed nią drobna kobieta o szarych oczach z malującym się w nich wyrazem zaskoczenia i burzą brązowych loków wokół delikatnej twarzy, przez co jej głowa przypomina gigantyczny dmuchawiec. Zero makijażu, skóra szorstka i pomarszczona od słońca i wiatru,

wiek: może czterdzieści parę lat, a może o dziesięć mniej. Otacza ją mocny zapach drzewnego dymu. Jej strój jest równie trudny do określenia jak wiek: workowate musztardowe sztruksy w rodzaju tych, jakie nosiły ochotniczki pomagające w pracach polowych podczas wojny, toporne brązowe trzewiki i obszerny wełniany golf z wrabianymi wzorami i z dziurą na ściągaczu rękawa.

– Dzień dobry! Jestem Lorna. – Uśmiecha się promiennie i poprawia słomianą torbę na ramię. Kobieta patrzy na nich obojętnie. – Lorna i Jon.

– Lorna i Jon? – Głos ma dziewczęcy. W charakterystyczny dla West Country sposób twardo wymawia „r”. Przechyla głowę i patrzy na Lornę pytająco, dotykając paznokciem ciasno zestawionych zębów. – Zaraz, chwileczkę...

– Rozmawialiśmy przez telefon w zeszłym tygodniu. O weselu. – Czyżby ta kobieta zapomniała, co ustaliły? Coś z nią nie tak? – Przepraszam za spóźnienie. Mam nadzieję, że to nie kłopot.

– Zgubiliśmy się – odzywa się Jon. – Lorna pilotowała – próbuje zażartować.

Kobieta nie odpowiada śmiechem, za to dopiero teraz przenosi spojrzenie na mężczyznę, wyraźnie zatrzymując je na szerokich barach, jasnych włosach i piwnych oczach o tęczówkach nakrapianych jak kurze jajka. W końcu rumieni się i opuszcza wzrok.

– To prawda, zupełnie nie mam orientacji w terenie – papla Lorna dla podtrzymania rozmowy. Nie decyduje się na pogłaskanie małego, wyliniałego teriera, który warcząc i śliniąc się, wcisnął się pomiędzy ubłocone buty swej pani. W takim domu jak ten spodziewałaby się raczej okazałego labradora. – Pani jest En... Endellion, prawda?

– Dill. – W końcu pojawia się uśmiech, wdzięczny, niepewny i szczerzy, którym dziewczyna natychmiast zjednuje Lornę. Dill jest po prostu bardzo nieśmiała. No i trochę zaniedbana. Na wsi pewne sprawy wyglądają inaczej. – A to jest Petal. – Bierze psa na ręce, a ten wczepia się pazurami w jej sweter. – Chłopczyk. Ale nie od razu się zorientowaliśmy. Trochę ostry, niestety. Ma łapać szczury. Ale woli palce, prawda, Petalku?

Lorna i Jon śmieją się nieco za głośno.

Dill odwraca psa na grzbiet i trzyma go jak dziecko.

– Hmm, pewnie powinnam powiedzieć: witam w Pencraw Hall.

– W Black Rabbit Hall? – podpowiada Lorna z zuchwałym uśmiechem.

Dill otwiera oczy ze zdumienia.

– Kto ci powiedział?

– Zdaje się, to był rolnik, prawda, Jon?

– Tak, z wielkim kombajnem.

– Natknęliśmy się na niego na drodze, tuż przed wjazdem do posiadłości – dodaje Lorna, nie mogąc się doczekać, kiedy Dill wreszcie zaprosi ich do środka. – Powiedział, że wszyscy okoliczni mieszkańcy nazywają ten dom Black Rabbit

Hall. To prawda?

– Kiedyś tak nazywali – odpowiada cicho Dill.

– Dlaczego Black Rabbit Hall? – Lorna zerka za nogi Dill na wydrążoną stopę słonia, w której stoją stare parasole ze sterczącymi szprychami. – Skąd akurat czarny królik w nazwie?

– Hmm, jeżeli spojrzysz tam... – Dill ruchem głowy wskazuje soczysty trawnik opadający stromo ku widocznej na horyzoncie niecce z białymi punkcikami pasących się owiec i srebrzystą wstęgą rzeczki wijącą się ku morzu pośród zieleni drzew. – Króliki. O zmierzchu. Mnóstwo królików na trawniku. Mają nory na skraju tamtego lasu. Za krzewami hortensji.

– Och! – wzdycha Lorna, bo w mniemaniu dziewczyny z wielkiego miasta króliczki są słodkie.

– O zachodzie słońca – to jest zachodnia strona – ich sylwetki kładą się cieniem na trawniku. To jest... – zastanawia się chwilę, drapiąc Petala po zmierzwionej sierści na brzuchu – ...jak teatrzyk cieni. Zawsze tak sobie myślę.

Lorna posyła Jonowi radosny uśmiech. Już widzi te zaproszenia z wielkim „B” i fantazyjnym „R” w adresie.

– Och, w takim razie ja będę nazywać to miejsce Black Rabbit Hall.

– Pani Alton woli Pencraw Hall – zaznacza szybko Dill.

Przybyli wychwytyują jakiś konflikt. Zapada milczenie.

– Jestem pewna, że w dzieciństwie bawiłam tu z mamą – wyznaje Lorna, bo od początku swędzi ją język i czekała na taką lukę w rozmowie. – Dill, czy ten dom był kiedyś otwarty dla zwiedzających?

– Nie. – Dziewczyna dotyka palcem do piegowatych ust. – Nie, nie sędzę.

Lornę opuszcza entuzjazm. Czyżby jednak pomyliła domy?

– Wiecie, tutaj bez przerwy zapuszczają się jacyś ludzie, pukają do drzwi i proponują pieniądze za możliwość zajrzenia do środka. Takie tam rzeczy. Ciągłe budzimy zainteresowanie. Turyści widzą drogowskaz przed zakrętem i są ciekawi...

Zupełnie jak moja matka – myśli Lorna. Pamięta, jak podczas zwiedzania jakiejś posiadłości bezczelnie dała nura pod aksamitnym sznurem, żeby zajrzeć do prywatnej łazienki. Uwielbiała szokować opisami toalet. „Wyobraźcie sobie, niby tacy państwo, a w łazience drewniana deska!”.

– Ojej, tynk się na was sypie. – Dill spogląda na łuszczący się kamienny występ nad ich głowami. – Lepiej wejdźcie do środka.

Nareszcie – myśli Lorna, wstępując za Dill na szachownicę z czarnych i białych płytek. Powietrze pachnie pszczelim woskiem, węglem drzewnym i wilgocią.

Hol jest wielkości ich mieszkania w dzielnicy Bethnal Green. Podniszczona monumentalność robi wrażenie.

– Wystarczy ci tych schodów, kochanie? – pyta szeptem Jon z łobuzerskim

błyskiem w oku.

– O mój Boże, tak. – Nie spodziewała się czegoś aż tak pięknego. Na piętro wznoszą się pełnym gracji łukiem eleganckie kręte schody zupełnie jakby żywcem wyjęte ze starych hollywoodzkich filmów. Brakuje tylko długich sukni z połyskliwych jedwabów i bezgłośnych kroków ręcznie farbowanych pantofelków z pruneli.

Lorna ogarnia hol zachwyconym spojrzeniem. Tyle tutaj do oglądania! Ogromny, przykurzony żyrandol zwisa nad nimi niczym planeta. Ściany są wyłożone boazerią z ciemnego, szlachetnego drewna o połysku ziaren kawy. Wychylają się z nich głowy jeleni, jakby gotowych wyrwać się na wolność. W mosiężnej donicy stoi z mumifikowana palma, która być może uschła ze sto lat temu. Nad gzymsem kominka wisi w ciężkich złożonych ramach ogromny portret jasnowłosej damy o olśniewającej urodzie, w zwiewnej sukni w chłodnym niebieskim kolorze, idealnie dopasowanym do jej oczu. Z głową lekko odrzuconą do tyłu patrzy na hol tak, jak galion na dziobie statku spoglądałby na morze. Ale największe wrażenie robi na Lornie wysoki czarny zegar stojący pod przeciwległą ścianą, z grawerowaną tarczą, misternie ozdobioną modrą i złotą emalią. Wyciąga rękę i delikatnie dotyka obudowy. Drewno jest ciepłe jak ludzka skóra.

– Cudny!

Jon przygląda mu się uważnie, poruszony rzemieślniczym kunsztem.

– Piękny.

– Ach, to Big Bertie – wyjaśnia skromnie Dill, z dumnym uśmiechem. – Tylko nie sprawdzajcie na nim godziny. – Stawia Petala na posadzce. Pies odbiega, postukując pazurami o płytki. – Uhhh, czy ja wspominałam, że dla pani Alton to całkiem nowa sytuacja?

– Tak, mówiłaś. – W tej chwili szczegóły absolutnie nie mają znaczenia. Lorna jeszcze raz spogląda na schody, zastanawiając się, jak to jest, kiedy schodzi się po tym wyblakłym chodniku z dłonią wspartą na poręczy i z wysoko uniesioną głową. – Nie ma problemu.

– Oj, to wielka ulga. Dobrze, że jesteście tego świadomi.

Lorna odwraca się z uśmiechem do Dill; ciekawe, czy ona miała udział w kalkulacji ceny za wynajęcie domu. Jeżeli tak, powinni być jej wdzięczni. Gdy tylko zaczną napływać rezerwacje, stawka ostro pójdzie w górę.

– Bardzo się cieszymy, że będziemy pierwsi, prawda, Jon?

On skwapliwie kiwa głową, po czym dyskretnie rzuca jej pytające spojrzenie: na pewno?

– A więc chcecie się pobrać w...? – Dill, marszcząc czoło, szuka daty w pamięci, mimo że Lorna dwukrotnie ją podała podczas rozmowy przez telefon. Pociąga przy tym za nitkę wystającą z dziury w ściągaczu. – W kwietniu przyszłego roku, tak?

– W październiku. – Lorna uwielbia jesień w Kornwalii, kiedy mgły zaczynają nawiewać z nad morza, a ziemia ma wilgotny, grzybny zapach. No i poza sezonem jest o wiele taniej, a to nie bez znaczenia. – W październiku tego roku. – Bierze Jona za rękę. – Wiem, mało czasu.

– Ten październik? Tak szybko?

– Bo, widzisz, to musi być podczas ferii – jestem nauczycielką – ale nie upieramy się przy październiku, prawda, Jon?

– No nie – przytakuje mężczyzna z nieobecną miną, pocierając szczękę. Zawsze odplywa, kiedy w grę wchodzi ustaleni z pewną dozą niepewności. W tym akurat przypadku ta jego cecha Lornie odpowiada. Nie chce, żeby Dill zasiała w nim wątpliwości co do tego domu.

– Oj, to pocieszające. Ponieważ to dla mnie zupełnie nowa sytuacja. – Dłonie Dill trzepoczą przed nią jak ptaki. Lorna zauważa, że są drobne, raczej silne, no i spracowane: z szorstką skórą i z czarnymi obwódkami przy skórkach paznokci. – Przyjęcia weselne. Kontakty z nieznanymi. Od lat w posiadłości nie mieliśmy do czynienia z dużą liczbą ludzi, w ogóle z ludźmi. Normalnie zajmuję się jedynie panią Alton i pomagam prowadzić dom.

Przynajmniej nie atakuje ich nachalnym marketingiem jak większość pracowników agencji ślubnych – myśli z ulgą Lorna, licząc, że Jon też to widzi.

– Ale pani Alton jest zdecydowana znaleźć jakiś sposób na zabezpieczenie przyszłości domu. Chodzi o stały dochód. – Dill porusza ustami, jakby przygryzała wnętrze policzka. – Od lat próbujemy różnych rzeczy. Po śmierci pana Altona pani trudno nad tym wszystkim zapanować.

Lorna wzdyga się nieco na watek śmierci wpleciony w rozmowę.

– Och, bardzo mi przykro.

– Ten dom pochłania mnóstwo pieniędzy, nawet jeśli korzysta się jedynie z części pomieszczeń – kontynuuje ich rozmówczyni.

– Centralne ogrzewanie musi kosztować majątek – wtrąca Jon.

– Nie używamy centralnego! – woła Dill, jakby co najmniej zasugerował, że kąpią się w szampanie.

Jon ściska dłoń Lorny. Ona wie, że on z trudem walczy ze śmiechem i że nie może go sprowokować.

– To wiktoriańska instalacja, kapryśna i zawodna, dlatego nosimy drewno z lasu. Tak jest o wiele łatwiej... Ale w apartamencie dla nowożeńców są piecyki elektryczne – dodaje szybko, zerkając na splecione dłonie pary, jakby nie umknął jej tamten porozumiewawczy uścisk. – W sali balowej na razie nie ma ogrzewania... trzeba tam jeszcze to i owo zrobić. Lecz do kwietnia...

– Do października – poprawia ją Jon, puszcza dłoń Lorny i zapina granatową bawełnianą marynarkę. W domu ciągnie chłodem, jest znacznie zimniej niż na dworze. Lorna ma nadzieję, że on później nie będzie krytykował walorów tego

miejsca.

– Ups, przepraszam. – Dill znowu się rumieni. – Przecież mówiłeś, Tom.

– Jon.

– Czy możemy obejrzeć pokoje? – Lorna taktownie pogania Dill, bojąc się, że przez jej kolejne rewelacje Jon jeszcze bardziej się uprzedzi.

– Skarbie... – Jon zniża głos, muskając wargami jej policzek. – Robi się późno. Nie chcę jechać po ciemku.

– Ja też nie – przytakuje i odwraca się do Dill z błyszczącymi oczami. – Od czego zaczniemy?

– Zaczniemy? No tak. Dobry pomysł. – Dziewczyna rusza przez hol, głośno tupiąc ubłoconymi trzewikami. Rozwiązane sznurowadło ciągnie się za butem jak szczurzy ogon. – Hol stanowi najstarszą część domu, pochodzi z czasów normańskich czy coś koło tego. Tyle że od dawna panuje tu pomieszanie stylów, bo kolejne pokolenia coś rozbierały i coś dodawały. Ta główna część, zdaje się, pochodzi z epoki georgiańskiej, natomiast wieżyczki zostały dobudowane dla większego efektu za królowej Wiktorii. A może było odwrotnie. – Milknie na moment z palcem przyciśniętym do ust. – No to tyle. Przepraszam, ale nie potrafię powiedzieć dokładniej. Nigdy nie trzymały się mnie daty i takie tam rzeczy. Tędy, proszę. – Z cichym sapnięciem popycha ciężkie dębowe drzwi. – Muszę pokazać amfiladę.

– Co pokazać? – Jon bezgłośnie pyta Lornę, trafiając butem na zmurszałą deskę w podłodze, gdy wchodzi za Dill do słabo oświetlonego korytarza.

– Coś w rodzaju szeregu pomieszczeń połączonych ze sobą drzwiami – wyjaśnia szeptem, jako że sporo przerw na lunch spędziła na oglądaniu w Google różnych rezydencji.

– Dokładnie. – Widać, że ich przewodniczka ma świetny słuch. – Wszystkie pokoje w tym skrzydle są ze sobą połączone. – Z uśmiechem, który rozjaśnia jej twarz, wygląda na dziesięć lat mniej. – I wiecie co? Jak się stanie w ostatnim pokoju i kopnie piłkę, to ona doleci aż do holu.

Ta uwaga przywodzi Lornie na myśl dzieci. Uśmiecha się, bo niemal widzi, jak piłka toczy się po podłodze i obija o bezcenne antyki.

– Przepraszam, Dill, sznurowadło... – Jon grzecznie wskazuje na but.

– Oj, dzięki. Bardzo dziękuję. – Rumieni się, pochyla i zamiast je zawiązać upycha w cholewkę, jednocześnie otwierając następne drzwi wypiętą pupą. – Bawialnia. Ulubiony pokój rodziny Altonów, chociaż teraz rzadko używany.

Półmrok sprawia, że pokój zdaje się nie mieć granic. Dopiero gdy Dill odciąga mięsiste kotary na sięgających sufitu oknach i wewnątrz zalewa kryształowe kornwalijskie światło, Lorna widzi, że to wrażenie bezkresu wynika z koloru ścian: są atramentowoniebieskie jak głębia oceanu. Ale bardziej od niezwykłych ścian i oczywiście portretów pulchnych przodków fascynują ją ponure marynistyczne

obrazy: skłębione chmury, wysokie, spienione fale, wraki statków i pobrużdżone twarze przemytników z worami łupów na plecach na zalanej deszczem plaży. Jakże wygodne miejsce do kontemplacji człowieka oraz natury w ich najgorszym wydaniu – myśli. Kroki tłumią częściowo zachodzące na siebie, wytarte perskie kobierce. Miękkie fotele z wypłowiałą pluszową tapicerką, soczyście różową lub ciemnobordową, stoją zbite w plotkarskie grupki po kątach. Jednak najbardziej zachęcająco wygląda ogromny kominek z długą mosiężną, jakby pikowaną podstawą, wyświechtaną do połysku przez całe pokolenia zadków grzejących się przy ogniu i niezliczoną ilość koszy na drewno wielkości beczulek. Lorna myśli, że w chłodne wieczory mogłaby bez końca przesiadywać z Jonem przy takim kominku.

– Pani Alton sugeruje, że moglibyście tutaj urządzić mały poczęstunek. Podać jakieś napoje. Cocktaile.

– Idealny pomysł na wesele jesienną porą. Och, a to co?

W rogu bawialni stoi globus na nodze z mosiądzu; zieleni łądów i błękit mórza zdążyły wyblaknąć, zaznaczone na nim kolonie od dawna nie istnieją. Lorna zapomina się, wyciąga rękę i dotyka pergaminowej powierzchni, a kula zaczyna się obracać, lekko drżąc na swojej osi.

– Oj, przepraszam. Nie powinnam go ruszać.

– Nie przejmuj się. – Dill wzrusza ramionami, jakby to był byle bibelot. – Zakręć nim, jeśli masz ochotę. On szumi. Wydaje taki miły dźwięk.

Lorna się waha.

– No, śmiało – zachęca, uśmiechając się, Jon.

Och, ten szum. Jak brzęczenie roju opitych trzmieli na grządce lawendy. Lorna przymyka oczy i delektuje się chwilą, chłonąc ten dźwięk, a dom roztacza nad nią swe czary. Kiedy unosi powieki, Jon patrzy na nią z niepewną, trochę zaniepokojoną miną.

– To może pójdziemy dalej, skoro się spieszycie? Pani Alton zależy, abyście obejrzeni apartament dla nowożeńców. – Dill skubie kolejną nitkę. Dziura na ściągaczu gwałtownie się powiększa.

– Tak, tak, nie mogę się doczekać, kiedy się przejdę po tych wspaniałych schodach.

– W takim razie z podestu na ostatnim piętrze wejdziemy tam. – Ich przewodniczka wskazuje przez okno jedną z kamiennych wież na tle różowawego nieba. – Tam się kierujemy.

Lorna uśmiecha się promiennie do Jona; w życiu nie widziała czegoś równie ładnego i romantycznego. Tymczasem on lekko się krzywi. Coś go nurtuje.

– Pani Alton uznała, że większości pań młodych bardziej przypadnie do gustu wieża niż okazałe apartamenty z sypialniami na piętrze – wyjaśnia przepraszająco Dill. – W nich jest strasznie zimno, nawet w środku lata. Pewnie

martwe mewy pozapychały kominy. Musimy ściągnąć tu kogoś, żeby coś z tym zrobił.

– Zdecydowanie wolę wieżę – oznajmia Lorna. – A ty, Jon?

On się waha.

Dill przygryza dolną wargę, wyczuwając jego obiekcje.

– Panna młoda wybiera. – Jon wsadza dłonie w kieszenie dzinsów z rozbijającym chłopięcym wzruszeniem ramion, gestem dziwnie kontrastującym z jego potężną sylwetką. – To Lornie musi się podobać i tyle. Ja tam mogę spać byle gdzie.

– Przygotowaliśmy wieżę specjalnie na takie okazje. – Dill uśmiecha się z ulgą.

– Kogo tam wcześniej trzymano pod kluczem? – pyta Jon nie do końca żartem.

Dill jest wyraźnie speszona.

– Ja... ja...

– Jon, przestań się wygłupiać – przychodzi jej w sukurs Lorna. Jeszcze raz spogląda na wieżę. I widzi... ruch zasłony, twarz majaczącą w najwyższym oknie. Mruga i wszystko znika. Złudzenie optyczne?

*

Lorna wspina się po schodach, podbijając drobinki kurzu na ciemnej poręczy. Drugą ręką mocno się trzyma Jona. Nic nie mówi, lecz doświadcza déjà vu, jakby w jednej chwili wróciła jej pamięć. Wrażenie jest tak piorunujące, że na moment musi przycisnąć dłonie do skroni. Im wyżej wchodzi – pierwsze piętro, drugie, trzecie – tym robi się ciemniej, duszniej, widać coraz bardziej opłakany stan domu, a jej mocniej pulsuje w głowie. Wypija łyk wody z butelki, którą ma w torbie, i już jakby trochę lepiej się czuje. Może się odwodniła. A może to spóźniona reakcja po niedoszłym wypadku. Przydałby się kubek gorącej, posłodzonej herbaty i kawałek ciasta.

– Wszystko dobrze, kochanie? – pyta półgłosem Jon.

– Tak, oczywiście! – Nie chce go rozpraszać ani nastawiać negatywnie. A co ważniejsze, nie chce, aby się martwił, że ten dom tak ją porusza. I bez tego Jon uważa, że ona za bardzo ulega nastrojom – jednego dnia jest radosna jak skowronek, drugiego chorobliwie przygnębiona – gdy po omacku szuka drogi w tym nowym, dziwnym świecie bez matki, pośród wszystkich sprzeczności i następstw, rozpaczy, ale i ulgi. Pokonują jeszcze jeden ciąg schodów. Pulsowanie w jej głowie słabnie.

Na drugim piętrze Jon zagląda do pokoju przez uchylone białe drzwi, porysowane i pęknięte nad podłogą, jakby ktoś próbował otworzyć je kopniakiem.

– Zupełnie jakby dopiero stąd wyszła zgraja dzieciaków – zauważa i usuwa

się na bok, żeby Lorna też mogła zerknąć.

– Rzeczywiście. – Dużo porozwłóczonych dziecinnych rzeczy, jakby zostały tam, gdzie je rzucono. W narożniku częściowo zakryty kocem siwy nakrapiany koń na biegunach wielkości małego kucyka. Pomiedzy płozami kołyska dla lalek. Bliżej drzwi pokryta pleśnią sterta książek: *Tajemniczy ogród*, *Jane Eyre*, *Wichrowe Wzgórze*, *Milly-Molly-Mandy*, *Rupert Annual*, 1969... Dreszcz przebiega jej po kręgosłupie; jako dziecko też czytała i kochała wiele z tych książek. Natychmiast budzi się w niej przekraczająca czas i pochodzenie więź z tamtymi dziećmi.

– To piętro nie jest obecnie używane – zastrzega Dill i szybkim ruchem zamyka drzwi, jakby widok tych rzeczy sprawiał jej przykrość. – Pani Alton nie potrzebuje tak wielu pokoi.

– A kto potrzebuje? – odzywa się Jon i uśmiechem łagodzi powagę tego pytania. Lorna bardzo dobrze wie, co on myśli: tylu ludzi w ogóle nie ma domu. To prawda, sporo jej uczniów mieszka w bursach i internatach, całe rodziny gnieźdzą się w jednym pokoju, a w tym ogromnym domu żyje jedna stara kobieta i jej gospodyni. Pod względem racjonalnym i społecznym zgadza się z nim, ale po cichu cieszy się, że takie posiadłości jak Black Rabbit Hall jeszcze istnieją.

– Dill, ile tu jest pomieszczeń? – pyta.

Dom wydaje się ciągnąć bez końca, drzwi za drzwiami, a za nimi ukryte światy. Trochę jak w niektórych z tych starych książek.

– Wiesz, chyba nikt ich nigdy nie policzył.

– A sypialni?

– Hmm. Dziewięć. Tak przypuszczam. Nie licząc dawnych służbówek na ostatnim piętrze. W rzeczywistości dom jest mniejszy, niż się wydaje. Och! Ojej, muszę lecieć!

Dźwięk jest przenikliwy i nachalny. *Piii, piii, piiiip*. Dziewczyna, gorączkowo klepiąc się po swetrze, odnajduje pager pod grubą warstwą wełny.

– Straszny hałas! – Wyłącza go. – Przepraszam. Pani Alton mnie woła. Muszę iść. I... co... teraz? – Postukuje paznokciem w zęby. – Moglibyście wrócić jutro?

– Lepiej załatwić to dzisiaj. Skoro już przyjechaliśmy – decyduje Lorna. A po drodze o mało nie przemielił nas kombajn, ma ochotę dodać. – Szybki rzut oka na apartament dla nowożeńców? Uwiniemy się, obiecuję.

Dill wydaje się rozdarta. Ponaglający sygnał, ponownie włącza się pager.

– Chodź, Lorno. Dill ma robotę – odzywa się Jon, kładąc jej ciepłą dłoń nisko na plecach. – Mamy już jakie takie pojęcie o charakterze domu.

– A może... – Wzrok ich przewodniczki się rozjaśnia. – A gdybyście tak zaczekali na mnie w bawialni na dole, tam gdzie globus? Pani Alton na pewno będzie bardzo niezadowolona, jeżeli nie obejrzyecie apartamentu nowożeńców.

Postaram się szybko wrócić.

– Niestety, chyba musimy... – zaczyna uprzejmie Jon i tylko lekkie podrygiwanie świadczy o jego zniecierpliwieniu.

– Zostańmy jeszcze parę minut – błaga Lorna, ściskając jego dłonie. – Proszę.

– Pamiętasz, że na ósmą zarezerwowaliśmy stolik na kolację? Poza tym muszę prześledzić na mapie drogę powrotną do pensjonatu.

– Dobrze, to ty się tym zajmij – skwapliwie podchwytuje Lorna. – A ja tu poczekam. Dziesięć minut i do ciebie dołączę.

Kiedy Jon odchodzi, Lornę ogarnia uczucie osamotnienia, jakby część jej zniknęła wraz z nim. Przez ostatnie dni cały czas byli razem. Jest niemal gotowa pobiec za nim. Jednak coś ją powstrzymuje. Niepokojąco silny magnetyzm tego domu.

*

Nie od razu rozumie. Gwiazdzisty otwór na środku czoła. Zarys czaszki. Kości układają się w całość, wylania się zwierzę. To niewątpliwie czaszka konia z oczodołami wielkości bili do snookera, długa i zakrzywiona ku żuchwie, jak wyciągnięty ptasi dziób. Przebiega ją dreszcz. Czaszka wygląda brutalnie, pogańsko, fosforyzuje w ciemnej gablocie. Lorna idzie powoli po wytartym chodniku i zagląda do kolejnych zakurzonych witryn: wypchane ptaki, wiewiórki, mała sarenka, króliki. Prawdziwe stworzenia obdarowane drugim życiem jako eksponaty. Pamięta, co na boku szepnął jej Jon: „To towarzystwo, gdyby mogło, wypchałoby własnych przodków”, i gdy ściskając w dłoni komórkę, kieruje się ku ławeczce w wykuszowym oknie, ma wrażenie, że odprowadza ją mętne spojrzenie szklanych oczu.

Trafia do tej długiej, mrocznej biblioteki, gdy szuka zasięgu – drzwi z dwoma mosiężnymi gałkami z boku amfilady. Niekończące się rzędy książek, stare dębowe biurko wielkości łódki. Osobliwa zbieranina zabytkowych szafek i witryn. Może nieco zbyt osobliwa.

Widzi przez okno Jona przy samochodzie i oddycha z ulgą. To absurdalne, lecz już za nim tęskni. Pochylony nad mapą, popija wodę z butelki i nuci z muzyką z radia. Uwielbia mu się przyglądać, kiedy on o tym nie wie. Nie spotkała bardziej wyluzowanego mężczyzny; Jon emanuje wewnętrznym spokojem, wie, kim jest i czego chce. Nie ma pojęcia, co by się z nią stało, gdyby trzy lata temu nie znaleźli się na tym samym przyjęciu w Camden, na które o mało nie poszła; gdyby nie natknęła się na tego blond niedźwiedzia w zatłoczonej i zadymionej kuchni, kiedy pomagał zestresowanej pani domu robić drinki. Miał paskudną ranę na dłoni, na tej, którą nalewał wódkę. Piła się ześlizgnęła – zbagatelizował sprawę, gdy go zapytała, drobiazg. A czy pozwoli sobie przygotować drinka? Cholernie seksowna

reakcja.

Pisze esemes do Louise, swojej siostry: *Niesamowite miejsce. Szczegóły później*. Ma jeszcze czas zadzwonić do ojca. Musi do niego zadzwonić.

– Tato, to ja!

– Cześć, skarbie! – Dougowi zawsze rozpogadza się głos, gdy ją słyszy, a wtedy ona ma wyrzuty sumienia, że za rzadko do niego dzwoni. – Przepraszam cię, jedną sekundę, niech odstawię filiżankę. Parzy w rękę. No już. Cały twój. Wszystko w porządku? Czy tobie też front atmosferyczny rujnuje weekend? Chyba gorzej niż u nas już być nie może. Pada cały pieprzony dzień. Ale zakazu podlewania ogródków nie znieśli. Czy te dupki w Westminsterze kiedykolwiek wyglądają przez okno?

– Wątpię. – Lorna przysiada na tapicerowanej okiennej ławeczce.

– Mam nadzieję, że jesz kolację w jakimś przytulnym, małym pubie.

– Oj nie. Akurat jesteśmy w jednym z tych weselnych domów. Jon krząta się przy samochodzie. A ja siedzę w bibliotece i czekam, żeby obejrzeć apartament dla nowożeńców.

– Tak późno?

– No, trudno tu trafić.

– Ha! Założę się, że Jon nie był zachwycony. Powiedz mu, żeby przestał ślepo wierzyć cholernemu GPS-owi. – Jej ojciec, od niedawna emerytowany londyński taksówkarz, szczyci się tym, że ani razu nie zdarzyło mu się gdziekolwiek pogubić, i jest przeszcześnie, gdy inni kierowcy zaliczają wpadkę.

– Ale w końcu znaleźliśmy idealny dom. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– A Jonowi?

– Hmm.

Doug śmieje się ochryple; rzucił palenie dziesięć lat temu, lecz kiedyś wypalał paczkę dziennie. Teraz łapie za papierosa jedynie w Boże Narodzenie po alkoholu.

– Coś mi mówi, że go przekabacisz.

– Tatu, to wspaniała posiadłość ukryta na końcu półwyspu Roseland.

– O, Roseland, to mi przypomina stare czasy. Zaraz za Portscatho jest taki kapitalny, nieduży kemping dla przyczep. Zaciszne, wyjątkowe miejsce. Matka je uwielbiała.

Lornę ogarnia podniecenie. A więc jednak bywali w pobliżu. Jej wspomnienia z rodzinnych wakacji są pozacierane jak stare fotografie za długo noszone w kieszeni; ekologiczny kibelek pachnący tabletkami do dezynfekcji w tej podobno „supernowoczesnej przyczepie”, w której zawsze coś się psuło; materac Louise wypychający metalową siatkę piętrowego łóżka parę cali nad twarzą Lorny; mama ciągnąca ją po niezliczonych, otwartych dla publiczności posiadłościach z Listy Dziedzictwa Narodowego w czasie, gdy Louise z tatą budowali zamki

z piasku na plaży. Śmieszne, co potrafi utrwalić się w pamięci.

– Mieli najlepszy sanitariat w całej Kornwalii – ciągnie ojciec. – Całą dobę gorąca woda w prysznicach, darmowy szampon bez ograniczeń. W tamtych czasach niewiele było takich kempingów. – Ojciec robi się bardziej rozmowny. Lorna podejrzewa, że to skutek spędzanych samotnie godzin. – Lorna, przepraszam na moment.

Słyszy chrzęst i domyśla się, że to trzeszczy wiklinowy fotel na oszklonej werandzie, gdzie ojciec każdego ranka przerzuca gazetę, popatrując na puste miejsce mamy z podwójnym wgnieceniem w poduszce po jej zgrabnych pośladkach.

– No już lepiej. Według lekarza to przykurcz zginaczy stawu biodrowego. Doktorek jest nowy. Taki tam młokos. Powiedziałem mu, że nie musi mówić do mnie jak do dziecka, potrafię odróżnić staw krzyżowo-biodrowy od kolca kulszowego.

Lorna zaczyna współczuć lekarzowi. Jej ojciec od zawsze chciał wiedzieć więcej; w domu potulny mąż jej wymagającej matki, całą swą zachłanną ciekawość rezerwował dla świata zewnętrznego. Co prawda, zakończył edukację w wieku czternastu lat, lecz twierdził, że jest samoukiem na poziomie szalonego profesora, bo przedzierając się przez zbiory okolicznych bibliotek, przyswajał to, co matka czule określała galaktykami kompletnie bezużytecznej wiedzy. Pasażerowie wysiadali z jego taksówki w pewnym sensie oświeceni – o ile nie totalnie wykończeni – bo przez całą drogę częstował ich wykładami o układzie trawiennym gołębi albo o prawach fizycznych rządzących ruchem ulicznym wokół Piccadilly Circus. Z tego powodu, a także paru innych Lorna i Jon z niepokojem myślą o mowie, którą ojciec ma wygłosić podczas wesela.

– Tato, nigdy nie zgadniesz, jak ta posiadłość się nazywa.

Słyszy siorbanie. Jak zwykle pije za gorącą herbatę; twierdzi, że wszyscy taksiarze zawsze się spieszą z herbatą i dlatego łykają ją gorącą, co niekoniecznie musi być zgodne z prawdą, jak wiele z tego, co mówi.

– Black Rabbit Hall – Lorna zawiesza głos, licząc, że ojciec zacznie kojarzyć.

– Taki królik potrafi biec z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, wiedziałaś? Zygzakami, żeby zmylić drapieżnika. One wcale nie są takie głupie, jak się wydaje.

– Tato, czy ta nazwa nic ci nie mówi?

– Nie.

– Jestem prawie pewna, że byłam tu z mamą. Miejsce wydaje mi się jakby znajome.

– Kto wie. Możliwe. Nie mam pojęcia. Nigdy nie chodziłem z nią po tych starych, zatęchłych domach. To był konik twojej matki, dziedzictwo i takie tam

bajdy. Wolą cię zabierać ze sobą, bo ja podobno nie dotrzymywałem jej kroku i zadawałem nieistotne i kłopotliwe pytania.

– A czemu Louise się upiekło?

– Według Sheili była za mała. Czasem brała ją ze sobą, ale wtedy Louise chciała iść na lody, marudziła, że się nudzi, i w ogóle cudowała. – Odkasłuje. – Mama twierdziła, że ty więcej z tego wynosisz.

Czyżby? Wtedy tego nie czuła, lecz teraz, tyle lat później, chodzi po tym ogromnym domu absolutnie oczarowana.

– Ciekawe, czy są jakieś zdjęcia. Chętnie bym je obejrzała.

– No to może wpadniesz i przetrząsniesz pudła na strychu? Tam jest mnóstwo różnych rzeczy.

Czarne pudła Dunawayów – tak Lorna lubi o nich myśleć. Historia rodziny w pigułce; mama w latach sześćdziesiątych – aż trudno uwierzyć – ekscentryczna buntowniczką z platynowymi włosami, po ślubie uwięziona w gorsecie małżeństwa, z trwałą ondulacją, henną, do tego proste, łatwe do prasowania sukienki i późne macierzyństwo. Kolekcja skromnego życia zebrana przez kogoś, kto teraz jest miłym popiołem w zaskakująco ciężkiej urnie w garażu.

Lorna taktownie odrzuciła pomysł zamknięcia prochów w medalionie, jako zbyt makabryczny. Wolą pamiętać mamę taką, jaką była podczas wakacji – należała do osób, które tylko wtedy są do końca sobą i wydają się prawdziwie szczęśliwe. Otulona w wełniany płaszcz na wietrznej plaży jadła z Lorną pyszne, gorące frytki z tej samej papierowej torebki i śmiała się, kiedy ich słone, tłuste palce przypadkiem się zetknęły. Łoskot fal uniemożliwiał rozmowę. Czują się w swoim towarzystwie odprężone, co przez resztę roku na domowej kanapie raczej im nie wychodziło.

– Jak dotąd nie byłem w stanie przejrzeć tych kartonów – mówi cicho Doug.

– I właściwie nie wiem, czy kiedykolwiek dam radę.

– Nie martw się, ja się tym zajmę – odpowiada mu. Biedny tata. Sama wraca przed gabloty; nie może oderwać oczu od końskiej czaszki z niepokojącą pustką na środku.

– Lorno. – Smutny głos ojca ściąga ją ziemię i uświadamia jej, jak ciągle bolesna jest dla niego ta strata. – Przykro mi, że nie potrafię odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania dotyczące przeszłości, nie tak jak mama...

Cisza po tych słowach owija się wokół Lorny jak szal, coraz ciaśniej i ciaśniej. Teraz ją dusi w gardle. Znad trawnika za oknem dolatuje jazgotliwy świergot szpaków. Och, jaka szkoda, że przez tyle lat nie starała się zbliżyć do matki. Ich kontakty nigdy nie były takie swobodne i bezpośrednie jak z ojcem. Zdaje się, że obie unikały wynurzeń. Zawsze lepiej się czuły, robiąc coś razem – kino w sobotę, balet w Boże Narodzenie, ucierany na zmianę biskopt przy nastawionej na cały głos radiowej dwójce – niż szczerze rozmawiając. Wyciąganie

pewnych tematów dotyczących przeszłości – „zakazanych”, jak Lorna i Louise po cichu je ochrzcili – wywoływało napięcie i niezręczną atmosferę. Matka natychmiast brała się do odkurzania listew przypodłogowych albo polerowania czystych blatów, żeby rozproszyć pytania chmurami nabłyszczacza w sprayu. A potem w maju rozmowy skończyły się na zawsze.

Ta niesprawiedliwość do dziś ją prześladowuje. Podobno magistrat zlecił naprawę chodnika przed supermarketem Co-Opu na następny dzień. Mama, obwieszona siatkami przecenionych owoców i warzyw, nie powinna się potknąć – bo nigdy się nie potykała – ani tym bardziej runąć, przez co pechowo uderzyła się w najgorsze akurat miejsce głowy. Nie miała umrzeć w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Należała do gibkiego powojennego pokolenia, które wyrosło na działkowych warzywach i skromnych porcjach domowego jedzenia oraz chodziło pieszo do sklepów, a nie jeździło. W tym wszystkim najbardziej niesprawiedliwe jest to – myśli Lorna, wbijając paznokcie we wnętrze zaciśniętej dłoni – że wraz z odejściem jej życiowej podpory zniknęła możliwość odtworzenia własnej przeszłości. Mruga, żeby powstrzymać kręcące się w oczach łzy.

– Och, tutaj jesteś!

Odwraca się. W drzwiach stoi Dill z psem na rękach, który ją liże po ustach.

– Gotowa na oglądanie apartamentu nowożeńców?

– Tatu. – Uśmiechając się do dziewczyny, próbuje wziąć się w garść. –

Muszę kończyć.

Szelest w słuchawce i pociągnięcie nosem mówią, że ojciec też walczy ze wzruszeniem.

– No cóż, postaraj się nie zgubić sama w tym wielkim domu, dobrze?

– Nie wygłupiaj się. Kocham cię, pa!

Kiedy Lorna wspina się na wieżę ciemną, klaustrofobicznie ciasną klatką schodową, bez wyraźnie widocznych wyjść, myśli, że ojciec wcale nie był daleki od prawdy. Rzeczywiście nietrudno się zgubić w Black Rabbit Hall. Wydaje ci się, że idziesz w jednym kierunku, a trafiasz zupełnie gdzie indziej.

Rozdział piąty

Amber

Boris wyskakuje z krzaków. Trąca nosem twarz Mamy i popiskuje. Tata odpycha go i otula ją swoim płaszczem.

– Znajdź Barneya! – rzuca przez ramię i wybiega z lasu z Mamą na rękach. Pies podąża za nim. Głowa Mamy zwisa pod dziwnym kątem.

Nie wiem, ile czasu stoję otępiała. Serce mi wali. Pod powiekami obraz Mamy – zwisające rude włosy, przegięta szyja – a w oczach, gdziekolwiek spojrzę, mroczy, jak po zgaszeniu żarówki. Co teraz? Co mam robić?

Nagle pamięć powraca. Znajdź Barneya – kazał tata. Znajdź Barneya.

Burzowe chmury rozstępują się. Kościanobiały księżyc wyłania się zza drzew. Pełnia. Wysoki przypływ. Rzeczka na tym odcinku często występuje z brzegów podczas wieczornego przypływu, szczególnie po burzy. Woda zaleje las przy kryjówce. Nie mam dużo czasu.

Biegnę, krew szumi w uszach, powtarzam jak litanię, że wszystko dobrze się skończy. Bezpieczne szczęśliwe miejsce. Bezpieczne szczęśliwe miejsce. Black Rabbit Hall jest naszym bezpiecznym, szczęśliwym miejscem.

Barneya nie ma w kryjówce ani przy namokniętych węglach po ognisku. Słyszę chlupot pod stopami. Woda się podnosi.

– Barney! – wrzeszczę. – Barney, to ja! Jesteś tam? Nie wygłupiaj się! Gdzie jesteś?

Zastygam, nasłuchuję, serce dudni mi w uszach. Coś porusza się w krzakach. Para żółtych oczu. Zając? Lis?

Przedzieram się przez las i cały czas go nawołuję. Uderza mnie myśl, że może celowo ucieka przede mną, droczy się – uwielbia, żeby go gonić – a nie wie, co stało się z Mamą.

– Barney! – krzyczę głośniejszym głosem, zrozpaczona. Cisza. Zatrzymuję się. Obezwładnia mnie bezradność i opuszcza odwaga. Zaczynam płakać, z gardła wyrывa mi się głuchy szloch. I właśnie wtedy pojawia się Boris, wachlując radośnie ogonem. Nigdy bardziej nie ucieszył mnie jego widok. Wtulam twarz w pachnące psem futro, obejmuję tłusty zad. – Barney. Pomóż mi znaleźć Barneya. Błagam.

Boris lekko przechyla głowę, jakby mnie rozumiał, waha się moment i daje nura między drzewa. Podążam za nim do chwili, gdy pies hamuje gwałtownie pod potężnym bukiem i wzbija łapami fontannę zbutwiałych liści.

Jest. Siedzi skulony wysoko na drzewie. Oczy jak u sowy. Wyciągam do niego ramiona. Nie rusza się. Pociągam go za stopę, bosą i zimną, tłumaczę, że wszystko będzie dobrze, że da radę bezpiecznie zejść, i wtedy zaczyna powoli zsuwać się po pniu. Obejmuje mnie ciasno za szyję, drży i wtula buzię w moje ramię.

– Barney, co się stało?

Milczy. Czuję, jak jego ciało faluje w rytm oddechu.

– Co się stało Mamie? – pytam łagodnie. – Barney?

Szłocha bezgłośnie i drży. Ściągam kurtkę. Malec poddaje się bezwolnie – zupełnie jak nie on – i pozwala się opatulić. Nie rusza się z miejsca. Rękawy kurtki zwisają do ziemi.

– Na barana – nakazuję, klękając na wilgotnej, gąbczastej ziemi.

Biegnę do domu, trzymając go na plecach. Strach dodaje mi sił.

*

– Mama nie żyje – mówi drętwo Toby. Stoi w holu oparty o Big Bertie, z rękami wciśniętymi w kieszenie i z twarzą bladą jak ściana wpatruje się w portret Mamy. Zegar tyka. Okrągła tarcza połyskuje złotawo w burzowym świetle. Tykanie Big Bertie odmierza kolejnych dziesięć minut. – Mama nie żyje, Amber – powtarza.

Nie, na pewno się myli. Energicznie kręcę głową, stawiam Barneya na posadzce, odrywam jego palce od szyi.

– Puść mnie, Barney, dobrze? Poszukaj Peggy. Ona cię ogrzeje.

– Przepraszam! – woła piskliwie Kitty, przemykając obok nas. – Gałganka nie dostała podwieczorku! – Przejeżdża terkoczącym wózkiem przez hol. – Ona ma ochotę na bułeczki z jeżynowym dżemem!

– Jest lekarz? – pytam szeptem. Barney uwiesza się mi na nodze.

– Za późno – odpowiada drętwo Toby. Coś się stało z jego twarzą. Rysy mu stężały. I tylko żyłka we wgłębieniu szyi pulsuje w przyspieszonym tempie.

– Gałganka jest dziś strasznie zajęta – mówi, wzdychając, Kitty. Wyciąga lalkę z wózka i prowadzi za ręce po schodach. – Tyle roboty i tak mało czasu.

Biało-czarne płytki posadzki zaczynają mienić się i falować, wydzielając ostrą woń octu, którym czyści je Annie.

– To gdzie jest Mama?

– W łóżku.

Przepycham się obok Kitty i biegnę na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Jest ich jakby więcej niż zwykle, schody zdają się wydłużać. Znajdę Mamę w łóżku. Przyniosę jej herbatę. I będę ją gładzić po głowie tak jak ona mnie, kiedy jestem chora. Nie wierzę, że Mama umarła. A skoro nie wierzę, to ona żyje.

Otwieram barkiem drzwi sypialni. Toby mówił prawdę. Mama leży w łóżku

okryta po szyję białym prześcieradłem jak chore dziecko. Włosy ma zaczesane na ramię. Story na oknach zaciągnięte, w sypialni panuje półmrok. Migotliwy płomyk świecy wydobywa kwiatowe motywy wyrzeźbione na ciemnych, masywnych kolumnkach łóżka. W dłoniach Mamy też kwiaty, bukiet bladożółtych żonkili, które rano stały w pękatym, niebieskim wazoniku na jej nocnej szafce. Podchodzę bliżej i absolutnie nie przyjmuję do wiadomości, że powyżej ucha pod włosami zlepionymi krwią jest wgłębienie wielkości tenisowej piłki z wystającymi fragmentami białej kości.

– Mamuś. – Ręka nie jest ani lodowata, ani ciepła, raczej przypomina wystudzone mleko. Żonkile chylą się ukosem na pierś. Nie ściska ich. – Mamuś, proszę, obudź się.

W tej samej chwili dochodzi do mnie jęk z drugiej strony łóżka. Wychylam się, cały czas trzymając rękę Mamy, i zszokowana, widzę tatę. Skulony, klęczy na podłodze z twarzą przyciśniętą do brzegu prześcieradła, które spływa z Mamy.

– Tatusiu? – Mój głos jest bardziej piskliwy niż Kitty. Chcę, żeby mnie przygarnął do siebie i obiecał, że wszystko się ułoży. Mama wydobrzeje, rana się zasklepi, krew ruszy, rozgrzeje ciało i tchnie w nie życie, a żonkile wrócą do wazonu. – Tato, to ja.

Nie patrzy na mnie. Jęk cichnie, przechodzi w głuchy szloch.

– Amber – szepcze Toby. – Chodź.

Pozwalam mu się przyciągnąć. Jego skóra pachnie mną i sobą samą, po prostu znajomo. Toby jest rozpalony. Przez koszulkę rugby czuję bicie jego serca. Mocno mnie przyciska, stoimy wtuleni, znowu jesteśmy jak tamte dwa embriony w ciepłej ciemności brzucha Mamy.

– Nadal mamy siebie nawzajem. Ja mam ciebie.

– Amber, Toby... – Peggy staje w drzwiach, zasłaniając dłonią usta. – Co tu robicie? Wyjdźcie stąd, proszę. Idziemy.

– Mama nie żyje – mówię, bo nie wiem, czy już słyszała. Toby zacieśnia uścisk. – Nie żyje, Peggy.

– A wasz tata chce w spokoju trochę z nią pobyc, kochani. – Podchodzi, wyłuskuje nas z objęć taty, zerkając na niego z niepokojem. – Amber, Toby, proszę. Puśćcie już. Schodzimy na dół.

– Chcę zostać z Mamą – upieram się.

– Nie możesz, skarbie. Nie teraz.

Tata podnosi głowę i odejmuje ręce od twarzy. Ma spuchnięte, czerwone oczy, nieprzytomne z rozpacz. W ogóle nie wygląda jak nasz tata.

– Panie Alton, może coś panu podać? – Peggy przykuca przy nim, opierając swoje obfite kształty na drobnych stopach. – Panie Alton?

Patrzy na nią jakby nie rozumiał, co do niego mówi. Jakby pierwszy raz ją widział.

– Może trochę czystej whis...
– Wyjść! – wrzeszczy na całe gardło, wprawiając nas w osłupienie. –
Wszyscy!
*

Skuleni, skupiamy się przy kominku w bawialni. Wczoraj Mama sypnęła garść soli na ruszt, żeby Kitty miała swoje tańczące, niebieskie płomienie. Do dziś kilka ziarenek zostało na palenisku.

Wyciągamy ręce do ognia, ale ciągle nam zimno. Ja i Toby siedzimy przytuleni do siebie, roztrzęsieni, bezbronni. Kitty plecie jakieś bzdury do Gałganki. Barney gapi się tępo w płomienie, usta nadal ma sine. Jest w jednej z tych pasiatych piżamek z domu towarowego Bloomingdales, które ciocia Bay przysyła na każde Boże Narodzenie. Nie odezwał się dotąd słowem. Nie mamy pojęcia, co zobaczył, o ile w ogóle coś widział.

Boris człapie przez pokój, kładzie się pod globusem i obserwuje nas z pyskiem opartym na łapach. Globus jest obrócony do nas mamina Ameryką. Widzę Seattle, kawałek Idaho, Oregon. Miejsca, do których obiecała mnie zabrać.

Nie mogę tknąć mojej gorącej czekolady. Jak można pić czekoladę, kiedy Mama tam leży na górze. Po dłuższej chwili Toby upija parę łyków ze swego kubka. Jest coś bohaterskiego w tej próbie powrotu do rutyny. Usiłuję się do niego uśmiechnąć, lecz moja twarz jakby zamarzła i nie mogę unieść kącików ust.

Klik, klik, klik – podzwaniają druty Peggy. Siedzi sztywno wyprostowana w różowym pluszowym fotelu przy oknie, starając się zająć ręce tym samym, co każdego wieczoru. Długi czerwony szalik wije się u jej stóp.

– Trzeba mi wyszczotkować włosy – przerywa Kitty klikanie drutów. – Burzy włosy palcami, wytrząsając z nich piasek. – Mama nie lubi piasku u Kitty we włosach. Kitty chce, żeby Mama go wyczesła. Gdzie ona jest? Gdzie Mama?

Peggy nieruchomieje z uniesionymi drutami. Opuszcza je na podolek.

– Mama jest w niebie, Kitty.

– Nie – stwierdza stanowczo mała, usadzając Gałganek pomiędzy skrzyżowanymi nogami. – Ona jest w łóżku, Peggy. Musi wstać i zapleść Kittycat warkoczyki.

Wymieniamy z Tobym spojrzenia. Cienie pod jego oczyma są jak plamy z mułu.

– Ja ci je zaplotę, Kits. – Wyciągam do niej rękę. – Chodź tu.

Kitty potrząsa głową.

– Nie. Chcę Mamę.

Toby sączy resztki czekolady, zerkając na mnie znad krawędzi kubka, jakby sprawdzał, czy gdzieś nie zniknęłam przez tę sekundę, gdy nie patrzył. Drobiniki czekolady nad górną wargą ułożyły mu się w uśmiech clowna. Odstawia

z łoskotem kubek na brzeg paleniska. Kulimy się wszyscy, spoglądając na białe fajansowe naczynie z niebieskim uchem i smugami czekolady. Czekamy.

Klik, klik, klik.

Lada chwila wszystko wróci do normalności. Kroki Mamy na schodach. Kasznięcie. Ruch w holu. Pojawi się z kręconymi włosami przerzuconymi przez ramię, z dłonią na poręczy, przebrana do kolacji w zieloną suknię (rudzielcy mają mały wybór), otulona etolą z króliczego futerka z mieniącą się brylantową zapinką. Krótco po niej przyjdzie tata, wzburzy loki Barneyowi, Toby'ego żartobliwie klepnie w ramię i zapyta, gdzie Mama. Zawsze się za nią rozgląda, na jej widok w oczach taty pojawia się głód, a wtedy my z Tobym wstydliwie się odwracamy. Brzęk kieliszków. Zapach sosnowych szyszek w kominku. Śmiech.

Bum!

Strzał rozrywa nocną ciszę.

– Bum. – Kitty uśmiecha się i podnosi Gałganek na wysokość twarzy. – Bum, bum, bum.

Peggy rzuca robótkę na podłogę i podbiega do okna. Czerwony motek zahacza się o obcas i rozsnuwa za nią.

– Wielki Boże!

Rozdział szósty

Peggy ryżową szczotką próbowała usunąć ślady po Rycerzu. A jednak na kamiennej posadzce pozostał ciemnoczerwony zaciek, którego zarys przypomina eksplodujący mak. Czuć zapach krwi i końskiego potu. Odpryski mózgu i kępki czarnej grzywy przylgnęły do ściany stajni. Toby zawzięcie je zdrapywał. Ułożył te strzępy tkanki na murku, żeby wyschły na białe i czerwone grudki, które dołoży do swojej kolekcji skarbów wygrzebanych w ogrodzie i na polach: skamielin, króliczych czaszek, skorup z zastawy stołowej, łusek po nabojach i wyschniętych ogonków gubionych wiosną przez owce.

Podajrzewam, że gdyby mógł, zrobiłby to samo z Mamą. I ja chyba też tak bym wolała, bo mają ją zakopać w ziemi jak jakąś stłuczoną maselnickę.

To się stanie dzisiaj. Jest dzień pogrzebu. Czas jakoś dziwnie płynie. Dziesięć dni po śmierci Mamy zniknęło wessanych w czarną, głęboką i niebezpieczną dziurę, podobną do starego szybu w kopalni cynku. Trudno uwierzyć, że jest Wielkanoc i w lesie kwitną dzikie hiacynty. Zimowe, ciężkie niebo wisi nisko, jak coś, co będzie spadać tak długo, aż cię zmiażdży i wgniecie w ziemię. Porywisty, pachnący zgnilizną wiatr wyciska łzy z oczu i opętańczo kręci kurkiem na strzelistej wieży kościoła St Mary's przy portowej ścianie pokrytej skorupą morskiej soli i mchem. Zupełnie jakby go przykleili do dna przewróconej łodzi – mówiła zawsze Mama, rozśmieszając nas podczas ciągnących się w nieskończoność mszy, znacznie dłuższych niż te w Londynie. Mewy i gołębie siedzą rzędem na szczycie dachu i zachłannie wpatrują się w mały cmentarz, miejsce przeznaczenia Mamy, budzące grozę. Dół już jest wykopany, wyrzucone wraz z ziemią robaki wiją się, zaskoczone światłem dziennym. Myśl o Mamie w tym miejscu napawa mnie przerażeniem. Podobno ten cmentarz to jedno wielkie składowisko kości; ciała są poukładane jedne na drugich jak warstwy cienkich koców na łóżku podczas zimy. Leży tu mnóstwo dawno zmarłych Altonów, żeglarzy i dzieci, które utonęły, wchodząc za daleko do morza podczas przyływu lub dokazując na bagnistych równinach przy rzeczce.

Zbici w gromadkę przed bramą kościoła, unikamy spojrzeń ludzi, których zazwyczaj widzimy podczas ślubów i chrztów, wzdrygamy się, gdy nas przytulają, bo ich objęcia nie niosą pociechy. Wszyscy rozmawiają półszepem, podobnie jak to robią dorośli, gdy wchodzi do pokoi dzieci, przekonani, że one już śpią. Kobiety, zadzierając głowę, dotykają ramienia taty, mężczyźni

o puciołowatych twarzach poklepują go po barku. Tata uprzejmie kiwa głową, nie podnosząc na nich oczu. Gdyby to uczynił, zobaczyliby, że zgasły jak zdmuchnięte świece. Ja też czuję na sobie wścibskie spojrzenia. Słyszę szept: „Jaka podobna do matki. Wypisz wymaluj Nancy, prawda?”. Chowam twarz za zasłoną włosów do chwili, gdy uśmiech spełźnie im z twarzy i nieco zażenowani przejdą dalej.

– Czas, kochanie – mówi tata, kładąc mi rękę na plecach. Usiłuje się uśmiechnąć, lecz to ponad jego siły. Myślę o nim szlochającym wczorajszej nocy i każdej kolejnej po śmierci Mamy. Chyba nie ma gorszego odgłosu od płaczu własnego taty. Bierze głęboki oddech. – Gotowa?

Potwierdzam skinieniem głowy. Wiem, czego się spodziewać. Już wcześniej byłam tu na pogrzebach. Wszystkie są do siebie podobne, tak samo jak śluby. A więc będę udawać, że to pogrzeb kogoś innego, nie Mamy. Właśnie tak postanowiliśmy to wszystko przetrwać.

Ciężkie kościelne odrzwia otwierają się z piskiem zawiasów podobnym do kwiku. Speszony pastor mruczy coś pod nosem o rdzy. Jakby to było istotne. Toby ściska moją rękę: trzymajmy się razem, bądźmy dzielni, wytrzymajmy – mówi ten uścisk. Odwzajemniam go i zagarniając Barneya i Kitty, wchodzimy do kościoła noga w nogę jak żołnierze.

Wnętrze pachnie zatęchłą wodą po kwiatkach w wazonie. Jest wilgotne i ponure. I tylko trumna Mamy przykryta blad różowymi szarfami i mnóstwem wiosennych kwiatów – hiacyntów, anemonów, irysów – wygląda jak ogród. To dobrze. Mama kochała ogrody. A nasz uwielbiała. Trudno uwierzyć, że ona naprawdę tam jest – moja ciepła, ładna Mama, która opatulala nas w zimne, bezchmurne wieczory i wyprowadzała na dwór, żebyśmy odszukali na niebie Niedźwiedzicę i Wielki Wóz – opakowana jak ozdobne wielkanocne jajko. Nie, niemożliwe, wmawiam sobie. Jej tam nie ma.

Musimy iść do przodu, bliżej katafalku. Kitty ciągnie mnie za rękę, onieśmielona nie tyle widokiem trumny, ile takiej liczby ludzi. Tłum podąża za nami w uroczystej ciszy, zakłócanej pokasywaniem. Ławy szczelnie wypełnione. Jestem zadowolona. Byłoby o wiele gorzej, gdyby pozostały puste miejsca. Ci, co stoją, rozglądają się i przepychają, żeby w lesie kapeluszy zdobyć jak najlepszy widok na trumnę. Podchodzimy do pierwszego rzędu, czując wzrok wbity w nasze plecy. Drzwi ponownie popiskują i zamykają się z trzaskiem.

– Cśśś! – Spod kapelusza z rondem wielkości młyńskiego koła widać jedynie ściągnięte, różowe usta cioci Bay. Siedzi w rzędzie za nami w czarnej minisukience – kawałek uda mignął ponad pulpitem – a ja przypominam sobie to wszystko, za co Mama ją uwielbiała, a tata nie do końca akceptował.

Nakrywa dłonią moją rękę, rozsiewając woń papierosów.

– Jak się czujesz, kochanie?

Otwieram usta, lecz nie mogę wydobyć głosu. Amerykański akcent cioci to

dla mnie za wiele, zbyt przypomina Mamę, bo ona miałaby dokładnie taki sam akcent, gdyby roześmiana weszła teraz przez drzwi kościoła i odrzucając włosy z ramion, oznajmiła wszystkim obecnym, że to jest jakieś głupie nieporozumienie i kolejny pokaz angielskiej pompy.

Nie mogę się od takich myśli uwolnić. Bez przerwy wyobrażam sobie, że Mama nagle ożywa. Odgrywam w wyobraźni tamten dzień z burzą, zmieniając wydarzenia, albo całkowicie go wyrzucam, cofam czas lub popycham do przodu, przestawiam wskazówki Big Bertie i już jest następna doba, a my jemy zapaszczone kanapki na plaży.

– Skarbie? – Ciocia odchyła rondo, widzę jej miłą twarz i oczy w czerwonych obwódkach z rzęsami jak pajęczne nogi.

– Dziękuję, ciociu, czuję się dobrze – mówię, bo takiej odpowiedzi oczekuje się od Altonów.

– Moja dzielna dziewczynka – wzdycha Bay. Drobinka pomadki na jej przednim zębie wygląda jak blad różowy lukier. – Nancy byłaby z ciebie ogromnie dumna. Ona tak bardzo cię kochała, Amber.

Dławi mnie w gardle. Wiem, że Mama mnie kochała. I nie chcę, żeby mi to mówiono, jakbym potrzebowała zapewnienia.

– Odwiedzisz mnie w Nowym Jorku?

Kiwam głową, mając przed oczyma jej hotel apartamentowy z grubym Frankiem w recepcji, gdzie w holu lawiruje się między gośćmi z walizkami i z gitarami przewieszonymi przez ramię. Ciocia Bay z Mamą szły do teatru na 42. Ulicę, a ja zostawałam z Frankiem i graliśmy w domino.

– Proszę wstać – rozlega się głos pastora. Odpowiada mu szmer podnoszących się ludzi. Kapelusze cioci zasłania widok stojącym w rzędzie za nią. Słysząc pojedyncze posykiwania.

– Zabiorę cię na Coney Island, wjedziemy na Empire State Building – szepcze. – Jeżeli kiedyś będziesz chciała uciec, przyjeżdżaj do mnie, dobrze?

Tym razem nie przytakuję. Czemu miałabym kiedykolwiek uciekać od reszty mojej rodziny? Już sama myśl o rozstaniu budzi we mnie panikę.

– Dobrze, Amber?

– Ssz... – ucisza ją Mildred, jedna z wysokich i tęgich kuzynek taty, z wywiniętymi mięsistymi wargami jak u wielbłąda.

Ciocia ogląda się, posyła jej uśmiech i niezrażona – cała ciotka Bay – mówi dalej, tylko głośniej:

– Jesteś, Amber, dobrze ułożoną dziewczynką o wielkim sercu. A teraz to serce musi stać się także mężne. Przejmujesz rolę pani domu.

Pani domu? Wcale mi się ten pomysł nie podoba.

– Ale to nie znaczy, że nie wolno ci płakać. Płacz, ile chcesz, skarbie. Mówię ci.

Usiłuję się rozplakać dla cioci Bay, lecz łzy nie chcą popłynąć.

Głośny śpiew, rozdziawione usta z widokiem na konfiturowoczerwone gardła. Zerkam na tatę, żeby sprawdzić, czy przypadkiem go nie ponosi. Ale on patrzy przed siebie, poblady, wyprostowany, z uniesionym podbródkiem i tylko ramiona mu lekko drżą jak silnik łódki, którą z Mamą pływali po rzeczce, śmiejąc się i popalając na spółkę papierosa.

Mowy. Wiersze. Ktoś z Ameryki. Książę. Pułkownik. Wspominają, jak tata zakochał się w charakterze Mamy. Jak oczarował go jej „apetyt na życie”. Umiłowanie wartości rodzinnych i koni. I jak przywiózł ją z Ameryki, a ona pokochała Kornwalię. To dzięki niej okoliczni mieszkańcy rozsmakowali się w cieście dyniowym. Sprzeciwiła się zabijaniu królików. Taka właśnie była Nancy. Żywicielka, matka, fanka Joan Baez, miłośniczka zwierząt, która we wszystkich ludziach dostrzegała dobro i lubiła pośpiewać przy ognisku.

Dokoła dyskretne pociąganie nosami. Jedna ciocia Bay zawodzi i w kółko powtarza:

– Dobry Jezu – chociaż ona wcale nie wierzy w Jezusa, tylko w brodatego pana w pomarańczowej szacie, który mieszka w Indiach. – Moja siostrzyczka. Dobry Jezu!

Udaję, że ocieram łzę, i bacznie przyglądam się ludziom, sprawdzam, czy ktoś jeszcze urządza podobne sceny.

Mamy być dzielni, tak nam nakazano. Kitty bawi się luźną nitką przy guziku, skręca ją i rozkręca palcami. Jest za mała, żeby zrozumieć, co się stało. Barney siedzi ze wzrokiem utkwionym w czubki wyglansowanych butów i zagryzając dolną wargę, głośno i szybko oddycha. Toby, sztywno wyprostowany, patrzy nieruchomo przed siebie, a kark ma czerwony, jakby skóra płonęła mu od nadmiaru powstrzymywanych emocji. Chcemy, żeby to się skończyło. Wszystko, byle nie to.

Kiedy tata wychodzi z ławki, kościół zamiera i cichnie siąkanie nosami. Wygląda na starszego i niższego niż jeszcze kilka dni temu, a włosy na jego skroniach przybrały kolor sztućców. Podnosi przekrwione oczy i patrzy na zgromadzonych pustym wzrokiem. Przypomina mi ryby, które po odpływie miotają się w błocie na dnie rzeczki, dopóki nie usną.

Ciszę zakłóca szelest cynfolii.

– Kitty! – syczę, odgadując, że rozwija w kieszeni czekoladowe jajeczko.

Spogląda na mnie, naburmuszona, z wypiekami na buzi.

– Jest Wielkanoc! Ciocia Bay mi dała.

– Później je zjesz. – Kątem oka dostrzegam, jak Mildred z dezaprobatą zaciska monstrialne usta.

Kitty upuszcza jajko do kieszonki bezrękawnika. Przyciągam ją do siebie, żeby uniknąć ewentualnych kłopotów. Barneya też przytulam. Wydaje się taki wiotki i osowiały, uszła z niego cała energia. Nie jest już najruchliwszy z nas

wszystkich. Wręcz przeciwnie. Nadal nie powiedział, co stało się w lesie – co widział – a kiedy naciskamy, mówi, że z tamtego dnia pamięta jedynie, jak siedząc przy kominku, pił czekoladę, no i jeszcze tamten huk. Chyba nie do końca mu wierzę.

Staje mi przed oczyma Mama w Londynie przed trzema tygodniami – naprawdę to tylko trzy tygodnie? Umoszczona w turkusowym fotelu, mówi, że „martwienie się to rola matki”, i mam wrażenie, że się rozpadam na milion kawałków. Kto się teraz będzie o nas martwić? Kto się nami zaopiekuje?

Odpowiedź spada jak ciężki cios. To. Będę. Ja.

Tata otwiera usta. Nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Wymieniamy z Tobym spojrzenia. Nie wiadomo dlaczego, wzbiera w nas śmiech. Przygryzam dolną wargę, przerażona, że naprawdę się rozchichoczę. Kartka w ręce taty zaczyna drżeć jak pióra na kapeluszach łkających kobiet. Ochota na śmiech opuszcza mnie tak samo nagle, jak się pojawiła. Niech ktoś pomoże tacie. Niech ktoś go wesprze. Po ciągnącej się niemilosiernej chwili grozy pastor podchodzi do taty, bierze go pod łokieć i próbuje skierować z powrotem do ławki. On jednak kręci głową. Duchowny, nie bardzo wiedząc, co robić, wycofuje się z zakłopotaną miną.

– Dziękuję wam, że przyszlście – odzywa się w końcu tata, podnosząc oczy na tłum w kościele. – Wiem, że wielu z was przyjechało z daleka.

Z ulgą opuszczamy ramiona, prostujemy nogi. I nareszcie możemy odetchnąć. Tobi czubkiem czarnego wypolerowanego buta miarowo trąca drewnianą podłogę.

– Nancy byłaby ogromnie wzruszona, widząc... – urywa i z na wpół otwartymi ustami patrzy gdzieś ponad moim lewym ramieniem. Kartki częściowo wysuwają mu się z palców. Wszystkie głowy odwracają się w tamtą stronę, żeby sprawdzić, co go tak zaskoczyło.

Blisko wejścia w ławce dla spóźnialskich siedzi jakaś pani z wysoko uniesioną głową i z półśmiechem błędzącym na ustach, w ogóle niespieszona tym, że wszyscy na nią patrzą. Myślę, że ktoś, kto nie lubi ściągać na siebie uwagi, na pewno nie zdecydowałby się na tego rodzaju fryzurę: natapirowany blond kok, opleciony warkoczem. Nie widuje się tak uczesanych kobiet na południe od rzeki Tamar. Nieznajoma jest w czarnym jak sadza płaszczu, z przerzuconym przez ramię rudym lisem, o futrze tak błyszczącym, jakby przed chwilą go upolowano. Rysy ma ostre, raczej przystojne niż ładne, wąski, nieco orli nos i jasnoniebieskie oczy, których odcień podkreślają kreski namalowane czarną kredką. Mama też takiej używała, szykując się na przyjęcia w Londynie.

Szelest zmienia się w sykliwe szepty. Tata całą wieczność nie może podjąć wątku. Może przestraszył się widoku tych włosów?

– Byłaby ogromnie wzruszona, widząc nasz mały kościółek wypełniony po brzegi – odzywa się wreszcie mniej pewnym głosem. – Są takie kobiety, które na

zawsze odmieniają życie ludzi spotkanych na swojej drodze...

Tata zacina się, patrząc prosto na nieznajomą z bocianim gniazdem na głowie. Wymieniamy z Tobym spojrzenia i unosimy brwi. Oboje mamy takie wrażenie, że to, co słyszymy, jakby nie jest o naszej Mamie. To wrażenie znika dopiero, gdy tata kończy na jednym oddechu:

– Nancy Alton była właśnie taką kobietą.

Rozdział siódmy

Lorna

Dłoń poznaczona plamami wątrobowymi wysuwa się z wystrzępionego otworu tweedowej peleryny.

– Caroline Alton. – Najbardziej arystokratyczny głos, jaki Lorna kiedykolwiek słyszała, lekko chropawy z powodu poświstu w oddechu. – Miło mi.

– Dzień... dobry – duka Lorna. – Kostki artretycznych dłoni są wielkości golfowych piłek. Ale uścisk zdecydowany. Kątem oka dostrzega Dill skuloną w korytarzu. Powinna była ją uprzedzić, że w apartamencie nowożeńców czeka pani Alton. – Jestem Lorna. Lorna Dunaway – przedstawia się, uważając, by nie przyglądać się nachalnie swej rozmówczyni.

„Kości się nie starzeją” – mawiała jej matka. To się sprawdza w przypadku pani Alton; niewątpliwie jest tą przystojną kobietą z portretu, lecz jej twarz jest zaskakująco pobrużdżona. To nie są zmarszczki śmiechowe jak u babci Nan, świadczące o pogodnym usposobieniu i dobrze przeżyтым życiu. Głębokie bruzdy odchodzące od ust i lwia zmarszczka pomiędzy brwiami sugerują, że przez całe uprzywilejowane życie ich właścicielce nie zniknął z twarzy grymas dezaprobaty.

– A więc chcecie się pobrać w Pencraw? – Pani Alton wwierca w Lornę wyblakłe niebieskie oczy, które rozmówcy wyznaczają dystans i z pewnością nie kruszą lodów. – Cieszę się.

To odpowiedni moment, aby zaznaczyć, że Lorna na razie bierze pod uwagę taką możliwość, a jednak tego nie robi.

– Proszę się porządnie rozejrzeć. – Stara dama podpira się drewnianą laską z mosiężną końcówką, lecz plecy trzyma sztywno wyprostowane. W wieczornym świetle na upierścienionej dłoni zaciśniętej na rączce błyszczą mętnie brylanty. – Chcę poznać pani zdanie. I proszę nie silić się na uprzejmości.

Lorna przywołuje uśmiech na twarz – w uszach dzwonią jej słowa matki: „Jeżeli nie wiesz, co robić, uśmiechaj się!” – i rozgląda się uważnie po pokoju. Sufity w wieży są niższe niż w reszcie domu, ściany pokrywa tapeta w rustykalne, kwieciste wzory. Na szczęście brak tu przykurzonego przepychu, chociaż pewnym ukłonem w tę stronę jest ogromne mahoniowe łóżko z kolumnami, zdobione motywami kwiatów i winorośli, które niewątpliwie nawet na Jonie musiałyby zrobić wrażenie.

– Śliczne, pani Alton.

– Cieszę się, że pani tak myśli. – Dama odpowiada tonem, który sugeruje, że

jej rozmówcy nie ma prawa myśleć inaczej. Teraz to zrozumiałe, dlaczego pani Alton mieszka prawie samotnie w tym oddalonym od świata miejscu. Zdecydowanie nie jest jedną z tych starych kobiet – pod osiemdziesiątkę? – które siedząc wygodnie w fotelu w domu spokojnej starości gdzieś przy nadmorskiej promenadzie, delektują się piaskową babką z czekoladową polewą.

– Przypuszczałam, że się tu pani spodoba, już w chwili, gdy zobaczyłam, jak wysiadacie z samochodu.

A więc jednak ich obserwowano – myśli Lorna, zadowolona, że jej wrażenie nie było wytworem wyobraźni.

– W takim razie, Lorno... – Pani Alton bawi się sznurkiem pereł wyświeconych od ocierania się o pomarszczoną szyję i przechyla głowę na bok. – Oświeć mnie. Może parę słów o sobie?

– Uczę w szkole podstawowej, a mieszkam w Bethnal Green we wschodnim Londynie.

– Nauczycielka? Och. Wyrazy współczucia.

Lorna jest zszokowana. Szkoda, że nie ma tu Jona, później mogliby to wszystko szczegółowo omówić. W ogóle żałuje, że nie ma go przy niej.

– A twój narzeczony?

– Pracuje w rodzinnej firmie budowlanej – odpowiada niepewnie, sztywniejąc na myśl o reakcji starszej pani. – Jego pasją jest stolarka – dodaje, zła na siebie, że w pewnym sensie Jona usprawiedliwia, zamiast podkreślić, że ma wielki talent i zręczne, duże dłonie z palcami, które potrafią czytać fakturę drewna niczym pismo Braille'a.

– Stolarz? – Pani Alton, postukując laską w podłogę, odwraca się do Dill. – Endellion, to mogłoby się okazać wielce pożyteczne, zaiste, bardzo korzystne. Mój Boże, my tu wiecznie potrzebujemy stolarzy.

Dill uśmiecha się przepaszająco do Lorny i wbija wzrok w czubki butów.

– Podejdź bliżej, moja droga. – Pani Alton kiwa na Lornę długim, zakrzywionym w lewo palcem, zbrojnym w pierścień.

Po sekundzie wahania Lorna postępuje kilka kroków. W tej kobiecie jest coś takiego, co wymusza posłuszeństwo.

Niespodziewanie laska z łoskotem upada na podłogę. Lorna schyla się i podaje ją z uśmiechem.

– Paskudztwo – mruczy pani Alton, przyciągając laskę z powrotem do boku.

– Problem z biodrem, pamiątka po zimach spędzanych na stokach. Prawdziwa udręka. Jeździsz na nartach?

– Och, nie. Właściwie nie. – Nie ma odwagi wspomnieć o wyjeździe do Austrii przed dwoma laty i tamtej oślej łączce, gdzie trzylatki radziły sobie lepiej od niej.

– A ta suknia... – szepcze pani Alton. Przechyla przy tym głowę na bok,

jakby próbowała ten strój gdzieś umiejscowić. Do stojącej blisko Lorny dolatuje przykry, mdlący zapach jej oddechu. – Coś mi przypomina.

– Ma swoje lata. To vintage – wyjaśnia ochotczo dziewczyna, bo zawsze cieszy ją rozmowa o ubraniach. Bierze w palce żółty materiał. Nowoczesna bawełna tak się nie zagniata ani nie opada elegancko na sylwetce. Teraz za nową suknię podobnej jakości musiałaby zapłacić mnóstwo pieniędzy, a na to jej nie stać. – Późne lata sześćdziesiąte, przynajmniej tak powiedziała sprzedawczyni.

– Późne lata sześćdziesiąte? – Pani Alton jest wyraźnie rozbawiona. – Proszę, proszę. Lubisz stare ubiory?

– Mam słabość do szperania w lumpeksach. To chyba znaczy, że pociągają mnie starocie.

– No tak, starocie – podchwytuje drwiąco pani Alton.

– Uhhh... – Lorna ma nadzieję, że jej rozmówczyni rozumie, że jej słowa dotyczyły domu, a nie jego właścicielki. – Chodziło mi...

– Zabawne jest to zakładanie, że życie biegnie linearnie – przerywa jej starsza pani z teatralnym westchnieniem. Kieruje się do okna – poza lekkim utykaniem trzyma się idealnie – postukując laską o drewnianą podłogę. – Jednak wraz z wiekiem, gdy się jest tak leciwym jak ja, Lorno, przychodzi refleksja, że życie nie przebiega liniowo, lecz zatacza koło. Umieranie jest tak samo trudne jak narodziny, a wszystko wraca do tego samego punktu, który, jak nam się wydaje, zostawiliśmy za sobą bardzo dawno temu. To przypomina ruch wskazówek zegara.

– Naprawdę? – Za grosz nie ma pojęcia, o czym ta kobieta mówi. Niemniej jest zdania, że starych ludzi zdecydowanie się nie docenia i że bardzo często to właśnie oni i dzieci jako jedyni mówią prawdę. Trzeba po prostu zwolnić i uważnie słuchać.

– Moda powraca. – Pani Alton omiata wzrokiem jej sukienkę. – Wydarzenia, ludzie. A mimo to wszyscy uważamy się za wyjątkowych. Nosisz tę suknię bez jednej myśli o jej przeszłym życiu.

Lorna jest zbyt grzeczna, żeby wtrącić, że przy okazji połowów w lumpeksach często zastanawia się, kto wcześniej nosił te rzeczy i czy ten ktoś jeszcze żyje. Nawet wymyśla dla swoich zdobyczy biografie, co oczywiście bardzo bawi Jona.

– Ponieważ nigdy nie uczymy się niczego od naszych poprzedników, wciąż powtarzamy te same błędy – dodaje pani Alton znużonym tonem. – Ciągłe na nowo. Zupełnie jak myszy w laboratoryjnym labiryncie. – Patrzy za okno, jakby zapomniała, że nie jest sama w pokoju.

Lorna spogląda pytająco na Dill, szukając podpowiedzi, czy przypadkiem nie powinna się zbierać, lecz dziewczyna z nerwowym uśmiechem odwraca wzrok.

Te kobiety stanowią osobliwy duet i ten dzień też jest kuriozalny – myśli Lorna. Jeden z takich surrealistycznych dni, które pojawiają się niespodziewanie

w zwyczajnym życiu, bez związku z czymkolwiek, co działo się przedtem lub wydarzy później.

– Kiedy możemy się spodziewać pierwszej wpłaty, moja droga? – Pani Alton odwraca się, po raz pierwszy z normalnym uśmiechem, w którym odsłania zaskakująco drobne zęby w kolorze poźółkłej kości słoniowej. – Oczywiście gotówką.

– Och. – Lornę to pytanie zbija z tropu. Nie sądziła, że wysoko urodzeni ludzie rozmawiają o pieniądzach.

– Mam nadzieję, że nie wprawiłam cię w zakłopotanie tym pytaniem.

– Nie, nie, wcale. Chodzi o to... ja jestem zachwycona tym domem, pani Alton, naprawdę. Jest wspaniały, taki inny od wszystkich, które dotąd obejrzałam. Ale mój narzeczony nie jest do końca przekonany... muszę z nim jeszcze porozmawiać – plecie, czując na twarzy falę gorąca.

– Porozmawiać z nim? – podchwytuje pani Alton, nie ukrywając zdumienia. – Ty, nowoczesna dziewczyna?

– Uzgodnić szczegóły. – Lorna bierze głęboki oddech i postanawia, że nie pozwoli się spieszyć. – Po prostu potrzebujemy trochę więcej informacji.

– In-for-macji? – powtarza pani Alton bardzo powoli, jakby już sam pomysł był niedorzecznie drobnomieszczański. Wargą zahacza jej o ząb i dopiero po chwili się ześlizguje. – A jakichże to informacji potrzebujecie?

– Uhm, gdzie dokładnie miałyby się odbyć przyjęcie, a gdzie tańce, jak zorganizować catering. – Podnosi rękę do włosów i nawija je na dłoń, czując, jak paraliżuje ją onieśmienie pod przewiercającym spojrzeniem starszej pani. – Tego rodzaju rzeczy.

– Przecież tutaj jest tyle pokoi! Można by jednocześnie urządzić ze cztery wesela bez żadnej kolizji. – Rzuca gniewne spojrzenie Dill. – Czy jest jakaś praca na tej ziemi, którą potrafisz porządnie wykonać?

– Och, proszę mnie źle nie zrozumieć. Dill jest świetną przewodniczką – wtrąca szybko Lorna, licząc, że nie wpędziła dziewczyny w kłopoty. Spotkanie przybiera zły obrót. – Przyjechaliśmy dość późno i zabrakło trochę czasu...

Jak na zawołanie z podjazdu dochodzi ponagląący sygnał klaksonu. Pani Alton, marszcząc brwi, ogląda się na Dill.

– Zapewne to nie kolejni goście? Czyżby masowo walili do bram?

– Och, nie. To Jon. Czeka już od dłuższej chwili i zaczyna się niecierpliwić. Nie chce jechać po zmroku.

– Niby czemu?

Lorna nerwowo wykręca dłonie, nie bardzo wiedząc, jak uprzejmie zakończyć tę wizytę.

– Dziękuję bardzo, że poświęciła mi pani czas na pokazanie apartamentu nowożeńców.

Pani Alton, prawdopodobnie wyczuwając, że może stracić pierwszych klientów, raptownie zmienia taktykę.

– Endellion mówiła, że bardzo chciałabyś dowiedzieć się czegoś więcej o domu.

Dill entuzjastycznie kiwa głową w kącie.

– Fakt, bywam trochę wścibska – przyznaje ostrożnie Lorna.

– Doskonale. Cenię dociekliwe umysły. Jak widzisz, nie kręci się tu wiele ludzi. – Przechyla głowę na bok i rozważa coś w myślach. Mewa, skrzecząc, przelatuje za oknem. – Jest na to prosta odpowiedź. Musicie tu pobyc jakiś czas. Wtedy zdobędziecie wszelkie... informacje, które wydają wam się niezbędne przed złożeniem depozytu. – Zaciska szczęki. – Muszę wziąć depozyt.

– Nie wiem, co powiedzieć. To... Jest pani bardzo wspaniałomyślna. Ale...

– Nie jestem wspaniałomyślna. – Starsza pani zbywa jej słowa machnięciem ręki, któremu towarzyszą migotliwe błyski brylantów. – Wręcz przeciwnie. Ruszenie z tym ślubnym biznesem jest koniecznością, jeżeli chcę zachować dom w prywatnych rękach i zadbać o jego przyszłość. Tylko na tym mi zależy. Nic poza domem mnie nie obchodzi. I poza psem, oczywiście.

Lorna odpowiada nerwowym chichotem.

Pani Alton się uśmiecha.

– Lorno, ty będziesz moją świnką morską.

– Ja? – Dziewczyna z każdą chwilą czuje się coraz bardziej zagubiona. Czy naprawdę właśnie dostała zaproszenie do spędzenia paru dni w tym domu?

– Mam swój rozum, Lorno. – Pani Alton unosi narysowaną ołówkiem, nieco rozmazaną brew. – Doskonale zdaję sobie sprawę, że stawki, nawet w przypadku bardziej efektownych domów, są raczej umiarkowane.

Lorna się rumieni ze wstydu, bo zakładała, że ani pani Alton, ani Dill nie mają pojęcia o ślubnym biznesie.

– Ponadto wiesz na pewno, że niełatwo o klientów, dopóki nie zdobędzie się odpowiedniej renomy. Młode pary są na tym punkcie nieznośnie przeczulone. Jednakże ja widzę, młoda damo, że nie brakuje ci wyobraźni, dobrego smaku i... – w oczach mówiącej te słowa pojawił się szelmowski błysk – hartu ducha.

Chociaż Lorna nie wątpi, że to zwykle pochlebstwo, mile ją łechce myśl, że jest młodą damą z hartem ducha. To takie staroświeckie sformułowanie. Musi pamiętać, żeby zacytować je dzieciakom w swojej klasie.

Uśmiech na twarzy pani Alton tężeje.

– Nie mam już zdrowia na trwanie w niepewności. Powiedz mi, decydujesz się zostać moim gościem?

*

– Przykro mi, skarbie, lecz w tym miesiącu absolutnie nie widzę szansy na

pomieszkiwanie w Dworze Ropuchy. – Jon naciska gaz, żwir pryska spod kół. Jest pogodny wieczór, powietrze pachnie deszczem, wiatr rozwiewa chmury na kopule nieba. – Nie mogę wziąć więcej wolnego. Nie teraz, kiedy robimy ten duży projekt w Bow...

– Nie przejmuj się – wzdycha Lorna, grzebiąc w schowku w poszukiwaniu miętówek. Skręca ją z głodu. Tyle było tych schodów. – Poproszę siostrę.

Atmosfera w aucie nieco gęstnieje. Przez jakiś czas jadą w milczeniu. Kulik wypada im przed maskę i ociera się o błotnik. Na końcu podjazdu Lorna wpatruje się w pogiętą białą tablicę z nazwą domu – świeci w krzakach jak zgubiona chustka do nosa, którą należy zwrócić właścicielowi – i ogarnia ją tęsknota i frustracja. Jest pewna, że teraz, gdy zobaczyła Black Rabbit Hall, nic innego jej nie zadowoli.

Z chrzęstem opon zjeżdżają z wyboistego podjazdu na wiejską drogę. Zostawiają za sobą pianę parasoli leśnej trybuły, za oknami migają uprawne pola. Słupy wysokiego napięcia, drogowskazy, znaki drogowe, kamienne domki w dolinie – to wszystko przywraca poczucie rzeczywistości, wrażenie przejścia do zwykłego świata. Jon poprawia się w fotelu.

– Czy wolno mi zauważyć, że ten Black Rabbit Hall to jakieś kompletnie popaprane miejsce? Jakby żywcem wyjęte z piosenki Kate Bush.

– Jest ciut ekscentryczny – przyznaje Lorna, odwijając lepka miętówkę. – Ale już go kocham.

Kąciki jego ust drgają w uśmiechu.

– Tak samo jak pchle targi i sklepy ze starzyzną zalatujące sikami?

Rzuca w niego papierkiem od cukierka.

– Tam wcale nie pachnie siuškami! – parska śmiechem.

– Przynajmniej tak jest w tym lumpeksie, gdzie wywalasz kilka funtów na coś, co rozłazi się w szwach. – Trochę zbyt gwałtownie zmienia bieg. Lorna zawsze potrafi poznać u niego zmianę nastroju po sposobie przerzucania biegów. Coś go męczy. – Pozostaje jeszcze drobny problem szczurów, moja piękna, które ten utyłany kundel ma podobno łapać. Przynajmniej po to został kupiony.

– Och, wszędzie na wsiach są szczury – stwierdza Lorna autorytatywnie, chociaż nie ma pojęcia, czy tak jest.

– Właśnie tego chciałem na własnym weselu. Rzyka dżumy dymienicznej.

Lorna odwija następną miętówkę, wsuwa mu do ust, muska go po całodziennym zaroście i wpycha cukierka głębiej. Jon przygryza jej palec i więzi. Ona czuje nacisk krawędzi zębów – chyba zabolę, jednak nie – wilgotne ciepło języka omiata opuszek, co budzi skurecz w okolicy żołądka. Ich oczy spotykają się i jarzą w lusterku. To właśnie takie starcia i spięcia są zawsze podniecające. Oni tak bardzo różni – Jon, opanowany, rozważny, z darem upraszczania wszelkich sytuacji, i ona, impulsywna, kierująca się intuicją, ze skłonnością do szukania dziury w całym – zazwyczaj dobrze się zgadzają. Ale czasem, co prawda rzadko,

kiedy nie dochodzą do porozumienia – przeważnie w istotnych sprawach – te różnice mogą ich od siebie oddalić.

Jon, nie odrywając oczu od lusterka, uwalnia jej palec. Lorna odwraca się do okna, wkurzona na siebie za trawiące ją podniecenie.

– Lorno, wiem, że zakochałaś się w tym domu. – Ich oczy spotykają się w lusterku. – Ja też chcę go pokochać.

– Ale postanowiłeś, że go nie pokochasz.

Włącza radio, kręci srebrną gałką, żeby zmienić nastrój. Jednak skoczne tony działają na nerwy. Lorna ścisza głos w odpowiedzi.

– Uważam, że lepiej będzie powierzyć organizację wesela twojemu siostrzeńcowi niż Dill.

– To nie fair. Polubiłam Dill.

– Ja też. Ale wydaje mi się, że ona ostatnie tysiąc lat spędziła na opróżnianiu nocników pani Alton i poza nią raczej nikogo więcej nie widuje, nie mówiąc już o organizowaniu przyjęć. – Skręca szybę i wpuszcza do wnętrza ciepłe, wilgotne powietrze. – Według mnie opieka społeczna nie puka tam do drzwi tylko dlatego, że jaśnie pani zadziera nosa.

Powiew świeżego powietrza na nowo rozpala entuzjazm Lorny.

– Och, zapomnijmy na chwilę o Dill, pani Alton i całej reszcie! – Przymyka powieki, czując jak rozwiane włosy łaskoczą ją w szyję. – Wyobraź sobie ten dom pełen tańczących ludzi! Światła w ogrodzie! Dzieciaki...

– Thukące antyki. Błąkające się po lesie – przerywa jej oschle.

– Jon, temu domowi potrzeba trochę życia, odrobiny miłości, nic więcej.

– I co najmniej z pół tysiaka funtów na naprawy. Te wiadra nie dodawały mu urody.

– Oj tam, nikt nie będzie zwracał uwagi na pojedyncze przecieki. – Hmm, nikt poza Lorraine, matką Jona, majestatyczną kwintesencją matriarchatu – botoks, bmw kabriolet, wielkie serce – która nigdy nie rezygnuje z poskarżenia się szefostwu kawiarni na papier toaletowy leżący na podłodze w damskiej toalecie czy smugi na kieliszku do wina. Dorastała w niewyobrażalnej biedzie, a teraz, jako osoba bardzo zamożna, kieruje się zasadą negocjowania wszystkiego, co nie nosi znamion luksusu i perfekcji. – Spodoba im się, że raz przeżyją coś innego.

– Tak – uśmiecha się Jon. – Niewątpliwie będzie inaczej.

– Słuchaj, to jest ten dom. Zwiedzałam go z mamą. Nawet tata tak uważa – dodaje, tylko ciut podkolorowując.

– Twój staruszek, niech go Bóg zachowa w dobrym zdrowiu, jest niezwykle wiarygodnym źródłem precyzyjnych informacji. – Jeszcze niżej opuszcza szybę i wystawia łokieć za okno.

– Black Rabbit Hall ma duszę. I to się liczy – oznajmia stanowczo Lorna.

– I suchy murz. – Jon nie daje za wygraną, wyprzedzając rozklekotaną

cortinę z zapalonymi światłami przeciwmgielnymi i osmaloną rurą wydechową plującą spalinami. – Wcale mi się nie uśmiecha płacić za przywilej odgrywania paniska z wyższych sfer przez jeden dzień. Wielkie dzięki.

Lorna jest bliska łez. Owszem wie, że głupio byłoby się rozplakać z powodu miejsca na wesele, jakby to była jakaś gardłowa sprawa, ale ledwo nad sobą panuje. I nie chodzi tu o jakieś wydumane aspiracje. Obie z siostrą przeżywały tortury przez niepojęty snobizm matki, która miała zwyczaj opowiadać matkom jej koleżanek, że tata kieruje profesjonalnym serwisem usług samochodowych, a przecież był taksówkarzem.

– Przepraszam. – Jon wyciąga rękę, zadziera dół żółtej sukienki i nie odrywając oczu od drogi, kładzie dłoń na jej gołym kolanie. – Wiem, że Kornwalia jest... – zerka na Lornę i się waha, szukając odpowiednich słów – dla ciebie szczególnym miejscem.

– Nie próbuj dorabiać do tego jakiejś ideologii, Jon – ucina szybko, żeby go zniechęcić. Wie, co stara się sugerować, lecz ona nie chce zmierzać w tym kierunku. – Po prostu dom jest niesamowity, wręcz idealne miejsce na nasz ślub.

Przez chwilę jadą w milczeniu. Zielone pola po zmroku zmieniły się w grafitowe kwadraty i już nie wyglądają tak swojsko. Jon na rozstajach zjeżdża na pobocze, odwraca się do niej i patrzy na nią czułymi ciepłymi oczami, od których trudno odwrócić wzrok.

– Lorno, ja tylko chcę, żebyśmy się pobrali, i nic więcej. – Przechodzi na dialekt cockney, czym zawsze potrafi ją rozbawić. – Żebyś była moją kobietą.

– Będę.

– A ślub to sprawa wyłącznie nas dwojga.

– Zawsze tak jest.

Jon odgarnia jasne włosy z twarzy. Atmosfera znowu zdaje się gęstnieć.

– W takim razie dlaczego nie mogę się pozbyć wrażenia, że odkąd przestąpiliśmy próg tego domu, chodzi tu o coś jeszcze?

– Nie wiem, co ty... – Urywa wstrząśnięta, bo dociera do niej, że rzeczywiście on ma rację. Jest coś jeszcze: irracjonalne, przemożne przyciąganie, którego sama nie rozumie i nie potrafi wytłumaczyć.

– No, już dobrze – mówi Jon, jakby czytał w jej myślach. – Pędzimy na kolację, co? – Gwałtownie dodaje gazu.

Lorna odwraca się, przyciągana pasem do fotela w nadziei, że z daleka po raz ostatni rzuci okiem na dom. Ale on zniknął, został wiele mil za nimi. Niebo czernieje. Gęsta mgła osiada na żywopłotach i wiruje w światłach reflektorów. Tak jak zapamiętane sny potrafią towarzyszyć jeszcze za dnia, tak wspomnienie Black Rabbit Hall nie opuszcza Lorny przez całą noc i następne dni: zapach wosku, szum globusa; pyszny, słonawy smak przeszłości na uniesionym koniuszku języka.

Rozdział ósmy

Amber
Sierpień 1968

– Ten dom potrzebuje kobiecej ręki – mówi Peggy. Przycisza głos, skrepowana tak samo jak wszyscy, gdy wkraczają na terytorium zmarłej Mamy. – Tego tu właśnie brakuje. Wpuśćmy trochę powietrza i światła, co? To już pięć miesięcy – Panie świeć nad jej duszą – a pan Alton nie pozwala niczego ruszać w garderobie Nancy, jakby to było jakieś mauzoleum. Dostaję tutaj gęziej skórki.

Żabki zasłon dzwonią o karnisz. Wąska smuga światła wpada przez szczelinę w drzwiach. Kulę się w chmurze futrzanej podbitki płaszcza i przyciskam plecami do tylnej ściany szafy. Zawsze lubiłam tę szafę Mamy, przepastną, na lwich łapach. Wygląda tak, jakby lada chwila miała poczłapać przed siebie z wypiętym brzuchem pełnym jedwabnych sukien, futer (sobole, renifer, lisy), chybotliwych stosów okrągłych pudeł i nadgryzionych przez mole kaszmirów. To ostatnie miejsce w całej posiadłości ciągle tak mocno pachnące Mamą: woskowa woń szminki w połyskliwej złotej oprawce, skórzany zapach starego siodła, drożdżowochlebowy posmak jej skóry rano, jeszcze przed prysznicem. Mama jest dla mnie zapachem. Ona by to zrozumiała, wachała nas bez przerwy. Jednak obawiam się, że Peggy i Annie widziałyby w tym dziwactwo, a tata nie życzy sobie, abyśmy tu przychodzili i czegokolwiek dotykali. Dlatego siedzę cicho i staram się nie poruszyć.

– W tym domu jest jakoś wiecznie ciemno – ciągnie Peggy, wzdychając ze świstem przez zęby. – Ciemno i duszno, obojętnie, ile okien otwieram.

Też zaczynam to dostrzegać. Bez pogodnej, beztroskiej obecności Mamy Black Rabbit Hall wydaje się ociężały i niemrawy, jakby niezdolny do ruchu ze starości i znużenia.

– No, a dzieci nie ułatwiają życia – podchwytuje skwapliwie Annie, sądząc, że Peggy robi aluzję do jej sprzątanania. – Mogłabym usypywać wydmy z piasku z chodnika na schodach. I wiecznie roznoszą błoto po całym domu. A w łazienkach na kafelkach stoją kałuże wody. Za mało mi płacą, Pegs, powinnam więcej dostawać.

– Dajże spokój, Annie... – W głosie Peggy pobrzmiewa irytacja. – Nie czas na to.

– Nigdy nie widziałam, żeby dzieci tak szybko zdziczały. Wyglądają jak dzikusy. I są dzikie, Peggy, dziksze niż jakiegokolwiek dzieciaki z bogobojnej

rodziny, a co tu dopiero mówić o takim wielkim państwie jak Altonowie. Cała wieś o tym gada.

– A niech sobie gadają. – Słyszę jęknięcie sprężyn; to Peggy musiała usiąść na bladoniebieskim szezlongu Mamy stojącym pod oknem. – Skoro nie mają nic lepszego do roboty od plotkowania o nieszczęsnych dzieciakach, które zostały bez mamy.

– Ja tylko mówię, że to nie są te same ułożone, miastowe dzieci, które wysiadły z pociągu z Londynu na początku lata, i tyle – mruczy Annie pod nosem, froterując podłogę.

– Nie – mówi, wzdychając, Peggy. – Nie są.

Ledwo pamiętam tamten dzień z początku lipca: rano wyjazd ze stacji Paddington, wieczorem łoskot rozsuwanych drzwi wagonu, Toby wyrzucający torbę na rozgrzany słońcem peron. Jakby całą wieczność temu.

Po pogrzebie Mamy tata uznał, że najlepiej dla nas wszystkich będzie żyć tak, jakby się nic nie zmieniło. Następnego dnia Toby jak zwykle wyjechał do szkoły z internatem; ja, Kitty i Barney wróciliśmy na Fitzroy Square i do londyńskiej szkoły. Szybko wciągnęliśmy się w rytm letniego trymestru; nasze połamane życia trzymały w karchach ciasne, elastyczne, białe podkolanówki i rozkład dnia pilnie przestrzegany przez nową, poważną nianię, Meg, która z pasmem siwych włosów przypomina borsuka i ciągle powtarza: „Już, już, wszystko będzie dobrze”, chociaż wcale się na to nie zanosí.

Kiedy teraz z perspektywy czasu patrzę na tamten okres, nie jestem pewna, czy to rzeczywiście ja siedziałam w ławce z wyżłobionym rowkiem na pióra i rwałam się do odpowiedzi na pytania o szekspirowskiego Prospera i osmozę, aby udowodnić, że nadal jestem tą samą prymuską i że wszystko pozostało jak dawniej. Dyskutowałam z Matildą o walorach karmelków ze szkolnego sklepiu, jakbym nadal żyła w świecie, gdzie smak cukierków ma jakiegokolwiek znaczenie. Odnoszę wrażenie, że ktoś mnie grał, a ja siedziałam skulona gdzieś indziej i obejmując głowę ramionami, próbowałam się bronić przed obezwładniającym smutkiem, który dopadał mnie bez ostrzeżenia, rozczapierzając krwawe pazury.

Przynajmniej dni szybko mijały; znikwały tak samo niezauważalnie, jak się pojawiały, niczego po sobie nie zostawiając; wszystko wydawało się błahe i nieistotne, a ja straszliwie tęskniłam za Tobym. Nie wiadomo kiedy nadeszło uroczyste zakończenie roku; sztandar na wietrze, dojrzałe truskawki z bitą śmietaną, przenikliwy gwizdek ogłaszający start i tupot bosych stóp zawzięcie ścigających się matek w zwiewnych, pastelowych sukienkach – lecz już bez mojej Mamy, która zawsze wygrywała te zawody, pełna gracji i zwinna jak łania. I tak zaczęły się wakacje. Nadszedł czas wyjazdu na lato do Black Rabbit Hall. Bo Altonowie zawsze się tam przenosili na początku lipca. Nic nie ma prawa tego zmienić.

Nawet ja poniekąd w to uwierzyłam; liczyłam, że Black Rabbit Hall ma taką siłę oddziaływania, że wszyscy po prostu wrócimy do dnia sprzed burzy i zastanę tam Mamę; widziałam, jak wbiega do morza, a ozdobione koralikami wiązania bikini podskakują jej z tyłu na szyi.

Do czasu wyjazdu do Kornwalii, leżąc w swoim łóżku na Fitzroy Square, wyczarowywałam w myślach to wszystko: pojękujące rury, przestrzeń, bezpieczeństwo. Jednak kiedy się tu znaleźliśmy, nic nie było takie samo. Znikło poczucie bezpieczeństwa, pozostała jedynie nieokiełznana, maniakalna wolność.

– Ich matka nie tolerowałaby tego łązgowania po okolicy od świtu do nocy – odzywa się Annie, wyrrywając mnie z zamyślenia. – To nawet jak na Amerykankę za dużo, Pegs.

Mam ochotę wykrzyknąć, że Mama nie miałaby nic przeciwko. Sama wyciągała nas z łóżek na oglądanie wschodu słońca. Marudnych, a jednocześnie szczęśliwych, wsadzała do samochodu, a potem owinięci w koce, ziewając i przecierając zaspane oczy, popijaliśmy z termosu gorącą czekoladę.

Jednak po chwili ogarniają mnie wątpliwości; coraz trudniej przewidzieć, co pomyślałaby Mama. Albo przywołać z pamięci jej twarz, tę prawdziwą, a nie z fotografii. Wyraźniej pamiętam zupełnie przypadkowe szczegóły: uśmiech z okruszkiem herbatnika przyklejonym do szminki na ustach, wzór piegów na nosie. A czasem we śnie słyszę jej głos: „Skarbie, pomożesz mi rano w stajni? Naleśniki czy racuszki? Peggy czeka na odpowiedź” – i wtedy zrywam się ze snu, przekonana, że znajdę ją w pokoju. Niestety, nie ma jej. Nigdy nie ma.

Sto pięćdziesiąt trzy dni temu żyła. I robiła się starsza. Już się nie zestarzeje. W kwietniu przypadały czterdzieste pierwsze urodziny Mamy. (Wyobrażałam ją sobie w brązowej sukience, tej, do której nakładała kolczyki z tygrysimi okami, tak ładnie podkreślającymi rudy kolor jej włosów i zieleń oczu w odcieniu sałaty). Posadziliśmy platan na Fitzroy Square i zapaliliśmy świeczkę na torcie polanym różowym lukrem i ozdobionym miniaturową amerykańską flagą, zawieszoną na słonce do cocktaili. Kiedy się rozchodziliśmy z ustami pełnymi lukru i biszkoptowego ciasta, zastanawiałam się, ile razy będziemy obchodzić jej urodziny. W przypadku osób zmarłych można je celebrować bez końca. Czy przestaniemy, gdy osiągnie wiek odpowiedni do umierania? Osiemdziesiąt lat? A może siedemdziesiąt pięć? Tata nie odpowiedział.

My z Tobym w maju skończyliśmy piętnaście lat. Ponieważ nie znieśliśmy urodzinowego przyjęcia, tata zabrał nas na film na Leicester Square; wyszliśmy chwiejnie z ciemnego, dusznego kina, w ogóle nie pamiętając, cośmy widzieli. Z koleżanek jedynie Matildzie powiedziałam o urodzinach, bo czułam się wciąż skrępowana jako Ta Dziewczynka, Której Umarła Mama. Swego czasu dyrektorka zorganizowała specjalny apel – tortura! – i nie chcę więcej ściągać na siebie uwagi.

Natomiast przyciągam uwagę poza szkołą. Nigdy wcześniej mężczyźni nie przyglądali mi się w taki sposób na ulicy. Prawdę mówiąc, całkiem mi się to podoba. A Toby w zeszłym tygodniu chciał pobić chudego chłopaka o wyłupiastych oczach, który palił papierosa, oparty o czerwoną budkę telefoniczną we wsi.

Poprawiam się w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji. Teraz czuję, że znowu mam dłuższe nogi, te moje nogi flaminga sięgające szyi. W ogóle cała urosłam o kolejne pół cala, choć Toby nie przyjmuje tego do wiadomości. Zaczęłam nosić prawdziwy biustonosz. (Nigdy bardziej nie brakowało mi Mamy niż w tamtej ciasnej przymierzalni w butiku Rigby and Peller, gdy zdejmowałam bluzkę pod krytycznym okiem Meg, naszej nowej opiekunki). To wielka ulga, że wreszcie mam kobiece ciało, bo nie czuję się już w środku dziewczynką. Nie można się czuć dzieckiem, skoro się nie ma matki – wyjaśniłam Matildzie. Pokolenia przeskakują jak miesiące w roku przestępnym. Musisz dorosnąć.

Barney i Kitty też nie mają Mamy, tylko wyrwę w miejscu, gdzie kiedyś była. A ja, jako starsza siostra, muszę próbować tę lukę wypełniać.

Słabo mi wychodzi zastępowanie Mamy – bajki na dobranoc, całowanie obtartego kolanka, rozczesywanie splątanych dziecinnych włosów – lecz staram się ją naśladować i mam nadzieję, że to chyba lepsze niż nic. Pamiętałam, żeby włożyć Barneyowi pieniążek pod poduszkę, kiedy wypadł mu mleczak. Nakryłam kocem nakrapianego siwka na biegunach, bo jego widok przypomniawszy mu Rycerza i uderzył w płacz. Upycham pakuły w Gałgankę, kiedy wyłażą ze szwów, i kontynuuję rytuał układania lalki do snu w kołysce i otulania jej koronkową kapką. Martwię się, że Kitty jest zbyt radosna – „martwienie się to rola matki” – i nie rozumie ostateczności tego, co się stało. Wczoraj widziałam, jak jeździła z Gałganką koło stajni i szukała Mamy. Przejmuję się, gdy Barney moczy się w nocy albo wlewa wrzątek do mrowiska przy tarasie. Ostrzegam tatę, że malec opuści się w nauce, i wspominam o zasiusianym łóżku, a on odpowiada cicho, że nie ma pojęcia, co by beze mnie zrobił. Czuję się dumna, ale jednocześnie oblatuje mnie strach. Walczy we mnie chęć uwolnienia się od rodzeństwa z pragnieniem trzymania go jak najbliżej siebie. Bywa, że trochę popłakuję. Jest tak, jakby ktoś łyżką do lodów żłobił mi dziurę w sercu, i wtedy chowam się w szafie Mamy i udaję, że zwisające jedwabne szaliki to jej długie włosy.

Dzisiaj tu przyszłam, bo Boris podczas śniadania przyniósł w pysku drewnianą szczotkę do włosów Mamy firmy Manson and Pearson. Ciągłe są na niej jej miedzianorude włosy. Zawsze zaglądam do szafy, kiedy budzę się rano i przez krótką, szczęśliwą chwilę nie pamiętam, że ona nie żyje, zanim sobie przypomnę. Albo otwierając drzwi do bawialni, spodziewam się, że ujrzę jej stopy w pończochach oparte na niskim stołeczku, a tam ich nie ma, i wtedy ogarniają mnie czarne myśli. Jak jej stopy teraz wyglądają? Czy zmieniły się w kupkę

kredowobiałych kostek jak te ze zbiorów Toby'ego?

Najdłużej przesiedziałam w szafie w pierwszym tygodniu tych letnich wakacji; wtedy Peggy w przypiływie pracowitości zaczęła wyrzucać ze spiżarni zapasy, które zdążyły się przeterminować od naszego ostatniego pobytu – od Wielkanocy – czyli wszystko, co jedliśmy za życia Mamy. Toby też się zdenerwował. A Peggy stwierdziła, że spożywanie produktów po upływie terminu ważności jest niezdrowe i możemy dostać robaków.

Na szczęście Toby'emu udało się wyciągnąć dla mnie z kosza na odpadki napoczęty słoiczek mięsnego ekstraktu Bovril. Ukryłam go bezpiecznie w szufladzie z majtkami. Odkręcam pokrywkę i czuję zapach kanapek, które jadłyśmy z Mamą w szczęśliwe, leniwe sobotnie poranki. Dziewczynka, jaką byłam – cicha, ufna, pewna siebie i swojej przyszłości – jest gdzieś w tym umazanym słoiczku z ciemnego szkła.

W Tobym też się coś przeterminowało. Nie wiem dokładnie co, ale on, zawsze taki spokojny, teraz często się wścieka: na Mamę za to, że umarła; na mnie za to, że nie jestem Mamą; na Barneya, że wtedy pobiegł za królikiem, i za to, że już za nimi nie biega; na tatę, że się zamknął w sobie – zupełnie jakby odcięto mu prąd, i teraz czeka, aż ktoś go podłączy. W takich chwilach nie lubię być blisko Toby'ego, bo jego gniew albo mnie przytłacza, albo wsącza się we mnie jak woda morska w wykopaną dziurę w piasku na plaży.

Czasami jednak dostrzegam w nim dawnego Toby'ego. Łatwiej mi doszukać się w nim tamtego Toby'ego niż we mnie dawnej siebie. Myślę, że w jego przypadku jest tak samo. Nadal śmiejemy się z głupstw. I wtedy czuję, że zachowujemy się nielojalnie wobec Mamy. Jednak jest jeszcze gorzej, kiedy się w ogóle nie śmiejemy. Nie wiadomo skąd biorą się te niespodziewane napady przelotnej głupawki; takie rozżarzone węgielki strzelające na wilgotną ziemię. A więc wszystko jest możliwe – jak mawiała Mama. Może większość, nie wszystko. Na pewno nie pójde szukać Mamy w stajni, jak Kitty.

Auu. Łapie mnie skurcz. Prostuję nogę, przy okazji niechcący pukam butem o dno szafy.

– Co to było? – pyta Peggy. – Słyszałaś coś, Annie?

Nieruchomieję z sercem w gardle, bo co im powiem, jak mnie tu odkryją?

– Nie jestem pewna.

– To znowu te cholerne myszy.

Oddycham z ulgą w złożone dłonie.

– O czym to ja mówiłam? Aha, no tak, grzecznie nadmieniłam panu Altonowi, że te dzieciaki potrzebują silnej ręki. Szczególnie Toby. Wiesz, że on w zeszłym tygodniu spał w lesie na pośłaniu z gałęzi?

– To on, nie ja, powinien o tym wiedzieć. A co na to pan?

– Że z Tobym ma same utrapienia – różne problemy w szkole – dopóki więc

jest zadowolony i nie przysparza kłopotów, to niech sobie robi, co chce. Oj, ale czy ja wykrochmaliłam białe koszule pana na ten wyjazd do Paryża?

– Coś mi się widzi, Pegs, że on chce mieć je z głowy.

Żołądek mi się zaciska. Czy to może być prawda? Nie, niemożliwe.

– Dzielne z nich dzieciaki. Bóg jeden wie, jakim cudem tak się trzymają.

– Taak. Też nie wiem, Pegs. – Głos Annie się łamie. – Barney się zrobił...

cichy jak myszka. A Toby, hmm...

– Toby się uspokoi – orzeka Peggy. – Już Amber tego dopilnuje.

– Pegs, ona jest za młoda na te wszystkie obowiązki.

– Czas leczy rany. Musimy o tym pamiętać.

Wszyscy to mówią. Albo jeszcze gorzej: „Za jakiś czas lepiej się poczujecie”. To jak obiecywanie komuś, kto stracił nogę, że za jakiś czas odrośnie mu nowa. Ja nie chcę poczuć się lepiej. Nie chcę nigdy zapomnieć Mamy.

– Cóż, oby miał tyle rozumu, żeby się ponownie ożenić – mówi Annie. – I to jak najszybciej.

– Ponownie ożenić? – podchwytuje piskliwie Peggy.

– Pegs, w programie *The Anchor* nieraz jest o tym mowa. Jak on da sobie radę bez żony z czwórką rozpuszczonych dzieciaków? Temu mężczyźnie koniecznie potrzebna jest żona.

Zatykam usta kawałkiem futra, żeby nie wykrzyknąć: tata się nigdy nie ożeni, bo drugiej takiej jak Mama nie znajdzie! Babcia Esme wiele razy mi opowiadała – to już część rodzinnej legendy – że w swoim czasie przedstawiała tatę „wielu pannom zrobionym na bóstwa w sezonie polowań na mężów”. Żadna mu się nie spodobała. „Ten mały nicpoń, twój tata, doprowadził do rozpacznej młodą angielską damę”. W oczach babci zawsze zapalały się wesołe ogniki, kiedy przechodziła do ulubionej części opowieści o tym, jak tata na przyjęciu poznał „córkę właściciela ziemskiego z Ameryki z ognistymi rudymi włosami i z absolutnie niestosownym śmiechem”. No i wpadł po uszy. „Zachowywał się jak chory z miłości psiak” – mówiła, kręcąc przy tym głową, aż trząsał się jej podbródek. „Ani mnie, ani dziadkowi nie udawało się przemówić mu do rozsądku. Oboje kładliśmy mu do głowy, że taka Amerykanka nie odnajdzie się w twardych kornwalijskich warunkach”. W tym miejscu babcia przerywała, żeby cmoknąć mnie w czoło, i puentowała: „Jak bardzo się myliliśmy! Dobrze się stało, że był głuchy na nasze gadanie. Oj, dobrze”. Na myśl o babci zaczynam strasznie za nią tęsknić. Szkoda, że jest za stara, żeby przyjeżdżać do Black Rabbit Hall tak często jak kiedyś.

– Hmm... – Peggy jest wyraźnie przejęta. – Kobieta, która się zdecyduje przejąć taką gromadkę, musi być bardzo odważna.

– Ty się nadajesz, Pegs.

– Annie!

– No co? Jemu potrzebna jest bardziej atrakcyjna wersja ciebie, no nie? Ktoś praktyczny. Troskliwy. Ooch, Pegs, ty się czerwienisz!

Uśmiecham się w sobolowe futro. One obie kompletnie zwariowały.

– No wiesz, Annie. Gdyby ktoś to usłyszał...

– Przecież on jest lepszy od zapijaczonych rybaków, którzy depczą po palcach na wiejskich potańcówkach!

– To oczywiste.

– Nie należy też do chamów porzucających kobietę przed ołtarzem.

– Annie, na miłość boską... – Słyszę rozżalenie i gniew w głosie Peggy. A więc opowieść Toby'ego o jej przeszłości jest prawdziwa. Och, biedna kobieta.

– Oj, przepraszam cię, Pegs. Ja tylko usiłuję powiedzieć, że nasz pan Alton nie będzie długo obrastał kurzem na półce dla wdowców, zapamiętaj moje słowa. O... rany! – zacina się zażenowana. – Toby! My właśnie... posprzątałyśmy trochę w pokoju twojej mamy...

– Szukam Amber. – Domyślam się z burkliwego tonu jego głosu, że słyszał końcówkę tej rozmowy. – Widziałyście moją siostrę?

*

– Ale się ciebie naszukałem. – Toby stoi przy oknie w mojej sypialni. Drapie się po umięśnionej łydce dużym paluchem drugiej nogi. Podeszwa stopy jest zrogowaciała i brudna. Żadne z nas od tygodni nie chodzi w butach. W zgięciach pod kolanami nadal ma zaschnięte siwe błoto z rzeki. – Gdzie byłaś?

– Tu i tam. – Kładę się na łóżku, naciągając na kolana dół szyfonowej minisukienki Mamy, i udaję, że czytam list od cioci Bay. (Przeczytałam go już pięć razy i znam prawie na pamięć).

Potrzebuję jednego miejsca, które byłoby wyłącznie i niepodzielnie moje.

Toby, dziś niespokojny i pobudzony, w samych tylko postrzępionych krótkich spodenkach, opiera się rękami o ramę okienną i przechyla do przodu, jakby się szykował do walki. Łopatki sterczą mu na śniadych plecach jak płetwy. Dzięki pływaniu i wspinaczce wysmukłał i zmęźniał, na chudych kiedyś barkach i ramionach uwypuklają się mięśnie. Zmierzwiłone kędziory pojaśniały od słońca połyskują jak ognisko. Na palcach płamy z jeżynowego soku. Annie ma rację. On wygląda jak dzikus.

– I co tam ciocia Bay pisze?

– Sprzedała obraz. Na diecie zrzuciła w biodrach dwa i pół centymetra. Och, i w Chelsea Hotel znalazła domy dla wszystkich kociąt. Dobrze, że się udało, nie? Mogą dalej być blisko siebie. Straszne, jak się pomyśli, że takie kociaki są rozdzielane...

Toby przewraca oczami, udając, że to wszystko go nic a nic nie obchodzi. Ale my oboje uwielbiamy listy od ciotki. Zaskakują brakiem regularności, czasami

przychodzą nawet trzy lub cztery w miesiącu – żywe, spontaniczne, pisane zapętlonym, trudnym do odcyfrowania charakterem pisma – a czyta się je jak rozmowę. Potem ciocia milczy całymi tygodniami, co też jest krzepiąco zgodne z jej charakterem.

– Niedługo ma przyjechać.

– Boże, błagam, niech tylko znowu nie pływa w rzece na golasa. – Toby zrobił się dziwny, jeśli chodzi o nagość. Zresztą ja też. Drzwi do łazienki zamykamy na zasuwkę, kiedy któreś z nas się kąpie. – Gdzie dzieciaki?

– Bałaganią w sali balowej.

Toby chwytą się parapetu, odbija się od podłogi i opiera stopy o ścianę, jak pływak przed skokiem z brzegu basenu.

– Amber, chcę, żebyśmy czegoś skosztowali.

Nie lubię, kiedy używa liczby mnogiej.

– Bo zarwiesz parapet.

Niemal bezszelestnie zeskakuje na podłogę.

– Odłóż wreszcie ten list, co? Wiem, że czytałaś go ze sto razy.

Wsuwam kartkę w szparę pomiędzy łóżkiem i ścianą.

– Posuń się. – Układa się na łóżku obok mnie. Czuję na ramieniu dotyk gorącej, suchej skóry. Zalatuje od niego potem i śledziami. Zakłada ukośnie na moje nogi jedną swoją. Zaskakuje mnie jej ciężar i myślę o tym, jak czas rozdzielił te kiedyś tak bardzo podobne do siebie ciała. Nikt nie powie teraz o nim, że jest ładny. Tak szybko się zmienia.

– Amber – zaczyna i z twarzą podpartą na dłoni wpatruje się we mnie z napięciem spod płomiennych rzęs.

– Co?

– Sercówki. Chcę, żebyśmy zjedli sercówki.

– Przecież nieraz je jedliśmy.

– Surowe. Takie oderwane od skał. – Obdarza mnie uśmiechem szaleńca.

– Nie, dzięki. To jakiś porąbany pomysł. – Śmieje się. – Pochorowalibyśmy się.

– A widzisz, wcale nie. Kiedyś ludzie tak zawsze robili. – Zsuwa się na krawędź łóżka i siada, zaginając kołdrę. Teraz ja kładę mu bosą stopę na kolana, a powiew z okna łaskocze mnie w paluchy. Toby delikatnie ją podtrzymuje, obejmując palcami piętę. – Musimy się uczyć, jak przetrwać.

Znowu. Tylko nie to. Tak jak mnie obecnie prześladowają myśli o umierających ludziach, tak Toby wyobraża sobie różne przyczyny końca świata. Czyta książki wojenne i opowieści o dramatycznych sytuacjach wymagających schronienia się w dziwnych, dzikich miejscach. Każdego ranka budzi się gotowy stawić czoło zbliżającej się nieuniknionej katastrofie.

– Toby, nie musimy martwić się o przeżycie, a już na pewno nie musimy

jeść surowych małży. Ani tamtej ohydnej zupy z pokrzywy, którą ugotowałaś na ognisku. Jeżeli jesteś głodny, dlaczego nie weźmiesz paru pierniczków ze spiżarni? Albo nie zrobisz sobie kanapki?

Patrzy na mnie, jakbym była niespełna rozumu.

– Do ciebie nic nie dociera.

Zdejmuję nogę z jego kolan i ręką zwieszoną nad podłogą próbuję namacać *Wichrowe Wzgórza*. Co do mnie nie dociera?

– Musimy wiedzieć, jak sobie radzić i zadbać o Kitty i Barneya.

– Jasne. A tata?

– Może umrzeć.

– Nie umrze. – Podnoszę książkę i trzymając ją nad głową, prostuję zagięty róg kartki.

– Wszyscy umierają. Musimy być gotowi na najgorsze. Nieszczęścia się zdarzają.

– Nieszczęście już się wydarzyło.

Kręci głową.

– Mam na myśli gorsze rzeczy.

Szybko przewracam stronę, chociaż wcale jej nie przeczytałam.

– Co gorszego może się stać?

– Nie wiem, ale... przeczuwam, że może. Ciągle mam takie sny. To jest jak.... – Widzę, jak chmurzą mu się oczy, i wiem, że to, o czym w tej chwili myśli, jest dla niego tak samo realne jak książka, którą trzymam w dłoniach.

– Czarna plama się rozlewa. Jakby dziura. Może uderzy w nas meteoryt albo coś w tym rodzaju.

– Meteoryt! – Ślinię palec, gotowa przewrócić kartkę. – Podniecające!

– Nie traktujesz tego poważnie. – Kładzie się na łóżku i patrzy w sufit z ramionami skrzyżowanymi pod głową. Pod pachami ma wilgotne kępki rudego puszk. – Amber?

– Tak?

– Obiecasz mi coś?

Odkładam książkę i gapię się na sufit razem z nim, wyobrażając sobie pokój odwrócony do góry nogami, w taki sposób, że biały sufit staje się podłogą, a lampa z zielonym kloszem sterczy jak samotne drzewo na śnieżnym polu.

– Będziemy się trzymać razem, obojętnie co by się działo?

– Od zawsze mamy taką umowę.

– Przyrzekasz?

– To ustalone. Boris, fuj!

Pies wsuwa się przez drzwi upaprany i mokry. Wygląda jak stwór bagienny.

– Siad! – rzucam komendę, zanim przyjdzie mu do łba dołączyć do nas na łóżku.

– Jest jeszcze coś – odzywa się Toby, czochrając psa stopą po ubłoconych uszach.

– Co?

Powoli unosi w uśmiechu kąciki ust.

– Skosztujesz sercówek?

– Nie ma mowy.

*

Sercówki nie wydają się aż tak obrzydliwe, jak myślałam; po prostu są bardziej śliskie, słone, no i żywe. Mówię „przepraszam” do każdej, którą połykam. Następnym razem zdecydowanie zaatakuję spiżarnię.

– Widzisz, jak chcesz, to masz jaja – nabija się ze mnie Toby. Wiem, że w gruncie rzeczy jest pod wrażeniem. Za życia Mamy nie wzięłabym do ust surowych sercówek, ale po jej śmierci błahe rzeczy nie robią takiego wrażenia. Zadrapanie na stopie nie boli, gdy krwawi rana na głowie. W każdym razie jem te małże dla Toby’ego.

– Twoja kolej – rzucam mu płaskiego otoczaka. Odłupuje muszlę. Nachodzi mnie myśl, że my wszyscy jesteśmy trochę jak te sercówki, przyklejeni mocno do naszej skały – tego, co pozostało z rodziny – kiedy wiry usiłują nas wciągnąć pod wodę.

– Złapałem! – Podskakuje tak zręcznie, jakby ważył tyle co piórko. Nic dziwnego, że ma bez przerwy kłopoty w szkole. Nie potrafi usiedzieć na miejscu dłużej niż pół minuty.

– Amber. – Kitty idzie w naszą stronę, grzechocząc wiaderkiem z pozbieranymi na linii brzegu kamykami i muszelkami. Przypatruje się ze zdziwieniem Toby’emu. – Co robisz, Tobes?

– Zdobywam lunch – mówi i wydłubuje galaretowate mięso z muszli, trzyma je na opuszcze, napawając się miną siostrzyczki, po czym nonszalanckim gestem wkłada je do ust.

Mała jest przerażona.

– To sercówka, przyjaciółka Kitty.

– Już nie. Chcesz spróbować?

Dziewczynka zasłania twarz Gałganką.

– Nie!

Toby otwiera kolejną muszlę.

– Barney, nie jesteś głodny?

Malec udaje, że nie słyszy, i dalej miesza zupę z wodorostów w skalnej niecce. Najmniej nieszczęśliwy jest na plaży, daleko od miejsca w lesie, gdzie zginęła Mama. Tylko tu budzi się w nim dawny Barney.

– A ty, co? Też jesteś dziewczyną?

Barney ze łzami w oczach zmusza się do połknięcia surowej sercówki. Zależy mu na uznaniu brata, bo, jak słusznie podejrzewa, Toby częściowo obwinia go o zapoczątkowanie łańcucha zdarzeń, które doprowadziły do śmierci Mamy: pogoń za królikami, konna jazda Mamy z chorą nogą i nie do końca sprawną ręką, no i wszystko, co jeszcze się mogło wydarzyć tamtego dnia i o czym nie wiemy, bo Barney nabrał wody w usta.

Toby burzy mu czuprynę.

– Brawo, Barnes!

– Faj! To jest be! Gałganka chce wracać do Londynu i jeść paluszki rybne Nette. – Kitty podnosi wysoko złachaną z nadmiaru miłości lalkę. – Prawda, Gałganko?

– Nigdy nie wrócę do Londynu – oznajmia Barney i nie mając ochoty na kolejną sercówkę, na wszelki wypadek wycofuje się ku skalnej niecce.

– W przyszłym tygodniu zaczyna się szkoła – mówię, w tej chwili to sobie uświadamiając. Może Toby i Barney wołają bezhołowie Black Rabbit Hall, ale ja tęsknię za koleżankami, nauką i odrobiną kojącej rutyny – narzuconej pory snu i sztywnych zasad, takich jak obowiązek zmiany obuwia w domu czy szczotkowania włosów przed pójściem spać. Poza tym, chociaż to podłe z mojej strony, muszę trochę odetchnąć od Toby’ego.

– Schowam się w zatoczce i nikt mnie nie znajdzie – oznajmia Barney.

– Nie wolno ci nigdy przychodzić tu bez opieki – tłumaczę mu po raz setny. W zeszłym tygodniu w samą porę nakryliśmy go, jak beztrąsko wchodził z siatką do morza. – Podczas przyływu woda sięga do klifu. Może cię zmyć.

– Umiem pływać!

– Tak, lecz wiry wciągną cię pod powierzchnię. Tu się zdarzają dziwne prądy.

Barney podnosi małego kraba za nogę i przygląda się, jak biedak bezradnie wije się w powietrzu.

– Nie chcę wracać do Londynu. Tam jest... – milknie i zastanawia się chwilę – ...ciasno.

Uśmiecham się, ponieważ wiem, co ma na myśli. Lato w Black Rabbit Hall to przestrzeń i brak wytyczonych granic.

Jakiś czas siedzimy w ciszy i rzucamy Borisowi patyki do wody. Czarny kormoran przysiada na skale i prostuje skrzydła. Chmura zasnuwa słońce. Temperatura spada, a morze zmienia barwę z czysto niebieskiej na mętno ciemnozieloną jak woda, w której Kitty moczy pędzelki do malowania.

– Amber? – Kitty, wyziębiona i oblepiona piaskiem, przywiera do moich nóg.

– Taak?

– A Londyn naprawdę jeszcze tam jest?

– Tak, oczywiście.

– A Nette?

– Nette. I niania Meg. I babcia Esme. I twój pokój z elfem na ścianie. Wszystko jest tak, jak było, Kitty – uspokajam ją, naginając nieco prawdę.

– Nie umiem sobie wyobrazić dwóch miejsc naraz – wyznaje ze zmartwioną miną. – Nie widzę w głowie Londynu.

Rzeczywiście czasem trudno uwierzyć, że to miejsce i Londyn istnieją równolegle. Nasze życie tu i tam tak bardzo się różni. „Wypełniony czas jest najlepszym lekarstwem” – twierdzi tata, a to oznacza chodzenie do szkoły, odrabianie lekcji, wizyty w muzeach, podwieczorki u Matildy i u babci, wycieczki do londyńskiego zoo oraz do Muzeum Historii Naturalnej, przymierzanie nowych płaszczy i butów; unormowany tryb życia, ze zorganizowanymi dniami, żebyśmy mieli jak najmniej czasu na myślenie o Mamie. Jednak Black Rabbit Hall to oczywiście zupełnie inna historia. Tutaj zawsze było inaczej. Wszystko powraca.

Wszędzie są duchy, nie tylko Mamy tam, w lesie, ale także nasze, takich jacy byliśmy w tamte długie letnie dni, kiedy ona żyła i niewiele się działo. Smukłe nogi Mamy na plaży, ja i Toby patrzący przez zasłonę aromatycznego dymu znad grilla na tatę całującego Mamę. Kiedy pada deszcz i dostatecznie długo wpatruję się w duże krople spływające po kuchennych oknach, naprawdę widzę tamte chwile, które znikają dopiero wraz z rozpląszczaniem się kropli na parapecie. Mama pojawia się w najdziwniejszych miejscach.

– Wszystko będzie po staremu, gdy tylko wysiądziemy z pociągu. Oj, Kits, ty dygoczesz. Chodź, przytul się do mnie.

Strzepuję z grubsza piasek z jej skóry, owijam ją w mój sweter i opieram podbródek na poduszce z loków. Uwielbiam trzymać Kitty w objęciach – zrobiła się taka pulchniutka od tych wszystkich słodyczy podtykanych jej ze współczucia. Jeżeli nie mogę zasnąć, kładę się przy niej w łóżku. Ona nadal śpi zwinięta jak niemowlę z pupą sterczącą w powietrzu. Bardzo często, budząc się, znajduję Toby’ego w starym fotelu z wytartym obiciem w szkocką kratę, ustawionym naprzeciw łóżka, jakby czuwał nad nami i zmorzył go sen.

– Londyn nadal tam jest – powtarza Kitty, kiedy już mi się wydawało, że temat został zamknięty. – I nasz dom tam jest. Mamy nie ma.

– Tak, Kitty – potwierdzam, uspokojona, że chyba wreszcie to do niej dotarło.

Zadziera głowę.

– A gdzie jest tatuś? – pyta stanowczo.

– Tata jest w Paryżu.

Patrzą na mnie okrągłe niebieskie oczy. Mrugają, trzepocząc jak skrzydła motyla.

– Czemu w Paryżu? Co to Paryż?

– Paryż jest stolicą Niemiec, ty głupku – informuje ją Barney.

– To stolica Francji, Barns. – Toby uderza go po nogach pękiem wodorostów.

Kitty nadal wpatruje się we mnie, nie przestając mrugać.

– Tata jest w Paryżu w interesach – tłumaczę powoli. – Ale wróci do Black Rabbit Hall w weekend. Rozumiesz?

– Do weekendu są całe lata.

– Dwa dni.

Toby siada obok mnie na skale. Poszarzały pod opalenizną, przyciska do brzucha rękę z poziomo zaznaczającymi się mięśniami. Boris wychodzi z morza i otrząsa się, opryskując nas wodą zalatującą zapachem sierści.

– Fuj, tylko tego mi jeszcze potrzeba. – Odpycha go Toby.

Uśmiecham się, bo widzę, co jest grane.

– Tobes, mam ci odłupać jeszcze jedną sercówkę? Co powiesz na małża z odrobiną sosu z wodorostów?

– Nie. Za dużo ich zjadłem.

Wiercę palcami stóp w warstwie pylistego piasku, zapatrzona na ciemniejące morze, i jednocześnie mam oko na Barneya, tak jak Mama w czasach, gdy wolno mi było pozostawać dzieckiem. Kitty podśpiewuje pod nosem. Rozpoznaję melodię, którą Mama nuciła, rozczesując jej włosy.

– Amber – odzywa się Toby po chwili, szturchając mnie kolanem w nogę, żeby przyciągnąć uwagę. – Myślisz, że chodzi o interesy? – pyta, zniżając głos.

– Co? – Odwracam się do niego, nie wiadomo czemu nagle niespokojna.

Chmurzy się, w jego oczach pojawiają się niebezpieczne złotawe błyski.

– No ten wyjazd do Paryża.

– A co innego miałyby tam do roboty?

Rozdział dziewiąty

Wigilia 1968

– Wciągnij brzuch – mówi Peggy i sapie, zapinając mi haftki na plecach.

– Ta sukienka jest za ciasna!

– Zmieścisz się. Szczęściara. Dałabym wszystko za taką figurę. – Odwraca mnie twarzą do siebie. Policzki ma nadal zaróżowione po wczorajszej potańcówce na wsi, włosy ładnie zakręcone i ślady pomadki na obrysie ust. To wszystko uświadamia mi niewiarygodną prawdę, że ona ma jakieś życie poza tym w naszym domu. – No, ślicznie.

– Peggy, ja nie cierpię żółtego koloru. Wyglądam jak żonkil. – Natychmiast staje mi przed oczyma bukiet żonkili w dłoniach Mamy tam, na łóżku.

– Co chcesz od żonkili? Żółty ładnie podkreśla kolor twoich włosów. Ha, jak z obrazka! A mówią, że nie szata zdobi człowieka. No, nie patrz tak na mnie. Jeśli myślisz, że pozwolę ci latać na wpół nago jak latem, to się grubo mylisz. Aha, ktoś tu linieje. – Strzepuje mi z ramienia parę rudych włosów. Rano zajrzałam do garderoby Mamy i otuliłam się jej długim wyjściowym płaszczem obszytym norkami. – Już dobrze.

– Ten warkocz jest za ciasno spleciony. – Pociągam za upięty francuski warkocz, próbując go poluzować. Boris podnosi łeb i patrzy na mnie ze współczuciem.

– Za ciasno! Za luźno! – burczy Peggy pod nosem. Dwie godziny temu była „u granic wytrzymałości”, wolę nie wiedzieć, gdzie może być teraz.

– Chyba zapominasz, że mam piętnaście lat. A nie pięć. Peggy, ja nawet do szkoły nie chodzę z zaplecionymi włosami.

– Amber... – Nagle wygląda na znużoną, twarz jej wiotczeje. – Wiesz, że wasz tata zaprosił eleganckich gości z Londynu i chce was pokazać w jak najlepszym świetle.

Krzywię się, zła, że zaprosił dwie rodziny na święta, na dodatek z dziećmi, jeden chłopak podobno jest w naszym wieku. Chcemy mieć tatę wyłącznie dla siebie. Chcemy być tylko ze sobą.

– Nie rozczaruję go widokiem bandy obdartusów, prawda? Warkocz zostaje.

Upłynęło dziewięć miesięcy od tamtego dnia, gdy Mama w butach do jazdy konnej wyszła z kuchni po swoją śmierć. Ominęły ją takie rzeczy, jak: bladnoróżowy klematis w pełnym rozkwicie na parkanie; drobne, słodkie truskawki z ogródka za kuchnią; szelest żółtozłoty liści w lesie; tydzień w Wenecji jako

niespodzianka z okazji rocznicy ślubu; Noc Ognisk w Regent's Park z powietrzem przesyconym zapachem fajerwerków, dymu i wilgotnej, osmalonej wełny; Święto Dziękczynienia z amerykańskimi przyjaciółmi w klubie na Kensington, skąd zawsze wracała pachnąca papierosami i preclami; świetlne dekoracje świąteczne na Oxford Street; Harrods i tańce; wieczór wigilijny.

W tym roku nie ma śladu świątecznej atmosfery. Kiedy dziś wstaliśmy rano, nie zobaczyliśmy girland z bluszczu na balustradzie schodów, którymi Mama oplatała poręcze i tralki na schodach, ani świeżo ściętych gałązek ostrokrzewu z czerwonymi jagódkami w pękatach wazonach, ani łańcuchów z papierków po cukierkach, które zwykle kleiliśmy razem przy dużym stole w jadalni. W tym roku Peggy wyciągnęła trochę starych świątecznych dekoracji: „zakurzone i zatęchłe” – mruzczała, gdy obwąchiwała kartony z piwnicy, i żeby „wszystkich podnieść na duchu”, z miasteczka St Austell przywiozła błyszczące czerwone i zielone bombki, złotą i fioletową lametę oraz nowe lampki, które rozjarzyły się, zamigotały i zgasły na dobre.

W holu pod ogromną, chybotliwą choinką – darem mieszkańców wsi, bo wszystkim jest nas żal – leży wielka sterta prezentów. Dom pachnie podobnie jak zawsze świerkowymi igłami, drzewnym dymem i ciastem, lecz nie tak samo, bo nie palą się świece Mamy. Peggy woli elektryczne światełka. A więc to nie jest ten sam zapach. Absolutnie nie ten sam.

Ze względu na Barneya i Kitty (i po cichu na Toby'ego, chociaż twierdzi, że mu to wisi) rano próbowałam tworzyć bożonarodzeniowe cacka, tak jak kiedyś Mama. Znalazłam białą bibułkę – tata używa jej do pakowania garniturów – maluchy uformowały z niej kulki, posmarowały je klejem, wyturlały w brokacie i rozwiesiły nad kominkiem w holu. Wyglądają dość głupio, dokładnie jak kule z pogniecionego papieru umazane brokatem, ale Kitty jest zachwycona. Toby rozwiesił obok na sznurku najcenniejsze okazy ze swego zbioru kości – końską szczękę i czaszkę owcy, którą samodzielnie oczyścił z resztek gnijącego mięsa, a potem wypolerował do białości skarpetką. Peggy oczywiście nie może patrzeć na te rzeczy, szczególnie na końską szczękę dyndającą jak dzwonki wietrzne, lecz wie, że Barney i Kitty urządziliby piekło, gdyby spróbowała je tknąć. A ponieważ tata ma niedługo się zjawić, woli nie ryzykować.

– Amber, jeszcze tylko pasek. – Szarpnięciem dociąga szarfę.

– Za ciasno.

Szarpie mocniej, niż to konieczne.

– I pomyśleć, że kiedyś byłaś taka posłuszna. Co się stało z...

Urywa. Wszyscy wiemy, co się stało.

– No, już – mówi łagodniej, przesuwając szarfę, żeby szylkretowa klamra znalazła się centralnie ponad fałdami kloszowej spódnicy. – Będzie dobrze. – Kiwa głową z aprobatą.

Patrzę na nią naburmuszona. Nie chcę chodzić w tej głupiej żółtej sukience. Nie chcę przebywać w Black Rabbit Hall. Przyjazd tutaj – przed trzema dniami – był dla nas takim szokiem jak wejście do morza, nawet jeśli z góry wiadomo, że woda jest lodowata. Chłód wdiera się w każdą cząsteczkę ciała. Ledwo zdążyłam przywyknąć do Londynu po tamtym letnim dryfowaniu. Oczekuje się od nas, że będziemy przeskakiwać z jednego życia w drugie jak akrobaci zawieszeni w powietrzu.

Nie odważyłam się przyznać Toby'emu, że tęsknię za Londynem – widziałby w tym niewybaczalny brak lojalności. On tutaj najlepiej się czuje. Kiedy wszyscy jesteśmy razem. Kocha las. Odludzie. To śmieszne, ale w Black Rabbit Hall Toby najbardziej jest sobą. Nic nie poradzę na to, że w skrytości ducha brakuje mi spokojnych popołudni po szkole w Londynie, spędzanych w pokoju Matildy, gdy pogryzając batoniki Black Jack, malujemy sobie nawzajem paznokcie u nóg krwistoczerwonym lakierem jej siostry i plotkujemy o gwiazdkowych zabawach i o tym, kto z kim się całował. W Londynie potrafię udawać normalną piętnastolatkę. Jakby nigdy nie doszło do tamtego nieszczęścia.

Tutaj to się nie udaje. Nawet największe nawałnice nie zmyły śladu po brunatnej plamie na kamieniu przy stajni. Czaszka Rycerza wisi w gablocie wyłożonej czarnym aksamitem w gabinecie – to chyba sposób taty na przeprosiny za zabicie ulubionego konia Mamy – obok różnych wypchanych zwierząt. Ilekroć ją widzę, słyszę tamto bum, bum, bum. Mam w oczach nitki krwi ciągnące się po posadzce. Wspomnienia rozpychają się w terażniejszości jak ludzie w tłoku.

Świąteczny okres w Londynie pomaga przynajmniej na chwilę o tym wszystkim zapomnieć. Ze sklepów płyną kolędy. Do drzwi pukają kolędnicy. Dłonie parzą ciężkie torebki z prażonymi orzechami. Wszędzie setki, tysiące, miliony poszturchujących łokci, stukających obcasów i siatek wypchanych zakupami. Rytm życia zmusza, czy się tego chce czy nie, do trzymania głowy ponad wodą. Jednak kiedy tutaj zapuszczamy się na wieś, ludzie, patrząc na nas, mocniej trzymają dzieci, jakby zły los mógłby ich rozdzielić. Kto wie, może.

W Londynie jak okiem sięgnąć feeria świateł. Za oknami Black Rabbit Hall bezkresna czerń z gwiazdami, jak dziesiątki błyszczących ćwieków na ścianie w stajni, drwi z wiary, że gdzieś tam, w górze, jest miejsce na niebo. Nie wierzę ani w niebo, ani w Boga. Udaję ze względu na Barneya i Kitty. Wiem, że On nie zwróci nam Mamy, tak samo jak delfinom konającym na plaży nie zwraca oczu wydziobanych przez mewy.

– Samochód na podjeździe! – Peggy nerwowo przygląda włosy i poprawia suknię. – Nie garbić się. Pamiętać o manierach. I, na rany Chrystusa, nie straszcie nikogo opowieściami o wypadku. Będą inne dzieci. Pokażcie im salę balową albo co tam chcecie. Nie, Toby, nie mówię o twojej kolekcji kości. Po prostu postarajcie się zachowywać... normalnie. Niech wasz tata będzie z was dumny. No, idźcie już.

Do holu. Na co czekacie? Czego stoicie jak słupy soli? Ruszcie się.

*

Nie tak go sobie wyobrażałam.

„Chłopiec” jest przynajmniej o głowę wyższy od matki. Stoi z rękami wciśniętymi w kieszenie i ze wzrokiem wbitym w podłogę, czarna grzywa niczym piracka klapka zasłania mu oko i prawie nie widzimy jego twarzy. Kiedy podnosi głowę, patrzy prosto na mnie. Pod aroganckim spojrzeniem czarnych oczu rwie mi się oddech, a sukienka krępuje żebra.

– Caroline, to Amber, moja pierworodna. – Głos taty dociera do mnie jakby spod wody. – Amber? – powtarza.

Pospiesznie przenoszę wzrok na matkę chłopaka. Zdejmuje białe giemzowe rękawiczki, palec po palcu, patrząc z lekko ściągniętymi brwiami na portret Mamy nad kominkiem. Przypominam sobie z pogrzebu tamte niebieskie oczy obwiedzione czarną kredką, ostre rysy, uniesiony wyzywająco podbródek. Pamiętam wyraźnie, jakby to wszystko działo się pięć minut temu. Tata zapatrzony w nią w trakcie mowy. Uroczystość zachybotła się jak łódź, zanim na powrót złapała równowagę. Bez dwóch zdań, to ta sama kobieta.

Ważniejsze jednak, że dostrzegam pewne różnice. Zalakierowane na sztywno bocianie gniazdo zastąpiła swobodniejsza fryzura w stylu Jackie Kennedy. Podkreśnione końce włosów poniżej małych, wysoko osadzonych uszu płaczą się z białym futrem przy szyi. Czarne grube kreski na powiekach zniknęły. Wygląda starzej – z bliska widać, że na pewno jest trochę starsza od Mamy – statecznie i bez polotu, zupełnie jak matki moich koleżanek ze szkoły. Przychodzi mi do głowy, że celowo chce wyrzucić takie wrażenie.

– Amber, to pani Caroline Shawcross – odzywa się tata z udawanym ożywieniem. Poznając, że jest zdenerwowany i jeszcze trochę, a zacznie skubać płatek ucha. Zdejmuje kapelusz i podaje go Peggy, która czeka w gotowości, jak Boris na piłkę na plaży.

– Dobry wieczór, pani Shawcross – odzywam się grzecznie, zachowując obojętny wyraz twarzy pod palącym spojrzeniem jej syna. Dociera do mnie, że ta chwila na zawsze zapadnie mi w pamięć; czarno-biała posadzka w holu, ja w przyciasnej żółtej sukience i to wrażenie początku czegoś, czego dotąd nie doświadczyłam.

– Miło cię poznać, Amber. Dużo o tobie słyszałam od twojego taty. – Nawet gdy ta kobieta się uśmiecha, jej głos pozostaje metaliczny, a czujne, niepewne i rozbiegane spojrzenie przypomina ptaka na trawniku. Kieruje wzrok na portret Mamy, a potem przenosi go na mnie, jakby szukała podobieństwa, które, jak wszyscy twierdzą, jest zdumiewające. – I nie „pani Shawcross”. Mów mi Caroline.

Kiwam głową na zgodę, walcząc z chęcią zerknięcia na jej syna.

– Toby, Kitty, Barney. – Tata szybko przedstawia pozostałą trójkę, odciągając ode mnie krępującą uwagę. Peggy lekkim szturchańcem wypycha ich po kolei do przodu.

– Och, Hugo, jaka urocza gromadka dzieci! – Boris bezczelnie obwąchuje jej spódnicę. Tata musi go odciągnąć, na co ona reaguje nerwowym śmiechem. – Pozwólcie, że przedstawię mojego syna. – Rzuca mu ostre spojrzenie, jakby z góry wiedziała, że on nie zachowa się odpowiednio. – Lucian Shawcross. – Chłopak nawet nie drgnie. – Lucian – powtarza matka z cierpkim uśmiechem, a wtedy on niechętnie wysuwa się krok do przodu na miejsce, które mu zwolniła.

Mogę mu się wreszcie przyjrzeć.

Nie przypomina żadnego ze znanych mi chłopaków. Wysoki i smukły, a jednocześnie dobrze zbudowany i szeroki w barach. Umieśnione ramiona wypychają rękawy grubego granatowego blezera, niedbale przygarbiona sylwetka nie tuszuje wzrostu. Oczy, w przeciwieństwie do matki, ma czarne jak sadza, a twarz kanciastą. Przypomina mi tych intrygujących młodych mężczyzn w wyświechtanych skórzanych kurtkach, którzy siedzą na motorach, z papierosem przyklejonym do ust, w okolicy domu babci w Chelsea. Mężczyzn, na których spojrzenia – jak wielokrotnie ostrzegęła mnie babcia – absolutnie nie wolno mi odpowiadać, ponieważ to są „typy spod ciemnej gwiazdy”. Podniecające.

– Lucian – mówi cicho Caroline, obracając w palcach perły na szyi. – Przywitaj się, kochanie.

– Miło mi – odzywa się tonem sugerującym, że wcale nie jest mu miło. Cisza się przeciąga.

Peggy przesadnie szerokim uśmiechem pokrywa niezręczność sytuacji. Świeżo wyprasowany fartuch tworzy trójkąt na brzuchu.

– Panie Alton, o której możemy się spodziewać państwa Moncrieffów?

Moncrieffowie! Poprawia mi się humor. Pamiętam ich; duży dom w Holland Park, mnóstwo schodów, rozłożyste palmy w donicach, dzieciaki i psy. Mają dziewczynkę w moim wieku, Emily, taką śmieszkę z bardzo jasnymi włosami.

– Moncrieffów? – powtarza tata z roztargnieniem. – Ojej, wybacz, Peggy. Nie mówiłem ci, prawda?

– Najmłodsze z latorośli lady Charlotte znowu zapadło na krup – odzywa się Caroline. – Wielka szkoda. Miała ogromną ochotę przyjechać, jak to lady Charlotte, lecz zdecydowanie jej odradziłam. Lepiej zostać z chorym dzieckiem w Londynie, blisko szpitali, niż narażać je na brak pomocy w Kornwalii. Z krupem nie ma żartów.

Peggy uprzejmie kiwa głową, chociaż wiem, że według niej nie ma lepszego lekarstwa na krup od morskiego powietrza. Jej zdaniem leczy wszystko: kaszel, wysypki, złamane serca.

– Rozsądna rada – odzywa się cicho tata, jakby w ogóle nie słuchał,

i pociąga za płatek lewego ucha.

Zerkam na Toby'ego, nie bardzo wiedząc, co o tym myśleć. On natomiast wpatruje się w Luciana, ciskając gromy oczami. Boję się, że wybuch otwartej agresji jest tylko kwestią czasu.

– Cóż, biedni Moncrieffowie wiele tracą. – Caroline posyła tacie uśmiech. – Dom jest piękny.

Odsłania w uśmiechu intrygująco drobne, matowobiałe zęby; każdy jak czubek kredy do tablicy.

– Och, a te schody! Popatrz tylko, Lucianie. – Rusza przez hol, postukując obcasami. Kładzie dłoń na zwiniętym w znak zapytania zakończeniu balustrady. – Kto by pomyślał, taki wspaniały dom tak daleko na zachodzie... – mówi, jakby się dziwiła, że nie mieszkamy w chatach na plaży.

Tata wyraźnie zadowolony unosi się na palcach.

– Przyznaję, że warunki tu trochę spartańskie. Ale my ten dom bardzo lubimy, prawda, Barney?

– Mama też go lubiła. To jest Mama. – Barney z dumą wskazuje na portret nad kominkiem. Chudy nadgarstek wysuwa się z przykrótkiego rękawa marynarskiego mundurka. – Ma na imię Nancy. Nancy Kitty Alton. Jest Amerykanką. Ale poszła do nieba, bo goniłem króliki w burzę, a Mama miała chorą nogę i Rycerz poniósł jak diabli, i Mamie się zrobiła dziura w głowie, a my nie mieliśmy takiego dużego plastra. – Spogląda na Toby'ego, sprawdzając, czy nic nie pomylił. – Lekarz nakrył jej twarz prześcieradłem.

Palce znowu wędrują do pereł.

– Bardzo mi przykro, Barney.

– Tata zastrzelił konia. Toby dołożył jego mózg do swojej kolekcji.

Caroline z trzepotem powiek przyswaja tę informację.

– Zmienił się w kruche kulki – wyjaśnia rzeczowo Kitty. – Jest jak pęcherzyki morszczyku.

– Na litość boską. – Na szyję Caroline wypływa rumieniec.

– Tata trzyma czaszkę w pudełku.

Caroline otwiera szeroko oczy. Peggy bezradnie mnie rąbek fartucha. Barney zadziera głowę i spogląda na gościa spod burzy truskawkowych loków.

– Chcesz zobaczyć?

– Nie bądź niemądry. Oczywiście, że pani nie chce tego widzieć – mówi Peggy z lekkim śmiechem i pieszczotliwie tarmosi mu czuprynę.

– Już wystarczy, młody człowieku – odzywa się tata, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Zacznijmy świętować, dobrze?

– Nigdy nie miewamy gości w Black Rabbit Hall – rzuca niespodziewanie Toby. Patrzy przy tym ze złością na Luciana, sapiąc jak zasiedziały w kuchni kot, który chce przegonić rywala ze swojego terytorium. – Zawsze, tato, powtarzasz, że

Altonowie mają zwyczaj spędzać Boże Narodzenie w rodzinnym gronie.

– Hmm, w te święta będzie inaczej, Toby – wyjaśnia tata znużonym głosem i odgarnia włosy z czoła, przy okazji odsłaniając zakola, które pojawiły się tydzień po śmierci Mamy i zdają się powiększać z każdym kolejnym tygodniem. – Chciałem trochę rozjaśnić te święta, zapraszając gości. Babcia, niestety, nie może być z nami w tym roku.

– Ale Kitty chce babcię! – woła piskliwie mała i zaczyna jej niebezpiecznie drzeć dolną wargę. – Babcia przywozi rabarbar i budynie w słoikach!

– Dlaczego nie przyjedzie? – chce wiedzieć Barney.

– Niestety, niezbyt dobrze się czuje. I jest trochę za stara na takie dalekie podróże.

Z wysiłkiem przetykam ślinę, myśląc o mojej ukochanej babci Esme na ogromnej, różowej kanapie w Chelsea. To jedna z niewielu osób, które nie unikają rozmów o tym, co się dzieje. „Kochanie, twojemu tacie niełatwo przychodzi wszelkie wynurzenia. Myślę, że jak większość mężczyzn woli milczeć o tym, co czuje” – powiedziała mi przed wyjazdem, przytulając mnie do broszki na biuście tak, że wysłałam od niej z odciskiem w kształcie pawia na policzku.

– Ale obładowała mnie prezentami – ciągnie tata. – Aż dziwne, że rolls ruszył z miejsca.

– Chcę babcię Esme – żąda Kitty z odzyskaną energią. – Chcę babcię.

– Och! – wzdycha Caroline, przyciskając dłoń do szyi. Mam ochotę jej powiedzieć, że nie zna ani babci Esme, ani Kitty i nie ma prawa teatralnie „ochać”, patrząc przy tym na tatę, bo tylko udaje, żeby mu się przypodobać.

– Gdzie jest ciocia Bay? – nie ustępuje Kitty. – Czy też potrzebuje doktora?

– Kitty, ciocia Bay nie jest chora. – Tata kuca przed nią, patrząc z czułością.

– Ale przeloty nad Atlantykiem podczas śnieżnych burz nie są bezpieczne.

Robi mi się ciężko na sercu.

– W ostatnim liście napisała, że na pewno przyleci.

– Tak, wiem. – Tata odwraca się do mnie. – Jednak nie wypadało jej o to prosić. Tu się zgadzam z Caroline. Nie w taką pogodę. Nalegałem, żeby nie ryzykowała.

Dlaczego Caroline miała w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia? Przeszywa mnie fala niepokoju. Toby patrzy na mnie zaszępiony, myśląc to samo, co ja.

– Znaczący samolot zrobiłby ziuuu! – Barney kreśli ręką łuk ku posadzce. – Bum! I wszędzie byłaby krew i rozchlapany mózg?

– Nie, co to, to nie.

– A moje masło orzechowe? – nie odpuszcza Kitty. Caroline musi myśleć, że obsesyjnie kochamy jeść, co poniekąd jest prawdą. – Ciocia Bay przywozi całe korytko i nic nie mówi, jak wyjadamy je palcami.

– Kotku, zobaczę, może mają masło orzechowe w Truro – włącza się Peggy.
Kitty wygina usta w podkówkę. Przecież nie o masło tu chodzi.

– Brrr... – Tata rozciera dłonie. – Dawno nie mieliśmy takiego chłodu w święta, prawda? – próbuje zmienić temat.

– Jest napalone w kominkach, proszę pana – mówi Peggy. Zawsze przy tacie jest trochę spięta, lecz nigdy nie aż tak. Żal mi jej. Tak bardzo chce wyrzucić dobre wrażenie. – Mam nadzieję, że pani... – zacina się, niepewna, jak powinna się zwracać do gościa.

– Shawcross – pada podpowiedź z wymuszonym uśmiechem.

– U pani w sypialni też napaliliśmy w kominku, pani Shawcross.

– Kominek? – Patrzy z niedowierzaniem, jakby zdziwiona, że jej pokój jest ogrzewany drewnem. – Dziękuję, to brzmi sympatycznie.

– Pani Shawcross, czy mogę zanieść walizkę na górę?

Jest z rudej skóry z wytłaczanym złotym logo. My nie mamy takich eleganckich walizek. Na naszych przeważnie musimy siadać, żeby je domknąć, albo pakujemy się w stare kufry okrętowe pachnące herbatą i oblepione wyblakłymi naklejkami z Indii.

Peggy z trudem podnosi walizkę.

– Czy zechce się pani poczęstować moimi sławnymi babeczkami z bakaliami, pani Shawcross?

Wolałabym, żeby przestała w kółko powtarzać to nazwisko. Może stara się wbić je sobie do głowy.

Caroline spogląda na syna.

– Ty uwielbiasz te babeczki, prawda, Lucianie?

Lucian odpowiada spojrzeniem, które zdaje się mówić, że niczego nie lubi, ani babeczek, ani jej.

– Zawsze mówię, że Lucian po przyjeździe z internatu po zakończeniu trymestru przypomina mleko wyjęte z lodówki. – Jego matka śmieje się przenikliwie i nieco przydługo. – Potrzebuje czasu, żeby się ogrzać.

– Czy mam napalić w pokoju Luciana? – pyta Peggy, z nerwów tracąc rozum.

– Tatusiu... – Dolna warga Kitty znowu zaczyna drżeć.

– Tak, kochanie? – Nie dostrzega nadchodzącej katastrofy.

– Kitty nie chce tej pani w domu.

Caroline wygląda bardziej na zakłopotaną niż urażoną.

– Przepraszam cię – zwraca się do niej tata, biorąc Kitty na rękę. Mała wtula mu twarz w zagłębienie u nasady szyi i zerka na Caroline przez rozsunięte paluszki. – Niestety, dzieci nadal nie są do końca sobą.

– Ależ nie musisz się usprawiedliwiać, Hugo. Ja to doskonale rozumiem. Posłuchaj, Kitty. – Kobieta ścisza głos i przysuwa się do niej zbyt blisko. Kitty

natychmiast się cofa. – Wiem, że wydaję się obca. Ale twój tata i ja znamy się od bardzo wielu lat. I mam nadzieję, że my też się poznamy, prawda, Hugo? – Nie rozumiem spojrzenia, jakie mu posyła. – Chcę, żebyśmy wszyscy się zaprzyjaźnili. Ty, ja. Twoja lalka.

Toby wydaje ciche, cyniczne chrząknięcie. Wszyscy udajemy, że nie słyszeliśmy.

Tata przytakuje skinieniem głowy i odciąga kołnierzyk od szyi, jakby nagle zrobiło mu się gorąco. Jakby wolał być teraz gdzieś indziej.

– Rzeczywiście. Musimy wszyscy się poznać – przytakuje.

Przypomina mi się tamta rozmowa podsłuchana latem w szafie Mamy. Przyciszone głosy sączące się przez szpary wzdłuż mosiężnych zawiasów: „Oby miał tyle rozumu, żeby się ponownie ożenić. I to jak najszybciej”. I myślę o tych wszystkich słodyczach przynoszonych na Fitzroy Square i o paniach, które wyciągając szyje i układając usta w dzióbek, podpytują Kitty: „Skarbie, jak się tatuś czuje?”, gdy ona waży w rączkach opakowany podarunek i usiłuje odgadnąć smak zawartości. Szokuje mnie tempo, w jakim to wszystko się dzieje; niewidzialne mechanizmy pracują wytrwale jak tłoki pociągu, który przywiózł nas tutaj z Londynu przed paroma dniami.

Caroline dotyka ramienia Kitty.

– Może potem oprowadzisz mnie po Pencraw Hall?

– My nie mówimy Pencraw Hall – wywarkuje Toby. – Mama nazwała dom Black Rabbit Hall.

Lucian spogląda na niego z powściągliwym szacunkiem.

– Black Rabbit Hall? Mój Boże. Jak... uroczo – mówi Caroline z uśmiechem, który nie sięga do lodowatoniebieskich oczu. – Na pewno to zapamiętam, Toby.

Później, wieczorem, wielokrotnie słyszę, jak ta kobieta nazywa nasz dom Pencraw Hall. Tata ani razu jej nie poprawia.

*

– Ona nas ma za kompletnych głupków. – Toby zatapia ostrze scyzoryka w pniu potężnego starego dębu. Nigdy się z tym scyzorykiem nie rozstaje na wypadek, gdyby nastąpił koniec świata i musiał się ratować. – Ta udawana słodycz. „Och, Hugo, jaka urocza gromadka dzieci!”. Mam ochotę powyrywać jej rzęsy. Jedną po drugiej. Jak nogi pająkowi.

– W życiu nie potraktowałbyś tak pająka – zauważam, niezdarnie zapinając płaszcz zgrabiałymi palcami. Zaniósło nas w bardziej podmokłą część lasu. Niebo świeci alabastrową bielą. Jest odpływ, drętwo szary pas błota znaczą otwory wyżłobione przez węgorki i raki, a nad wodą jak okiem sięgnąć wisi mgła; zima jest ostra, w ogóle nie ma świątecznej atmosfery.

– Nie. Szanuję pająki. One mają prawo tutaj być – mówi, a na jego bladej

twarzy widać napięcie, kiedy żłobi ostrzem rowek w korze. U Toby'ego, tak jak u Mamy, pigmentacja zmienia się wraz z porami roku; piegi bledną, płonąca latem czupryna w zimie przygasa jak lampa.

– Są sztuczne. Te rzęsy są sztuczne, mówię ci.

Patrzy na mnie zdumiony.

– Skąd wiesz?

– Jak się dobrze przyjrzeć, widać taki wążiutki paseczek białego kleju – wyjaśniam, przypominając sobie zawartość sekretnej kasetki z kosmetykami starszej siostry Matildy.

– Aha. – Wyraźnie jest pod wrażeniem mego zmysłu obserwacji. – Zauważyłaś, jak ona co rusz próbuje dotykać taty?

– Wstrętne.

– No, i nie chciała jeść babeczek.

– Dziwne. Ciekawe, co to znaczy.

Biała czapla powoli kroczy wzdłuż linii brzegu, długim dziobem wydłubując z błota wijące się stworzenia, których odpływ nie zmył do morza.

– Kontroluje się.

– Może zamiast babeczek należało jej podsunąć surowe sercówki? Przynajmniej byłoby weselej.

– Widziałaś jej minę, kiedy Peggy wniosła zapiekankę z sardynkami?

Na wspomnienie przerażonej twarzy Caroline wpadam w histeryczny chichot, ogarnięta atakiem szaleńczego, pozbawionego radości śmiechu, aż marzną mi przednie zęby. *Stargazy pie*, tradycyjne kornwalijskie danie – jedno z ulubionych Peggy, według przepisu jej mamy. Sześć pomarszczonych rybich łebków sterczących z otworów w wierzchniej warstwie ciasta.

– Następnym razem zażyczę sobie długąśnego kongera – rzucam, łapiąc oddech.

Śmiertelnie poważna mina Toby'ego gasi mój śmiech. Właśnie wycina literę „B” w swoim imieniu.

– Ja myślę, że ona się nas boi, ciebie i mnie – mówi. Odchyła się i mrużąc oczy, sprawdza efekt swej pracy. – Boi się, że czytamy w niej jak w otwartej księdze.

– Bo czytamy. – To nie jest tak do końca prawda. Nie potrafię ocenić, czy Caroline to sympatyczna, znerwicowana kobieta, która z powodu jakichś towarzyskich okoliczności wyłudowała w Boże Narodzenie w niewłaściwym miejscu, czy raczej wyrachowana intrygantka, siląca się na życzliwość. Zresztą to nie ma znaczenia. Nie powinno jej tu być. I nie miała prawa sugerować cioci Bay, żeby nie przylatywała. Ciocia wcale nie boi się latać. Twierdzi, że ma takie specjalne tabletki.

– To jasne jak słońce, o co Caroline chodzi. – Toby z taką zawziętością

wydłubuje włókna łyka, że aż mrużę oczy. – Chce wejść w buty Mamy. – Spogląda na mnie, sprawdzając reakcję. – I tyle.

Zaciskam powieki i widzę, jak jakieś ohydne stopy wpychają się w Mamy buty do jazdy, te z miękkiej skóry, z wybrzuszeniem uformowanym na jej wysokim podbiciu i na drugim palcu, ciut dłuższym od pierwszego. „Stopy baleriny” – zwykł mawiać tato.

– Nie da rady. Nie będą pasować.

– Niech tylko spróbuje. – Obejmuje dłońmi swoją szyję i mocno zaciska palce, czerwieniejąc na twarzy. Ostrze scyzoryka sterczy niebezpiecznie blisko ucha. – Śmierć! Śmierć!

– Nie bądź idiotą. – Czasem przeraża mnie jego zapalczywość. Wydaje się, że jest gotów posunąć się do różnych rzeczy, o których mówi. – To się nie nadaje nawet na żart.

Zirytowany, odejmuje dłonie od szyi.

– A kto nas słyszy?

Zerkam niespokojnie w przestrzeń między drzewami, gdzie bieleje brzoza z korą pokrytą guzami żółtego grzyba. To w jej pobliżu Rycerz zrzucił Mamę. Mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje. Dziś czuje się obecność w lesie, a któż inny to mógłby być jak nie Ona?

– Mama słyszy.

– Mam nadzieję. – Brat rozpogadza się i przechyla z powrotem ku drzewu. – Ona znienawidziłaby Caroline.

– Toby, Mama do nikogo nie czuła nienawiści. – Przypominają mi się jej rozchylone w uśmiechu usta niczym półotwarte drzwi zapraszające do środka. To był naturalny wyraz jej twarzy, tak jak u matki Matildy wiecznie ściągnięte rysy. Kiedy ludzie podziwiali tę jej pogodę ducha, mówiła: „Mam wiele powodów do radości”. I wcale się nie chwaliła, tylko była zwyczajnie wdzięczna.

– No, ale na pewno też by się z niej śmiała – wyrokuje Toby. – Bez dwóch zdań, śmiałyby się z Caroline Shawcross.

Pewnie tak. Mamę bawiło angielskie zadęcie. A Caroline w tym przoduje.

– Peggy, u mnie z kranu nad wanną leci woda koloru rdzy – przedrzeźniam ją, zadzierając podbródek. – Jest brązowa! Brunatna! Czy to bezpieczne? Jesteś pewna? Rany boskie. Skoro twierdzisz, że kąpiel w takiej wodzie niczym nie grozi... chyba muszę się... odważyć. – Próba naśladowania niezbyt udana, ale jestem zadowolona z efektu. Obecnie Toby’ego niełatwo rozśmieszyć. Atmosfera nieco się rozluźnia.

Leniwie łapię za linę, którą Toby przywiązał wysoko do konaru któregoś upalnego lata, i ściskam ją w dłoni, mając w pamięci tamtą szaloną radość, z jaką swobodnie przelatywało się nad rzeczką. Toby patrzy na moją rękę, na linę i wiem, że myśli o tym samym. Niebo na moment przygasa, aby po chwili na nowo zalać

las białawą poświatą.

– Chyba się tobie nie podoba, co? – pyta, nie odrywając oczu od mojej ręki.

– Kto? – Mocniej zaciskam palce.

– Lucian. Ten wypłosz.

– Nie bądź głupi!

Toby przenosi wzrok na nóż i kciukiem sprawdza jego ostrość. Widzę, że moja odpowiedź go nie zadowala. Zaciska szczęki i odłupuje duży kawałek kory.

– Nie ufaj mu. On, Amber, jest z tej samej gliny co jego matka.

Mam w pamięci wzrost Luciana, zaskakująco muskularne barki, mocno zarysowany podbródek. Tak, widzę podobieństwo do Caroline. Jednak jest jeszcze coś, co sprawia, że chce się na niego patrzeć. I tego nie rozumiem. Przecież nie jest przystojny, nie tak jak Fred Hollywell, który ma jasne włosy filmowego gwiazdora, intensywnie niebieskie oczy i dużą dozę uroku osobistego. Lucian jest gburowaty i milczący, niejasny i nieodgadniony. Budzi niepokój.

– Myślisz o nim teraz. – Toby patrzy na mnie lodowato.

– Nie znasz moich myśli – ucinam, czując, że zdradza mnie rumieniec na policzkach.

– Znam.

– Już nie.

Wzdryga się po tych słowach, a ja żałuję, że nie mogę ich cofnąć. To tak jakbym wyparła się bliźniactwa.

– Przepraszam, nie to miałam...

– Spadaj, Amber.

Zeskakuję z konaru nisko nad ziemią, gałązki potrzaskują pod skórzanymi botkami.

– Dobra. Wracam do domu. Jesteś w jednym z tych swoich paskudnych nastrojów.

– Rób, co chcesz.

Waham się. Jakoś nie mam ochoty wracać sama. No i nie chcę zostawiać Toby'ego w takim podłym humorze.

– Chodź ze mną.

Kręci głową z zaciętymi ustami. Wiem, że nadal jest na mnie zły za myślenie o Lucianie. I za to, że zaprzeczając, w pewnym sensie go odtrąciłam.

– Przynieść ci kurtkę?

– A ty co? Jesteś moją matką? – rzuca drwiąco.

Teraz ja się wzdrygam.

– Zimno tutaj, tylko tyle. Masz sine usta.

– Wiedziałaś, że można na wiele godzin zamrozić skorpiona w bryle lodu i jak ten lód się rozłupie, skorpion nadal będzie żył?

Kręcę głową i wsuwam zmarznięte dłonie głęboko w kieszenie. Nie cierpię

tych dziwacznych nastrojów Toby'ego napędzanych gniewem.

– Ja jestem jak ten skorpion, Amber.

– Rób, co chcesz. Marznij sobie. – Przedzieram się pomiędzy krzakami i zwieszającymi się gałęziami. Po paru minutach oglądam się, żeby sprawdzić, czy Toby za mną idzie. Zazwyczaj mnie dogania, otacza ramieniem i przeprasza. Tym razem tak się nie dzieje. Nadal stoi przy drzewie i miarowo dźga nożem pień. Potem już go nie widzę. Ogarnia mnie niepokój.

Podskakuję nerwowo, gdy chmara małych brązowych ptaków z jazgotem podrywa się z krzaków. Coś je spłoszyło. Przystaję, serce dudni mi w piersi, wyteżam słuch. Jeleń? Borsuk? Lis?

Kaszlnięcie.

Jakieś pięć jardów ode mnie w cieniu drzewa z nogą opartą o korzeń stoi nieruchomo Lucian. Obserwuje mnie. Jest wyższy, niż zapamiętałam, wygląda groźnie. Jak jakiś leśny stwór.

– Co tu robisz? – Mam ochotę się wycofać, ale nie pokażę, że jestem zdenerwowana.

– To samo, co ty. – Zastanawiam się, czy zdołałabym przed nim uciec i czy Toby usłyszałby, gdybym krzyknęła. – Nie rób takiej wystraszonej miny.

– Myślisz, że się ciebie przestraszyłam?

Wrusza ramionami. Zapada dziwna, kłopotliwa cisza, gdy oboje milczymy.

Wsuwa rękę do kieszeni i wyciąga paczkę papierosów Embassy.

– Chcesz?

– Nie przed kolacją – odpowiadam, mając nadzieję, że to brzmi sensownie dla kogoś, kto pali. W życiu mu się nie przyznam, że nigdy nie miałam papierosa w ustach.

Tłumi uśmiech, jakby wiedział, że blefuję. Uświadamiam sobie, że jak dotąd nie widziałam u niego uśmiechu, takiego normalnego, ludzkiego uśmiechu, i część mnie – ta, która postanawia nie dać się przestraszyć temu aroganckiemu bubkowi – ma wielką ochotę zetrzeć mu ten wyraz bezczelnej nonszalancji z kanciastej twarzy. Natomiast pozostała część najchętniej wzięłaby nogi za pas i uciekła do domu. „Kopnij go w jaja – tak mówi siostra Matildy. – Jeżeli jakiś facet cię atakuje, kopnij go w czułe miejsce”.

– Ile masz lat?

– Piętnaście. – Serce mi bije, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

– Wyglądasz na mniej.

Przeklinam swoją drobną budowę, dziecinną piegowatą twarz i głupie, kornwalijskie, zawsze o rozmiar za małe ubrania, trzymane w kufrze, z którego wylatują mole.

– A ty ile masz?

Zapala zapalną. Zarys twarzy miga w złotym świetle.

– A według ciebie ile mogę mieć?

– Za mało, żeby palić.

Nareszcie jest, uśmiech, błysk białych zębów, który zmienia jego odpychającą twarz w... hmm, zupełnie inną.

– Siedemnaście. Mam całe siedemnaście lat. – Przykuca przy wystających z ziemi korzeniach i wydmuchuje w mrok kółka z dymu. – Ding dong, wesoło w niebie dzwonią dzwony, co? Tutaj zawsze jest tak cholernie ponuro?

– Nasza Mama zmarła w Wielkanoc – mówię, nie umiając się powstrzymać.

– W tym roku? – Nie okazuje konsternacji ani szoku, jakby można się było spodziewać, tylko zadumany zaciąga się papierosem, cały czas patrząc mi w twarz, teraz zdecydowanie uważniej, jakby ta informacja zmieniła nieco sposób, w jaki mnie postrzega. – Rzeczywiście matka mi mówiła, że ona nie żyje. Ale nie wspomniała, że to taka świeża sprawa.

– Koń poniósł – dodaję, licząc na odpowiedniejszą reakcję. – Zrzucił ją jakiś metr od miejsca, gdzie stoisz.

– Cholerny pech – odzywa się po chwili.

Nic nie mówię, lecz jestem wdzięczna, że nie próbuje dorobić teorii do tego wypadku. Nie znoszę, gdy ludzie udają, że krył się za nim jakiś większy plan. Że Mama nie odeszła bez powodu.

– A teraz ja i matka najechaliśmy was w święta. Nic dziwnego, że macie miny skazańców. – Ciska na wół wypalonego papierosa. Niedopałek rozżarza się i gaśnie na wilgotnej ściółce. – Myślę, że pozostaje nam tolerować się nawzajem przez parę następnych dni, zanim zmyjemy się do Londynu.

– Jeżeli uda nam się tak długo wytrzymać – odcinam się, wkurzona jego brakiem manier i zirytowana, że Black Rabbit Hall nie robi na nim wrażenia. Czuję się w obowiązku chronić ten dom wraz z jego wilgocią i przeciągami. Pod wieloma względami to wszystko, co mamy. – Ale skoro już jesteś gościem w naszym domu, mógłbyś przynajmniej wysilić się na uprzejmość.

Odrzuca pasmo włosów z twarzy.

– Czyżbym łamał etykietę? Ludzie tutaj kłaniają się wam w pas?

– Nie masz o niczym pojęcia. Wcale tacy nie jesteśmy. – Podnoszę głos, teraz serce bije mi w uszach. – Nie należymy do bogaczy.

Kręci głową, jakby nie mógł się nadziwić mojej tępotcie.

– Nie mówię o pieniądzach.

– Jestem w połowie Amerykanką – wyjaśniam, bo wiem, że widzi we mnie utytułowaną angielską snobkę, jakich wiele w mojej szkole, a przecież ja taka nie jestem. Różnię się od tamtych dziewczyn. Nie obchodzi mnie, czy ktoś mówi „toaleta” czy „ustęp”, „papeteria” czy „papier listowy”, i takie tam rzeczy. Mama uczyła nas, że najważniejsze, co kto ma w głowie, a tego rodzaju drobiazgi nie mają znaczenia.

– Czyż nie jesteś egzotyczna? – Unosi kąciki ust i odsłania różowe dziąsła.

– A ty jesteś idiotą. – Ostatnie słowo musi należeć do mnie, dlatego wycofuję się powoli, nie spuszczać z niego oczu – tak jak się odchodzi od niebezpiecznego zwierzęcia – dopiero kiedy zasłaniają mnie drzewa, odwracam się i puszczam biegiem. Roztrzęsiona i zdyszana, wpadam w poślizg na oblodzonych stopniach, boleśnie uderzam się barkiem o drzwi wejściowe, wtaczam się do holu i taranuję Caroline.

– Matko jedyna! – Odruchowo łapie się za szyję. – Szukam Luciana. Widziałś go?

Nie mogę wydusić słowa. Nie wierzę własnym oczom. W holu nagle robi się ciemno, bardzo ciemno i tylko brylantowa zapinka połyskuje jak rozjarzone ślepią rozwścieczonego kota.

– Amber, co się dzieje? Na miłość boską, co z tobą?

Rozdział dziesiąty

Lorna

Lorna na poddaszu omiata światłem latarki podłogę z płyty pilśniowej. Wzdryga się na widok samotnego czółenka matki na słupkowym obcasie. Leży wywrócone jak łódź wyciągnięta na piach. Po plecach przebiega jej dreszcz. Co takiego mają w sobie buty? To one, bardziej niż suknie, płaszcze czy jakiegokolwiek inne części garderoby, dopasowują się do właściciela: do haluksów, do wysokiego podbicia. Schodzone zelówki mówią o wydeptanych milach na nieznanym chodnikach, pogoniach za autobusem, spacerach z kochankiem. Właśnie dlatego Lorna nie kupuje używanych butów; nigdy nie byłyby tak naprawdę jej. Ostrożnie stawia pantofel matki; twarda w dotyku lakierowana skóra poskrzypuje pod palcami. Potem szybko kieruje snop światła w inną część poddasza.

Kolejne kartony. Zacieniona czeluść pod okapem. Krawędź dachówek wyłożona słońcem. Nic dziwnego, że w dzieciństwie często śnił jej się ten strych. W nocnych koszmarach w zakamarkach poddasza czekały na nią przyczajone upiory. Cały dom – z wyjątkiem zabałaganionego garażu – stanowił królestwo matki, lecz na strych chodził wyłącznie ojciec. Targał na górę wypchane kartony, irytująco chwiejąc się na skrzypiącej metalowej drabinie, dopóki jego głowa, tułów i papcie w kratę nie zniknęły w otchłani. Lorna z niepokojem czekała na podeście i wypuszczała wstrzymywany oddech, dopiero gdy ojciec zeskakiwał z ostatnich kilku szczebli i łądował uśmiechnięty na wykładzinie, oprószony żółtymi paprochami z łuszczącej się izolacji, która według matki była z czegoś rakotwórczego.

Upiory dawno zniknęły. Nadal jednak pozostaje wrażenie, że strych może ukrywać wiele innych spraw, sekretów rodzinnych zamkniętych w zawilgoconych kartonach z pleśnią na wierzchu – opisanych i zabezpieczonych taśmą klejącą pracowitymi rękoma matki – które czekają, żeby wyciągnąć je na światło dzienne.

Od powrotu z Black Rabbit Hall w zeszły weekend nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie poszpera na strychu. I oto natrafia na pudło, którego szukała – z napisem *Zdjęcia*, wykonanym starannym pochyłym charakterem pisma matki – szczęśliwie niezbyt daleko od wjazdu. Znosi je na podest, stawia na wykładzinie i przy okazji dostrzega koty z kurzu na listwie przypodłogowej, kurzu, którego obecności matka absolutnie nie tolerowała. Jeszcze jeden znak, że jej nie ma i że żyją teraz w zupełnie innej epoce, w takiej, w której przymyka się oko na bałagan i dopuszcza pewien luz.

W kokonie salonu z wymyślnymi kwiatowymi wzorami tapet i udrapowanymi firanami z ozdobnymi sznurami – dzieło matki natchnionej przytulnym wystrojem wewnątrz w rezydencjach – Lorna wyciąga się na dywanie i przegląda zdjęcia z wakacji, równie zaskakujące jak zabawne. Dlaczego nikt jej nie zwrócił uwagi, że te pasemka, które robiła sobie jako nastolatka, wychodziły zielone? Kto wiedział, że matka przed laty tak seksownie wyglądała w bikini?

Jednocześnie rozmawia z Louise przez telefon z zestawem głośnomówiącym.

– Gdybyś pojechała ze mną w ten weekend, zrekompensowałabyś mi tamte wszystkie godziny, które musiałam spędzać w romantycznych lawendowych ogrodach, gdy ty wylegiwałeś się na plaży! – krzyczy do telefonu, przesuwając zdjęcia z jednej sterty na drugą.

Louise parska śmiechem. Ma urywany, gardłowy śmiech, który brzmi trochę jak bulgotanie.

– Nigdy ci tego nie zrekompensuję.

– Lou, dobrze ci zrobi parę dni poza domem.

Lorna przegląda teraz plik czarno-białych zdjęć, jeszcze sprzed narodzin Louise, kiedy stawiała pierwsze kroki. Całkiem fajny był z niej bobas – dochodzi do wniosku. Pucki jak u cherubinka i kruczoczarne loczki. Zawsze wiała się w ramionach matki, żeby niecierpliwie odkrywać świat.

– Lorno, nie mam z kim zostawić dzieci, a Chloe to niszczyielski żywioł, jeśli więc chcesz dostać dożywotni zakaz wstępu do Black Rabbit Hall, nie mówiąc już o urządzeniu wesela, jestem do dyspozycji.

Rzeczywiście, Louise ma pełne ręce roboty: dziewięcioletnia Mia, ośmioletnia Chloe i najmłodszy Alf, sześciolatek z downem. Lorna nie ma pojęcia, jak siostra daje radę z tym wszystkim i jeszcze zachowuje dobry humor.

– A Will nie mógłby wziąć dzieci na weekend?

– To nie jest jego weekend.

– Nie stać go na odrobinę elastyczności?

– Chyba nie jesteśmy jeszcze na elastycznym etapie – odpowiada Louise z ciężkim westchnieniem, które przygniata serce Lorny. Will i Louise rozstali się w zeszłym roku. To nie był jeden z tych eleganckich rozwodów, o jakich się czyta. Związek rozbiła dwudziestodwujęcioletnia sekretarka, Bethany. – Ale zmierzamy w dobrym kierunku.

– Słuchaj, a może podrzuciłabyś je tacie?

– To by go wykończyło.

– Poświęcenie dla dobrej sprawy? Lou, jestem pewna, że zakochałabyś się w Black Rabbit Hall.

– Mają tam spa?

W odpowiedzi słyszy parsknięcie Lorny.

– Co w tym śmiesznego?
– Zrozumiesz, jak zobaczysz. Ale możemy popływać w morzu.
– Nie pływam w morzu na północ od Bretanii. Z zasady.
– Co z twoim duchem przygody?
– Zgubił się gdzieś na porodówce. Dlaczego Jon nie może tam znowu z tobą pojechać?

– Przegrałam z nową inwestycją – wzdycha. – Jakiś superluksusowy apartamentowiec w Bow za kupę kasy z megadesignerskimi wnętrzami. Jak zwykle. – Przegląda teraz grubszy pakiet zdjęć sprzed ery Photoshopu; czerwone oczy i błyszczące czoła. – Szkoda, że nie widzisz tych zdjęć, Lou. Mama i tata są na nich tacy młodzi.

Przenikliwy dziecięcy pisk.

– Lorno, muszę kończyć. Słuchaj, fajnie, że wreszcie znalazłaś odpowiednie miejsce na ten wasz ślub. Brzmi ogromnie wielkopańsko. Mama na pewno wpadłaby w zachwyty, szczególnie jeśli są tam drewniane deski klozetowe.

– Drewniane deski są passé.

– Dobra. Już zaczynałam myśleć, że do końca życia będziecie narzeczeństwem.

– Co?

– Żadne z miejsc ci nie odpowiadało.

– Szukałam Black Rabbit Hall. – Myśl sama ubiera się w słowa.

– Alf, zaraz będzie podwieczorek. Zostaw te ryżowe wafle. Przepraszam, co mówiłaś?

– Obraz Black Rabbit Hall cały czas miałam zakodowany w głowie. Nic nie może mu dorównać. Dlatego nie mogłam się zdecydować.

– Poważnie? Dziwne. – W tle słychać odgłosy przepychanki. – Chyba cały rok żyjęcie planowaniem wesela. Chloe, ostatni raz ostrzegam, zostaw Alfa w spokoju! Alf, odłóż wafel! – Nabrzmiały żalem dziecięcy szloch. – Przepraszam, Lor. Godzina czarownic. Co ja mówiłam? Nie potrafię utrzymać myśli dłużej niż trzydzieści sekund. Ach, już wiem. Ja wyszłam za mąż młodo, a ty, taki wolny duch...

– Miałam problemy ze związkami? Zawsze trafiałam na niewłaściwych mężczyzn? – żartuje Lorna, boleśnie bliska prawdy. Pocałowała mnóstwo żab.

– Nie, nie o to chodzi. Dużo podróżowałaś, więc to i owo przeżyłaś...

– Lou, nie bardzo wiedziałam, czego chcę, kiedy rzuciłam studia. – Pamięta tamten czas wzlotów i upadków. Stragan na rynku Portobello z ciuchami vintage, skostniałe dłonie w mitenkach, sprzedaż zatechłych futer w tygrysie cętki pretensjonalnym stylistom, kelnerowanie, praca nauczycielki angielskiego w Barcelonie. – Permanentny stan egzystencjalnego kryzysu.

– Dopóki nie poznałaś Jona...

– Hmm... – Lorna uśmiecha się, lecz niechętnie się do tego przyznaje. – No, nie tylko.

– Prawda. Skończyłaś kolegium nauczycielskie i teraz, w przeciwieństwie do mnie, masz porządny zawód i świetnie się w nim sprawdzasz. Nie mówiąc już o tym, że wyrabiasz sobie emeryturę. Moja wyluzowana starsza siostra z emeryturą.

– Wyluzowana? Stare czasy, Louise. – Lorna odchyła paznokciem pozbawione kleju skrzydełko brązowej koperty.

– W następnej kolejności dziecko, Lor.

– Przestań – mówi siostra ze śmiechem.

– Jon, zdaje się, chce sporą gromadkę.

Lornie bardzo się to w nim podoba. A jednocześnie trochę przeraża. Jaką matką będzie? Cierpliwą i ciepłą jak Louise? Odsuwając od siebie te pytania, wytrząsa zdjęcie z koperty: czarno-białe z oddartym rogiem – na nim matka z wystudiowanym uśmiechem patrzy w obiektyw, ściskając w dłoni swój ulubiony kuferek w stylu Margaret Thatcher. Obok stoi szczupła dziewczynka w ogrodniczkach w patchworkowy wzór. W tle drzewa. I biała emaliowana tablica.

*

Doug potrząsa puszką, trzymając ją blisko dużego czerwonego ucha.

– Albo w szafce urzęduje jakiś złośliwy duszek, albo moje herbatniki opanowały do perfekcji sztukę znikania z puszek. Przykro mi, skarbie, nie mam nic słodkiego.

– Nieważne, tato. Możesz tu spojrzeć? To Black Rabbit Hall!

– Chwileczkę. – Klamra przy pasku spodni podzwania o krawędź blatu, gdy wychylony do przodu Doug stawia puszkę z powrotem na półkę.

– Trzy zdjęcia, nie jedno! Zrobione w mniej więcej tym samym miejscu. Ta sama tablica, tylko ja na każdym z nich jestem w innym wieku. Na pierwszym mogę mieć ze cztery lata, a na ostatnim siedem czy osiem. Rany, ciekawe, czy gdzieś w tym pudle nie ma więcej podobnych fotek.

– No tak. Gdzie te cholerne okulary? – Po gorączkowych poszukiwaniach Lorna znajduje je w końcu w szufladzie ze sztućcami przy nożyku do obierania ziemniaków, którego ostrze ryzykownie opiera się na szkle. Ojciec nakłada je i wpatruje się w fotografię. – Ta tablica... – bąka, wyraźnie zakłopotany. – Pencraw Hall?

– Ależ jestem głupia. Zupełnie zapomniałam. To oficjalna nazwa posiadłości.

Doug milczy przez chwilę, gładząc palcami niewidoczny zarost na brodzie.

– A niech to!

– A więc słyszałeś o tym miejscu? – Lorna niemal się jąka z podniecenia.

– Czy ja wiem. Nie, nie, nie sędzę – poprawia się.

Ojciec ma niepewną minę, gdy przychodzi z parującym imbrykiem i siada przy stole, opierając duże, owłosione dłonie na delikatnej koronkowej serwecie. Lornę ogarnia wzruszenie, bo to ta sama serweta, którą matka, nieskazitelnie białą, wyjmowała jedynie na „szczególne okazje” (wizyty córek się do nich nie zaliczały). Teraz jej brudnoszary odcień świadczy o nieudolnych zmaganiach ojca z praniem „białych rzeczy”.

Lorna rozkłada zdjęcia na stole jak karty.

– Dlaczego tam wracałyśmy?

Doug nalewa herbatę, nie odrywając oczu od ciemnego strumienia zbyt mocnego naparzu. Okulary zjeżdżają mu po warstewce potu na nosie.

– Twoja matka zawsze miała takie swoje ulubione miejsca.

– Ale dlaczego stoimy na początku podjazdu jak dwie sieroty?

Ojciec kciukiem podsuwa wyżej okulary.

– Córciu, pozwól, że coś ci wytłumaczę...

Lorna wydaje w duchu jęk. Wie, co teraz nastąpi.

– ...mężczyźni do myślenia wykorzystują substancję szarą, która jest pełna aktywnych neuronów. – Ojciec puka się w bok głowy, niechcący podbijając uchwyt okularów, które podskakują i opadają. – Kobiece myślenie odbywa się za pomocą istoty białej złożonej z połączeń pomiędzy neuronami.

Normalnie w takim momencie wkroczyłaby matka i ucięła wywód, mówiąc: „Och, na miłość boską, przestań już, Doug”. Lorna żałuje, że nie może postąpić tak samo.

– Próbuję ci wytłumaczyć, że nawet w połowie nie miałem pojęcia, co się dzieje w uroczej główce twojej matki – podsumowuje, drapiąc się po szyi.

Lorna nie jest usatysfakcjonowana. To pocieranie szyi oznacza u ojca zdenerwowanie. Czuje, że on nie mówi jej wszystkiego. A jeżeli tak jest, to dlaczego?

Te zdjęcia są poruszone, kiepsko skadrowane. Na jednym widać wyraźnie cień palca fotografa. Na innym obie z matką mają ucięte czubki głów. Takich zdjęć nie przechowuje się na pamiątkę dla przyszłych pokoleń.

– Nie wiesz przypadkiem, kto je robił?

– Twojej matce nigdy nie brakowało odwagi, aby poprosić kogoś obcego o cyknięcie fotki jej pentaxem.

– A to? – Lorna wysuwa jedno ze zdjęć, patrząc z uwagą na ojca. – Potrafisz umiejscowić je w czasie?

Pochyla się, poprawiając palcem okulary.

– Sądząc po liściach na drzewach, to lato. Powiedziałbym, że wyglądasz na jakieś siedem lat. Lato siedemdziesiątego ósmego roku?

– Pewnie pomogły ci te okropne ogrodniczki?

– Och, ty je uwielbiałaś. – Oczy za zaparowanymi okularami przybierają nieobecny wyraz i Lorna ma wrażenie, że teraz nie widzi jej – trzydziestodwulatki w białym T-shircie, w dżinsowej spódnicy i w conversach, tylko tamtą małą ruchliwą dziewczynkę, w za ciepłych ogrodniczkach i w skórzanych sandałkach. – Miałaś wtedy bardzo zdecydowane zdanie co do doboru strojów. Każdy poranek przypominał ubieranie Marii Antoniny.

Wspomnienia przepływają nad stołem, wirując wokół zdjęć jak woda wokół skały. Doug wpatruje się w splecione dłonie i kręci młynka kciukami. Lorna z rezygnacją wkłada zdjęcia z powrotem do koperty. Nie ma co liczyć na jakieś konkrety.

Ojciec od razu się odpręży, odchyła się na krześle i splata ręce na brzuchu.

– O czym tak z siostrą paplałyście?

– Ach, próbowałam ją namówić, żeby pojechała ze mną do Black Rabbit Hall w ten weekend. – Na usta ciśnie się jej pytanie, czy tata nie zająłby się dziećmi Louise, lecz powstrzymuje ją myśl, że jeśli on się zgodzi, Lou może czuć się niezręcznie, obarczając go tym obowiązkiem. (Alf wymaga stałej uwagi). – Ale ona ma dzieci na głowie – mówi jedynie, zostawiając temat otwarty.

Ojciec go nie podchwytuje, wrzuca cukier i miesza herbatę niedomytą łyżeczką. Kończy na trzech kostkach. Nikt mu teraz nie przynudza, że za dużo słodzi.

– A Jon nie może z tobą pojechać? Lepiej bym się czuł, wiedząc, że ci towarzyszy.

– Ma dużo roboty.

Popatruje na nią, unosząc brwi ponad oprawki okularów. Po takim sondującym spojrzeniu zwykle następuje raczej osobiste pytanie.

– Między wami wszystko w porządku?

– Oczywiście. – Lorna składa ramiona na piersi. – Czemu pytasz?

– No bo w zeszłą niedzielę tam w pubie, na lunchu, wyczuwałem jakieś napięcie. Nie jedliście sobie z dzióbków.

– Ach, to. – Lorna próbuje bagatelizować sprawę zarówno ze względu na ojca, jak i na siebie. Otwartymi dłońmi zsuwa solniczkę i pieprzniczkę na środek stołu. – On nie jest przekonany, że powinnam skorzystać z zaproszenia do Black Rabbit Hall. To wszystko. Uważa, że nachalnie wciska się nam tę ofertę.

– A tak nie jest?

– Może. No dobrze, jest. Ale nie musimy niczego podpisywać własną krwią. Znaczy, jeżeli Jon rzeczywiście nie chce...

– To ty i tak go przekabacisz i w końcu się zgodzi. – Ojciec rechoce, dotykając stołu trzęsącym się brzuchem. – Już ja cię znam, Lorno. Oboje wiemy, że jak się uprzesz, nie ma siły.

– Ale to taki piękny dom!

Przygląda jej się sponad krawędzi filiżanki, już poważniejąc.

– Powiem ci, że trzymam stronę Jona. Nie jestem pewien, czy zaproszenie tej księżnej...

– Nie jest księżną. Co prawda pani Alton to dość specyficzna osoba, ale tkwiąc samotnie w tym wielkim, starym domu, musi być zwyczajnie spragniona towarzystwa. – To nie do końca prawda. Jest coś niepokojącego w Caroline Alton. Ponadto zastanawia ten jej układ ze znerwicowaną Dill, no i samo zaproszenie, nieco dziwne, lecz Lorna dobrze wie, że w tej chwili lepiej nie rozwijać tego tematu. Istotne, że wakacje pędzą w zawrotnym tempie. We wrześniu zacznie się przeglądanie uczniowskich głów w poszukiwaniu wszy, panikowanie przed wizytacjami z wydziału oświaty i wariackie dopinanie organizacji wesela.

– Jeszcze herbaty?

– Nie, dzięki. Muszę się zbierać. – Tak jest zawsze: tęskni za tatą, a kiedy znajdzie się w domu rodzinnym, robi jej się go żal, a dodatkowo wytrąca ją z równowagi brak matki – oraz tamtej Lorny, jaką przy niej była – i ma ochotę jak najprędzej wrócić do swego dorosłego życia. – Inaczej trafię na godziny szczytu – tłumaczy się, chwytając za torebkę.

Ojciec wydaje się zawiedziony – jak zawsze, kiedy ona wychodzi – ale bierze się w garść, dźwiga z krzesła i wstaje od stołu.

– Dzięki za te frykasy. Z przyjemnością zjem salami.

– Dzwon, jak czegoś potrzebujesz. – Całuje go w policzek – pachnie płynem po goleniu, tostami i kołnierzykiem nie pierwszej świeżości koszuli – po czym spogląda na brązową kopertę na stole. – Tato, mogę wziąć te zdjęcia?

Waha się ze ściągniętymi brwi i w końcu kiwa głową.

– Wiesz co, myślę, że one należą do ciebie.

Ten komentarz zastanawia ją dopiero, gdy przekręca kluczyk w stacyjce. Dlaczego te zdjęcia należą do niej? Czemu ojciec coś takiego powiedział? Stojący za nią kierowca volva niecierpliwi się, żeby zwolniła mu miejsce, a właściciel następnego samochodu już raz dał po klaksonie. Zresztą chyba niezręcznie byłoby teraz wrócić, żeby ojca o to zapytać.

Rozdział jedenasty

Dziesięć dni później taksówka znika za drzewami, zostawiając Lornę samą z niewielką niebieską torbą u stóp na kamienistym nadbrzeżu przed podjazdem Pencraw Hall. Ciszę, deprymującą ciszę, zakłóca jedynie szum wiatru i chichot niewidocznych mew. Bliźniacze kamienne sokoły po obu stronach frontowego wejścia sprawiają wrażenie alarmująco czujnych, natomiast sam dom wydaje się pusty i ospały w upale późnego lata; budynek cierpliwie znoszący proces autodestrukcji. Po raz pierwszy Lornę ogarnia niepokój. Nie tylko z powodu tego, że znalazła się w miejscu tak odludnym bez samochodu – nie chciała się tłuc sama po wąskich, krętych drogach i przyjechała pociągiem z Paddington – i bez możliwości łatwego odwrotu. Także dlatego, że przed wyjazdem z Londynu jej i Jonowi towarzyszyło napięcie, które pojawiło się po powrocie z Black Rabbit Hall i rosło w miarę zbliżania się tego weekendu.

W ciągu ostatnich kilku dni Jon wydawał się taki cichy i zatopiony we własnych myślach, jakby w związku z tym domem nurtowało go coś, czego do końca nie potrafił rozgryźć. Z kolei ona uważała, że on jej nie rozumie, a na dodatek ma pretensje, że opuści dwudzieste siódme urodziny jego „małej siostrzyczki” w ten jeden z ostatnich weekendów pełni lata. Jednocześnie nie mogła się oprzeć wrażeniu, że prawdziwym powodem irytacji Jona jest jej samotny przyjazd tutaj. A więc zaborczość. Lubi zawsze mieć ją blisko siebie. Z jednej strony kocha go za to, bo w przeciwieństwie do poprzednich chłopaków nigdy nie bawił się w gierki ani nie udawał obojętności, żeby wzbudzić większe zainteresowanie. Z drugiej natomiast to ją od niego odpycha. Kochanie kogoś – i bycie kochanym – budzi w niej lęk. Bezpieczniej zachować pewien dystans. Zawsze się zaklinała, że zachowa niezależność, obojętnie, czy wyjdzie za mąż, czy nie. Nie chce być kobietą, która spełnia się wyłącznie poprzez związek.

Utwierdza się w przekonaniu, że właściwie dobrze się stało, iż jest tutaj sama. Łatwiej jej będzie poznać ten dom, pomyszkować trochę, zobaczyć, czy uda się znaleźć wyjaśnienie dla tych dziwnych zdjęć z matką przed podjazdem. Ma je przy sobie, ukryte pomiędzy kartkami książki. Samotność stwarza szansę na zanurzenie się w atmosferze Black Rabbit Hall. Myśląc o tym, na chwilę przemyka oczy i cieszy się ciepłym wiatrem, który owijając się wokół tydek i powiewając jej spódnicą, niesie ze sobą cudowny zapach wodorostów, kapryfolium i lanoliny. Zapach tamtych letnich dni z dzieciństwa oraz spacerów po łąkach, gdy

zdejmowała klaczki wełny z kolczastych drutów i chowała je przed matką do kieszeni kurtki.

Przenikliwy skrzek mewy wytrąca ją z zadumy. Wchodzi szybko po schodach i naciska dzwonek. Cisza. Dzwoni jeszcze raz. Stuka kołatką w kształcie lwiej łapy. Nic. Dziwne. Parę dni temu w rozmowie z Dill potwierdziła przyjazd. Czyżby to wyleciało jej z głowy? Spogląda na zegarek. Druga. Może Dill z panią Alton siedzą jeszcze przy lunchu? Tak, to brzmi sensownie. Pewnie dłubią w wędzonym łososiu na bezcennej rodowej porcelanie, otoczone grubymi kamiennymi murami, które tłumią wszelkie odgłosy. W takim razie – postanawia – teraz wybierze się na spacer po posiadłości i wróci za jakieś dwadzieścia minut, kiedy zapewne będą już po posiłku. W najgorszym wypadku potraktuje to wszystko jako przygodę – decyduje buńczucznie, stawiając nieporęczną torbę przy drzwiach. W końcu dawno żadnej nie zaliczyła.

*

Kuta żelazna brama prowadząca do lasu zostawia na palcach rdzawy pył, jakby chciała odcisnąć swe piętno na każdym, kto przez nią przechodzi. Co prawda nie jest zamknięta na klucz, lecz kolczaste jeżyny blokują zawiasy. To tylko wzmaga zdecydowanie Lorny, żeby się przedrzeć na drugą stronę, do szemrzącego, migotliwego lasu. Wrywa najbardziej uparte z gałęzi, niegroźnie raniąc palce, a witki odgarnia nogą, przeklinając przy tym głupotę, jaką był wybór balerin na cienkiej podeszwie. Gdy z całej siły napiera barkiem na metal, słyszy nieco niepokojący chrzęst – brama czy jej kość? – i brama się uchyla. Już jest po drugiej stronie.

Ścieżka, tu i ówdzie z kępami wysokich pokrzyw, wije się przez las i gdy po paru minutach Lorna ogląda się przez ramię, nie widzi już drogi powrotnej. Drzewa rosną gęściej, a prężące się ku niebu pnie łamią perspektywę, co utrudnia ocenę odległości. Drzewo może wyglądać na mniejsze albo po prostu rośnie dalej. Z bliska wydają się olbrzymie, dziwnie ludzkie. Z korą poznaczoną bliznami. W dzieciństwie marzyła o wspinaniu się na takie drzewa, kiedy obchodziła wymuskane przez matkę („żadnych zabaw z piłką”) gazony z chryzantemami.

Woda? Lorna przystaje. Tak, zdecydowanie plusk wody. Pamięta, jak Dill wspomniała, że przez las dochodzi się do rzeki. Jednak ona teraz zupełnie straciła poczucie, w którym kierunku idzie, bo w ogóle ma słabą orientację w terenie. Jej źrenice rozszerzają się, dostosowują do cienia. Im bardziej się zbliża do tego dźwięku, tym gęstsze się stają jeżynowe zarośla, a pokrzywy boleśnie siekają po nogach. Zwalone pnie, osmalone przez pioruny, tarasują ścieżkę. Rany, coś wodzi ją po tym lesie. Zdaje się, że będzie gościem, którego na kolację sprowadzi ekipa poszukiwawcza. W chwili gdy postanawia zawrócić, zgodnie z logiką idąc mniej więcej w odwrotnym kierunku, dostrzega między konarami metaliczny połysk,

jakby falowanie srebrzystej wstęgi. Rzeka! Tak, to musi być rzeka! W przypiływie świeżej energii puszcza się biegiem, przeskakując przez gałęzie, i zadyszana, ze splątanymi włosami, hamuje na grząskim brzegu.

Stoi i uśmiecha się jak niespełna rozumu do pofalowanej wody. Unosi znad karku długie włosy, chłonąc z rozchylonymi ustami bagienny, słony zapach i widok lśniącej wody marszczonej przez przypiływ. Jest tutaj sama, niedługo wyjdzie za mąż i gości w Black Rabbit Hall. To wszystko wywołuje dreszcz emocji i odurza jak narkotyk. Spływa na nią przekonanie, że absolutnie musiała się znaleźć nad tą rzeką akurat w to sierpniowe popołudnie i nie liczą się konsekwencje. Oszołomiona, opiera się o najbliższe drzewo; ciepła, szorstka kora uwiera ją w plecy przez cienką bawełnę, jak opona koła, które właśnie przestało się obracać. Gdy osuwa się po pniu, żeby przysiąść na trawie, dostrzega wycięte znaki. Rowki. Zadry. Litery.

Na pewno wyłobiono je jakimś ostrym narzędziem – ocenia, przyglądając się z bliska. Niektóre ze znaków trudno rozszyfrować; nacięcia zasklepiły się wraz ze wzrostem drzewa lub częściowo znikły pod porostami. Niewątpliwie są stare, lecz trudno określić ich wiek. Lorna przesuwając po nich palcem. Oczywiście, to niemądre, lecz nie może się oprzeć wrażeniu, że to drzewo – z grubymi, długimi konarami, które zwisają z pnia jak szprychy z połamanego koła – czekało na jej przyjście.

Tajemnicze symbole, krzyżyki, trójkąty, zygzaki... rzeźbienie w korze dla zabawy czubkiem noża? Tak, to musiał być nóż, lub raczej scyzoryk. Och, jest królik! Jak z kreskówki: z długimi uszami i śmiesznie wystającymi dwoma przednimi zębami. Lorna uśmiecha się. A to co? T.O.B.Y. Toby? Tak, najwyraźniej. Kim jest Toby? Te znaki niewątpliwie wrył ktoś młody, na pewno nie dziecko – ocenia, znając niezdarne kulfony swoich podopiecznych – raczej nastolatek z dobrze wyszkoloną ręką. Coś w wyglądzie tych liter – determinacja, z jaką je wycięto – przyprawia ją o szybsze bicie serca. Czuje się jak odkrywca śladów po wymarłym plemieniu.

Wkrótce dostrzega kolejne litery. A.M..., nie, więcej nie odczyta, reszta napisu zbutwiała. Oj, nie, są następne. Na pniu tuż pod konarem. K.I.T. Kit? A więc w jakimś momencie mieszkało tu więcej niż jedno dziecko. „Dziedzic i pretendenci” – słyszała gdzieś to powiedzenie. Jest w nim jakaś brutalna logika.

Lorna wyjmując z kieszeni klamrę do włosów i spina je ciasno, odgarniając daleko od płonących policzków. Odczuwa dziwną ekscytację. Litery zaczynają skakać i tańczyć przed oczyma jak rozbrykane dzieci. Mały braciszek Barney – odczytuje na głos, wodząc palcem po najgłębszym rowku. R.I.P. 1963–1969. Pod spodem imię Toby, wycięte tą samą ręką. Przyciska dłoń do ust, gdy wylicza wiek. Och, straszne! Ten chłopczyk miał zaledwie sześć lat. Tyle samo co jej dzieciaki z 1B. Był w wieku jej siostrzeńca, Alfa. Ogarnia ją smutek, bo dobrze zna tych

sześciolatków: rozrabiaków z wypadającymi mleczakami i z niespożytą energią. Żal jej biednej pani Alton, bo to musiał być jej synek. Budzi się w niej także trudne do wytłumaczenia poczucie odpowiedzialności wobec tego nieszczęsnego, zapomnianego chłopczyka, takie samo, jakie odczuwa wobec swych wychowanków, gdy widzi, że któremuś z nich dzieje się krzywda i potrzebna jest pomoc. Lorna nie należy do nauczycieli, którzy zamykając drzwi klasy, zostawiają za sobą problemy. Zdarza jej się w bezsenne noce myśleć o tamtych dzieciach. Teraz będzie myśleć o tych.

Ten napis wyżłobiony w korze, prawie zatarty przez czas i mech, poświęcony rozpaczliwie krótkiemu życiu („mały braciszek Barney”), bardziej wzrusza i chwyta za serce niż epitafium na okazałym marmurowym nagrobku. Staje się abstrakcyjnie ludzki jak metka odkryta przypadkiem na mankiecie sukienki vintage. I całkowicie odbiera anonimowość Black Rabbit Hall, niwecząc próbę przemiany posiadłości jedynie w dom weselny, żyjący historiami młodych par.

Teraz stała się świadkiem. Przecież nie musiała natrafić na to drzewo – rosną ich tu chyba tysiące – a jednak coś ją do niego przywiodło. Czy nie ma obowiązku wobec tego małego chłopczyka – i starszego brata, który wyrzył ten wzruszający napis – dowiedzieć się więcej o tamtym krótkim życiu? Czy może beztrąsko brać tu ślub, nic nie wiedząc? Nie, to niemożliwe. Ze względu na siebie musi poznać historię tych dzieci, tak samo jak musi zgłębić znaczenie tamtych starych fotografii z matką na podjeździe. Tych spraw nic nie łączy, a jednak kiedy stoi tu w słońcu prześwitującym przez gałęzie, dotykając palcami ciepłej, szorstkiej kory, obie budzą taki sam zamęt w ciemnej przestrzeni w jej głowie, wirując tam jak dwa nieokiełznane duchy.

Rozdział dwunasty

Amber

Wieczór wigilijny 1968

– To nie był żaden duch, Barney, przysięgam. Duchów nie ma. – Malec w moich ramionach jest trzęsącym się jelonkiem; chude członki i długie, mokre rzęsy. – To była Caroline w etoli Mamy z białego futra – tłumaczę, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie. – Trochę mnie wystraszyła i to wszystko.

– Czy jest tu mój ukochany małpiszonek? – Peggy wsuwa okrągłą, różową twarz w drzwi dzieciennego pokoju. – Zobacz. Przyniosłam ci twój kocyk. Nie chcemy, żebyś się rozchorował, prawda? – Okrywa Barneya, podkładając mu pod brodę narożnik kocyka jak śliniak. – I popatrz, co dla ciebie mam. – Stawia tacę na dywanie. – Krakersy – wylicza. – Ser. I pyszne, słodkie mleczko. Skondensowane, z puszek. Twoje ulubione.

Barney rozluźnia uścisk wokół mojej szyi i zsuwa mi się z kolan w stronę talerza.

– Amber, śmiertelnie go wystraszyłaś, drąc się wniebogłose na biedną panią Shawcross – syczy Peggy wściekłym szeptem nad jego głową. – Na miłość boską, on ma tylko sześć lat. Nic dziwnego, że biedak się cały trzęsie.

– A więc to moja wina?

– Niestety, tak. Tym razem twoja. Oj, Amber, nie patrz tak na mnie. Wiem, że ciągle tęsknisz za mamą i cierpisz, ale nie wolno ci zachowywać się jak furiatka przy tak wrażliwym dziecku jak Barney. – Kładzie drobną dłoń na moim ramieniu. – Każdy z nas dźwiga w życiu swój krzyż.

– Ty nic nie rozumiesz. – Strząsam jej rękę.

– Cóż, może i nie – prycha. – Ale wiem, że są święta. – Dotyka palcami krzyżyka na szyi. – I wiem, że pan Alton stara się jak może. Niepotrzebne mu takie brewerie po ciężkim tygodniu w Londynie. Chce zobaczyć swoją dawną słodką Amber, a nie jakąś... szurniętą zmorę.

– To ona jest zmorą!

– Co to jest zmora? – pyta Barney z buzią wypchaną serem.

– Nic, co mogłoby cię interesować. Jedz krakersy. Musisz nabierać siły – ucina szybko Peggy. – Ta Shawcross – szepcze do mnie nad jego głową – bardzo się stara być miła, oczywiście, o ile ty i Toby jej na to pozwalacie. No i szasta pieniędzmi. Widziałas te sterty prezentów pod choinką? W życiu tyłu nie widziałam. To wręcz nieprzyzwoite. I nie znam drugiej kobiety, której tak bardzo

zależy na akceptacji.

– Caroline dała mi dropsy – informuje rzeczowo Barney.

Wycieram palcem wąsy z mleka nad jego górną wargą.

– Dała ci cukierki?

– Dropsy w papierowej rolce.

Peggy prostuje fartuch na wąskiej talii i podnosi się z westchnieniem.

– No tak, wasz podwieczorek sam się nie robi.

– Zaczekaj! Peggy, skąd ona wzięła tę etolę? – Wkurza mnie myśl, że Caroline mogła się kręcić przy szafie Mamy, miejscu, gdzie chodzę wdychać ostatnie ślady jej zapachu.

Peggy marszczy się i porusza bezgłośnie ustami.

– Zdaje się, że wisiała w szafie w sieni.

– Nie. – Kręcę głową. – Widziałam ją w garderobie Mamy, w szafie, obok etoli z rudych lisów.

– Oj, Amber, nie czepiaj się drobiazgów. Jak chcesz, miej pretensje do mnie.

– Niby czemu? – pytam wzburzona, bo wiem, że dla zachowania spokoju Peggy jest gotowa wziąć winę na siebie.

– Bo wcześniej natknęłam się na panią Shawcross, jak dygocząc z zimna, schodziła z tarasu. Trzeba nie mieć rozumu, żeby się wystroić w taką wydekoltowaną suknię w grudniu, ale to już nie moja sprawa. Zasugerowałam, że powinna coś narzucić na siebie, futro czy cokolwiek, nie chciałam, żeby złapała grypę, bo w święta za żadne skarby nie znajdziesz trzeźwego lekarza. Potem patrzę... – Policzki Peggy lśnią różowo. Wyraźnie ekscytuje ją ta historia. – A to pani Shawcross stoi na szczycie schodów otulona w etolę twojej mamy jak jakaś aktorka z filmów w kinie Truro Coronet!

Przebiega mnie dreszcz. Znowu widzę tamtą zapinkę, rozjarzoną jak koci ślep.

– Otulona w białe futerko wyglądała naprawdę świątecznie. Pomyślałam, że może pan Alton choć trochę się rozchmurzy na ten widok – kończy, jednak lekko poirytowana tą myślą.

– Ale to nasze pierwsze Boże Narodzenie bez Mamy!

– Tak, Amber. I właśnie dlatego pani Shawcross tu jest, prawda? Żeby wnieść trochę życia. Podnieść na duchu twojego tatę.

Opieram podbródek na głowie Barneya i tracąc ochotę do walki, zastanawiam się, czy jestem aż taką potworną egoistką i rzeczywiście opacznie to wszystko zrozumiałam.

– Rozchmurz się. Twoja Mama chciałaby, żebyś była szczęśliwa w święta, prawda? Nie znosiła smutnych min.

Łzy napływają mi do oczu. Mrugam, żeby je powstrzymać. Nie chcę zdenerwować Barneya.

– No już, już. – Peggy przygarnia mnie w ramiona. Zapach potu, ciasta i talku bucha spod falbankowego kołnierzyka jej bluzki. – Tylko nie to, moja panno.

– Peggy, ja... ja mam takie wrażenie, że my udajemy, że wszystko jest normalnie. – Wysuwam się z jej objęć i wycieram oczy wierzchem dłoni. – Tata nam mówi, żebyśmy zapomnieli o Mamie.

Kręci głową.

– Ptaszku, nikt od was nie wymaga, żebyście ją zapomnieli.

– A ja myślę, że tak.

– Pan Alton wierzy, że trzeba twardo stąpać po ziemi, trzymać uczucia na wodzy i takie tam rzeczy. To ma sens, Amber. Tkwiąc w przeszłości... – głos jej się lekko łamie – ...żyjemy tylko w połowie.

Barney, tłumiąc szloch, dostaje ataku kaszlu. Obie skupiamy się na nim, przestraszone, że wpadnie w histerię. Bardzo łatwo płacze z byle powodu.

– Hej, mój panie, no już, już. Tylko nie zaczynaj na nowo tych swoich brewerii, bo wystraszysz panią Shawcross i ucieknie do Londynu najbliższym pociągami, a wtedy wszystkim nam się oberwie. – Spogląda na mnie. – Coś mi się zdaje, że ta dama nie lubi wrzeszczących dzieci.

– Chyba w ogóle nie przepada za dziećmi. Widzę to w jej spojrzeniu, kiedy na nas patrzy. Nawet na Luciana.

– Jeśli mam być szczerą, ten młodzieniec raczej nie budzi sympatii.

Dziwny prąd sunie mi po skórze, kiedy przypominam sobie spotkanie z Lucianem w lesie. Jak wynurzył się z cienia, wydmuchując kółka z dymu niby małe szare znaki kierowane do mnie. Odsuwam na siłę ten obraz, bo chcę wygnać go z myśli. Problem w tym, że im bardziej się staram, tym bardziej on staje się natrętny. To jak próba zasypiania na siłę, gdy zmuszając się do snu, coraz bardziej się rozbudzamy.

– Amber, zapominasz, że nie wszyscy z taką czułością obchodzą się z dziećmi jak wasza mama. Mają być widziane, ale nie słyszane; tak od pokoleń wychowywano dzieci u Altonów. Maud Bean ze wsi, znajoma Toots, niani waszego ojca, mówi, że on widywał rodziców pomiędzy piątą i szóstą po południu. To twoja mama, Panie świeć nad jej duszą, wyrzuciła wszystko do góry nogami, wprowadzając amerykańskie zwyczaje. Wcześniej nikt czegoś takiego tutaj nie widział.

Peggy przykuca przed Barneyem.

– No, grzeczny chłopczyk. Dokończ mleczko. Chłopcy muszą pić dużo mleka, żeby nabierać siły. A ty chcesz urosnąć taki duży i silny jak tatuś, prawda?

Barney z szeroko otwartymi oczyma skwapliwie kiwa głową, obejmując szklanek paluszkami.

– Moja babcia mawiała, że jeśli pije się szklanek mleka dziennie, dożyje się

stu lat.

– Dożyła? – zaciekawia się malec.

– Dziewięćdziesięciu dwóch. Ale tyle każdemu w zupełności wystarczy. –
Wichrzy Barneyowi czuprynę. – Nie należy przeciągać pobytu dłużej, niż jesteśmy
mile widziani, no nie? – Puszczą do niego oko.

*

Kule zeschniętych kwiatostanów w smudze światła z kuchennego okna kiwają się jak zamrożone czaszki. Wysrebrzone jeżynowe odrosty podstępnie wypełniają z zagonu na ścieżkę. Bluszcz pnie się obficie niż zawsze, jakby sunąc po murze, zakradał się do naszych okien, gdy śpimy. W tym roku nic w ogrodzie nie zostało ani przycięte, ani uformowane. Każdej jesieni zajmowała się tym Mama wraz z drużyną ogrodników. Ja też pomagałam; przytrzymywałam worek na gałązki obcięte sekatorem i przynosiłam z kuchni jeszcze ciepłe kruche ciasteczka dla podładowania energii. W tym roku nikt tu nie przyszedł. Przyciskam dłonie do zimnej szyby i wpatruję się w ciemność.

Ani śladu Toby’ego.

Szczęśliwa, że nie wołają mnie na kolację z dorosłymi, zjadam w kuchni trochę gorącej pasterskiej zapiekanki, skubię nieco kapusty, chrapię marchewkę z naszego ogródka, podkradam parę plasterków jabłka do puddingu i biorę jedną bakaliową babeczkę. Od spotkania z Lucianem w lesie nie mam apetytu. Moje myśli są zajęte czymś innym.

Kwadrans później Toby opada na krzesło obok i siedzi, zasłaniając się ręką przede mną. Jeszcze nie przeszła mu złość? Dostrzegam rozdarcie kołnierzyka jego koszuli i błoto w zmierzwionych włosach.

– Co ci się stało w oko, Toby? – pyta beztrąsko Kitty i udając, że karmi Gałgankę marchewką, dociska ją do czarnego szwa w miejscu lalczynek ust.

– Nic – odburkuje.

Wychyłam się, żeby zobaczyć, co ukrywa.

– Kurczę! Co z twoim okiem?

Toby wbija widelec w kartoflane piure.

– Nie boli.

Żołądek mi się ściska ze strachu; widzę odcisk trzech knykci nad jego brwią.

– To robota Luciana?

– Nie mam ochoty o tym gadać.

– Toby...

– Spadaj.

*

Nieprzenikniona ciemność. Długie aksamitne kotary chronią przed

przenikliwym zimnem. Przystaję przed drzwiami do salonu i słucham skrzypiącej płyty z kolędami kręcącej się na adapterze, pokasływania taty i obcego głosu obcej kobiety.

Twarz taty oświetla rozżarzony czubek cygara. *Cicha noc, świę-świę....* – zaczyna się płyta. Tata pochyla się, unosi igłę i umieszcza ją z powrotem na rowku. Kolęda przeskakuje, chór śpiewa dalej.

Święta noc...

Zerkam ukradkiem na Caroline. Nie ma na sobie etoli. Za to siedzi naprzeciwko taty przy kominku w Mamy fotelu, tym śliwkowym, którego żadne z nas nie śmie zajmować. Siedzi tam sobie, jakby od zawsze należał do niej; sztywno wyprostowana, noga elegancko założona na nogę, cocktailowy kieliszek w dłoni i ten ciasny uśmiech, jakby kąciki jej ust podciągały niewidoczne sznurki. Jest w krwistoczerwonej sukni, która ładnie podkreśla mleczny odcień skóry na ramionach. Oczy ma w kolorze czystego zimowego nieba o świcie, w smętnej porze, kiedy ziąb przenika aż do kości.

– Dobry wieczór, Amber – zwraca się do mnie takim tonem, jakby nigdy nie miała na sobie etoli Mamy, a ja nie skoczyłam jej do oczu. – Cieszysz się, że jest Boże Narodzenie?

Pamiętam słowa Peggy, że tata chciałby widzieć swoją dawną Amber, wysiłam się więc ze względu na niego.

– Tak, dziękuję, Caroline – wyduszam z siebie dziwnie obcym głosem.

Tata uśmiecha się do mnie. Z wdzięcznością i z ulgą. Ciekawe, czy wie, co wydarzyło się wcześniej. Nie miałam okazji mu o tym powiedzieć, bo nie udało mi się złapać go na osobności. Może poznał wersję Caroline.

– Och, popatrz tylko na te szkraby. – Caroline przenosi spojrzenie poza moje ramię i przyciska dłoń do szyi. – Hugo, jak one słodko wyglądają!

Barney i Kitty stoją boso w drzwiach, przebrani w piżamki i onieśmieleni przestępują z nogi na nogę. Wyszczotkowane włoski tworzą aureolę wokół świeżo umytych buzi. Peggy trzyma się za nimi jak cień. Boris macha ogonem.

– Masz więcej dropsów? – odzywa się Barney, a Caroline i tata wybuchają śmiechem, jakby to była najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszeli.

– Myślę, że uda mi się jeszcze coś znaleźć. A co powiecie na... – w jej głosie jest jakaś błagalna nuta – ...coś bardzo słodkiego i zakazanego?

Barney i Kitty entuzjastycznie kiwają główkami. Chcę wtrącić, że umyli już zęby, lecz wiem, że Kitty by mi tego nie darowała.

– O, jest też panicz Toby. – Caroline sztywnieje w fotelu. – Dobry wieczór, młody człowieku.

– Co ci się stało w oko? – pyta cicho tata, jakby nie miał pewności, czy chce poznać odpowiedź. Coś w postawie Toby’ego zniechęca do zadawania pytań.

– Spadłem z drzewa. Gałąź się złamała – odburkuje tak cicho, że ledwo go

słychać.

– Ummm – mruczy tato, udając, że mu wierzy.

– O Boże, ale śliwa! – wyrywa się Caroline i chce jeszcze coś dodać, lecz zamyka usta, bo chyba nabrała podejrzania, skąd ten guz mógł się wziąć. Potem już nikt nie komentuje podbitego oka ani wymownej nieobecności Luciana.

Po chwili niezręcznego wahania tata szeroko otwiera ramiona.

– Chodźcie mnie uściskać.

Barney podbiega i wskakuje mu na kolano. Kitty mości się na drugim razem z Gałganką, a Boris kładzie mu łeb na butach i toczy ślinę na sznurowadła.

Toby nie rusza się z miejsca, karząc go w ten sposób za zaproszenie Shawcrossów do Black Rabbit Hall.

Ja waham się przez sekundę lub dwie, lecz nie potrafię się oprzeć i przytulam mu twarz do piersi – tata jest taki konkretny, daje poczucie bezpieczeństwa, pachnie sobą – i gładzę go palcami po włosach nad karkiem. Normalnie nigdy bym tego nie zrobiła, lecz wiem, że Caroline mnie obserwuje. Zaznaczam moje terytorium.

– Tak mi was brakowało w tych ostatnich tygodniach – mówi tata, zanurzając podbródek w lokach Kitty i patrząc kątem oka na Toby’ego. – Byłem bardzo zajęty.

– Gałganka nadal cię kocha – szepcze Kitty. – Zrobiła ci różową skarpetę.

– Naprawdę? – Jego oczy są pełne miłości. My wybuchamy śmiechem. Na moment prawie zapominam o Caroline. – Jestem z was bardzo dumny, mam nadzieję, że o tym wiecie. – Mówiąc to, spogląda na Toby’ego. Według mnie chce dać mu do zrozumienia, że jego też ma na myśli. Toby jednak odwraca wzrok i skupia się na obracaniu palcem globusa w rogu pokoju.

Caroline odkasłuje i nerwowo poprawia się w fotelu, jakby nie bardzo wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Żyłka na dłoni, w której trzyma kieliszek, nabrzmiała w cieple z kominka i pulsuje pod skórą.

– Wszyscy jesteście tacy dzielni. – Ta uwaga to jedyna aluzja do śmierci Mamy od jego powrotu do domu na święta.

– W przyszłym roku będzie lepiej – wtrąca Caroline nieco piskliwie, patrząc na nas czujnymi oczami znad krawędzi kieliszka.

– Na pewno. – Tata uśmiecha się do niej ponad głowę Kitty. Nie podoba mi się ten uśmiech. Kryje się za nim dużo rozmów odbytych bez nas.

– Przysięgasz na swoje życie, tatusiu? – Kitty nie odrywa oczu od szafirowych kolczyków Caroline, połyskujących w jej małych, wysoko osadzonych uszach. – Że będzie lepiej, a potem jeszcze lepiej?

– Przysięgam, Kitty. – Tata całuje ją w czoło z zamkniętymi oczami.

Caroline podnosi się gwałtownie z fotela. Taka czułość to dla niej za wiele. Z głośnym brzękiem odstawia kieliszek na gzyms kominka.

– A kto ostatnio wyglądał przez okno?

Barney i Kitty przecząco kręcą głowami. Toby szybciej obraca globus. Mam wrażenie, że kula, wirując coraz prędeziej i prędeziej, w końcu przeleci przez pokój. Nakręcona jak Toby.

– Pokażę wam coś magicznego. – Caroline wyciąga rękę. Upierścieniona dłoń zawisa w powietrzu, kamienie migoczą w blasku ognia w kominku. – Chodźcie, dzieci.

Kitty i Barney zerkają na jej dłoń, a potem w poczuciu lojalności na Toby'ego. Caroline drga mięsień żuchwy. Oczywiście, Kitty nie potrafi się oprzeć pierścionkom. Caroline z ulgą spogląda na tatę. Popatrz na mnie – mówi jej uśmiech. Zobacz, jak Kitty mnie lubi i jak ufnie trzyma mnie za rękę. Podchodzą w trójkę do okna.

– Amber. Toby. Okno. – W głosie taty pojawia się ostry ton. Z kryształowej karafki dolewa whiskey do szklanki. – Szkoda tego nie zobaczyć.

Ciekawość zwycięża. Odciągamy aksamitną kotarę i ze zdumienia otwieramy usta. Z nieba sypią się ogromne, pierzaste płatki śniegu, tańcząc i wirując w złotej plamie światła z okna.

– Och! – Barney rozpląszcza palce na szybie. – To prawdziwy śnieg?

Caroline zamyka dłoń na jego drobnym ramionku.

– Tak prawdziwy jak ty i ja, Barney.

– Ale przecież w Black Rabbit Hall nigdy nie pada śnieg – odzywa się Toby, marszcząc czoło, jakby nurtowało go coś, czego nie potrafi pojąć. – Nigdy nie pada nad morzem.

– A jednak teraz pada, Toby. – Caroline unosi podbródek i patrzy za okno z triumfującą miną. – Czy to wszystko nie jest zbyt idealne, żeby dało się opisać słowami?

*

Zrywam się ze snu z dłońmi przyciśniętymi do twarzy, jakbym chroniła ją przed upadkiem. Dysząc ciężko, leżę chwilę w ciemności. Jakim prawem, Lucianie? Jak śmiałeś uderzyć Toby'ego, a potem się ukryć? O nie, nie pozwolę ci dłużej się chować.

Pociągam za wyłącznik wiszący przy lampie i mrużąc oczy, oswajam się ze światłem żarówki pod brzoskwiniowym abażurem. Wychodzę z rozgrzanego łóżka na zimny korytarz. Tuż za progiem omijam deskę w podłodze, która nadepnięta, wydaje koci pisk, cicho przysmykam drzwi, dla dodania odwagi zostawiam szparę, żeby sączyło się światło, i skradam się przed sypialnię Toby'ego. Przystaję pod drzwiami i nasłuchuję – kompletna cisza, to dobrze, wściekłby się, gdyby wiedział, co zamierzam – następnie, jak zawsze, kiedy budzę się w nocy, zaglądam do Kitty i Barneya, aby się upewnić, że żyją.

Oboje są w łóżku Barneya: płatanina rąk, nóg i włosów zwinięta pod kawałkiem ściany, do której Barney przykleja użyte, poplamione krwią plastry, swoje pamiątki po rozbitych kolanach i pociętych palcach. W sypialni lekko zalatuje siuškami. Kitty śpi z wypiętą pupą. Barney celuje łokciem w jej nos. *Milly, Molly, Mandy*, książka, którą czytałam im na dobranoc, leży wciśnięta pod poduszkę. Gałganka zwisa z łóżka głową w dół z rozpostartymi ramionami. Układam lalkę przy Kitty, wyciągam książkę spod poduszki i przez chwilę przyglądam się słodko śpiącym maluchom. Potem całuję oboje w czółka i wychodzę na palcach. Mój gniew nie pasuje do tego miejsca.

Przystaję przy oknie na półpiętrze za ich pokojem, gdzie podłogę srebrzy światło księżycy, i chucham na szybę. Biel za oknem jest nieruchoma i płaska jak mleko. Myślę o Mamie; byłaby zachwycona takim widokiem Black Rabbit Hall, z ośnieżonymi polami i lasami. I byłaby wściekła, gdyby ktoś skrzywdził Toby'ego.

Jej nie ma, ale ja jestem.

Schodzę po schodach po omacku, pamiętając o zakręcie korytarza za ostatnim stopniem. Natrafiam palcami na coś twardego. Drgam i odruchowo zaciskam pięści. Nic, to tylko zegar stojący, „hałaśliwy mały brat” tamtego w holu, jak nazywała go Mama. Wyteżam wzrok, żeby odczytać godzinę na perłowej tarczy. Pokazuje drugą, czyli tak naprawdę będzie około trzeciej. Późno, za późno, lecz obecność Toby'ego uniemożliwiła mi konfrontację z Lucianem przed pójściem spać. Wciągnięcie w to brata mogłoby okazać się ryzykowne. Muszę obudzić Luciana.

Dostrzegam strużkę światła pod drzwiami jego sypialni. Podchodzę na palcach i przystaję, przywołując w myślach obelgi, którymi go obrzucę.

– Kto tam? – Drzwi otwierają się z impetem. Nie wiem, które z nas jest w większym szoku. Nie zdążyłam przygotować odpowiednio paskudnych słów.

On otwiera szeroko oczy i wydaje z siebie przeciągłe westchnienie ulgi.

– Myślałem, że to Toby.

Zaskakuje mnie jego widok w niebieskiej pasiastej piżamie, ale szybko biorę się w garść.

– Wiem, co zrobiłeś.

– Lepiej wejdź do środka. – Otwiera przede mną drzwi jak dżentelmen, którym przecież nie jest.

Widzę poza jego ramieniem żarzące się zachęcająco węgielki na ruszcie kominka. Jednak coś, jakby jakaś niewidzialna linia, powstrzymuje mnie przed wejściem do pokoju. Nie tak sobie tę sytuację wyobrażałam.

– Skoro wolisz marznąć na korytarzu.

Z wysoko uniesioną głową zamaszycie wmaszerowuję do pokoju, tak jak wcześniej sobie zaplanowałam.

W pokoju pachnie jakoś tak inaczej. Papierosy, dym i coś jeszcze. Trochę jak u Toby'ego, ale niezupełnie tak samo. Nie bardzo wiem, gdzie stanąć i na co patrzeć.

– Właśnie wrzuciłem ostatnie polano, przykro mi. – Siada na łóżku i wyszarpuje koc. – Chcesz?

– Nie, dziękuję. – Prędeż zmarznę na kość, niż przyjmę pled od Luciana. Jestem zła na siebie, że nie narzuciłam podomki. Sterczę tu w koszuli w tęczę i wyglądam jak Wendy z *Piotrusia Pana*. To jeszcze gorsze niż jego piżama. O wiele gorsze.

– Trzęsiesz się.

– Jestem przyzwyczajona do zim w Black Rabbit Hall – cedzę wściekła przez dzwoniące z zimna zęby. – Natomiast nie jestem przyzwyczajona do takich idiotów jak ty.

Patrzy na mnie tak, jakbym nagle stała się bardziej interesująca.

– Black Rabbit Hall – powtarza powoli z uśmiechem błakającym się na ustach. – Chcę zobaczyć te cienie na trawniku. Co prawda trudno o tej porze roku o króliki, ale może ty jutro stanęłabyś po zachodniej stronie, żebyśmy mogli sprawdzić tę teorię.

– Nie bądź głupi. – Ukradkiem prześlizguję się wzrokiem po pokoju: sterta książek, kilka po francusku, i gitara oparta gryfem o łóżko. Całość wygląda dorosłej niż pokój Toby'ego z rozrzuconymi na podłodze skarpetkami i starymi egzemplarzami „The Boy's Own Paper”. Nie widziałam z bliska gitary od pobytu u ciotki Bay w Nowym Jorku. W szkole mamy jedynie klasyczne instrumenty. Gitara, jako nieodpowiednia dla dziewcząt, jest zakazana. Teraz nie mogę oderwać od niej oczu.

Lucian, widząc moje zainteresowanie, sięga po nią przez łóżko, umieszcza na kolanach jak dziecko i bezdźwięcznie przesuwa palcami po strunach. Dostrzegam zaczerwienione kostki. To ta ręka podbiła oko Toby'emu.

– Jaką muzykę lubisz? – Jego wzrok osuwa się na mój biust i zatrzymuje tam na chwilę, zanim odwróci oczy.

Splatom ramiona na piersi, walcząc z paraliżującym onieśmieniem. Nie mam pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie. Nachodzi mnie myśl, że pasuje do niego ta gitara. Wygląda z nią tak naturalnie jak ja z książką w ręce.

– Czy aż tak cię to krępuje? – Widzę w jego oczach figlarne iskierki, jakby go bawiło, że stoję w nocnej koszuli, schwytna w światło nocnej lampki, która nagle zdaje się strasznie ostro świecić.

– Odczep się.

Uderza w strunę. Dźwięk przyjemnie wibruje w ciszy.

– Wiesz, zawsze spędzam Boże Narodzenie u mojej babci w Hampstead. Tam jest cholernie nudno, ale tutaj to wprost czarna rozpacz.

– Nie jesteście tu mile widziani, ani ty, ani twoja matka.
– Obopólne uczucie – mówi spokojnie, ponownie uderzając w strunę. –
Mama zazwyczaj jedzie na święta na narty do Gstaad. Bóg jeden wie, po co mnie tutaj przywlokła.

– Chcesz powiedzieć, że nie spędzacie razem świąt? – pytam, zapominając, że przecież mnie to w ogóle nie obchodzi.

– Najwyraźniej nie znasz mojej matki.

– Nie i nie mam ochoty jej poznawać.

Nie podnosi głowy znad gitary.

– Pobiliś Toby’ego w lesie, ty idioto – cedzę przez zęby. Jestem mokra pod pachami, chociaż z zimna jeżą mi się włoski na ramionach. – I jeszcze potem się ukryłeś. Jesteś, jesteś... żalony.

– A ty jesteś agresywna jak dzika kotka – mówi z dezorientującą nutką podziwu w głosie.

– Tylko tyle masz do powiedzenia? – Głos mi drży. – Żadnych przeprosin? Słowa... wytłumaczenia?

– Dokładnie.

– Masz szczęście, że Toby nie powiedział tacie. Ale chcę, żebyś wiedział, że ja to zrobię. – Chwytam za mosiężną klamkę, głównie po to, żeby dyskretnie się na niej oprzeć. – Rano całą tę rozmowę szczegółowo powtórzę tacie! A on zażąda, abyście natychmiast stąd wyjechali.

– W takim razie już nie mogę się doczekać.

Wychodzę za próg. Jednak nie do końca usatysfakcjonowana, zatrzymuję się w drzwiach. Coś w tym wszystkim mi nie gra.

– Dlaczego to zrobiłeś? – rzucam pytanie.

– Nie muszę ci nic mówić.

Odwracam się gwałtownie.

– Toby jest moim bratem bliźniakiem.

Przewraca oczyma.

– No, raczej zauważyłem.

– Chcę wiedzieć.

Lucian ze wzrokiem wbitym w gitarę drapie się kciukiem po szyi. Po raz pierwszy widzę w nim jakąś bezbronność, a w ruchu długich, smukłych palców wahanie.

– Amber, to nic takiego. Tam, w lesie, doszło między nami do utarczki i tyle.

– Pobiliście się? – Opieram się o drzwi, zamykam je sobą, krawędzie desek uwierają mnie w plecy.

– Po naszym spotkaniu po południu poszedłem nad rzekę. Toby tam był, siedział na drzewie, takim potężnym, z liną zwisającą z konaru. Rył w korze scyzorykiem jak nawiedzony. Wdaliśmy się... w rozmowę.

– Na jaki temat? – Zaczyna mnie świerzbić skóra na głowie.
– On mi zarzucił, że... – Odchrząkuje i nieznacznie się krzywiąc, przełyka ślinę. Widzę, że się waha. – ...że patrzyłem na ciebie podczas lunchu.

– Że na mnie patrzyłeś?

– Trochę inaczej to ujął. Wolę ci tego oszczędzić. Ale skoro chciałaś wiedzieć, z grubsza o to poszło.

– No, nie, to... to jakieś szaleństwo. – Zbita z tropu, nakręcam pasmo włosów na palec, nie bardzo wiedząc, co dalej zrobić z tą rozmową. Twarz mi płonie. Czy Lucian rzeczywiście mi się przyglądał? Tak bardzo się pilnowałam, że odpowiednio ustawiłam krzesło, aby przypadkiem nie zerkać w jego stronę. – Co za głupota!

– Naprawdę mi przykro z powodu oka twojego brata. – Jego oczy są teraz prawie czarne i odbija się w nich żar z kominka.

– Wcale nie robisz takiego wrażenia. – Prycham, żeby zatuszować skrępowanie.

– Zawsze mówię to, co myślę. – Odkłada gitarę i jakoś tak niezgrabnie zgięty siada na brzegu łóżka, opierając stopy na dywaniku.

Mój wzrok przyciąga ciemny ślad na jego czerwonej bluzie od piżamy.

– Co to?

Spogląda w dół, unosi materiał.

– To wygląda na... krew – wyjąkuję.

– Zahaczyłem o starą szramę, pamiątkę po rugby. To nic takiego.

Przyciskam dłoń do ust, myśląc, co powiem Caroline, jeśli on umrze.

– Nie rób takich wielkich oczu. – Podciąga górę od piżamy. – Sama widzisz, nic się nie dzieje.

Prosta, wąska rana długa na jakieś trzy cale, jak rozcięcie na poduszce potraktowanej nożycami.

– Trzeba ze wsi sprowadzić lekarza.

– Absolutnie nie. – Śmieje się.

– Twoja matka! Pójdę po nią.

– Nie! Tylko nie to. Jezu! Nawet o tym nie myśl. Przynieś mi kawałek ligniny czy coś w tym rodzaju, dobra?

Usiłuję sobie przypomnieć lekcję pierwszej pomocy w szkole. Pędzę do łazienki, zrywam ręcznik z wieszaka i składam go trzęsącymi się rękami. Kiedy wracam do sypialni, Lucian siedzi obnażony do pasa. Oddech więźnie mi w krtani. Kucam przed nim, już żałując, że w ogóle znalazłam się w tym pokoju i zadawałam te pytania. Nie bardzo wiem, co robić – on nie odbiera ode mnie ręcznika – zaczynam więc ocierać krew z gładkiej sprężystej skóry, starając się nie patrzeć na poskręcane czarne włosy, które w kształcie litery V schodzą z piersi do pępka i znikają pod gumą od spodni piżamy. Rana jest powierzchowna, lecz

zdecydowanie cięta.

– Nie wygląda na uraz z meczu rugby – mówię sztywno.

Zaciska mięśnie brzucha. A ja już wiem. Zamykam oczy i wstrzymuję oddech jak podczas jazdy na diabelskim młynie, gdy wznosząc się coraz wyżej, czekasz na przerażający spadek na sam dół.

– Toby? – pytam szeptem, z trudem wydobywając głos.

– Głupi scyzoryk – ogranicza się do cichej, stonowanej odpowiedzi i czuję, że chce na tym zakończyć. Jednak utknęliśmy w tym pokoju w środku nocy ze śniegiem wirującym za oknem i nagle do nas obojga dociera, że ani on, ani ja nie moglibyśmy posunąć się teraz do kłamstwa.

– Amber, nie sądzę, żeby to zrobił celowo. – Jego zaskakująco łagodny ton sprawia, że jestem bliska płaczu. – Chciał mnie tylko nastraszyć. Ale sprawy zaszły za daleko.

– Toby nie jest złym człowiekiem. – Głos mi się łamie, bo już widzę, jak tata dostaje szału, kiedy się dowie. – On... czasem... wpada w gniew.

– Wiem, nie ma sprawy.

Walcząc ze łzami, upuszczam ręcznik na podłogę. Rana już nie krwawi.

– Dlaczego nie powiedziałeś?

– Bo go rozumiem, i tyle.

Wszystko, co myślałam o Lucianie Shawcrossie, spływa ze mnie jak topiący się śnieg. Jednak nadal nie wiem, czy mogę mu ufać.

Przez chwilę siedzimy w ciszy. Żarzące się węgielki w kominku po raz ostatni strzelają iskrami i gasną, w pokoju zapada przytulny mrok.

– Mój tata umarł – mówi cicho.

– Och. – Teraz mu ufam.

– Też wtedy padał śnieg.

– Współczuję ci.

Wzrusza ramionami.

– To nie stało się w Wielkanoc ani nic w tym rodzaju.

Po tym wyznaniu niewiele zostaje do powiedzenia; ono wrzyna się w miękką tkankę aż do kości. Oboje znamy sprawy, o jakich większość naszych rówieśników nie ma pojęcia. Oboje musieliśmy się po tym podnieść. Wredny pech. Zwykła podłość losu.

– Lepiej już pójdę. – Wstaję szybko, miłe ciepło bucha mi spod nocnej koszuli. Nie oglądając się przez ramię, chociaż mam wielką chęć, wspinam się po schodach przy świetle księżyca, usiłując poukładać sobie wszystko w głowie. Za dużo tego; ta noc zamknięta w nocy. Wcale nie jestem senna. Mam wrażenie, że już nigdy nie zasnę. Zegar stojący wskazuje trzecią. Czy naprawdę minęła godzina? Gdzie się podział ten czas?

Gdy idę na palcach korytarzem, w uchylonych drzwiach sypialni nie widzę

światła, a przecież zostawiłam zapaloną lampę. Coś porusza się w ciemności, skrzypią sprężyny łóżka.

– Toby? – Kiedy ostrożnie otwieram drzwi, opuszcza mnie odwaga, w żołądku łaskocze strach. – Toby, to ty?

Rozdział trzynasty

Lorna

– Tak, Lorno, był... taki Toby, mieszkał tu kiedyś, dawno temu – jąka się Dill i przyciska nadgarstek do czoła, jakby samo imię przyprawiało ją o ból głowy. Zarzuca torbę Lorny na chybocliwy stojak. – Rany, ręczniki! Zapomniałam o ręcznikach – mówi speszona, ale Lorna wyczuwa, że jej rozmówczynię cieszy możliwość zmiany tematu. – Wiedziałam, że coś mi umknęło.

– Toby to syn pani Alton? – Lorna nie odpuszcza. Nadal czuje dotyk chropowatej kory na opuszkach palców i nie może przestać myśleć o wrytych na niej dziecięcych imionach. Aż trudno uwierzyć, że dopiero dziś rano pocałowała Jona na pożegnanie i przyjechała tu pociągiem z Londynu. Black Rabbit Hall ją wchłonął, odsuwając w niepamięć normalne życie.

– Nie, nie, to nie jej syn – zaprzecza Dill. Już sam pomysł zdaje się ją płoszyć. – Pasierb. Wpuśćmy tu trochę świeżego powietrza. – Rozsuwa wzorzyste zasłony i podciąga połowę przesuwanego okna, jakby chciała wywiać tamto pytanie podmuchem morskiej bryzy.

Lorna dołącza do niej przy oknie. Widok jest jakby inny, a zarazem bardziej kameralny, niż go zapamiętała z poprzedniej wizyty. Płacheć trawnika budzi myśli o letniej scenie i aktorach, którzy dawno stąd odeszli. Odeszli, lecz nie zniknęli z pamięci. Nie powinno się zapominać o żadnym dziecku.

– Dill, tam w lesie jest takie drzewo...

– Robi się dość późno. Pani Alton już pewnie czeka na podwieczorek na oszklonej werandzie. Nie lubi, jeśli podwieczorek się opóźnia.

Nawet jeśli pani Alton jest zniecierpliwiona, maniery nie pozwalają jej okazać dezaprobaty. Siedzi nieruchomo w przytulnym, kanarkowożółtym pomieszczeniu, ubrana w spodnie i w jasnoniebieski żakiet z wełny bukły bez kołnierza, nieco zmechacony ze starości i z idealnie kolistym wywietrznikiem na lewym ramieniu wygryzionym przez mole. (Żakiet wygląda na jeden z kolekcji Chanel, które obecnie chodzą za ciężkie pieniądze w lepszych secondhandach).

– Zapewne zgubiłaś się w lesie – zwraca się do swojego gościa, przykładając do ust opuszki palców złożonych w piramidkę.

– Rzeczywiście – przyznaje Lorna. – Przepraszam, że przeze mnie pani czekała.

– Och, te ścieżki w lesie specjalnie tak zaplanowano, aby zmylić odwiedzających. Jak podejrzewam, to dowcipne działanie któregoś z Altonów

z przełomu dziewiętnastego wieku. Dostałaś rumieńców po tej małej przygodzie.

Chłodny dystans tej kobiety może u każdego wywołać kolory – myśli Lorna, uważając, aby przypadkiem nie oprzeć łokci na obrusie. W tej chwili jest wdzięczna matce za uparte przestrzeganie zasad zachowania przy stole.

– Podwieczorek. – Dill stawia przed nimi orientalną czarną tacę z łuszczącymi się płatkami laki. – Lorno, masz ochotę na kawałek piernika?

Ciasto przypomina połyskliwą brązową sztabkę.

– O tak, poproszę. Wygląda smakowicie.

– Nie wyobrażam sobie życia bez piernika Dill – mówi pani Alton, wbijając zaśnieżony srebrny widelczyk w swój kawałek ciasta.

– Przepis mojej mamy – wyjaśnia dziewczyna ze szczęśliwą, a zarazem zaskoczoną miną, bo rzadko spotykają ją komplementy.

– Jeden z bardziej zjadliwych – dorzuca szybko jej chlebodawczyni.

Piernik rozplywa się Lornie w ustach. To najlepsze ciasto, jakie kiedykolwiek kosztowała, a zjadła ich mnóstwo. Zanim zdąży to powiedzieć, Dill znika z werandy, poruszając się bezszmerowo jak kot.

– Nie uważasz, Lorno, że teren wokół domu jest bardzo romantyczny? – Pani Alton osusza kąciki ust porzucaną płócienną serwetką, którą chyba od piętnastego wieku dzień w dzień poddawano praniu z gotowaniem. – Idealne tło dla wesela?

– To najpiękniejsza posiadłość, jaką miałam okazję widzieć.

Jej rozmówczyni ujmując dwoma palcami uszko filiżanki i podnosi ją do ściągniętych ust.

– Doskonale.

– Pani Alton, natrafiłam na takie drzewo nad rzeką... – zaczyna ostrożnie. Nie chce obudzić smutnych wspomnień, jednak ciekawość bierze górę. Werandę wypełnia nieruchoma cisza. Wszystkie stare pokoje cechuje taki bezruch, bo nie zakłóca go chmura wi-fi ani inne ukryte przewody, które w nowoczesnych domach zdają się wprawiać powietrze w drganie. I tylko myśli Lorny pędzą z szybkością miliona mil na godzinę. Siedzi, a czuje się, jakby była w ruchu. – Na jego pniu są wyrze imiona.

– Wiem o tym drzewie – odpowiada pani Alton i wzdycha, jakby Lorna mocno ją rozczarowała, wspominając o nim. Pionowa zmarszczka pomiędzy brwiami pogłębia się, a surowy wyraz oczu patrzących znad krawędzi filiżanki ma odwieść gościa od stawiania dalszych pytań. – Jest chore i muszę kazać je ściąć.

– Och, nie, proszę je zostawić! To część historii domu.

– Lorno, to jedna historia. – Z ostrym brzękiem odstawia filiżankę na spodek. – W rodzinie takiej jak moja istnieje wiele historii, których większość wzajemnie sobie przeczy. Nie możemy podchodzić do nich sentymentalnie. Czy byłabyś tak uprzejma i ukroiła mi jeszcze kawałek piernika? Uważam, że w moim

wieku nie ma sensu odmawiać sobie dodatkowej porcji ciasta.

– Pewnie. – Ciężkim, tępym srebrnym nożem odcina gruby kawałek, chyba za gruby, bo lewa brew pani Alton wygina się w łuk. Ona też chętnie wzięłaby dokładkę, lecz ręka z nożem zawisa w powietrzu, zatrzymana przez genialną myśl.

– Pani Alton, zastanawiałam się, jak rozwinąć posiadłość w dobrze prosperujący ślubny interes.

– Naprawdę? – Podnosi mały kęs do ust. – Proszę, słucham.

Lorna przechyla się nad stołem, zapominając o łokciach.

– Mogę być szczerą?

– Nie marnuję czasu na takich, co nie są.

– Hmm, wasza strona internetowa nie jest... atrakcyjna. – Ujmuje to dyplomatycznie, bo cała „strona” składa się z ziarnistego zdjęcia oraz niewiele mówiącego adresu: Pencraw Hall, Roseland, Kornwalia, i lakonicznej informacji: „w trakcie rekonstrukcji”.

– Rozumiem – odpowiada oschle pani Alton, odkładając widelczyk na talerzyk. Gniewny wyraz twarzy sugeruje, że szczerłość bywa pojęciem względnym. – Uwierz mi, Lorno, że to, że w ogóle ją mamy, graniczy z cudem.

– Chciałam tylko powiedzieć, że jej zawartość nie do końca oddaje sprawiedliwość domowi.

– Endellion zrobi kilka dodatkowych zdjęć. Niech brak talentu zastąpi ilością. To powinno załatwić sprawę.

– A co z historią posiadłości? Wszyscy będą chcieli ją poznać.

– Czyżby?

– Pani Alton, to lokalizacja dla ludzi, którzy podobnie jak ja cenią... zabytki, dla par szukających ucieczki od zwykłego życia i nowoczesności. – Stają jej przed oczyma anonimowe, bezbarwne domy weselne, które nie pozostawiły po sobie żadnego wrażenia. – Tym ludziom zależy na autentyczności. Na możliwości zajrzenia do pani świata.

– Zagląkanie w mój świat? To nie powinno nikogo interesować. – Okruszek piernika odkleja się od jej przedniego zęba, z impetem przelatuje nad stołem i ląduje Lornie na nadgarstku.

– Mówię z czysto komercyjnego punktu widzenia. – To, oczywiście, nieprawda, ale pozwala tym słowom zawisnąć w powietrzu i jednocześnie zastanawia się, jak dyskretnie strzepnąć ten okruch.

– Jesteś pewna, że to przysporzyłoby klientów?

– Tak sądzę. Nie myślę o jakimś rozpisywaniu się czy wchodzeniu w prywatne sprawy. Wystarczy mały rys historyczny. – Bierze głęboki oddech i brnie dalej. – Z radością bym w tym pomogła.

Pani Alton mruży oczy.

– Jednak nie licz na upust.

– Oczywiście, że nie! Chciałabym jakoś podziękować za zaproszenie mnie tutaj. Mam lekkie pióro. To będzie czysta przyjemność i szybko się z tym uwinę. Takie rzeczy są fascynujące, a w szkole najbardziej lubię uczyć historii – klepie, choć obawia się, czy przypadkiem nie przedobrzyła.

– Aha. – Pani Alton nie stara się ukryć sceptycyzmu w głosie.

W niezręcznej ciszy do uszu Lorny dociera poskrzypywanie i posapywanie domu, jakby kamienie, drewno i skruszała zaprawa murarska zastanawiały się nad intencjami uzurpatorki z miasta.

– Może jeszcze ciasta? – Dill staje w drzwiach i przygląda im się z ciekawością. – Wszystko dobrze?

Lorna wstrzymuje oddech. Nie ma odwagi podnieść oczu. Za chwilę ją stąd wyproszą. No cóż, dobrze się tu bawiła. Całe cztery godziny.

Stara dama ogłuszająco odkasłuje.

– Endellion, Lorna miała śmiałość zasugerować, abyśmy wystawiły na widok publiczny naszą bieliznę pościelową.

Chryste!

– Pani Alton, ja nie miałam na myśli...

– Według mnie czas na to, nie uważacie? – Pani Alton podnosi się powoli, dla równowagi opierając gruzłowate kostki dłoni na stole. – Ale najpierw muszę wypić coś mocniejszego. Endellion, podaj nam, proszę, sherry do bawialni. Nie tę najlepszą.

*

W holu zegar z księżycową tarczą wskazuje północ. Na zegarku Lorny jest piąta. Żaden czas nie wydaje się właściwy. Ściany w bawialni są w przytłumionym niebieskim kolorze. Ogień buzujący w kominku, który Dill pospiesznie rozpałała, zdaje się wysysać powietrze z pokoju i tworzy senny nastrój odrealnionych godzin późnego zimowego wieczoru. Gęsty, ciemny dym wije się w wysokim palenisku, po czym zmienia kierunek i pełźnie na pokój jak szara mgła, która drażni oczy Lorny i drapie w gardle. Sherry wcale nie pomaga. Oszołomiona, zwilża śliną palec – nie wiadomo dlaczego ma on smak soku z łodyżki dmuchawca, gorzkawy i trawiasty, co niespodziewanie budzi wspomnienie dzieciństwa – i przewraca kartkę w notatniku.

Po godzinie strona zapełnia się chaotycznymi faktami z historii domu. Brakuje chronologii jak w notatkach roztargnionego studenta. Pencraw jest w rodzinie Altonów od sześciu pokoleń, kupiony za pieniądze z handlu cukrem. Wcześniej własność księcia skoligaconego z rodziną królewską, który stracił majątek, bo „miał zbyt wiele posiadłości i rozrzutną żonę”. Podczas pierwszej wojny znajdował się tu szpital dla rannych żołnierzy, a w trakcie drugiej dom służył jako schronienie dla ewakuowanych dzieci. Należące do posiadłości rozległe

tereny uprawne zostały z czasem wyprzedane, podobnie jak większość znajdujących się na nich chat. Sama rezydencja popada w ruinę – na początku lat pięćdziesiątych rozbiórka byłaby tańsza od kosztów utrzymania. Epidemia myksomatozy przetrzebiła przekłete króliki. Tam, gdzie obecnie wisi krajobraz z przemytnikami, był obraz Joshuy Reynoldsa, który dziadek Huga miał chęć sprzedać na aukcji. Spadkobierca, Sebastian, łajdak i pijaczyna, w halucynacjach po absyncie nago, ale w panamie na głowie, zszedł z jachtu podczas rejsu na Morzu Śródziemnym i utonął ku wielkiej uldze rodziny. Cis w ogrodzie „ma więcej lat niż Ameryka”. Swego czasu bawiła tu księżniczka Małgorzata, przetańczyła na balu całą noc i zostawiła długą rękawiczkę z białego jedwabiu. Leży teraz w szufladzie, ale nikt nie wie, w której. Jest ich zbyt wiele.

Trudniej dowiedzieć się więcej o współczesnych losach rodziny. Strzępki ogólnikowych, zawołowanych informacji wymykają się z ust pani Alton, a każda zostawia za sobą większy niedosyt od poprzedniej. „Strasznie piękna” pierwsza żona, co to „nie przeżyła własnego konia”, czwórka pasierbów, z nich dwoje to „trudne, niezrównoważone emocjonalnie bliźnięta”, rodzony syn, Lucian – jego imię wymawia chrapliwym szeptem – i podjęcie się roli macochy, „w której nie najlepiej się odnajdowałam”, jak przyznaje raczej bez żalu.

Rozmawiają, tyka zegar kareciak, płomienie snują się niebieskawo. Dym z drewna z kominka wisi w narożnikach bawialni, poza zasięgiem, jak historie, na których zależy Lornie. Intuicyjnie krąży wokół osoby Barneya, ale nie ma odwagi wprost zapytać o jego śmierć; obawia się reakcji rozmówczynie, wybuchu żalu. Wie też, że jeśli pozna tę historię, nie będzie mogła się od niej uwolnić. Trudno zapomnieć o śmierci dziecka. Jest wbrew naturalnemu porządkowi. A ten porządek – jak zaczyna sobie uświadamiać – według wieku, płci i statusu w arystokratycznych rodzinach najbardziej się liczy. Negowanie go jest niebezpieczne. Odrzucając go, zostaje się starą kobietą podduszoną sznurkiem drogocennych, a jednocześnie bezwartościowych pereł, żyjącą samotnie w wielkim, zawilgoconym domu.

– Poblądziłam, Lorno – wyznaje niespodziewanie pani Alton.

– Wszyscy popełniają błędy, jeśli chodzi o domy. – Lorna ogrzewa w dłoni kieliszek z sherry. Pierwsze dwa łyki stanowiły wyzwanie, teraz powoli przyzwyczajają się do smaku. – Powinna pani posłuchać niektórych opowieści Jona. Przeciekające marmurowe baseny u oligarchów. Piwnice na Notting Hill, które zapadając się, żłobią w ziemi kratery. – Uśmiecha się uprzejmie. – Naprawdę, różne takie cuda.

Pani Alton kręci głową z zaciśniętymi ustami.

– Nie o takich błędach myślę.

– Och. – Lorna odkasłuje, po szczerości tego wyznania ze wzruszenia drapie ją w gardle, wcześniej podrażnionym dymem.

– Byłam jak niektóre nasze kury, Lorno: zero instynktu macierzyńskiego. A powinnam go mieć, jak wszystkie kobiety w moich czasach. Dla mnie to było raczej trudne.

– Pani Alton, jestem pewna, że się pani starała. – Wyciąga rękę i lekko dotyka jej ramienia. Jakoś nie potrafi sobie wyobrazić, co aż tak złego mogła zrobić ta kobieta, że zasłużyła na izolację od rodziny.

Pani Alton wzdryga się, patrząc na dłoń Lorny, jakby dotyk drugiego człowieka ją parzył.

– Naturalnie, rozumiem, że nie włączysz tego wątku do swojej *l'histoire* – zastrzega chłodno.

– Oczywiście, że nie. – Pospiesznie cofa rękę i zamyka dłoń na kieliszku z sherry. – To pani historia, nie moja. Proszę mówić to, co pani uważa za stosowne.

Jednak jej rozmówczyni wcale nie wygląda na zrelaksowaną. Przykurczone palce bawią się perłami, zmarszczki na upudrowanym czole układają się w bruzdy.

– Chyba za dużo mówię.

– Wcale nie!

– Zatrważająco łatwo się z tobą rozmawia. – Wychyla się w fotelu i mrużąc oczy, podejrzliwie wpatruje się w Lornę spod obwisłych powiek. – Robiłaś tego rodzaju rzeczy wcześniej?

– Nigdy. – Lorna nie potrafi opanować uśmiechu na myśl, że zacznie przeprowadzać wywiady ze starymi arystokratkami w bawialniach ich wiejskich rezydencji.

– Hmm, jesteś bardzo naturalna. Za moich czasów nie mieliśmy takich nauczycielek. Gdyby tak było, kto wie, może szkoła okazałaby się bardziej znośna.

– Uśmiecha się jakoś tak nieobecnie. Wyraźnie opuszcza ją energia. – Myślę, że masz dość informacji.

– Hmm, nie całkiem. – Jeżeli teraz nie zapyta... Zbiera się w sobie i wciąga powietrze do płuc. – Pani Alton – zaczyna najdelikatniej jak potrafi – co stało się z Barneyem?

– Z Barneyem? – Sięga po sherry, napełnia kieliszek, ręka z karafką wyraźnie drży. – Barney zapłacił cenę.

– Cenę? – powtarza zszokowana Lorna. – Cenę za co?

Ciche pukanie do drzwi udaremnia odpowiedź.

– Pani Alton, przepraszam, że przeszkadzam, ale czas na tabletki. – Dill wchodzi ze szklanką wody. Drepcze za nią skudlony terier, postukując pazurami w podłogę i rozsiewając zapach mokrej sierści.

– Petal! – Twarz pani Alton łagodnieje. Macza palec w kieliszku i bez lęku, że może go stracić, pozwala psu zlizać alkohol. – Dobry pieseczek. Mój Petal. Moja słodka psina.

– Pani dzisiaj nie udała się na drzemkę – mówi Dill, wytrząsając garść

pigułek z brudnawej torebki termicznej. – Rzuca słodki uśmiech Lornie. – Pierwszy raz.

– O dziwo, przeoczyłam. Czas tak szybko biegł. – Pani Alton z wprawą wrzuca tabletki do ust, gestem ręki rezygnuje z podetkniętej szklanki z wodą i zapija lekarstwa sherry. – Ale teraz chyba powinnam odpocząć, bo inaczej ten okropny doktor znowu zacznie mnie nękać. – Sięga po laskę. – Tak, wystarczy tego. Już dość.

Lorna markotnieje. Była tak blisko. Niemniej musi uczciwie przyznać, że pani Alton wygląda na wykończoną. Twarz pod grubą warstwą pudru i różu przypomina maskę zabytkowej porcelanowej lalki.

Lorna, widząc, że stara dama z trudem wstaje z fotela, zrywa się z miejsca i pomaga jej wstać, delikatnie podtrzymując ją pod ramiona, tak jak kiedyś robiła to z babcią. Tylko, że ramiona babci były pulchne i miękkie jak woreczki wypełnione ciepłym piaskiem, a pani Alton żyłaste i twarde, ze ścięgniami chrzęszczącymi pod wełną żakietu. Na szczęście zaraz przejmuje ją Dill.

– Trochę to potrwa – usprawiedliwia się przed Lorną, gdy prowadzi swoją chlebobawczynię do drzwi z laską sterczącą do przodu jak trąbka u owada. – Poradzisz sobie sama do kolacji?

– Jasne – skwapliwie zapewnia ją Lorna, bo musi złapać oddech po sherry i dymie. – Nie przejmuj się mną. Z chęcią się przejdę po okolicy.

– Mogłabyś zajrzeć do biblioteki. Jest tam mnóstwo zdjęć, zapisków i takich tam rzeczy. – Dill łapie atak kaszlu i wachlując dłonią, rozgania dym. – Co pani o tym myśli, pani Alton?

– Endellion, to, co ja myślę, nie ma znaczenia – wzdycha i unosząc laskę, posuwa się krok do przodu. – Tu chodzi o przetrwanie.

Lorna odbiera to jako zgodę.

*

Po chwili macha komórką w wykuszowym oknie biblioteki, jakby łapała w siatkę motyle. Jest sygnał! Wyświetla się jedna kreseczka. Połączenie ze światem zewnętrznym.

– Jon, słychać mnie?

Dobiegają ją strzępy przytłumionych rozmów. Jakby ktoś szedł po ruchliwej londyńskiej ulicy z włączoną komórką w kieszeni.

– Jon, to ja.

Trzaski, szum, cisza. Wybiera numer jeszcze raz. To samo. Nie może się oprzeć wrażeniu, że ten brak połączenia jest symboliczny, że ma związek ze stanem ich relacji, ze sprzeczkami przed jej wyjazdem do Kornwalii. Przygnębiona, wrzuca telefon do torebki. Później do niego zadzwoni. I tak z nim nie pogada, jeżeli akurat jest na budowie. Przynajmniej wyświetli mu się jej numer; będzie

wiedział, że próbowała.

Rozgląda się po bibliotece. Jej wzrok przyciąga gablota z końską czaszką. Czy ona ma coś wspólnego z wypadkiem pierwszej żony? Nie, oczywiście, że nie. To byłoby zbyt upiorne.

Odwraca się plecami do niepokojąco pustych oczodołów. Jeżeli ma tu poszperać, zanim zjawi się Dill, musi się wziąć do roboty. Wodzi spojrzeniem po regałach sięgających sufitu – niekończące się rzędy złożonych grzbietów – i przesuwając palcem wzdłuż brzegu półek, podekscytowana widokiem takiej masy książek.

Gdy dorastała, w jej domu też były książki, lecz wypożyczane z miejskich bibliotek; takie w obwisłych plastikowych obwolotach, z tłustymi odciskami kciuków obcych ludzi na narożnikach stron. I zawsze wypożyczano ich tylko sześć naraz. Zdarzało jej się zaglądać do domowych bibliotek takich jak ta, gdy zwiedzały z matką posiadłości z Rejestru Dziedzictwa Narodowego, lecz nigdy nie miała okazji pobyc w nich dłużej, bo mama nie przepadała za książkami, poza romansidłami, które czytała, pławiąc się w wannie z gorącą wodą pod warstwą piany z płynu kąpielowego Radox. Tamta nastoletnia Lorna nieraz marzyła, jak cudownie byłoby mieć własną biblioteczkę z mnóstwem książek, które po prostu tam czekałyby, żeby je wziąć do ręki. Umieszczałyby na nich ekslibrisy z napisem *własność...* i nie płaciłyby pozerających kieszonkowe kar za zwłokę, jeśli zdarzyło jej się nie oddać ich na czas.

Zawadza obcasem o dziurę w dywanie, gdy cofa się z zadartą głową, aby popatrzeć na tomiska na najwyższej półce; rząd grzbietów oprawnych w bordową skórę. To mogą być rodzinne albumy, bo na każdym widnieje naklejka z dekadą wypisaną bladeżłotymi cyframi. Postanawia zaryzykować i wchodzi na chwiejną biblioteczną drabinę, która poskrzypuje pod jej ciężarem.

Stoi teraz z głową na poziomie najniższej wiszącej łezki kryształowego żyrandola. Tutaj na jeszcze grubszej warstwie kurzu leżą zdechłe muchy i zmumifikowane pszczoły. Jest też zdecydowanie chłodniej – dziwne, bo czyż ciepłe powietrze nie powinno unosić się w górę? Gdy zdejmuje z półki oprawiony w skórę tom opisany jako lata sześćdziesiąte, zaczyna ją świerzbic skóra na głowie. O ile dobrze zrozumiała, choć może się mylić, bo jej przypuszczenia są oparte na raczej chaotycznych wspomnieniach pani Alton przymulonej sherry, to właśnie wtedy mieszkał tu Barney i jego rodzeństwo.

Siada na wytartym dywanie i unosi ciężką okładkę z wyklejką z zielonego marmurkowego papieru. Tak, to album; na każdej podwójnej stronie jest osiem małych fotografii w ażurowej ramce z kremowego kartonu, a wszystkie strony są poprzekładane arkusikami cienkiego woskowanego papieru.

Lorna odsłania papier jak kurtynę. Uśmiecha się.

– Cześć.

Ma przed sobą czworo niezwykle urodziwych dzieci. Starsza dwójka – Toby? Amber? – niewątpliwie bliźnięta; nawet na zdjęciu widać, że dobrze się zgadzają. Najmłodsza – Kitty? – ze słodką buzią, jakby żywcem wyjęta ze starej reklamy mydła Pears – trzyma w objęciach śmiesznie szmacianą lalkę. O jest! Ten chłopczyk, który przyzywał ją w lesie. To musi być on; zawadiacka mina, ręce głęboko w kieszeniach krótkich spodenek, ramiona uniesione wysoko, jakby walczył z chichotem. Barney... tryskający energią, taki pełen życia; aż nie do wiary, że odszedł tak młodo.

Najbardziej uderza w zdjęciu tej paczki Altonów – bo niewątpliwie muszą stanowić zgraną paczkę, sądząc po tym, jak objęci ramionami, dla wyglądu pokazują zajęte uszy z palców nad głowami sąsiadów – nastrój beztrioski tamtych odległych lat. Na dole każdej ze stron widnieje wykaligrafowany ozdobnym charakterem pisma podpis *lato 1965, Wielkanoc 1966*. Dzieci nie da się zmusić do udawania wesołości, Lorna to wie z doświadczenia. Te dzieciaki wręcz promieniają. Na każdym ze zdjęć radość zdaje się otaczać je złotą aurą, obojętnie czy baraszkują w morzu, wiszą głową w dół zaczepieni zgiętymi nogami o konar, czy przycupnięci pod ręcznikami, dygocząc z zimna, z roześmianymi buziąmi, jedzą kanapki na wietrznej plaży.

Och, a to kto? Pierwsza żona? Nie. Niemożliwe, aby ta kobieta była w stanie przyćmić obecną panią Alton. Pulchna, typ „dziewczyny z sąsiedztwa”. Widać ją w tle na niektórych zdjęciach, niezmiennie obwiązaną pasiastym fartuchem.

Lorna, przeglądając następne strony, szybko pojmuje swój błąd. Nie, nie, to musi być niania albo gospodyni. Tu jest żona i matka. O kurczę! Co za uśmiech! Nic dziwnego, że obecna pani Alton przegrała. Na jednym ze zdjęć pierwsza żona stoi na plaży w bikini oraz w kowbojskim kapeluszu, spod którego wymyka się burza włosów, i śmieje się jak szalona z głową odrzuconą do tyłu. Na każdej z fotek klei się do niej któreś z dzieci; trzyma ją za nogę, siedzi u niej na barana, obejmuje drobnymi rączkami za szyję albo, leżąc na piasku, bawi się palcami jej stóp. A to zapewne jest pan Alton – hmm, też niczego sobie – w stylu Jamesa Bonda z tamtych lat. Prawie wszędzie patrzy na żonę z uwielbieniem. To oczywiste, że ta kobieta była bijącym sercem rodziny. Jak oni sobie radzili, gdy jej zabrakło?

Lorna znajduje odpowiedź na następnych kartach. Jest luka w datach. Jako następne pojawiają się dopiero zdjęcia z końca 1968 roku. Są posępne i brak informacji wykonanych pięknym charakterem pisma. Matki, naturalnie, na żadnym nie widać. Podczas gdy z wcześniejszych zdjęć rodziny, jak się wydawało, wylewało się światło, te robią wrażenie pokrytych kurzem, jakby nikt nie zaglądał do tej części albumu od lat. A może to tylko takie wrażenie po oczywistej zmianie czasów.

Pan Alton, o ile w ogóle pojawia się na fotografiach, ma ponury wyraz

twarzy i zapadnięte policzki, a włosy, wcześniej gęste i błyszczące, są przeredzone i poprzetykane siwizną. Dzieci, teraz wyższe i smuklejsze, patrzą niechętnie w obiektyw. Nie ma już tamtej skrzęcej się atmosfery radości. Nadal jednak – Lorna stwierdza z ulgą – rodzeństwo trzyma się razem, jak młode zwierzęta, które dla bezpieczeństwa i ciepła zbijają się w gromadkę. Przynajmniej mają siebie.

Aha, jest i Caroline, nowa pani Alton. Góruje w tle; atrakcyjna, lodowata blondynka po czterdziestce, z dłonią sztywno opartą na ramieniu Kitty. Pan Alton nie patrzy na żonę, przygarbiony, błądzi nieobecny wzrokiem gdzieś poza kadrem. Obok niego stoi przystojny nastolatek z chmurną miną; widać, że krępuje go wzrost i oficjalny strój. Lucian? Tak, to musi być on. Ma regularne, wyraziste rysy pani Alton. Jednak jest w jego twarzy coś jeszcze. Naprawdę przystojny młodzieniec.

Bliźnięta są cieniem samych siebie z wcześniejszego okresu; wydają się zagubione, jakby wyjęto je z jednego życia i na siłę wepchnięto w drugie. Na jednej z bożonarodzeniowych fotografii – z wielką choinką, jakby żywcem przeniesioną z miejskiego skweru i obłożoną górą prezentów – Toby ma taką minę, jakby lada chwila miał wybuchnąć. Amber trzyma rękę na ramieniu brata, pewnie żeby go powstrzymać przed zrobieniem czy powiedzeniem czegoś niestosownego. Smętne, zagniewane twarze na kolejnych stronach; och, jest fotografia z drugiego ślubu i zdjęcia zrobione w słoneczne lato, a dalej... pusto. Przerzuca kartki, lecz nie, wszystko urywa się nagle w sierpniu 1967 roku. Dekada zamyka się przedwcześnie szelestem przekładek z woskowanego papieru pomiędzy pustymi stronami. Lorna zatrząskuje album. Ogarnia ją znużenie, jakby przez tych parę chwil przeżyła dziesięć lat. Żadnych więcej zdjęć. Nie dzisiaj. Ma się skupić na planowaniu wesela – upomina siebie. Zająć się konkretnymi.

*

Jak szybko się przekonuje, w Black Rabbit Hall przejście do konkretów jest tak samo trudne jak znalezienie zasięgu. Tutaj dom narzuca tempo; widok tych wszystkich korytarzy i pokoi sprawia, że człowiek porusza się jak we śnie i gubi się w przestrzeni. Może dlatego tak jest – zastanawia się Lorna – że wybudowano go dla klasy próżniaczej, a może przyczyna leży zupełnie gdzie indziej?

Kiedy już jej się wydaje, że obejrzała wnętrze i jest gotowa wyjść na dwór, coś, na co wcześniej nie zwróciła uwagi, każe jej zostać w środku jeszcze chwilę dłużej.

Wabi ją bawialnia. Chyba przez ten globus. Odnajduje szczególną technikę wprawiania go w ruch. Kiedy delikatnie obraca kulę w prawo, lepiej szumi. Im dłużej globus się kręci, tym bardziej szum przypomina buczenie, jakby zbliżała się do ukrytego ula. Coś zagadkowego przyciąga jej uwagę; małe kółko zakreślone

wyblakłym zielonym tuszem wokół Nowego Jorku. Dlaczego?

Jej matki takie rzeczy by nie zaciekały – myśli Lorna. Dla mamy historia rezydencji to imponujące złocone komnaty, obrazy wielkich mistrzów oraz daty i fakty rzucane przez usłużnych przewodników. Tymczasem prawdziwe dzieje są ukryte, odnotowane gdzieś naprędce przez kogoś, kto najprawdopodobniej nie powinien był tego robić. Tak jak to kółko narysowane zielonym tuszem. Albo napisy wycięte w korze.

Niespodziewanie Lornę uderza myśl, która każe jej przystanąć ze wstrzymanym oddechem. A jeśli nie docenia matki? A jeżeli znała tę alternatywną historię, pulsującą pod Black Rabbit Hall jak podziemny strumień? Czuje, że cierpnie jej skóra i unoszą się włosy na głowie. Ta tablica z nazwą domu na zdjęciach musi mieć jakieś znaczenie. Bo inaczej po co ustawiałyby się pod nią wraz z córką? W tej chwili nie widzi w tym sensu. Ale go znajdzie. Odpowiedź musi kryć się gdzieś w domu. Dokąd teraz powinna się udać?

Niestety, sala balowa jest zamknięta na klucz. Dziewczyna stoi przed drzwiami w imponującym korytarzu, zimnym jak wewnątrz lodówki. Może uda jej się zajrzeć tam z dworu? Wychodzi do ogrodu przez kuchnię i posuwając się wzdłuż skruszałego ceglanego muru, dociera do długiego rzędu okien. Są tak bardzo brudne, że trudno cokolwiek dojrzeć przez dolne szyby. Na szczęście w kępie jaskrów dostrzega wyplatany fotel rozpadający się jak stary wiklinowy kosz. Z wysiłkiem podciąga go pod okno i staje na nim, choć boi się, że w każdej chwili nogi przelecą jej przez siedzenie.

Bladozielony sufit sali balowej zdobią złocone sztukaterie. Na ogromnej połaci wypaczonego parkietu brakuje klepek. Białe krzesła, poustawiane jedno na drugim, tworzą dwie chwiejne kolumny, a stary fortepian nie ma pokrywy. Rzeczywiście są hortensje! Wyrastają z podłogi, przyciskając niebieskie kwiatostany do szyb, niczym kwiaty w szklarni. Tamten kombajnista wcale nie zmyślał. Nie może się doczekać, kiedy opowie o tym Jonowi. Będzie się tarzać ze śmiechu. Chyba że...

Istnieje całkiem realne ryzyko, że to będzie dla niego argument przeciwko przydatności tego miejsca. W przypiływie irytacji – głównie na myśl o Jonie, który jako nieobecny nie może się bronić – zeskakuje z fotela, zdecydowana nie zastanawiać się nad tym, co w praktyce może oznaczać taki stan sali balowej dla organizacji wesela. Ani gdzie goście będą jeść i jak mają tańczyć na takim parkiecie. W ogóle nie myśli o weselu. Pochłaniają ją teraz inne sprawy.

*

Ani śladu Dill czy pani Alton, gdy Lorna przecina hol z czarno-białymi kaflami i z bijącym sercem, zszokowana własnym tupetem, wbiega po schodach na piętro, by zatrzymać się dopiero na podeście w miejscu, które podczas poprzedniej

wizyty wywołało tamte dziwne emocje. Koniecznie musi jeszcze raz wejść do tego pokoju. Bez trudu odnajduje go na drugim piętrze. Poznaje po widocznej szczelinie pomiędzy progiem i drzwiami. Dziecinny pokój, od dawna bez dzieci; to tu zajrzał wtedy Jon. Otwiera drzwi i natychmiast potyka się o but.

Podnosi brudną, białą tenisówkę i kilkakrotnie wygina ją w dłoniach, zastanawiając się, do kogo mogła kiedyś należeć. Suchy piasek odrywa się od podeszwy i spada na podłogę. Każde ziarno to plaża w miniaturze, zamek z piasku, dawno minione słoneczne letnie dni – fantazjuje. Pieczołowicie odkłada but tam, gdzie go znalazła, i wchodzi do środka. Ma wrażenie, że wiatr, który wciska się przez szpary we framudze okna, niesie odgłos dziecięcych rozmów, a długą, żółtą zasłonę wprawia w drżenie przytłumiony chichot chowającego się za nią dziecka.

Nakrapiany siwek na biegunach przywołuje wspomnienie czaszki w bibliotece, czym prędzej więc odwraca od niego wzrok. Sporo zaczytanych książek, w niektórych są pozaginane narożniki stron. Przysiada na zakurzonej podłodze i ogląda pogięte pudełka z *Monopoly*, zdekompletowane porcelanowe serwisy dla lalek, resorówki Matchboxa i połamane kredki. Odkrywa wysłużony drewniany wózek dla lalek, który musiał chyba przetrwać wiele pokoleń zadziornych, małych dziewczynek. To wszystko niewątpliwie należało do dzieci Altonów. Lorna nie może się powstrzymać i zaczyna układać zabawki, ociera je z kurzu, dopasowuje pokrywki do pudełek, na koniec sadza w wózku wyliniałego misia.

Uderza ją myśl, że matka zachowała wiele z ich ulubionych zabawek. Upychała je do kartonów na strychu zawinięte w stare ściereczki do naczyń. Louise już dawno zabrała swoje dla własnych dzieci. Jej zostały, jeszcze czekają. Dotąd uważała, chyba trochę niesprawiedliwie, że matką powodowała skłonność do chomikowania, a nie sentymenty, teraz jednak, patrząc na ten pokój, gdzie pozwala się zabawkom butwieć w wilgoci, nie jest tego już taka pewna. Najwyraźniej nie wszystko, co jej wydawało się oczywiste, musi być takie dla innych dzieci. Ogarnia ją smutek na tę myśl.

Nie, pani Alton nie jest typem kobiety, która będzie pieczołowicie przechowywać ukochane zabawki dzieci. Natomiast zapewne inaczej obchodzi się ze swoimi dawnymi strojami. Lorna, podniecona tą myślą, podnosi się z podłogi i otrzepuje piasek z kolan. Przecież pani Alton nadal nosi żakiecik Chanel, co prawda nieco nadgryziony zębem czasu i przez mole. W jej garderobie mogą się kryć prawdziwe skarby; suknie od Hardy’ego Amies, Yves’a Saint Laurent, André Courreges tylko czekają na odkrycie. Schodzi w półmroku na piętro z sypialniami, w pośpiechu o mało nie potykając się na schodach. Opuszki palców mrowią ją na myśl, że za chwilę będzie dotykać tych wszystkich lejących się satyn i jedwabi delikatnych jak motyle skrzydła.

Główna sypialnia jest ogromna, zimna i zakurzona. Ciężkie powietrze nie

pachnie snem, lecz zaniedbaniem i stęchlizną. Gdy Lorna rozsuwa mięsiste aksamitne story, światło słoneczne pada na tapety w odcieniu Tiffany Blue poznaczone wykwitami wilgoci. Najpierw sprawdza, co kryje się za trojgiem drzwi w sypialni. Pierwsze prowadzą do łazienki z wolnostojącą miedzianą wanną z zielonkawym nalotem, drugie – do niewielkiej garderoby utrzymanej w bladoniebieskiej tonacji. Na toalecie w kształcie nerki leży szczotka do włosów oprawiona w srebro i puszek do pudru wielkości deserowego talerzyka. Ta sztywna, perfekcyjnie upozowana blondynka na małym portrecie to niewątpliwie pani Alton w młodości. Biała, wysoka szafa z finezyjnymi ornamentami, niestety, jest pusta. Nie ma tam nic poza stertą pledów i niebezpiecznie wyglądającą suszarką do włosów z wystającymi przewodami. Być może pani domu przeniosła wszystkie skarby do swego obecnego lokum we wschodniej wieży. Tak, to wydaje się logiczne.

Pozostają jeszcze jedne drzwi. Oczywiście zajrzy tam. Stawiają opór, a kiedy wreszcie puszczają, opada na nią tuman kurzu, jakby ktoś wytrzepał filtr z odkurzacza. Kaszląc i osłaniając usta, rozgląda się wokół siebie, a w miarę jak powietrze nabiera przejrzystości, coraz szerzej otwiera oczy. O dziwo, to chyba też garderoba. Przestronniejsza, ładniejsza ze ścianami w kolorze perłowego różu i z osobnym wyjściem na korytarz. Jedną ścianę zajmuje szafa z ciemnego drewna, na lwich łapach, zupełnie jak z *Opowieści z Narnii*. Jest też toaletka z trójskrzydłowym zmatowiałym lustrem, a pod oknem stoi szezlong. Wzrok Lorny przyciąga niewielkie zdjęcie na ścianie: czarno-biała fotografia rodzinna, a na niej panowie z włosami lśniącymi od brylantyny, panie w kloszowych sukniach jak abażury. Zdecydowanie lata pięćdziesiąte. Grupka stoi przed domem z amerykańską flagą. Pierwsza żona? O Boże. Czyżby pan Alton zachował garderobę zmarłej żony, a dla nowej przeznaczył tamtą mniejszą naprzeciwko? Och, biedna pani Alton.

– Lorno? – płynie ku niej głos Dill.

Dziewczyna stoi w drzwiach z zaskoczonym wyrazem twarzy okolonej ornamentem włosów prześwieconych słońcem.

– Ja... ja... – Lorna oblewa się rumieńcem, bo wyobraża sobie, jak to musi wyglądać; węszy po domu i grzebie w rzeczach zmarłej kobiety.

– Twój narzeczony, Tom. Przepraszam, Jon.

– Jon? – Jakoś dziwnie brzmi to imię. Jakby należało do innego świata.

– Dzwoni. Telefon w gabinecie. Mówi, że to pilne.

Rozdział czternasty

Amber

Fitzroy Square, kwiecień 1969

– No dalej! Uśmiechać się! – Barney cofa się parę kroków na chodniku i mrużąc oczy, patrzy w wizjer przekrzywionego aparatu. – I przestańcie mrugać, dobra?

Stajemy z Matildą ramię w ramię z przechylnymi ku sobie głowami, jej brązowe proste włosy mieszają się z moimi rudymi, które absolutnie nie dają się okiełznać.

– Gotowe. – Barney zdejmuje z szyi pasek aparatu Matildy i wbiega po paru stopniach do domu, zadowolony, że mógł coś dla niej zrobić.

On lubi Matildę. Każdy, kto się dla mnie liczy, ją lubi. Nadęte lale z naszej szkoły naśmiewają się z niej, bo jest za pulchna, za wysoka i nosi okulary. Matilda twierdzi, że nie potrzebuje więcej przyjaciółek. Gdyby powiedział to ktoś inny, uznałabym, że udaje, lecz w jej ustach to szczerza prawda. Matilda nie przeżywa katuszy tak jak reszta z nas. Nie miewa emocjonalnych huśtawek. I nie ma kompleksów. Na przykład nigdy nie widziałam, żeby się zarumieniła albo kulila się wstydliwie pod prysznicem czy przeprosiła, gdy nie poczuwa się do winy. Taka już jest. I nie ma zamiaru dla nikogo się zmieniać. Żal mi się z nią żegnać.

– Amber, powinnaś jechać ze mną – mówiąc to, podnosi z kamiennego stopnia niewielką torbę podrózną i zarzuca ją na ramię w taki sposób, żeby tajne wiadomości, które wypisywałyśmy w nocy na wewnętrznej stronie paska, pozostały ukryte. Schodzi z paru schodków, przystaje, poprawia kciukiem okulary. – Ostatnia szansa na zmianę zdania. Mama na pewno dałaby radę załatwić ci miejsce w samolocie.

Przygryzam wargę, żeby nie powiedzieć: „Dobra, jedziemy!” i zbiec razem z nią ze schodów na migotliwe wiosenne słońce, jak najdalej od rocznicy śmierci Mamy.

Wielkanocne wakacje w Grecji. Matilda kusi, że opalimy się na brąz, będziemy jeść słone czarne oliwki, maziste awokado oraz inne pyszne rzeczy i będziemy kąpać się w morzu, w którym nie cierpnie się z zimna. Fred i jej starsza siostra, Anabel, też tam będą, co jest szczególnie podniecające, bo Anabel właśnie rzuciła prywatną szkołę dla dziewcząt w Szwajcarii, żeby pracować w butikiu na Kensington i uprawiać seks. Ona mówi, że z seksem jest jak z papierosem: na początku okropny, ale przy odrobinie uporu zaczyna sprawiać przyjemność,

a potem już nie wyobrażasz sobie życia bez niego.

– Amber? Proszę, jedź.

– Naprawdę nie mogę. – Rzecz nie w tym, że tata by mnie nie puścił; ostatnio chodzi taki roztargniony, że bez trudu można go prawie do wszystkiego przekonać. Jednak ja przez cały trymestr nie widziałam się z Tobym. Tęsknię za nim, choć jego zachowanie mnie frustruje, szczególnie ta drażliwość i przesadnie emocjonalne reakcje. Nie próbuję tego tłumaczyć Matildzie, bo nie zrozumie. Dla niej Fred, jej brat, jest po prostu irytujący i najlepiej omijać go szerokim łukiem.

Toby, kilka dni po tamtej nocy, gdy czekał na mnie po ciemku w mojej sypialni, żeby urządzić mi awanturę za to, że „zakradłam się do pokoju Luciana, aby go niańczyć”, wyleciał ze szkoły. Tak naprawdę on nie jest jakimś zabijaką, po prostu miał pecha, że trafił akurat na syna ministra, który przez niego stracił ząb. Tata wpadł w gniew, bo tamten ojciec jest członkiem założycielem jego londyńskiego klubu, lecz chyba jeszcze bardziej go rozzłościło, że Toby nie jest podobny do niego. Nie mieści mu się w głowie, że jego syn, krew z krwi i kość z kości, inteligentny, błyskotliwy, „szpakami karmiony”, jak określił go jeden z nauczycieli, nie okazuje szacunku dla instytucji szkoły i ma w pogardzie rugby. Mama, naturalnie, uważała cechy Toby’ego (przyznam, że te mniej korzystne) za urocze. „Świat nie potrzebuje kolejnego nudziarza w uniwersyteckim krawacie” – mawiała i radziła Toby’emu, żeby postępował w zgodzie z własną naturą i odnalazł „to maleńkie, cenne coś, co sprawi, że będzie szczęśliwy”, jakby życie można było przesiewać niczym piasek na plaży i wybierać co ładniejsze kamyki. Zawsze chciała, żeby Toby był po prostu sobą.

– Ostatnia szansa – wyrывa mnie z zadumy Matilda.

Czuję balast Black Rabbit Hall na moich barkach.

– Przecież wiesz, że bym chciała, ale nie mogę.

Zajeżdża szofer Hollywellów. Matilda posyła mi całusa przez tylną szybę i znika, a ja mam wrażenie, że zabiera ze sobą całą radość bycia piętnastolatką.

*

Pociąg, szarpiąc, rusza na zachód, sunie powoli wzdłuż brudnych ceglanych murów Paddingtonu i przyspieszając, zostawia za sobą coraz mniejsze i niższe domy oraz ogrody, zanim wjedzie w bezkres na zmianę zielonych i żółtych pól; ich widok dziwnie harmonizuje ze smakiem cytrynowych i limonkowych landrynek, które wytrząsam na dłoń.

Czuję przyciąganie i odpychanie Black Rabbit Hall.

Toby, który zaczął ferie tydzień wcześniej od nas, przyciąga mnie do tego miejsca jak magnes. Jednak jest również odwrotny ładunek; świadomość, że te ferie wielkanocne – rok później (jak ja go przetrwałam?) – odsuną Mamę jeszcze bardziej w przeszłość, poszerzą wyrwę pomiędzy terażniejszością a tamtym

ostatnim momentem, kiedy usłyszałam skrzypnięcie jej buta do jazdy na podłodze w kuchni. Ktoś zrobi zdjęcie naszej gromadki, a Mamy na nim nie będzie. Co gorsza, dom i ogród budzą się do życia, kwitną żonkile i dzikie hiacynty, poranna mgła unosi się znad trawników. Ona tak kochała ten czas. Nie chciałaby go przeoczyć. Radość Mamy z wiosny była jedną z przyjemności, jaką ta pora ze sobą niesie. Ciekawe, czy wszystkie dzieci kochają to, co uszczęśliwia ich matki.

Mama lubiła pociągi, szczególnie z wagonami sypialnymi. Ale najlepiej się czuła na otwartych przestrzeniach. Zanim nasza czwórka przyszła na świat, razem z tatą przemierzali całe Stany od wschodniego wybrzeża po zachodnie w zielonym cadillacu. Do Kornwalii też uwielbiała jeździć samochodem. W zeszłym roku o tej porze pędziliśmy rollsem – nie wiedząc, co nas czeka. Tata prowadził, Mama śpiewała na całe gardło, tylne siedzenia były rozłożone, Kitty i Barney tarzali się po nich w śpiworach, ja z głową na kolanach Toby’ego usiłowałam czytać książkę, a szyby mieliśmy opuszczone w oczekiwaniu na pierwszy zapach morza.

Rok później niczego nie ma; zniknęły wszystkie mało znaczące drobiazgi, za którymi się teraz tęskni, choć wcześniej nikomu nawet do głowy by nie przyszło, że może tak być. Tata uważa, że poradzę sobie z maluchami w pociągu bez Toby’ego („śmiem twierdzić, że, jak w przypadku wielu spraw, obecnie lżej jest bez niego”), gdyż w tej chwili nie stać naszej rodziny na luksus samochodu z kierowcą, bo inwestycje nie przynoszą spodziewanego zysku.

To wcale nie jest takie proste.

Gdy tylko głowa opada mi na szybę, Kitty ciągnie mnie za rękaw i żąda, żebym odcięła skórki z kanapek Nette z serem i piklami albo czytała po raz nie wiadomo który *Piotrusia Królka*. Potem dla odmiany Barney chce do ubikacji. Boję się zostawić Kitty samą, żeby coś jej się nie stało; niania Meg zostawia otwartą gazetę w pokoju dziecinnym, w której jest pełno opowieści o strasznych rzeczach, jakie obcy ludzie, wyglądający zupełnie jak pasażerowie na korytarzu przed naszym przedziałem, robią dzieciom. Musimy przeciskać się wąskim przejściem, Kitty marudzi, Barney trzyma się za krocze, Boris wachlującym ogonem trąca kubki z herbatą w rękach ludzi. Nasz przedział dość szybko pustoszeje.

Kiedy dojeżdżamy do Liskeard, Kitty, Barney i Boris śpią jak zabici. Ja przez całą drogę nie zmrużyłam oka. Przez te gaje oliwne, greckich chłopców i białe uliczki słodko pachnące jaśminem nie mogłam sobie znaleźć miejsca na szorstkim, tapicerowanym siedzeniu. Dzięki tym rojeniom chwilami zapominam o Tobym, chociaż, o dziwo, im bardziej zbliżam się do niego, tym mocniej za nim tęsknię. Ogarnia mnie irracjonalny lęk, że on może umrzeć, zanim przyjedziemy.

– Pobudka! Jesteśmy na miejscu! – Potrzęsam maluchy za ramiona.

Barney siada, trąc oczy, lecz Kitty nie mogę dobudzić. Wytaczamy się z pociągu na pusty peron. Kitty ze spoconym policzkiem przyklejonym do mojej

szyi bezwładnie zwisa mi na rękach, Barney rozsiewa pakunki, Boris szczeka. Pociąg odjeżdża, zostawiając nas samych na peronie. Od Toby'ego dzieli nas jedynie jazda taksówką i rzeka Fal.

Barney z zadartą głową zerka na mnie.

– Amber?

– Tylko nie teraz, Barns. – Spływam potem pod ciężarem Kitty, nie widzę taksówki, mam nadzieję, że Peggy nie zapomniała jej zamówić.

– Kitty się posusiała. – Pokazuje palcem tył jej spódniczki. Krople kapią na peron.

Taksówkarz ma na imię Tel, jest sympatyczny i taki gruby, że samochód przechyla się na jego stronę. Zdażyłam się przekonać, że większość kornwalijskich taksówkarzy to mili ludzie i prawie każdy z nich ma kuzyna, który albo kiedyś pracował w Black Rabbit Hall, albo zna kogoś z rodziny Peggy mieszkającej wzdłuż wybrzeża.

– W tym roku w Wielkanoc będzie skwar. – Uśmiecha się do mnie w lusterku, wysuwając za okno łokieć, który wygląda jak polec mięsa. – Mam nadzieję, że pamiętaliście o kapeluszach.

– Owszem, proszę pana – odpowiadam grzecznie, wpatrzona w okno, licząc, że nie będzie mnie zagadywał przez całą drogę albo nie zacznie narzekać, że w samochodzie zalatuje siuškami, chociaż udało mi się przebrać Kitty w czyste majtki, a mokre zapakować do pudełka po lunchu.

Na szczęście Tel milczy, może dlatego, że wie o Mamie i jest mu nas żal, a może nie czuje zaduchu, bo maskuje go psi zapach Borisa. Niemniej próbuje odkręcić drugą szybę, a ta zacina się w połowie wysokości. Morska bryza wpada do środka i wywiewa z naszych głów Londyn. Im bliżej Black Rabbit Hall, tym bardziej czujemy się sobą. Za oknem przesuwają się znane miejsca: herbaciarnie, dom starców, zakład pogrzebowy, prom King Harry Ferry telepiący się na szklisto-zielonej rzece przy zgrzycie łańcuchów. Potem jeszcze kręta droga i wreszcie tablica na skraju podjazdu. Serce zaczyna mi szybciej bić. Boris stawia uszy. Black Rabbit Hall góruje na wzniesieniu, jakby dawał do zrozumienia, byśmy nigdy więcej nie śmieli zwątpić w jego istnienie. Na stopniach przed domem siedzi Toby, czeka.

– Toby! – Wyskakuję z taksówki i puszczam się biegiem po żwirowej ścieżce.

Wpadamy sobie w objęcia. Mam wrażenie, że wszystkie porzrzućane fragmenty – te zagubione cząstki mojej istoty, gdy go przy mnie nie ma – powracają na swoje miejsce. Szybko jednak dostrzegam zmianę, jaka w nim zaszła. Nie chodzi o to, że się wyciągnął, wyszczuplał, a ciało ma twarde i umięśnione, jakby spędził kilka ostatnich miesięcy, walcząc na ringu na gołe pięści. To coś innego; zachowuje się z rezerwą, jakby zapomniał, jak to jest być z kimś, komu się

ufa. Za tęczęwkami w złote cętki kryje się coś, czego nie potrafię odczytać. Mam zamiar go zapytać, co się dzieje, co robił, gdy się nie widzieliśmy, ale akurat ostatnie z naszych bagaży lądują na żwirze i wzbijają złoty kurz.

– No, to już wszystko! – woła Tel, zawracając na podjeździe. Puszczą oko do Toby'ego. – Niezła bryczka!

Podążam spojrzeniem za jarzącymi się gniewnie oczyma brata. Przy kępie krzewów połyskuje niebieska jak skrzydła ważki karoseria ze srebrnym grillem. To bardziej pocisk niż samochód.

– Jejku, Toby, czyje to auto?

Grymas na jego twarzy stanowi dla mnie budzącą dreszczyk odpowiedź.

*

Lucian, niczym cudownie przywrócony do życia, stoi na skraju lasu i pali papierosa. Mój żołądek wyprawia dziwne harce. Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek go jeszcze zobaczę, i dlatego przez te wszystkie miesiące w dusznych ciemnościach sypialni z poduszką wciśniętą pomiędzy gorące uda mogłam bezpiecznie odtwarzać w pamięci sprężystość jego gładkiej skóry pod moimi palcami i lepkość ciepłej krwi w tamtą śnieżną, zimową noc w jego pokoju, pulsującą napięciem i gwiazdami.

A teraz jest tutaj! Jego sportowy samochód stoi na podjeździe! Pali papierosa w naszym ogrodzie! To tak nieprawdopodobne i tak nieoczekiwane, że gapię się na niego jak sroka w gnat. Podnosi rękę do ust we frapującym tempie, gdy tylko zdąży wypuścić dym. Odrzuca grzywkę z czoła – jest dłuższa, niż zapamiętałam, i opada mu na oko – gasi butem niedopałek i zapala następnego papierosa.

– Niemądry, kopci jak parowóz – odzywa się za moimi plecami Peggy, a ja wzdrzgam się zaskoczona. – Pójdiesz go zawołać na podwieczorek?

Kiwam głową, a jednocześnie nie mogę oderwać się od kuchennego okna. Myśl, że muszę podejść do Luciana – odezwać się do niego! – paraliżuje mnie. Co, jeśli wystarczy mu rzut oka, by wiedzieć?

– Musi być głodny. Rano przyjechał z Londynu, żeby spotkać się z matką, lecz, oczywiście, jej nie zastał. – Peggy z dezaprobatą kręci głową i cmoka pod nosem. – Nawet nie wiem, czy jadł lunch.

– Kiedy ona przyjedzie? – Już słyszę przyprawiający o dreszcze stukot obcasów Caroline na kaflach w holu.

– Wieczorem. Zdaje się, z waszym ojcem. Kitty, zachowuj się. Ciasto się je widelczykiem, a nie pcha do buzi rękami. Nie jesteś jakimś burakiem. – Wzdycha, skrzywiona. – Dopiero wczoraj mnie poinformowano. Od tego czasu kręcę się po domu i nie wiem, w co ręce włożyć. Ale jak pech, to pech, coś wybija z rur w łazience na pierwszym piętrze. – Tłumi lekki uśmiech. – Siadaj, Amber. – Na szczęście zapomina, że miałam pójść po Luciana.

Wciskam się pomiędzy Kitty i Barneya, żar z rozpalonej kuchni bucha mi na plecy.

– Wszyscy jesteście dzisiaj jacyś niemożliwi. – Peggy popatruje na mnie z ukosa. – Kawalek ciasta z owocami? – Trzaskają drzwi. – O, Toby, jesteś. Gdzie ty się podziewałeś? Spójrz tylko na siebie. Sama skóra i kości! Czy w stołówce w tej nowej szkole tak źle karmią? Zaraz ukroję ci porządny kawał ciasta. Nie, Kitty, ty masz już dość. No, chyba że chcesz zmienić się w balonik.

Toby dosiada się do stołu i miarowo popukując nogą w podłogę, bąka, że jutro powinniśmy pójść na plażę i popływać po raz pierwszy w tym roku.

– Ten samochód to prezent urodzinowy – rzuca Peggy w przestrzeń, nakładając ciasto na talerzyki. Jej szare oczy rozbłyskują, gdy zniża głos: – Wyobrażacie to sobie? Toby, tylko bez żadnych głupich pomysłów.

– Się nie da – odpowiada i po raz pierwszy od przyjazdu wybuchamy śmiechem.

Oboje wiemy, że mamy szczęście, jeżeli trafi się nam rower na urodziny. Przeważnie dostajemy prezenty, na których nieszczególnie nam zależy: złotą broszkę po ciotecznej babce, której w ogóle nie pamiętamy, obtłuczone szklane kulki w szkatułce z kości słoniowej po dziadku. Jedna ciocia Bay przysłała nam fantastyczne rzeczy: kolorowe, nowe i pachnące Ameryką. Często też dokłada jakieś łakocie.

– Możemy się przejechać? Samochodem Luciana? – Barney staje chwiejnie na palcach i wyciąga szyję, żeby zobaczyć auto przez okno.

– Wykluczone. Siadaj. – Peggy staje za Kitty i prawidłowo układa jej paluszki na widelczyku. – Wygląda na śmiertelną pułapkę. Nie wsiadłabym do czegoś takiego, nawet gdyby mi zapłacili. – Ociera wierzchem dłoni czoło i spogląda na mnie z irytacją, przypominając sobie, o co mnie parę minut temu prosiła. – Amber, bądź tak miła i zawołaj Luciana na podwieczorek. Natychmiast.

*

– Podwieczorek. Peggy woła – oznajmiam krótko, bojąc się podnieść na niego oczy. Widzę jednak, że spogląda na mnie spod grzywki wyraźnie skrzępowany. Zaskakuje mnie tym onieśmieleniem.

– Przepraszam, że zjawiam się tu znowu bez zapowiedzi. – Grzebie w kieszeni czarnego blezera – cały jest ubrany na czarno jak gangster – wyciąga kolejnego papierosa i zapala go masywną srebrną zapalniczką, za jaką Toby dałby się pokroić. – Moja dziewczyna wyprawia w Devon przyjęcie za kilka dni. Matula się uparła, żebym najpierw odwiedził ją w Pencraw. – Zaciska wargi na papierosie. – Ale jej nie ma.

– W Devon? – powtarzam tępo, a słowo „dziewczyna” podstępnie dzwoni mi w uszach. W tej okropnej chwili dociera do mnie, że nie przebrałam się po podróży

i pewnie zalatuje ode mnie siuškami Kitty.

– W Bigbury Grange. – Milknie i wbija wzrok w ziemię, jakby żałował, że w porę nie ugryzł się w język.

– Och. – Bigbury Grange to jedna z największych posiadłości na zachodzie kraju, z okazałą, białą jak polaną lukrem rezydencją. Przed paru laty była gorącym tematem plotek, gdy Bracellowie – „nuworysze, którzy zbili majątek na mrożonkach”, jak z przekąsem określał ich tata – kupili ją od starych przyjaciół moich rodziców, zubożałych lorda i lady Fraserów, których stać było jedynie na ogrzewanie domku ogrodnika i żywienie się bażantami i miodem z własnych uli. – Jest podwieczorek, jeśli masz ochotę – mówię, starając się ukryć gorzkie rozczarowanie, i zawracam w stronę domu.

Rzuca niedopalonego papierosa i wdeptuje go w ziemię.

– Pójdę z tobą.

Wspinamy się po wzniesieniu trawnika. Ręka Luciana jest jakieś sześć cali od mojej. Zerkam na niego z ukosa i rumienię się po uszy, napotykając jego spojrzenie.

– Wybierzesz się jutro zemną na przejażdżkę? – pyta półgębkiem, kiedy docieramy na taras.

– Ja... – Spoglądam na dom. Toby obserwuje mnie przez kuchenne okno; widzę białą plamę w miejscu, gdzie przyciska czoło do szyby.

– To lotus elan. – Jego czarne oczy się skrzą. – Ma składany dach, no i w ogóle...

– Obiecałam Toby'emu, że pójdziemy na plażę. – Angażuję w tę odpowiedź całą siłę woli jak wtedy, gdy Matilda namawiała mnie na wyjazd do Grecji.

– Jasne – ucina, jakby temat był mało istotny, i wchodzimy do domu w kłopotliwej ciszy.

*

Następny dzień przygnębia jak wiadomość o odwołanym przyjęciu. Z okna sypialni widzę Caroline; od rana na nogach, w liliowej chustce zawiązanej pod brodą i w ogromnych okularach przeciwsłonecznych z białymi oprawkami obchodzi rabaty. Co gorsza, po śniadaniu z zadartym podbródkiem i przesadnie wzniesionymi oczami, bo aż widać jej białka, ogłasza „wielkanocny obiad rodzinny” takim tonem, jakby wypowiadała wojnę. „Punktualnie o pierwszej w pokoju stołowym” – dodaje, posyłając przez pokój wyczekujący uśmiech tacie, jakby liczyła na pochwałę za objęcie kontroli nad gospodarstwem domowym, w którym, odkąd sięgamy pamięcią, nic nie działo się „punktualnie”. „Spóźnialscy ryzykują utratę wielkanocnych jajek”.

Barney i Kitty, po zeszłorocznym czekoladowym fiasku, ze strachu, że być może to nie są żarty, wolą kontrolować czas i kursują pomiędzy wszystkimi

zegarami Black Rabbit Hall, a zaczynają obchód od Big Bertie. Jednak słusznie rozumując, że żadnemu z nich nie można ufać, niecierpliwie kręcą się na tarasie przy zegarze słonecznym, czekając, aż cień przesłoni tarczę z brązu. Ja i Toby udajemy się sami na plażę.

– Jeżeli ty nie zamierzasz iść na ten obiad, ja też nie pójdę – odzywam się, kiedy schodzimy z plaży. Wspinamy się ścieżką pomiędzy klifami z ciężkimi torbami z zapiaszczonymi ręcznikami i mokrymi strojami kąpielowymi, uważając na żmije, które przebudzone przez niespodziewane wiosenne słońce, wylegują się w kępach traw.

Powoli odzyskuję czucie w palcach u rąk i nóg. W morzu, dzisiaj połyskliwie niebieskawym jak góra lodowa, dało się wytrzymać zaledwie kilka sekund. Toby, czerwony z zimna i z urywanym oddechem, siedział w wodzie znacznie dłużej ode mnie, jakby ból sprawiał mu radość. W końcu kazałam mu wyjść na brzeg, bo się bałam, że całkiem zeszywnieje i jeszcze zniesie go na pełne morze jak dryfującą kłodę.

– Rodzinny obiad – prycha Toby. – Odkąd ta uzurpatorka i jej rozpuszczony synalek należą do rodziny?

Zarzucam na ramię słomianą plażową torbę, myśląc przy tym, że Lucian wcale nie jest rozpuszczony, chociaż ma prawo być. Wydawało się, że szczerze się cieszy z samochodu.

– Trochę to dziwne, no nie? – ostrożnie przytakuję Toby'emu, żeby go ugłaskać.

– Amber, w tym nie ma nic dziwnego. Ani przypadkowego. I to jest cholernie wkurzające! Shawcrossowie przypuszczają inwazję według planu. Strategiczny desant Caroline. Bo inaczej czemu znowu tu są?

– Wiesz, czemu. Pamiętasz, co tata mówił. „Shawcrossowie mieli spędzić Wielkanoc u przyjaciół w Gloucestershire, ale gospodarze w ostatniej chwili zmienili plany i zostawili swoich gości na lodzie”. W związku z tym tata „zachował się jak należy” i zaprosił Shawcrossów, bo „Boże Narodzenie upłynęło w zgodnej atmosferze”.

– Dobrze wiesz, że to bzdura. – Toby kopnięciem posyła kamień ponad klifem, a ten, wirując, spada gdzieś w nicość. Patrzy na mnie z ukosa. – Od kilku dni pracuję nad planem awaryjnym. Odkąd usłyszałem, że przyjeżdżają.

– A dokładniej? – chcę wiedzieć, bo nie bardzo mi się to podoba.

– Niespodzianka. W lesie.

Coraz mniej mi się to podoba.

– Ale jeszcze nie całkiem gotowa.

– Och, Toby. Tylko jakoś zachowuj się na tym obiedzie – ryzykuję, bojąc się, że między nim i tatą dojdzie do kolejnego spięcia. Teraz widzę, że Mama była pomostem pomiędzy tymi dwoma osobowościami. Długie pobyty Toby'ego

w szkole z internatem nie pomagają. Tata patrzy na niego, jakby czasem nie rozpoznawał w nim własnego syna. – Proszę cię.

– Przestań się zachowywać jak jakiś rozjemca. To męczące.

Wściekła, odwracam wzrok. Toby nie idzie na ustępstwa, nawet gdy w grę wchodzi jego interes. Zupełnie jakby widział wszystko ostrzej i wyraźniej, jak ktoś, kto patrzy przez szkło powiększające na skórę i widzi szpetne narośla i włosy. – Tata będzie okrutnie wkurzony, jeżeli się nie pojawisz.

– A ja jestem okrutnie wkurzony, że zaprosił te siły nieczyste w rocznicę śmierci Mamy. A ciebie to nie wkurza? – Bez ostrzeżenia zeskakuje z brzegu klifu i ku memu przerażeniu znika pod krawędzią, tak że widzę teraz jedynie czubek rudej czupryny i dwie dłonie zaciśnięte na kępach wysokiej trawy. Rzucam się, żeby przytrzymać go za nadgarstki.

– Tob...

Rozprostowuje palce. Słyszę przerażający zgrzyt osuwających się kamieni, odgłos spadającego czegoś ciężkiego i szaleńczy śmiech.

Klękam i ostrożnie wyglądam poza krawędź. Toby stoi kilka stóp poniżej na skalnym występie płaskim i wąskim jak łóżko turystyczne. Setki razy widziałam tę półkę skalną z dołu, z plaży, lecz nigdy nie przyszło mi do głowy, aby na nią zejść. Pewne miejsca w posiadłości, które za życia Mamy uważaliśmy za niebezpieczne, teraz nie wydają się takie groźne. Skoro można stracić życie w wyniku upadku z konia, to równie dobrze da się wdrapać na sam czubek drzewa.

– Zwieś nogi, siostrzyczko! I przypadkiem nie patrz w dół!

Waham się i zastanawiam, czy uda mi się rozegrać tę sytuację na swoją korzyść.

– Dobra, ale przyjdiesz na świąteczny obiad?

– Przynudzasz.

Wiem, że to oznacza zgodę.

Nie mam wyjścia. Pełnę tyłem na czworakach, jedna stopa zawisa w powietrzu.

– Z lewej podparcie na stopę. Nie, nie, na lewo, a nie na prawo, ty głąbie kapuściany! Złapię cię. Słowo, że cię złapię. Puść się. Amber, nie trzymaj się trawy. Trochę niebezpiecznie tak zwisać. Uwierz mi, mam to przećwiczone. Puść trawę. Zaufaj mi. Zaryzykuj.

– O rany! – Chwytam się go kurczowo, lądując. – Ten zeskok to zaledwie kilka stóp, lecz wydaje się o wiele więcej. Oboje chwiejemy się ryzykownie. Kucam i przywieram do półki. Tak jest chyba bezpieczniej, niż gdy się stoi. – Wiesz, Tobo, ty mnie czasem przerażasz.

– Czemu? Zawsze cię złapię – mówi po prostu. A ja wiem, że to prawda.

– Tak właśnie muszą się czuć mewy. – Widok oszałamia, jest niemal zbyt piękny. Oczy zachodzą mi mgiełką łez. – Zupełnie jakbyśmy siedzieli w niebie.

– Bo tak jest. – Obdarza mnie jednym z tych swoich czarujących, wariackich uśmiechów, ściąga koszulkę i odsłania zaskakująco bladą po zimie klatkę piersiową, kręci koszulkę młynka nad głową i z okrzykiem radości rzuca ją z klifu. Odważnie wychyla się poza krawędź i patrzy, jak koszulka niesiona wiatrem opada na skały.

– Tobie całkiem padło na mózg, kiedy siedziałeś tu sam. – Przewracam oczyma, zastanawiając się, co tata i Caroline pomyślą, kiedy on wmaszeruje do domu wpólnagi.

Podciąga się, prostuje nogi i kładzie głowę na moich skrzyżowanych kolanach. Tak bez pytania, jakbym na powrót do niego należała. Zmniejsza się tamten przykry dystans między nami. Nadal jednak czuję się skrępowana.

Przez jakiś czas siedzimy tak w ciszy. Szaroskrzydła gawia podgląda nas podejrzliwie z gniazda z wodorostów w szczelinie. Wzmaga się wiatr. Nogi mi drętwieją. Toby zamyka oczy, powieki drgają mu w szalonym tempie. Obserwuję, jak oddycha – szybko i mocno, jakby w duszy nadal gdzieś biegł – i zastanawiam się, skąd wzięły się u niego te sińce na bicepsie, jaką niespodziankę szykuje dla mnie w lesie i dlaczego patrząc na piegi na jego bladych policzkach, odczuwam dziwny niepokój, gdy myślę o nadchodzących dniach.

Rozdział piętnasty

Z powodu Toby'ego nie potrafię się zachowywać normalnie przy Lucianie. Paraliżują mnie takie prozaiczne sprawy jak podanie dzbanka z wodą czy zwykłe minięcie się na schodach. Kiedy muszę się do niego odezwać przy bracie, mój głos brzmi nienaturalnie wysoko, a śmiech piskliwie. Nawet gdy Toby'ego nie ma w pobliżu, skrępowanie podąża za mną jak niezdarly towarzysz; myśl o tym, że on w każdej chwili może zniecka się pojawić ze wściekle zmrużonymi oczami, jak samiec broniący terenu, tylko pogarsza sprawę.

Dzisiaj, na szczęście, mogę odetchnąć. Dzień dobrze się zapowiada; Toby kończy tę swoją niespodziankę w lesie. Pochłonał śniadanie i natychmiast wyszedł z domu z drewnianym młotkiem w ręce i z rolką porzewiałej metalowej siatki na ramieniu.

Gdy tylko Toby zniknął z oczu, Caroline, osuszając kąciki ust serwetką, proponuje, żebym pokazała Lucianowi zatoczkę. Na ułamek sekundy nasze oczy się spotykają, lecz oboje, zakłopotani, szybko odwracamy wzrok. Jednak propozycja Caroline wisi w powietrzu, nad salaterką z duszonymi jabłkami, które mienią się kusząco i są w zasięgu moich rąk.

– Co wy na to? Jacyś małomówni dziś jesteście. – Popija herbatę drobnymi łyżkami, mały palec z różowym paznokciem ma odchylony w bok. – Lucianie, nie zaszkodzi nabrać trochę kolorów na tych bladych policzkach, zanim jutro pojedziesz na polowanie do Bigbury Grange. Bracewellowie zdecydowanie preferują rozrywki na świeżym powietrzu. Chyba nie chcesz, żeby Belinda wzięła cię za miejskiego paniczyka.

Wodzę paznokciem po krawędzi widelca, usiłując ukryć rozczarowanie jego wyjazdem.

– Brak wygod na tym pustkowiu rekompensuje jego uroda – kontynuuje Caroline, delikatnie odstawiając filiżankę na spodeczek. Słońce odbija się w jej złoconym brzegu. – To jak pobyt gdzieś na końcu świata. Nie spotka się żywej duszy.

– Kraby mają duszę – nieśmiało wtrąca Barney, rzucając skórkę od chleba pod stół dla Borisa. – Ale Mama mówiła, że ta dusza na pewno odlatuje, zanim sięgnie się po kanapkę z krabem, i dlatego można ją jeść.

Uśmiech Caroline znika na wspomnienie Mamy.

– Cóż za oryginalny koncept – zdobywa się na komentarz, przeciskając

słowa pomiędzy drobnymi zębami. Gwałtownie podnosi się od stołu i wychodzi z pokoju, zostawia niedopitą herbatę. To już coś.

*

Odkrywam, że swobodniej zachowuję się przy Lucianie, gdy jesteśmy w ruchu. Idąc, mogę zakryć dłonią niespodziewany rumieniec (jest tylko jeden płonący policzek do ukrycia). Nie muszę patrzeć mu w twarz, żeby nie zobaczył tego, czego ujawnić nie chcę. No i słowa łatwiej mi przechodzą przez gardło, bo mam pewność, że Toby'ego nie ma w pobliżu. Nie jest źle.

Idziemy na cypel ścieżką na klifie to pod górę, to w dół, jak po schodach. Pokonujemy murki ułożone z kamieni i pień sosny powalony przez wiatr. Tu na klifach wiosenne słońce mocniej grzeje i wydaje się bliżej nas. Podmuchy wiatru wydymają mi spódnicę jak czaszę parasola. Przytrzymuję ją, dyskretnie sprawdzając, czy Lucian patrzy na moje nogi. Patrzy.

Niestety, Kitty uwieszona u jego dłoni, chichocze i papie jak najęta, żeby ściągnąć na siebie uwagę. Nawet jeżeli irytuje go tak samo jak mnie, nie daje tego po sobie poznać. Nie zbywa też Barneya, który zasypuje go pytaniami w rodzaju: „Czy ktoś z piętnastoma palcami grałby na gitarze lepiej od kogoś z dziesięcioma?”, tylko cierpliwie mu odpowiada, i dlatego nie mamy jak porozmawiać o niczym istotnym. Zawłaszczony przez maluchy, od czasu do czasu uśmiecha się do mnie spod czarnej grzywki, przeważnie kiedy najmniej się tego spodziewam. I zabawne: ten nieśmiały półuśmiech sprawia, że zapominam o Tobym, o żmijach uspionych pośród traw i o tamtej cholernie bogatej dziewczynie o imieniu Belinda, która mieszka w Devon w domu z centralnym ogrzewaniem, domu bez zacieków po zmytej krwi w stajni.

Kiedy docieramy na skraj klifu, dokładnie powyżej tamtej półki, na której dzień wcześniej siedzieliśmy z Tobym, Barney pociąga go za rękę.

– To nasza plaża – wskazuje z dumą.

Lucian spogląda na mnie z uśmiechem błakającym się na ustach.

– Na podstawie tego, co mówiłaś, myślałem, że jest ogromna.

– Naprawdę? – Nie wiem, jak mu wytłumaczyć, że kiedy byłam dzieckiem, wydawała mi się wielka, i to wrażenie pozostało.

Barney zbiega na dół wąską ścieżką z potłuczonych kamieni. Pierwszy dociera na piasek i szczęśliwy, brodzi w miejscu, gdzie wypływa podziemny strumień, który tworzy bąbelki na wodzie. Jest w swoim żywiole.

Morze na horyzoncie ma kolor zielonej galaretki. Woda cofnęła się daleko i odsłoniła kłocowate, brunatne żebra wiosłowej łodzi zarytej w pofałdowanym piachu. Wyjaśniam Lucianowi, że według miejscowych to szczątki statku pirackiego, a on słucha z uwagą, nie odrywając oczu od moich ust.

Siadamy w odległości pół metra od siebie na dużych otoczakach, szarych

i lśniących jak focze grzbiety. Lucian zdejmuje buty. Stopy ma blade i wydelikaczone, jakby nigdy nie chodził bosy. Coś w ich wyglądzie sprawia, że robi mi się go żal.

Gawędzimy o błahostkach – o pogodzie, o tym, jak przyływ potrafi odciąć tę plażę. Kitty przechadza się z wiaderkiem wzdłuż brzegu i szuka „skarbów” pod pianą na mokrym piasku: muszelek i zielonych wygładzonych szkiełek. Barney podwija spodnie i brodzi w morzu. Pilnuję go – nawet na chwilę nie należy tracić go z oczu nad wodą – lecz jednocześnie od czasu do czasu dyskretnie zerkam na Luciana.

– Jesteś szczęśliwa, że masz to wszystko – mówi, podkurczając jedną nogę i swobodnie zwieszając drugą. Widzę, że czarne włosy na wysokości jego kostek układają się na kształt bransoletki.

– Wiem. – Wciskam spódnicę pomiędzy kolana, żeby nie podwiewał jej wiatr, chociaż jakaś część mnie wolałaby pozwolić jej się unosić. – Niepotrzebna nam większa plaża.

– Nie mówię o plaży.

Zaskoczona, odwracam się ku niemu, wygarniając z ust kosmyk włosów.

– A o czym?

Patrzy na Kitty potrząsającą wiaderkiem z muszelkami.

– Bracia, siostry, te sprawy. – Wzrusza ramionami.

Usiłuję sobie wyobrazić spokojny świat bez odpowiedzialności za innych, wewnętrznego rozdarcia i utarczek o największy kawałek ciasta.

– Cisza i spokój też muszą być przyjemne.

– Nie za bardzo – wyznaje, wciskając palce stóp w piasek. – Dlatego zacząłem grać na gitarze.

– No wiesz, gdybyś miał hałaśliwych braci i siostry, pewnie nigdy nie nauczyłbyś się tak dobrze grać. – Uświadamiam sobie, że właśnie się zdradziłam, iż słuchałam jego gry (z uchem przyciśniętym do podłogi), i oblewam się rumieńcem. Zakrywam policzek dłonią, czując pod palcami pulsowanie krwi.

– Wiesz co? – Żłobi piętami rowek w piasku, który szybko napęlnia się wodą.

– Co?

– Chciałem mieć bliźniaka.

– Zabawne. – Śmieję się.

– Brata bliźniaka. Sprzymierzeńca w chłopięcych sprawach.

– Ja uczestniczę w chłopięcych sprawach.

– Taak, wiem. – Czy widzę w jego oczach coś na kształt szacunku, czy nabija się ze mnie? Nie potrafię określić.

– Nie wyobrażam sobie ciebie jako bliźniaka – wrywa mi się dość niefortunnie przez ten brak pewności.

– Czemu? – Wydaje się urażony.

– Jesteś taki... – Waham się, bo nie bardzo wiem, jak wytłumaczyć, że on jest jakby zamkniętą całością, a między mną a Tobym granice są rozmyte. Że Toby jest leworęczny, a ja praworęczna, i czasami mam wrażenie, że stanowimy coś na kształt lustrzanego odbicia. – Taki kompletny.

Jego śmiech niesie się echem po plaży. Dotąd nie słyszałam, żeby tak się śmiał. Jakby coś w nim się rozluźniło. Potwierdza się to, co pomyślałam o nim tamtej nocy w jego sypialni w Boże Narodzenie: że on daje się lubić, że pod pozorami pośepności kryje się ciepło i śmiech. Poczułam, jakbym znalazła błyszczące złote monety w błotnistym piasku.

– Czyli bez Toby’ego czujesz się niekompletna? – podsumowuje, poważniejąc.

– To nie do końca tak – prostuję szybko, choć pod wieloma względami tak właśnie jest.

Zadzieram głowę i mrużąc oczy, spoglądam na klif.

– Gdzie on jest? Cały ranek go nie widziałem.

– Poszedł do lasu. – Wzruszam ramionami, mimo że to pytanie przyprawia mnie o niespokojne bicie serca, jakby samo jego zadanie stwarzało możliwość, że Toby wcale nie jest w lesie, tylko wściekły skrada się ku nam ścieżką na klifie. – Coś tam robi. Nie chce powiedzieć, co.

– Ciekawe.

Czuję się trochę zażenowana z powodu Toby’ego. Dociera do mnie, jak niedojrzały wydaje się przy Lucianie. Nawet biorąc pod uwagę dzielącą ich różnicę dwóch lat. Nie wyobrażam sobie, aby piętnastoletni Lucian budował coś w lesie lub uwieszony na linie pokonywał rzekę. Czy jakaś część psychiki Toby’ego zatrzymała się w rozwoju po śmierci Mamy? A może tak jest z całą naszą czwórką? Zmieniamy się fizycznie, lecz zatrzymaliśmy się w wieku, w jakim wtedy byliśmy.

Nagle pragnę jak najszybciej dorosnąć.

– Jak myślisz, kiedy on wróci? – pyta z wahaniem.

– Och, będzie tam siedział cały dzień. Zawsze doprowadza wszystko do końca.

– Aha. – Lucian szoruje stopą po piasku, jakby się zastanawiał, czy może mnie o coś zapytać.

W końcu to robi.

*

– Szybciej! – przekrzykuję szum silnika, nie poznając brzmienia własnego rozemocjonowanego głosu.

– Na pewno?

– Tak! – Dach jest opuszczony jak budka w dziecięcym wózku. Pęd włacza mi powietrze do ust. – Tak, tak, tak!

– Trzymaj się mocno!

Silnik warczy, jakby wiozło nas jakieś żywe stworzenie. Auto mknie środkiem drogi na klifach, płoszy motyle i ptaki. Balansuję, przytrzymując się błyszczącej deski rozdzielczej, gdy na zakrętach rzuca mnie na drzwi. Black Rabbit Hall z oddali wygląda jak domek dla lalek.

– Moje włosy! – piszczę, bo rozwiane wokół głowy jak wata cukrowa, oblepiają mi usta.

– Uwielbiam twoje włosy.

Uwielbiam twoje włosy. Czy rzeczywiście tak powiedział? Trudno cokolwiek usłyszeć przez ryk silnika. Niemniej uśmiecham się głupawo. Chcę zostać na zawsze w tym niesamowitym autku, które tak szybko mknie, że to, co mignęło przed chwilą, po paru sekundach znika i zdaje się w ogóle nie istnieć.

– Fajnie? – pyta. Jego włosy też fruują jak czarne pióra. – Cholera!

Stado owiec wysypuje się z bramy farmy na drogę. Roztrzaskamy się; jednak nie, pisk hamulców i jesteśmy uratowani. Padam na deskę rozdzielczą, ale śmieję się na cały głos; cudownie – udaje nam się przechytryć los, gramy na nosie nieszczęściu. Owce pierzchają na skraj drogi i suną przyciśnięte do płotu. Lucian zawraca kawałek dalej, a farmer wygraża mu pięścią.

Parkujemy samochód. Siadamy na białej ławce na skraju klifu zapatrzeni na fioletowe i zielone plamy sunące po oceanie, niczym cienie płynących pod wodą ławic wielorybów. Nogi mam miękkie, jak ktoś, kto nie potrafi się odnaleźć na pewnym gruncie po zejściu ze statku. Plecy mojej bawełnianej sukienki są wilgotne od potu. Lucian siedzi tak blisko, że gdybym przesunęła nogę o parę centymetrów, nasze uda by się zetknęły. Czuję na sobie jego wzrok; mam wrażenie, że jego oczy prześlizgują się po mnie jak miękkie i ciepłe dłonie. Nie wiem, czy przypominam sobie przyjemniejsze wrażenie. Staram się je zakodować w pamięci, żeby wszystko ze szczegółami opowiedzieć Matildzie po powrocie do Londynu.

– Przepraszam, o mało cię nie zabiłem.

– To była najlepsza część całej jazdy. – Odważam się spojrzeć mu w oczy. Zaskoczona, widzę szeroko otwarte źrenice i pełną podziwu minę, jakby miał do czynienia z kimś niezwykłym. – Mam zdechłe muchy we włosach – oznajmiam, psując nastrój chwili, bo się boję, że z nadmiaru emocji wymknie mi się coś, czego wolę nie mówić.

Wyciąga rękę i nieśpiesznie, czym doprowadza mnie do szaleństwa, przesuwa martwego owada wzdłuż pasma włosów i strzepuje go z końców. Potem robi tak jeszcze raz. Wnętrznosci ścisła mi podniecenie. To, jak dotąd, najwspanialsza chwila w całym moim życiu.

– Już.

– Dzięki. – Mój głos brzmi prawie normalnie, choć w środku cała się rozpląwam.

– Toby będzie wściekły, co?

– Nie powiem mu. – Z czysto egoistycznych pobudek bardziej mnie martwi, że nasza przejażdżka dobiega końca, niż myśl, że Toby, gdyby się o niej dowiedział, mógłby zadźgać Luciana scyzorykiem. Mój wzrok zatrzymuje się na jego ustach, na języku za białymi zębami; przypomina coś różowego i wilgotnego we wnętrzu muszli. Ciekawe, co się czuje, całując, i czy chłopięce usta mają jakiś szczególnie smak. – Fantastyczny jest ten samochód. Wybierzemy się jeszcze raz?

– Amber... – Milknie. Ta niezwykła, szalona chwila nabrzmiewa oczekiwaniem na pocałunek. Wszystko – tamta noc u niego w pokoju w Boże Narodzenie, pobyt w zatoczce, gdy siedząc na skałach, patrzymy, jak Kitty zbiera muszelki – do niej prowadziło. Skoncentrowana, przywołuję w pamięci pocałunki z powieści, przerażona, że nam to wyjdzie niezręcznie, że zderzymy się zębami i nosami.

Jednak on nie zamierza mnie pocałować. Wstaje z ławki.

– Chodźmy.

Jestem zawiedziona, lecz szybko się otrząsam, bo Lucian wyciąga do mnie ręce i pomaga mi wstać. Dłonie ma gorące, bardzo wilgotne i cudownie duże. Moja spódnica trzepocze na wietrze i gdyby mnie teraz puścił, pewnie poszybowałabym ponad klifem jak latawiec.

– Odwiozę cię do domu. – Obdarza mnie tym swoim zniewalającym uśmiechem. – I obiecuję, że tym razem będę prowadził jak pastor.

– Dobrze – odpowiadam, choć ani jedno, ani drugie mnie nie cieszy.

Rozdział szesnasty

Powinłam przewidzieć, że Toby właśnie tu nas poprowadzi. Jednak tym razem mijamy nasze zwykłe miejsce przy huśtawce i kierujemy się w górę rzeki, gdzie pośród gęsto rosnących drzew koryto się zwęża, a woda zdaje się płynąć w obu kierunkach naraz. Tutaj brzeg opada tak stromo, że gdyby ktoś się omsknął, miałby kłopot z wdrapaniem się z powrotem.

Barney mocniej trzyma mnie za rękę. Przystajemy spięci w niepokojącej głuszy głębokiego lasu. Gdzie on nam zniknął? I wtedy dobiega nas pohukiwanie.

– To on. – Nikt, tak jak Toby, nie potrafi naśladować sowy.

Widać go. Miga ruda czupryna. Zwinny jak sarna. Nie sposób z nim się zrównać, dopóki się nie zatrzyma. Przystaje mniej więcej co sto jardów i kiwa na nas. Kiedy w końcu do niego dołączamy, czeka bez śladu zmęczenia oparty o starą drabinę do zbierania jabłek, ustawioną przy pękatym pniu potężnego drzewa. Koniec drabiny – jakieś dwa metry nad ziemią – jest przymocowany do platformy zbitej ze starych desek, wierzbowych gałęzi i ukradzionych z kuchennego ogrodu części płotu. Z tego podestu wchodzi się do pustego pnia, wypalonego po uderzeniu pioruna.

– Zbudowałeś ten domek w drzewie? – Dociera do mnie, jak musiał się uwijać z robotą, czekając na nasz przyjazd.

– Caroline ma swoje plany. A ja swoje. – Ruchem głowy wskazuje na drzewo. Włosy mokre od potu lśnią poskręcane w pierścionki. – Jestem o krok przed nią, Amber.

– To się Kitty nie podoba – oznajmia nasza mała siostrzyczka. – Ani Gałgance. Za wysoko.

– Wyobraź sobie, że to jest taki domek do zabawy dla dzieci. – Kuca przed nią i stara się ją zachęcić. – Zawsze chciałaś mieć taką kryjówkę, prawda? – Chodźcie, wejdziemy na górę.

Kitty z uporem kręci głową.

– Spadnę.

– Nie spadniesz. Na pewno nie spadniesz, jeżeli tak sobie powiesz. – Toby puka się w głowę. – Wszystko jest tutaj.

– To prawda, Kitty. Dlatego ja nie tonę w morzu – potwierdza rzeczowo Barney. – Mówię sobie, że nie utonę, i nie tonę.

Toby burzy mu czuprynę.

– Zuch, Barns – mówi i wchodzi na pierwsze dwa szczeble, co wprawia w chybotanie całą konstrukcję.

– Jesteś pewien, że to bezpieczne? – pytam, bojąc się o Kitty. Nie wiem, czy potrafi się wspiąć tak wysoko.

– Najbezpieczniejsze miejsce w całej posiadłości. – Nieco dziwny wydźwięk tej odpowiedzi sprawia, że najchętniej cofnęłabym moje pytanie.

Zamykam pochód i ostatnia przeciskam się przez otwór w metalowej siatce. Wbrew woli wyobrażam sobie, jak Toby wciąga ją za nami i zostajemy tu na zawsze, bo przecież nikt nie wie, gdzie nas szukać. Kiedy wczołguję się do środka, kalecząc kolana o główki gwoździ, mam wrażenie, jakbym wpełzała do głowy mojego brata. Tym razem wcale nie jestem pewna, czy mi to odpowiada.

We wnętrzu panuje duchota i ziemisty zapach, mimo że jesteśmy bardzo wysoko. Upadek stąd grozi skręceniem karku. Widzę wąskie legowisko ze starej kempingowej maty rozwiniętej na świerkowych igłach, konserwy i puszki z piwem ustawione starannie w piramidę, omszałe butelki wina z naszej piwnicy, metalowy kubek oraz przypiętą do ściany odręczną mapę posiadłości. Na widok naniesionych na niej czerwonych strzałek z podpisem „drogi ucieczki” unoszą mi się włoski na przedramionach. Co gorsza, przy posłaniu leży mały pistolet z szuflady w bibliotece, a na zagiętym gwoździu wisi na słowo honoru ogromny nóż po pradziadku, służący do sprawiania jeleni.

Toby zapala latarkę. Jej światło niepokojąco wydobywa fragmenty jego twarzy: nozdrza, gniewnie ściągnięte brwi.

– Widzę, że ci się nie podoba.

Usiłuję się uśmiechnąć.

– Nie, czemu, tylko... – Wskazuję na nóż niebezpiecznie wiszący nad głową Barneya. – To mi się nie podoba.

– Z drogi, Barney. – Toby zdejmuje nóż i wpycha pod poduszkę. – Zadowolona?

– Pistolet. Nie wolno nam dotykać broni.

Wzrusza ramionami.

– Wielu rzeczy nam nie wolno.

– Jest nabyty?

– Przestań zrzędzić jak stara baba, co? – Kucając, wychyla się na skraj platformy i odciąga brzeg ogrodowej moskitiery z powtykanymi dla kamuflażu liśćmi. – Chodź tutaj, Barns.

Malec posłusznie podczołguje się do niego. Ja, wpatrzona w pistolet, zastanawiam się, jak dyskretnie go stąd usunąć i czy powinnam ostrzec Luciana.

– Siedząc tu nieruchomo o zmierzchu, można zobaczyć borsuki, sarny...

Oczy Barneya robią się okrągłe. Przestraszony ogląda się na mnie.

– Duchy?

– Nie, na duchy za wcześniej – uspokaja go Toby. – Ale podchodzą króliki. Całe mnóstwo królików i zajączków.

– Nie lubię królików. – Barney wycofuje się tyłem i przytula do mnie.

Wymieniamy z Tobym spojrzenia i wiem, że oboje myślimy to samo: nic nie wróci do normy, dopóki Barney na powrót nie polubi królików. To kolejna z niechcianych prawd.

– Kto ma ochotę na żelki? – rzuca Toby, żeby rozproszyć myśli o królikach i o tym, jacy byliśmy pod skrzydłami Mamy. – Zwinąłem z tajnego zapasu Peggy.

Kitty wpycha cukierki do buzi coraz szybciej i szybciej. Przez chwilę słysząc jedynie szum drzew, świergot ptaków i nasze mlaskanie.

– Dlaczego tu nie ma Luciana? – pyta.

Wszystko cichnie, nawet ptaki. Kitty nieruchomieje z policzkiem wypchanym żelkami, wodząc wielkimi niebieskimi oczami po twarzy Toby'ego i mojej.

Milczę, bo się boję, że cokolwiek powiem, zostanie niewłaściwie zinterpretowane przez Toby'ego albo, co gorsza, sprowokuje Kitty do opowieści o wyprawie na plażę. Swoją drogą nie rozumiem, czemu Caroline sugerowała, żeby zachować to w tajemnicy. Nie zrobiłam nic złego, niemniej dochodzę do wniosku, że lepiej na ten temat nie mówić.

– Lubię Luciana – oznajmia Barney, idąc w sukurs Kitty. – I podoba mi się jego samochód, bo jest taki błyszczący, prawda, Amber?

Z trudem przełykam ślinę. Czyżby Barney widział, jak wyjeżdżaliśmy po lunchu? Czy to możliwe? Specjalnie zaprowadziłam maluchy do sali balowej, żeby sobie pojeździły na trójkołowych rowerkach i nie zadawały żadnych pytań, gdyby przypadkiem zobaczyły, jak wsiadam do samochodu.

– Za to nie lubię mamy Luciana – dodaje Kitty i raźniej żuje żelki. – Jest jak mewa, która poluje na czyjeś chipsy.

Toby wybucha krótkim, szczekliwym śmiechem. Napięcie pryska jak szyba pod ciosem karate. Uderza mnie myśl, że to całkiem wygodne mieć wroga, z którego można się pośmiać. Wszystko jakoś się ułoży pod warunkiem, że wrogiem będzie ktoś z zewnątrz.

Rozdział siedemnasty

Tata, mrużąc oczy, podnosi głowę znad dokumentów. Zdejmuje okulary, przeciera powieki, odcisk na nosie od oprawek lśni w porannym świetle sącącym się przez wysokie okna biblioteki.

– O co chodzi, skarbie?

– Moglibyśmy porozmawiać, tatusiu?

– Porozmawiać? – powtarza, jakbym powiedziała coś dziwnego. – No dobrze, chyba przyda mi się mała przerwa. – Odsuwa na bok stertę papierów. Wkłada srebrne wieczne pióro do kieszeni marynarki.

Spoglądam za okno. Widać kawałek samochodu. Lucian jest już spakowany. Gryf gitary wystaje z otwartego bagażnika. Czy powinnam wyjść i pożegnać się z nim? Nie mam pojęcia, kiedy go znowu zobaczę. Dzisiaj, w dzień jego wyjazdu, wszystko wróci do normy; dzień już wydaje się bardziej szary i powracają stare problemy. Świat się cofa, zamiast iść do przodu.

– Peggy dzielnie radziła sobie z prowadzeniem domu przez te wszystkie miesiące, lecz pewne sprawy wymknęły się spod kontroli. – Tata patrzy ponuro na dokumenty.

– Jakie sprawy? – pytam.

– Rachunki, przekłete rachunki, Amber. Powiem ci, że lepiej bym wyszedł na tym, gdybym wyrzucił pieniądze do rzeki, niż ładował je w ten dom. Ale nie rób takiej zmartwionej miny. Altonowie zawsze znajdują jakieś wyjście. – Wzdycha ciężko. Strumień powietrza unosi mu posiwiałe włosy nad czołem. – Nie stracimy domu. Tyle mogę ci obiecać.

Ta wojownicza przemowa budzi u mnie jeszcze większy niepokój, bo sytuacja rzeczywiście musi być zła.

– Za długo chowałem głowę w piasek. – Rozluźnia kołnierzyk. – Najwyższy czas, żebym się tym zajął. Caroline ma rację. – Co ona mu radzi? – myślę. Tata niecierpliwym machnięciem ręki wskazuje mi miejsce po drugiej stronie biurka. – Usiądź, kochanie.

Przysuwam stół i opieram łokcie na sprężystym blacie ogromnego biurka, pokrytym zieloną skórą. Toby twierdzi, że tata specjalnie usadza nas po drugiej stronie, bo wtedy robimy się jakby mniejsi i łatwiej nami rządzić. Staram się nie patrzeć na gablotę z Rycerzem na czarnym aksamicie. Wszystko, co stało się tamtego wieczoru, nadal wiruje bezgłośnie w poszarpanym otworze w końskiej

czaszce.

– A więc? – zaczyna tata i już nie uśmiecha się tak przyjaźnie jak jeszcze przed chwilą.

Poprawiam się na stołku.

– Chodzi o Toby’ego.

– Tego się obawiałem. – Tata przekłada papiery, których nie trzeba przekładać, i formuje z nich równą stertę. – Nie w smak mu obecność Luciana, tak? Jest bardzo wrogo do niego nastawiony. Tego się po nim nie spodziewałem.

– Nie, to nie to – odpowiadam, zastanawiając się, kto podsunął mu taką wersję. Zapewne Caroline. – Tato, on zbudował domek na drzewie.

– Domek na drzewie? Naprawdę? A gdzie?

– W głębi lasu. Nad rzeką. Ma tam zapas jedzenia, nóż, legowisko... i broń. Tato, on wziął pistolet. Z tamtej szuflady.

– Czyżbym nie zamknął jej na klucz? – Znużony, pociera twarz i tłumi ziewnięcie. – Tak, uważam, że nie powinien bawić się pistoletem. Chociaż go rozumiem, bo ja w jego wieku miałem już całą kolekcję broni.

– Ale, tatusiu... – Czasem ojciec wydaje się tkwić w innej epoce. – To tak wygląda, jakby on się szykował na koniec świata – dodaję i liczę, że dostrzeże w zachowaniu Toby’ego alarmujące sygnały. – W kółko powtarza, że coś ma się wydarzyć pod koniec letnich wakacji. Jakaś katastrofa.

– Jak powrót do szkoły? Wiem, że wrzesień zawsze jest dla was szokiem po lecie tutaj. – Uśmiecha się ciepło, a we mnie budzi się nadzieja, że zechce się wsłuchać w to, co staram się przekazać. – Jeszcze zostało mu trochę czasu.

– Myślę, że to coś poważniejszego.

– Poważniejszego? Amber, skarbie, zachowanie Toby’ego po... – pauza w miejscu, gdzie powinny paść słowa „śmierci Mamy” – ...w ostatnich miesiącach, delikatnie mówiąc, jest nie do przyjęcia. – Podsuwa mi dużą bombonierkę z upudrowanymi cukrem różowymi kostkami *turkish delight*. – Całkiem niezłe. Spróbuj. Caroline przywiozła z Londynu.

Kręcę głową, odmawiam, nie wezmę do ust niczego od tej kobiety.

– On mnie niepokoi. Nie jest sobą. Jeszcze bardziej niż w Boże Narodzenie.

Ojciec z ponurą miną wpatruje się w okno. Prysł pogodny nastrój chwili z *turkish delight*.

– No wiesz, poszedł do nowej szkoły. Zapewne potrzebuje czasu, żeby przywyknąć, szczególnie że ciągnie się za nim pewna reputacja.

– Rzeczywiście, nie sądzę, aby przepadał za szkołą, ale nie o to chodzi.

Tata skubie płatek ucha, jest zakłopotany. Papiery na biurku szeleszczą, unoszone powiewem z otwartego okna.

– Tato, z nim jest gorzej niż zaraz po... jak to się stało.

Zasepia się, opiera podbródek na dłoniach, lecz po chwili się prostuje, jakby

przegonił jakąś niewygodną myśl.

– Amber, skarbie, mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny za opiekę nad rodzeństwem przez ostatni rok. Nie myśl, że tego nie widzę.

Z jakiegoś powodu ta pochwała mnie jeszcze bardziej przygnębia. Jakby z tą opieką zostawiono mi wybór.

Teraz dostrzegam, że o ile tata ma grubą skórę – „grubszą niż na tyłku nosorożca”, jak mawia babcia Esme – o tyle Toby nie ma jej prawie wcale. On odczuwa wszystko bardzo głęboko, a tata powierzchownie. I na tym polega problem.

– Tatusiu, ja naprawdę rozumiem Toby’ego. Chyba nikt go tak nie rozumie jak ja.

– Amber... – Odkasłuje. – Nie ty pierwsza zwracasz mi uwagę na pewne sprawy.

– Czy babcia coś ci mówiła?

– W poprzedniej szkole podsunęto mi... – krzywi się – ...nazwisko lekarza, jakiegoś szarlatana z Harley Street. Ale ja nie chcę skrzywdzić Toby’ego, pozwolić, żeby pomimo problemów, jakie stwarza, zmieniono go w jakieś bezwolne stworzenie. Nancy nigdy by mi tego nie wybaczyła – dodaje z emfazą.

Tata tak rzadko wspomina Mamę, że jej imię zdaje się wysysać całe powietrze z pokoju. On sam jest zaskoczony, a ja widzę, jak bardzo mu jej w tej chwili brakuje i że ta tęsknota, która wyłoniła się tak nieoczekiwanie jak kwiaty naparstnicy w lesie, boli bardziej niż przygnębienie, w którym się nurzamy.

– Tato, ja chcę, żeby on czuł się szczęśliwy. Chociaż trochę... – poprawiam się, wiedząc, że moje pragnienie jest nierealne. – No, żeby przypominał dawnego siebie.

Tata obdarza mnie roztargnionym, pełnym miłości uśmiechem. Tak uśmiechał się do mnie, gdy byłam w wieku Kitty. Budzi się we mnie tęsknota za tamtymi czasami, kiedy tata wydawał mi się wyrocznią i bezgranicznie mu wierzyłam.

– Amber, pamiętaj, że siła charakteru wykuwa się w trudnych, a nie w beztrudnych sytuacjach. Jeżeli jesteśmy gotowi stawić czoło obowiązkom i ciężkiej pracy, szczęście – o ile los nam będzie sprzyjał – może się pojawić. – Z rozmachem kładzie przycisk do papieru na stertę dokumentów. – W przeciwieństwie do tego, co myślał mój brat Sebastian, uważam, że przyjemności stanowią dodatek do życia, a nie jego sens.

Nieruchomieję z na wpół otwartymi ustami. Czuję obecność niesławnego wujka topielca w pokoju. Niemal widzę, jak znika w spokojnych wodach Morza Śródziemnego.

– Jeżeli Toby ma odziedziczyć posiadłość, nauczyć się nią zarządzać, musi wziąć się w garść, im szybciej, tym lepiej. – Drgają mu mięśnie szczęki, pot rosi

czoło nad brwiami. – I to tyle na ten temat.

– A jeżeli Toby nie potrafi wziąć się w garść? – wybąkuję.

– Pojęcie „nie potrafi” nie istnieje w naszej rodzinie.

– Nie – przyznaję i zwieszam głowę, przygryzając wargę. – Przepraszam.

– Co więc, jak sądzisz, powinniśmy zrobić? – pyta mnie łagodniejszym tonem.

– Nie wiem. – Liczyłam, że on mi to powie. – Chyba coś musi się zmienić.

Ale, hmm, nie mam pojęcia, co.

Wpatruje się we mnie, mózg za gałkami ocznymi pracuje na wysokich obrotach, jakby poruszały go niewidzialne łańcuchy, takie jak te, które ciągną prom King Harry po gładkiej powierzchni rzeki. Nagle wstaje od biurka i uderza pięściami w obciążony skórą blat.

– Dziękuję ci, Amber. Zdaje się, nieświadomie podsunęłaś mi odpowiedź na pytanie, z którym się zmagam od kilku dni. – Wsuwa dolną szczękę, jakby rozważał coś, co jest mu nie w smak. – Masz rację, potrzebna jest zmiana. A moim obowiązkiem jako ojca jest ją wprowadzić.

– Co masz na myśli? – pytam zaciekawiona, mając nadzieję, że to nie będzie nic drastycznego.

– Z pewnością wkrótce się dowiesz. – Wyjmuje z kieszeni srebrne pióro i zębami zsuwa nasadkę. – A teraz, jeśli pozwolisz, muszę zająć się rachunkami.

Rozdział osiemnasty

Lucian zatrzymuje samochód na brzegu podjazdu, zostawia silnik na chodzie, wysiada i otwiera mi drzwi.

– Cieszę się, że się zgodziłaś. Przynajmniej mogę się spóźnić.

– No wiesz, to bije na głowę karmienie kur. – Wyskakuję z samochodu, starając się nie okazać, jak mnie cieszy, że opóźniłam jego wyjazd do Devon i że woli być ze mną niż z Belindą, nawet jeśli w grę wchodzi dwadzieścia parę minut.

– Fajnie. Bardzo mi miło. – Popatruje czujnie w głąb podjazdu. – Mam nadzieję, że Toby nie będzie zanadto się złościł.

– Och, nie dowie się – mówię szybko, a serce zaczyna mi niespokojnie bić na myśl, że zostaniemy nakryci. – Siedzi w lesie. Urządza ten domek na drzewie.

– Chciałbym go zobaczyć.

Marne szanse – myślę.

– Może kiedyś – pocieszam go.

Popołudniowe słońce podświetla mu tęczę w odcieniu toffi, przez co jego oczy przypominają szklane kulki z ciemniejszą smużką w środku.

– To... do następnego razu.

– Tego lata? – wyrywa mi się bezmyślnie, jakbym miała zamiar liczyć dni do następnych wakacji. Zawstydzona, skupiam się na strzepywaniu płatków kwiatów i pyłków z popelinowej sukienki, tej, którą celowo wybrałam rano, bo ładnie podkreśla zielony kolor moich oczu i optycznie powiększa biust.

– Mam nadzieję.

– Myślałam, że nie cierpisz Black Rabbit Hall.

– Tak było. Ale zmieniłem zdanie.

– Och. – Nie mogę zapanować nad głupawym uśmiechem. – No to do zobaczenia.

Chcę go ominąć, lecz przestrzeń pomiędzy nami zdaje się kurczyć i w efekcie niezdarnie wpadamy na siebie. Cofam się speszona, zahaczając włosami o zwieszające się gałęzie drzewa. On zatrząskuje drzwiami. Ten odgłos powinien oznaczać koniec. Jednak tak nie jest. Hałas przecina letnie powietrze jak gwizdek startowy. Patrzymy sobie w oczy i widzimy to samo. Coś się uwalnia.

Wiem, że to się stanie, ułamek sekundy wcześniej, zanim do tego dochodzi.

Ten pocałunek nadal jest dla mnie szokiem, nie przypomina niczego, co sobie kiedykolwiek wyobrażałam. Lucian obejmuje mnie w talii i przyciąga do

siebie, gałązka wkręca mi się we włosy, wreszcie pęka, w ustach mam smak soli, śliny i miodu. Trwamy w zawziętym pocałunku, aż zaczyna mi drętwieć szczęka i język i nie mogę złapać tchu.

Wreszcie, zadyszany, odrywa się ode mnie.

– Przepraszam, Boże, tak mi głupio.

– A mnie nie. – Słowa wymykają się, zanim zdążę je powstrzymać.

Zawstydzona, z dłońmi przyciśniętymi do ust, rzucam się biegiem do lasu. Słyszę, jak woła mnie raz i drugi. Dopiero ukryta za parawanem liści, opadam plecami na pień drzewa i z dłońmi wspartymi na kolanach łapię oddech, wsłuchana w oddalający się szum silnika. Mogłabym zostać tu, przy tym drzewie, na zawsze, smakując ten pocałunek jak cukierek. Muszę jednak wracać, niedługo zjawi się Toby i będzie chciał wiedzieć, gdzie się podziewam. Dystans między nami ponownie się zamknie.

Ruszam na miękkich nogach w stronę domu. Powietrze owiewa mi palce dłoni, na ustach mam smak pocałunku, w uszach ekstatyczny śpiew ptaków. Zatrzymuję się przy strumieniu, gdzie pod kępą ogromnych rabarbarów struga rozlewa się w kałużę, i oglądam z uwagą swoje odbicie, pewna, że mam winę wypisaną na twarzy. Woda, falując, tnie płonąca twarz na migotliwe wstęgi, rozmywa zarys włosów i uśmiech. Słońce tańczy w odbiciu moich oczu. Czy Toby odgadnie? Czy będzie widać? Zwilżam śliną palce, nerwowo przyglądam włosy i wyplątuje z nich kawałek gałązki. Prostuję pogniecioną sukienkę, odklejam tył spódnicy wilgotny w miejscu, gdzie pośladki stykały się ze skórzaną tapicerką.

Jeżeli uda mi się niepostrzeżenie wbiec na piętro, wezmę gorącą kąpiel, wyszczotkuję włosy i zmienię sukienkę, to czy ktokolwiek się dowie?

Chyba nikt nas nie widział. I nikt nie odgadnie choćby za milion lat. Jednak kiedy Black Rabbit Hall wyrasta ponad wzniesieniem trawnika, opuszcza mnie pewność. Kamienne sokoły z ostrymi dziobami piorunują mnie wzrokiem, jakby dokładnie wiedziały, gdzie byłam. Kiedy wchodzę po szarych kamiennych schodach, inna od tamtej dziewczyny, która pół godziny wcześniej z nich zbiegła, podniecenie po pocałunku miesza się z lękiem.

Rozdział dziewiętnasty

Lorna

Biuro Dill to kłitka z ceglanymi ścianami, wciśnięta nad schodami do piwnicy na wina. Dziewczyna coś tam mamrocze, że urzęduje tu chwilowo, bo ta pakamera, gdzie kiedyś kruszały bażanty – rzeczywiście ze ścian sterczą metalowe haki – to kiepskie miejsce na biuro. Przeprasza za nieciekawy zapach i radzi, żeby w przypadku trzasków na linii energicznie potrząsnąć parokrotnie słuchawką. Lorna nie słucha jej paplaniny. Jon chce pilnie z nią rozmawiać i to ją niepokoi.

– Jon?

Dill cicho zamyka za sobą drzwi. Nie wiadomo skąd pojawia się pszczoła o rozmiarach młodej myszy i rozpaczliwie tłucze się o szyby w małym oknie.

– Już się miałem rozłączyć. – Głos Jona jest stłumiony i odległy, jakby dzwonił z innej planety. – Byłem gotów przyjechać cię ratować.

– Nie wygłupiaj się. – Lorna śmieje się niepewnie.

– Mogłaś się odezwać. – Nie potrafi ukryć pretensji w głosie. W Londynie normalnie telefonują do siebie dwa, trzy razy dziennie. – Niepokoiłem się.

– Próbowałam się do ciebie dodzwonić. Sam wiesz, że tu są problemy z zasięgiem. U mnie wszystko w porządku. Naprawdę. Czemu miałyby być inaczej?

Chwila ciszy. Oczyma wyobraźni widzi, jak on dużą dłonią przeczesuje złote włosy.

– Po prostu się o ciebie martwiłem i tyle.

– Nie jestem dzieckiem – rzuca nieco poirytowana i przysiada na krześle obrotowym, po czym szuka kawałka wolnej przestrzeni pod łokcie na zabałaganionym biurku. Rachunki, przeterminowane, z kwotami wypisanymi czerwonym tuszem, wysypują się na blat z metalowej tacki. Sporo miejsca zajmuje antyczny komputer z topornym monitorem w beżowej obudowie, leży też ochlapany herbatą egzemplarz „Country Life”, chyba jeszcze bardziej wiekowy od komputera. – Tylko tyle? I to było takie pilne?

– Nie, jest tego więcej. Lorno, słuchaj, trochę poszperałem w związku z Black Rabbit Hall.

Nie jest tym zachwycona. To prawie tak, jakby ją sprawdzał.

– I co?

– Coś w tym wszystkim nie gra. Nie trzyma się kupy.

– Nie rozumiem. – Próbuje otworzyć okno, chce wypuścić pszczołę, niestety,

jest zabite gwoździami. Zaciąga zasłonę, żeby odciąć od siebie brzęczącego owada na czas rozmowy. Pomieszczenie pogrąża się w jeszcze większym mroku.

– Lorno, przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Brak zezwolenia na działalność.

Dziewczyna ma wrażenie, że nagle spada temperatura, jakby jakiś niewidzialny wyłącznik zgasił światło na ziemi i zmienił letni dzień w zimową noc.

– Nic... nie rozumiem.

– Nie możemy urządzić wesela w Black Rabbit Hall. Nie mają zezwolenia na prowadzenie działalności. Brak ubezpieczenia. Zero. Nada.

– Przecież mogą się o nie postarać. To chyba zwykła formalność? – Przeklina przywiązanie Jona do szczegółów, jego szacunek dla zasad, które aż się proszą, żeby je łamać.

– Nie sądzę. Przepisy bezpieczeństwa, pozwolenie ze straży pożarnej, to wszystko... zajmuje wieki. Dlatego żądanie zadatku brzydko mi pachnie.

Jest pewna, że ona też teraz czuje ślad metalicznego zapachu monet. I jakby ciut zalatuje jej mięsem. Przygryza opuszek palca, zastanawia się, co ma zrobić. Czyżby to był koniec jej marzeń?

– Przykro mi. Wiem, jak bardzo przywiązałaś się do tego pomysłu.

Prostuje się na krześle, już zdecydowana. Nie, to nie koniec.

– Mimo wszystko możemy urządzić tu wesele.

– Mówisz poważnie? – Śmieje się z niedowierzaniem.

– A czemu nie? Sam pomysł. Co w tym złego? Komu to szkodzi? Ostatniego policjanta widziałam na Paddington Station. Żadnych sąsiadów w promieniu wielu mil, nikt nie będzie narzekał na hałasy, nikomu nie zastawimy drogi samochodami.

– Jeszcze się tak stanie, że rozpędzą wesele jak... jakąś nielegalną balangę. Odpuść.

– Nie, Jon. Nie mogę. Po prostu nie mogę.

– Co w ciebie wstąpiło? – pyta cicho.

– Ten dom. Mam go pod skórą – wyznaje szczerze po chwili wahania.

Lorna wyczuwa, że on ją osądza. Że nie wie, co myśleć. Dystans między nimi powiększa się z każdą chwilą, niczym odległość pomiędzy stacją i pędzącym pociągiem.

– Posłuchaj. Musisz wyjechać. Jeszcze dziś. Kochanie, to miejsce źle na ciebie działa.

– Nie bądź niemądry. Dopiero przyjechałam. – Machinalnie nawija sznur telefonu na palec, aż ściśnięty opuszek robi się malinowy. – I bardzo miło spędzam czas. – Stara się ukryć podniecenie, żeby przypadkiem nie pomyślał, że jest miło, bo nie ma go przy niej, lecz nie do końca jej się udaje. Przymyka powieki, próbuje się przestawić, poczuć się bliżej niego, lepiej dobierać słowa. Niestety, ma wrażenie, że dzielą ich lata, nie dni. – Nigdzie nie jadę.

W słuchawce na chwilę zapada cisza.

– Czy jest tam jakiś facet albo dzieje się coś, o czym wolisz nie mówić? – pyta niby żartem ten człowiek, który nie znosi myśli, że ona mogłaby być z kimś innym.

– Facet? Tutaj? Niby kto? Ogrodnik? Przystojny młody lokaj? Jon, proszę cię.

– Nie wiem, co myśleć – mówi chłodno. – Zachowujesz się jakoś... dziwnie.

– Dzięki. – Urażona jego chłodem, przechodzi do obrony. – Czy chodzi ci o to, że w ogóle tu jestem? Że śmiałam wyjechać sama na weekend? Bo jeżeli sądzisz, że uda ci się zmienić mnie w jakąś gospodynię domową z lat pięćdziesiątych tylko dlatego, że jesteśmy zaręczeni, to... to musimy poważnie porozmawiać.

– Nie chciałem, żebyś jechała, ponieważ zaproszenie wyglądało podejrzanie, okej? Zresztą to cholernie daleko. A na dodatek wokół nie ma żywego ducha. – Waha się, zmienia ton na czulszy, co już trudniej jej zignorować. – Lorno, jesteś teraz rozbita. Nadal przeżywasz żałobę. Pogubiłaś się.

Rozbita? Absolutnie, nie. Poza tym wcale nie jest zagubiona. I chyba otrząsnęła się już z żałoby. Nie, czuje się ożywiona i po raz pierwszy od miesiący kipi energią, weszła na wyższe obroty. Jednak nie wie, jak to wytłumaczyć Jonowi, żeby nie pomyślał, że jej całkiem odbiło, bo najwyraźniej według niego ona już świruje.

– Od tamtej wizyty między nami... sam nie wiem, chyba urwał się kontakt. Kiedy mówisz o tym domu, masz obłąd w oczach.

– Och, proszę cię, zamilcz. – Zszokowana agresywnym wydźwiękiem tych słów, stara się jakoś wybrnąć. – Przepraszam, nie chciałam...

Chciała i dlatego nie kończy, a ciszę zakłóca jedynie brzęczenie pszczoły, która daremnie próbuje wydostać się spod zasłony. Przez moment Lorna ma wrażenie, że to ona jest pod tą zasłoną i przeciska się przez coś gęstego i dziwnego, czego nie rozumie.

– Wiesz co, Lorno? Nie zamilknę. Bądź uczciwa wobec mnie, a także wobec siebie i wreszcie jasno powiedz, o co ci chodzi, dlaczego bez przerwy myślisz i mówisz o tej ruinie w Kornwalii.

– Zakochałam się w tym domu.

– Nie, nie, tu się kryje coś więcej, prawda? To ma jakiś związek z twoją matką.

Lorna przesuwając palcem po zardzewiałej drucianej tacce na korespondencję, walcząc z kluchą, która dławi ją w gardle.

– Chcę poznać powód, dla którego mama robiła te zdjęcia na podjeździe. To mnie nurtuje, rozumiesz? – Woli przemilczeć, że czuje się winna to owemu zmarłemu chłopcu, Barneyowi, i chce dojść, co stało się z dziećmi Altonów pod

koniec lata sześćdziesiątego dziewiątego roku. – Zdaję sobie sprawę, że to głupio brzmi.

– Wcale nie. Nie ma nic dziwnego w próbie pozbierania elementów układanki po... – Jon milknie, zastanawia się nad doborem słów. – W szukaniu sensu tam, gdzie się go nie widzi. Uwierz mi, potrafię to zrozumieć.

– Wcale nie – odburkuje Lorna.

Przemilcza jej reakcję.

– Ale to chyba nie wszystko? Nie chodzi tylko o te zdjęcia, prawda? – Rozgrzana słuchawka ciąży jej w dłoni jak naładowany pistolet. – Lorno, nie możesz cały czas uciekać, krążyć wokół przeszłości, zamiast stawić jej czoło, musisz przestać udawać, że szukasz czegoś innego, a nie tego, o co naprawdę ci chodzi.

Lorna czuje, że Jon nakłania ją do tego, czego ona nie chce, do otwarcia ciemnej, zamurowanej przestrzeni w jej głowie. Od jakiegoś czasu Jon ponawia te próby. Ona stawia opór, a on nie odpuszcza. Teraz Lorna ma nieodpartą chęć rzucić słuchawkę na widełki.

Jon bierze głęboki oddech.

– Lorno, nieraz się zastanawiałem, czy po śmierci Sheili spróbujesz odnaleźć rodzoną matkę.

Pszczoła uwalnia się spod zasłony i wiruje obłąkańczo jak samolot bez pilota. Lorna sztywnieje ze słuchawką w zaciśniętej dłoni, zbiera jej się na mdłości.

– Wcale mi o to nie chodzi – wydusza drżącym głosem. – Wiem, jak się nazywa. Odnalazłabym ją, gdybym chciała. Dobrze wiesz, że już dawno postanowiłam jej nie szukać.

– Nie, tak zdecydowała Sheila. Sprawiała, że jakiegokolwiek myśli na ten temat budziły u ciebie poczucie winy, nie mówiąc już o zadawaniu pytań. Bała się, że odejdziesz, zaczniesz szukać prawdziwej matki, a ją odrzucisz. Dlatego nie chciała z tobą o tym rozmawiać. I dlatego dopiero gdy miałaś dziewięć lat, wyjawiała, że zostałaś adoptowana. To ją przerastało, nie było tak?

Lorna oblizuje spierzchnięte wargi w poszukiwaniu choćby śladu wilgoci.

– Jon, lepiej kończmy. – Jej głos przechodzi w słaby szept. Prawda w jego słowach sprawia, że nagle czuje się w obowiązku bronić Sheili.

– Lorno, proszę cię. Możemy razem zająć się poszukiwaniem twojej matki. Wiemy, że pochodziła z Kornwalii, adoptowano cię w Truro. Pamiętasz, jak sugerowałem, żebyśmy tam zajechali po drodze? Że to może być ważne miejsce?

– Tak – przyznaje, słabnąc z każdą chwilą.

– Na pewno został jakiś ślad. To się może okazać łatwiejsze, niż sądzisz.

– Nie mam zamiaru szukać tej kobiety. Ja nie chcę, Jon. – Nie zniosłaby powtórnego odrzucenia. Jaka matka oddaje dziecko do adopcji? Jak można oddać takiego malutkiego, różowego noworodka obcym ludziom? – Nigdy nie chciałam

jej odnaleźć.

– Świadomie, tak? – podsuwa łagodnie Jon. – Kurczę. Że też nie ma mnie przy tobie. Żeby normalnie porozmawiać. To nie temat na telefon.

Lorna słyszy kroki za drzwiami; ciche, coraz cichsze, jakby się oddalały. Czyżby ktoś ją podsłuchiwał?

– Powinnaś wiedzieć... że od czasu pogrzebu zdarza ci się we śnie wymawiać imię prawdziwej matki.

Wzdryga się, czuje dziwny chłód.

– Co? Dlaczego... nic nie mówiłeś?

– Czekałem na odpowiedni moment. Nie trafił się. Przepraszam.

Oczy zachodzą jej łzami.

– W tej jednej sprawie odgradzasz się ode mnie, trzymasz na dystans, nie mam racji? – Jego łamiący się głos budzi w niej poczucie winy, bo jej przeszłość dotyka ludzi, których kocha. Przenika do nich, mimo że sama Lorna ze wszystkich sił stara się ją zamknąć. – Ostatniej nocy nie zmrużyłem oka. Myślałem o tym wszystkim, tęskniłem za tobą i zastanawiałem się, dlaczego tak długo to toleruję. Zrobiłaś z tego temat tabu, Lorno, wiesz o tym? I nie dopuszczasz mnie do niego. A ja chcę mieć żonę, która nie ma przede mną tajemnic. – Znowu łamie mu się głos. – Wszystko albo...

– Nic? – Lorna głośno przełyka ślinę.

– Tego nie powiedziałem.

Niespodziewanie przychodzi jej na myśl poprzedni chłopak – ten, z którym chodziła przed Jonem. Zarzucał jej, że testuje granice trwałości ich związku, jakby chciała go zniszczyć tylko po to, by udowodnić, że nie warto go pielęgnować. Że otacza się murem, co nie sprzyja prawdziwej bliskości. Rzeczywiście, krótko po tym się rozstali. A teraz Jon mówi właściwie to samo.

– Kochanie, jesteś tam?

On ją zostawi. W głębi duszy jest pewna, że tak się stanie. Właśnie tego zawsze się obawiała: że straci jedynego mężczyznę, który jest dla niej podporą, przy którym czuje się bezpieczna i kochana. Strach przed czymś, co najpierw jest tylko wytworem wyobraźni, pomaga wyczuć moment, kiedy to zaczyna się dziać naprawdę. To właśnie ta chwila.

– Powiedz coś.

Pszczoła przysiadła na jej gołym kolanie, nic nie waży, żywa łaskotka. Obserwuje to piękne, wystraszone stworzenie i wie, że to decydujący moment. Kluczowy. Że nadal ma szansę uratować ich związek. Niestety, coś zaciska jej krtań. Nie może wydobyć słowa. Pszczoła odlatuje do okna i ponownie więźnie za zasłoną.

*

Zanurza się z głową w mętnej wodzie – wanna bardziej przypomina dziki staw – i wstrzymuje oddech aż do bólu płuc. To pomaga oderwać myśli od tej przykrej rozmowy z Jonem. Zabrakło między nimi porozumienia, jakby ktoś nożycami przeciął kable. Owszem, kiedy się uspokoiła i dłonie przestały jej się trząść, spróbowała oddzwonić na komórkę, ale nie było zasięgu. Gdy wybrała numer z telefonu Dill, odezwała się poczta głosowa. Wstyd się przyznać, ale odczuła ogromną ulgę.

Cichy głos w jej głowie uporczywie podszeptuje, że może lepiej byłoby odejść teraz, odwołać wszystko, zamiast zagłębiać się w siebie i narażać się na ryzyko, szukając odpowiedzi na bolesne pytania, które według Jona powinna zadać. Skoro to początek końca, czemu od razu nie mieć tego z głowy?

Wynurza się z wody i łapczywie chwyta powietrze.

Nie mogąc opędzić się od przykrych myśli, w piżamie i z turbanem z ręcznika na głowie podchodzi do okna w sypialni. Bezgwiezdna czerń napiera na szybę. Brak krzepiącej obecności księżycy czy choćby migotliwego punkcika samolotu na niebie nie pomaga wyzbyć się wrażenia, że jest na dobre zamknięta w Black Rabbit Hall, jak te małe figurki w szklanych śnieżnych kulach, które kolekcjonowała w dzieciństwie. Deszcz szmerze o szyby. Przy pobrząkiwaniu żabek o karnisz zaciąga story i ciężkim brokatem odgradza się od nocy.

Cztery kolumny majaczą wokół łoża jak hebanowe drzewa. Wdrapuje się pomiędzy nimi na materac i układa na stosie poduszek pachnących obcym proszkiem do prania i starymi powłokami, które suszone na dworze, nasiąknęły słonym morskim powietrzem. Zastanawia się, kto jeszcze spał na tym staroświeckim łożu, kto został poczęty na gruzłowatym materacu i kto wydał ostatnie tchnienie na zapadających się sprężynach, zanim na twarz opadło mu białe prześcieradło. Jak wyraźnie to wszystko widzi. Prześcieradło. Twarz. Boże, ależ jest zmęczona.

Musi szybko zasnąć. Po dobrze przespanej nocy wszystko wyda się łatwiejsze, rozsypane fragmenty dnia wrócą na swoje miejsce jak w filmie o tłukącej się filiżance, puszczanym od końca w zwolnionym tempie. Wsuwa rękę pod jedwabiste frędzle abażuru, gasi lampę i czeka na sen. Na darmo.

Dzień atakuje ją jak oszalała ćma; imiona wyrzyte na korze; smętne dziecięce twarze w albumie; pozwijany w spiralę kabel telefonu; dziwnie obcy głos Jona po drugiej stronie; przykry wydźwięk tej rozmowy; zmiana w ich relacjach po pierwszej wizycie w tym miejscu.

Zastanawia się, czy Black Rabbit Hall – samo planowanie wesela – nie jest przypadkiem sekretnym sprawdzianem tego, czy rzeczywiście do siebie pasują, ze wskazaniem na ryzyko porażki. Jak w przypadku tych par, które w poradniach małżeńskich, gdzie szukają możliwości sklejenia związku, tylko utwierdzają się w przekonaniu, że nic już naprawić się nie da.

Czy Jon nie jest za bardzo prostoliniowy dla kogoś takiego jak ona? Zbyt otwarty? Pozbawiony obciążeń? Kiedy się poznali, niepokoiło ją, że on ze swoim bezproblemowym dzieciństwem i z liczną, radosną rodziną należy do innej ligi i że szybko odkryje swój błąd. Bo przecież nie można naprostować emocjonalnego skrzywienia, wynikającego z przeszłości. Jak długo uda się stwarzać pozory? Gdy podzieliła się swoimi obawami z Louise, ta skwitowała je jednym zdaniem: „Nie bądź idiotką”. Wtedy przyznała siostrze rację. Tak, są zakochani. Jednak... A jeśli tamte obawy to nie była paranoja, lecz podszept intuicji? Jeżeli przecucie jej nie zawiodło?

Robi parę oddechów z jogi, żeby się uspokoić. Ale one, tłocząc tlen prosto do mózgu, tylko potęgują dezorientację. Oczy ma otwarte, a jednak pokój tonie w ciemnościach. Czerń ma wiele odcieni: od smolistego po nieokreślony w otchłani cienia za zaciągniętymi storami. Mrok porusza się, pulsuje, nadyma i kurczy jak żywy. Gdy się wpatruje w niego – z sercem dudniącym w uszach – przesuwają się jej przed oczyma kadry z przeszłości. Dłoń Louise z sercem narysowanym flamastrem z ich imionami w środku. Ta sama dłoń, lecz już większa, opiekuńczo tuląca świeżo narodzonego Alfa, małe cudo śliskie od mazi płodowej. Ostrożne słowa lekarza o downie i szok. Ona ze swoją metryką i z latarką pod kołdrą w różowej powłoce z Barbie. Litery w strumieniu światła sunące po papierze jak mrówki. Odgłosy energicznych porządków w bieliźniarce na korytarzu. Matka czeka, aż ona „się uwinie” z tym świstkiem, żeby mogła go wsadzić do kartonu z dokumentami na strychu i na dobre zapomnieć o jego istnieniu.

Lorna odrywa się od poduszki, w głowie zapala się czerwona lampka. Czyżby przejęła adopcyjne lęki matki? Nigdy wcześniej na to nie wpadła. Przecież nauczyła się myśleć o swej przeszłości sprzed czasu, kiedy stała się Lorną Dunaway – o tych nieznanach miesiącach od pierwszego uderzenia mikroskopijnego serca kijanki do chwili, kiedy przybrani rodzice wzięli ją w ramiona – jak o kruchej warstewce lodu na niebezpiecznych wodach. Stąpaj ostrożnie, a najlepiej nie wchodź tam wcale. Jej mózg płonie, myśli, niczym spanikowane zwierzęta uwolnione z klatki, kłębią się w głowie do chwili, gdy wreszcie zamyka oczy i zapada w najgłębszą ze wszystkich czerń.

*

Kilka godzin później mdłe żółte światło wylewa się na podłogę spod pofałdowanych zasłon. Głowę Lorny rozsadza ból. Ciało ma lepkie od potu, zaręczynowy pierścionek okręcił się na palcu i brylant wrzyna się w dłoń. Dźwiga się, idzie za potrzebą do łazienki i pada z powrotem na łóżko. Co się dzieje? Czyżby się czymś przytruła? Zaszкодził jej krab z dressingiem na kolację? A może to słodkie jak ulepek antyczne sherry?

Kuli się pod kołdrą, na zmianę płonąc i trzęsąc się z zimna. Ktoś wali od wewnątrz w jej czaszkę, jakby próbował się wyrwać na wolność. A może nie ktoś, tylko coś? Czy tak wygląda migrena? Przecież ona nie miewa migren. Nie wie, co to ból głowy. Jest silna jak koń – dobre geny – ha, i w ogóle rzadko choruje.

Najlepiej zamknąć oczy. Na powrót zamknąć oczy i modlić się o sen.

Słyszy pukanie. Mrużąc oczy, spogląda na drzwi. Bladożółty świt ustąpił miejsca ostremu jak brzytwa słońcu, które wciska się przez szparę pomiędzy zasłonami, a w pokoju panuje duchota.

– Wszystko w porządku? – płynie ku niej pytanie od drzwi.

Tłumi jęk. W normalnych okolicznościach w poranek taki jak ten płaczącym tonem poprosiłaby o herbatę i tabletkę przeciwbólową, lecz nie może sobie na to pozwolić, bo matka jej wpoila, że chorowanie w gościnie świadczy o braku manier.

– Proszę, wejdz – mówi cicho. Własny głos nieprzyjemnie odbija się od bębenków.

– Oj, co z tobą?

Próbuje skupić wzrok, a widzi jedynie ogromną kulę z poskręcanych włosów, żywy dmuchawiec.

– Moja głowa... – Dotyka jej, jakby podejrzewała, że coś się z nią stało; wydłużyła się, wklęsała, rozmiękla? Ale jest tylko gorąca pod mokrymi włosami.

– Aleś ty blada. Nie, nie, nie wstawaj.

Choćby chciała, nie dałaby rady.

– To chyba jakiś wirus. Musiałam coś złapać w pociągu.

– Rany. Co ci przynieść?

– Aspirynę. Powinna pomóc.

– Wrócę najszybciej jak się da.

Lorna opada na poduszki. Ma wrażenie, że już na zawsze tu zostanie, że to coś zje ją żywcem. Pulsowanie w głowie nasila się. Ma kształt i rytm słów. Słów Jona. Pytań, na które ona nie chce odpowiadać. Szum krwi w uszach przyprawia ją o mdłości, jest jak rzeka wylewająca się z brzegów.

Wreszcie zjawia się Dill.

– Nie znalazłam aspiryny.

Lornie zbiera się na płacz.

– Ale pani Alton dała mi to. – Wyciąga rękę z białym, nieszkodliwie wyglądającym opakowaniem. – Środek przeciwbólowy. Ona ma migreny. Prześladują ją.

Lorna jest gotowa wszystko zrobić, byleby ustało to łupanie w głowie. Słabo potrząsa pudełeczkiem; srebrzysty listek z dwoma tabletkami wypada na kołdrę. Usiłuje odczytać nazwę specyfiku – widzi na opakowaniu apteczną naklejkę, a więc środek jest na receptę – lecz litery rozmywiają się i rozciągają. Nie powinna

brać tych tabletek. To głupota łykać środki przeciwbólowe przepisane na konkretną przypadłość innej osobie. Na pewno takie ostrzeżenie widnieje na boku opakowania, lecz i tak nie jest w stanie go przeczytać.

– Przyniosę ci szklankę wody, dobrze? – proponuje usłużnie Dill.

Przytakuje skinieniem głowy. Nie pyta, ile ma wziąć tych tabletek.

*

Jaki to dzień? Gdzie jest? Lorna, chwyciwszy się kolumnienki, podciąga się na łóżku. Jest oszołomiona, przed oczyma ma mgłę i kręci ją w żołądku. Dopiero po chwili wyłania się nieco zamazany obraz poprzedniej doby; luźne, niepasujące fragmenty, magiczne zniknięcie bólu, świadomość upływu czasu. Ale... nie, chyba nie zrobiła takiego głupstwa? Nie wzięła cudzych tabletek na receptę? Niestety, na podłodze leży puste, białe opakowanie. Prześcieradła są skotłowane, jakby w nocy próbowała je posplatać. W pokoju zaduch. Wydobywa się z przepoconej, skłębionej pościeli, otwiera okno na oścież i głęboko oddycha. Gałązka bluszczu z kropelkami rosy muska ją po twarzy. Owiewa ją zapach wodorostów. Wełny. I bekonu.

Bekon? Och, nie, spóźni się na śniadanie. Spóźni się o dzień. Pisze esemesa do Jona – „wiadomość niewysłana” – ubiera się w pośpiechu, daje krok ponad dywanikiem i z jedną nogą w bucie przeczesuje włosy palcami. Wąską jak studnia klatką schodową trafia na piętro, na którym nie chce być. Kolejny bieg schodów i jeszcze jeden. Następny podest. Można się pogubić. Trzy ocynkowane wiadra, do których kapie woda. Wreszcie dociera na dół i rozgląda się dokoła. Wypchany jeleni patrzy na nią lekko zdziwiony.

Gdzie może być jadalnia? To wcale nie takie oczywiste. Skręca w nieznaną, długi, ciemnawy korytarz i trafia najpierw do pomieszczenia ze szczotkami, mopami i froterkami. Za następnymi drzwiami znajduje spiętrzone meble nakryte białymi płachtami. Tu i ówdzie na podłodze walają się kawałki gipsu z łuszczącego się sufitu, podobne do rozerwanych torebek z cukrem pudrem. Klnąc pod nosem, skołowana, wycofuje się z korytarza. Wreszcie na ciemnoszarych drzwiach połyskują wyblakłe złote litery: *Pokój stołowy*. Jednak ulga jest krótkotrwała. Słyszy pobrzękiwanie sztućców. Cholera. Już jedzą.

– Przepraszam za spóźnienie... – Urywa, zaskoczona. Nie spodziewała się, że pokój będzie aż tak okazały, ściany czerwone, a stół ogromny. Postać pani Alton i tu dominuje; siedzi u szczytu stołu perfekcyjnie wyprostowana, z kęsem jajeczniczy na widelcu zatrzymanym w pół drogi. Petal, skudłacony terier, na kolanach swojej pani wpatruje się łapczywie w widelec, z zabłoconą łapą opartą na obrusie obramowanym koronką. Pani Alton milczy i tylko usta jej lekko drżą.

– Z jakiegoś powodu budzik w komórce nie zadziałał – mamrocze Lorna, chociaż i tak by go nie usłyszała, gdyby zadzwonił.

– To oczywiste. Nie w tym domu. – Pani Alton podnosi widelec do ust. – Cieszę się, Lorno, że lepiej się czujesz i że apartament małżeński służy aż tak głębokiemu snowi – dodaje, nie wspominając o swoim małym prezencie w postaci katatonicznych tabletek, środka uspokajającego dla koni, czy czegoś w tym rodzaju. – Proszę, siadaj.

Lorna zajmuje miejsce pomiędzy skomplikowaną aranżacją sztucców. W tej samej chwili pojawia się wspomnienie jakiejś sylwetki mającej w drzwiach w momencie przebudzenia. Ech, musiała nadal być przymulona.

– Na pewno jesteś głodna. – Starsza pani podaje psu trójkącik grzanki z masłem, nie odrywając oczu od Lorny. Wzrok ma skupiony, jakby od wczoraj wzrosło jej zainteresowanie osobą gościa.

– Och, bardzo – przytakuje skwapliwie, chociaż wcale nie jest tego pewna. Jej ciało nadal wydaje się nie należeć do niej. Dodatkowo drażni ją zapach psa.

Ze srebrnego stojaka do tostów wystaje długi rząd grzanek o różnym stopniu przypalenia. Po górze truskawek w salaterce, o ile nie ma halucynacji, maszerują małe czarne mrówki. Każdy z czterech słoików marmolady wydaje się o dekadę starszy od sąsiedniego. Pieczarki pływają w maśle. Na półmisku straszy pęto kaszanki. Lorna z dłońmi ułożonymi na stole duma, czy powinna powiedzieć, że jest wegetarianką, i czy według etykiety obowiązującej w tym domu wypada sięgnąć po jedzenie, czy raczej poczekać na zachętę. Jednocześnie nie może oprzeć się wrażeniu, że lada moment za jej plecami stanie służąca w czarno-białym uniformie ze srebrnymi szczypcami.

Zamiast służącej zjawia się Dill w wysłużonym granatowym kombinezonie.

– Jesteś tutaj! – woła uradowana z zaskoczoną miną, jakby podejrzewała, że Lorna w nocy dała cichcem drapaką. – Jak się czujesz?

– Znacznie lepiej – odpowiada zakłopotana, mając nadzieję, że dziewczyna nie widziała jej w fazie totalnego odlotu.

– Herbaty? – Dill przez srebrne sitko nalewa napar do delikatnych filiżanek ze złotym szlaczkiem. – Jajka na bekonie? Świeżo zniesione, dziś rano. Większość naszych kur ma menopauzę, ale Betty Grable nieźle się spisuje, prawda, pani Alton?

– Rzeczywiście. Poczciwa, stara Betty.

– Poproszę. – Lorna nie jest pewna, czy wmusi w siebie jajka, lecz skoro kura ma imię, odmowa mogłaby kogoś dotknąć. – Za bekon dziękuję.

– Bez bekonu? – Dill robi duże oczy.

– Jestem wegetarianką, ale ryby jem.

– Dobry Boże. – Pani Alton przyciska serwetkę do ust.

– Powinnam była uprzedzić. Przepraszam.

– Nie ma problemu. Już lecę – melduje Dill.

– Muszę cię ostrzec – zwraca się do Lorny pani Alton, odzyskawszy

równowagę – że jajka, szczególnie w postaci jajecznicy, trafią na stół raczej zimne. No, chyba że Endellion przybiegnie z kuchni, choć do tej formy ruchu nie ma skłonności.

Dill uśmiecha się, nie daje się sprowokować.

– Kuchnia jest niezbyt fortunnie położona, Lorno. Znajduje się za daleko od jadalni i dlatego zazwyczaj jadamy w kuchni we wschodniej wieży. Ale to szczególny pokój, a ty jesteś specjalnym gościem. Pomyślałyśmy, że tu ci się spodoba.

– To piękny pokój. Zachwycają mnie te czerwone ściany.

– Kiedy tu nastalam, chciałam, żeby w nim podawano posiłki, lecz w końcu musiałam skapitulować. Wszystko wjeżdżało na stół ledwo ciepłe.

Lorna nie potrafi sobie wyobrazić, aby ta kobieta była zdolna do kapitulacji.

– Pencraw jest jak narowisty koń, Lorno. – Wzdycha. – Wymyka się spod kontroli. Akceptacja tego faktu zajęła mi dziesięć lat. Taka byłam zdeterminowana w roli drugiej żony.

Narowisty koń? Niefortunny zwrot – myśli Lorna, przypomniawszy sobie okoliczności śmierci pierwszej żony. Ciekawe, czy czas zatarł pani Alton pamięć o tej tragedii, czy rozmyślnie użyła tego okrutnego porównania.

– Mam nadzieję, że widok odklejających się tapet nie odbiera ci apetytu. – Uśmiecha się. – Wydają się w gorszym stanie, niż zapamiętałam.

– Dla mnie to prawdziwy pałac. – Lorna sięga po grzanekę, jej palce robią się niezdarne pod kontrolnym spojrzeniem gospodyni. – My nie możemy nawet marzyć o porządnym stole w naszym mieszkaniu.

Pani Alton krztusi się pieczarką.

– Słucham?

– Za małe – wyjaśnia, żałując, że o tym wspomniała. – Ale chcemy poszukać czegoś większego.

– Młodej parze radziłabym na początek poprzestać na czymś z sześcioma sypialniami – oznajmia pani Alton, smarując grubo masłem kolejny trójkącik grzanek dla psa. – Większe mieszkanie to katorga, jeżeli nie ma się kobiety do sprzątnia. Endellion, Petal nadal jest głodny – zwraca się do dziewczyny, drapiąc psa pod brodą. Nitka śliny z psiego pyska kapie na stół. – Przynieś mu jego chrupki, proszę.

– Się robi. – Podeszwy espadryli Dill popiskują na podłodze. Wraz z jej wyjściem zdają się znikać ostatnie ślady normalności. Lorna czuje się nieco klaustrofobicznie pomimo niemałych rozmiarów pokoju. Podobne wrażenie prześladowało ją w nocy w wieży po zaciągnięciu ciężkich brokatowych stor. Pani Alton przypatruje się bacznie jej paznokciom, szyi, włosom. Nigdy dotąd nie znalazła się pod takim otwarcie taksującym spojrzeniem. Żałuje, że się porządnie nie uczesała.

Kieruje wzrok na okno ponad ramieniem starszej pani.

– Dziś rano trawnik jest taki soczysto zielony i bujny – zagaduje, chcąc odwrócić uwagę od siebie.

– Zawsze tak wygląda po deszczowej nocy. Oczywiście, nie życzę ci wesela w deszczu. – Krzywi się. – Tak jak mnie się przytrafiło.

Na wspomnienie wesela serce Lorny natychmiast przyspiesza. Rozmowa telefoniczna w gabinecie Dill zalega nieprzetrawiona w żołądku. Czy powinna w tej chwili wspomnieć o braku zezwolenia na prowadzenie domu weselnego? Czy to może najmniejsze z jej zmartwień?

– Tutaj jesienią jest ładna pogoda. W Kornwalii słońce znika w weekend kończący sezon turystyczny. Przyroda ma ironiczne poczucie humoru. – Pani Alton chłodnym wzrokiem wodzi po złotym brzegu filiżanki. – Jak rozumiem, nadal obstajesz przy jesiennym terminie?

No nie, musi poruszyć ten temat. Podejrzewa, że jej rozmówczyni może nawet nie wiedzieć, że są potrzebne jakieś zezwolenia.

– Najpierw trzeba ustalić kilka spraw. Chodzi o licencję. Jon nie znalazł niczego takiego w Urzędzie Hrabstwa.

Cisza jak przed burzą. Chuda szyja wściekłej pani Alton oblewa się szkarłatem.

– Jajka! – woła niczego nieświadoma Dill i popychając drzwi pośladkiem, wnosi dwa gotowane jajka chwiejące się w kieliszkach. Stawia talerz przed Lorną i wodzi wzrokiem po twarzach siedzących kobiet. – Wszystko w porządku?

– Lorna zdaje się sugerować, że nie spełniamy wymogów niezbędnych do organizacji wesel – wyjaśnia pani Alton przez zaciśnięte zęby.

– Ja tylko zapytałam o... uprawnienia do prowadzenia działalności – jąka się Lorna, myśląc, że lepiej byłoby wysłać mejl po powrocie do Londynu, zamiast poruszać ten delikatny temat w bezpośredniej rozmowie.

– Ach, no tak. – Dill odchrząkuje, różowiejąc na twarzy. – Już niedługo. Wkrótce będziemy mieć zgodę.

– Czy to kolejna piłka, która wysmyknęła ci się z rąk, Endellion?

– Pani Alton, przecież tłumaczyłam, że bardzo trudno o wszelkie niezbędne pozwolenia przed wykonaniem koniecznych napraw i przeróbek... – zaczyna Dill, zahaczając kciuki o parciany pasek kombinezonu.

– Endellion, czy muszę ci kolejny raz przypominać, że bez dochodów nie stać nas na remonty. Najpierw muszą pojawić się pieniądze. A ty jak w większości przypadków, tak i w tej sprawie zabierasz się do załatwiania od niewłaściwego końca.

– Ale, pani Alton, to tak nie działa – ucina Dill tonem, który sugeruje Lornie, że do podobnych rozmów dochodziło już wcześniej.

– Więc postaraj się, żeby tak zadziało. – Pani Alton staje wyprostowana,

podpierając się artretycznymi knykciami o stół. – Zaproponuj temu piętrzącemu problemy inspektorkowi... no, nie wiem, drewno na opał czy coś. Darmowe miejsce do cumowania przez rok. To pomoże mu przymknąć oko. Kiedyś zawsze pomagało.

– Obecnie to inaczej wygląda, pani Alton... – protestuje Dill.

Lorna wpatruje się w najzłótsze żółtko, jakie w życiu widziała: słońce w skorupce.

– W takim razie wymyśl coś, Endellion – mówi z wściekłością jej chlebodawczyni. – Bo mamy mało czasu. Mój czas się kurczy. I cierpliwość. – Rzuca serwetkę na stół, sięga po laskę i rusza do drzwi. Jej odejściu towarzyszy oddalający się w korytarzu dwubitowy rytm kroków i laski.

– Boże, Dill, bardzo przepraszam – szepcze Lorna. – Nie chciałam narobić ci kłopotów.

– Nie bądź niemądra. Nic się nie stało. – Gładzi psa, który popatruje na nią smętnie.

– Jak to nic? Miałaś przeze mnie przykrości.

– Po prostu pani Alton jest przemęczona. Uwierz mi, to dla mnie nic nowego.

– Moja obecność ją męczy, tak?

– Absolutnie nie – zaprzecza Dill po ledwo zauważalnym wahaniu. – Ona jest dzisiaj trochę nadpobudliwa i tyle.

Lorna wbija wzrok w talerz. Nie może tu dłużej zostać. Namieszała w swoim domu, a teraz gmatwa sprawy w Black Rabbit Hall. Nie wie, w którą stronę uciekać, lecz jednego jest pewna: nie może trwać w zawieszeniu.

– Wyjadę dzisiaj popołudniowym pociągiem.

– Przecież ty, biedactwo, cały wczorajszy dzień przeleżałaś! Nawet nie zdążyłaś zobaczyć zatoczki. Może zostałabyś do jutra?

– Bardzo bym chciała – odpowiada szczerze. – Ale... po prostu nie mogę. Nie w tej chwili.

– Szkoda, że wyjeżdżasz. – Dill wydaje się rozżalona. – Twoje towarzystwo to dla mnie taka miła odmiana.

Opada na krzesło obok Lorny, dolewa jej herbaty i sobie też napełnia filiżankę. Gdy popijają herbatę, atmosfera się nieco oczyszcza. Może sprawił to wybuch pani Alton, a może na Lornę wreszcie przestały działać tamte tabletki.

– Lorno, proszę cię, nie wyjeżdżaj tylko dlatego, że pani Alton zrobiła mi awanturę. Ona ma taki sposób bycia. Życie jej nie rozpieszczało. Choć wiem, że może z boku to inaczej wygląda.

– Hmm, pewnie nie chciałabym w jej wieku pętać się po takim wielkim domu. – Ani w żadnym innym wieku – dodaje w myślach, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego Dill tutaj tkwi. Z przyjemnością wypija kolejny łyk herbaty,

czując, jak ciepły płyn nawilża jej wyschnięte gardło. – Nie mogłaby się przeprowadzić... na przykład do jakiegoś domu, który łatwiej ogrzewać?

– Ostatnim razem, kiedy o czymś takim wspomniałam, rzuciła we mnie butem do jazdy – wskazuje małą, różową bliznę na podbródku. – Ona nigdy nie opuści Pencraw.

Lorna się ożywia, czuje, że Dill robi się rozmowna. Jest szansa, że dostanie odpowiedź na nurtujące ją pytania.

– Ale dlaczego? Co ją tu trzyma?

– Och, to długa historia.

– Uwielbiam długie historie. – Lorna uśmiecha się, zamykając filiżankę w dłoniach. – Założę się, że masz dużo ciekawych rzeczy do opowiedzenia.

Pochlebstwo działa. Dill, wyraźnie spragniona pochwał, rozpromienia się.

– Bo, widzisz, pan i pani Alton byli w młodości w sobie zakochani – zaczyna przyciszonym głosem, zerkając na drzwi. – Ale potem, jak z nią zerwał przez Nancy...

– Poważnie? Rzucił ją dla pierwszej żony?

Oczy Dill błyszcza.

– Och, to było kupę lat temu. Gdy byli młodzi. On złamał jej serce, mówię ci.

– No dobra, czekaj... ale ona wyszła za mąż, nie?

– Już po dwóch tygodniach. Za Alfreda Shawcrossa.

– Po dwóch tygodniach? – Zaskoczona, odstawia z brzękiem filiżankę na spodeczek. – No, no, szybko się pozbierała.

Dill nerwowo ogląda się na drzwi.

– Pan Shawcross był bogaty, bardzo bogaty – szepcze.

– Aha, słodka zemsta. – Zupełnie jak w tamtych historycznych romansidłach, w których zaczytywała się jej matka. Super. Sięga po ostygłą już grzanekę, smaruje ją marmoladą, odgryza kawałek, zastanawiając się przy tym, dlaczego marmolada zawsze lepiej smakuje z zimnymi tostami.

– A kiedy kilka lat później pan Shawcross zmarł – on był wiekowy, znacznie starszy od niej – została bogatą wdową. – Dill dramatycznie zawiesza głos, pozwalając Lornie wypełnić pauzę.

– Która, gdy Nancy zniknęła ze sceny, mogła wyjść za swoją prawdziwą miłość?

– I wniosła majątek, który uchronił Pencraw przed sprzedażą.

– Więc on ożenił się z nią dla pieniędzy? Oj, to przygnębiające.

– Nie sądzę, że tylko o to chodziło... – Dill milknie i bawi się serwetką. Lorna czuje, że dziewczyna ma wielką ochotę mówić dalej, lecz najwyraźniej dostała zakaz. – Podobno pan Alton wyobrażał sobie, że ona zastąpi dzieciom matkę. One były rozhukane, a po śmierci Nancy zupełnie zdziczały, szczególnie

najstarszy syn, bo on strasznie przeżył jej śmierć. Według mnie pan Alton sądził, że pojawienie się nowej żony unormuje życie rodziny.

– I co, udało się? – pyta Lorna z powątpiewaniem. Twarze, które widziała na zdjęciach, sugerowały coś wręcz przeciwnego.

Dill kręci głową.

– Dzieci chyba jej nigdy nie zaakceptowały. Ale zapewniła im bezpieczeństwo finansowe, a to się liczy, no nie? Udało się też zatrzymać dom.

Lorna wodzi spojrzeniem po wysokim suficie, po spękanych stiukach, po ciemnych olejnych obrazach na ścianach. Wszystko ma swoją cenę.

– Po śmierci Nancy nic nie zmieniono w posiadłości. Chodziły słuchy, że pan Alton porobił jakieś bardzo nietrafione inwestycje w Londynie. – Dill puka się lekko w skroń. – Zdaje się, po śmierci Nancy on tak do końca nie był już sobą. Strasznie dużo pił. To pani Alton trzymała wszystko w garści. Pan Alton zmarł dobrze ponad trzydzieści lat temu. To kawał czasu jak na samotne życie w takim miejscu, a ona nigdy się nikim nie zainteresowała, nie wystawiła stąd nosa. Nic dziwnego, że z tych jej pieniędzy niewiele zostało. – Kolejny raz spogląda na drzwi. – Chociaż czasem sobie myślę – szepcze – że tak naprawdę miała ich mniej, niż ludzie sądzili.

Lorna konfidencyjnie pochyla się do przodu, liczy na to, że teraz dopiero przetoczy się po stole pomiędzy filiżankami, talerzykami i grzankami najważniejsza część opowieści.

– Chyba czas, żeby następne pokolenie przejęło stery?

– Petal! – Dill zrywa się z krzesła jak oparzona, przy okazji wywijając się od odpowiedzi. – Petal, ty paskudny kundlu!

Pies patrzy tępo na żółtą kałużę na podłodze.

– Ty i twoje kłopoty z pęcherzem. Już mi stąd! – Ciągnie zapierającego się psa do drzwi, pazury drapią o parkiet. – Idź, szukaj pańci!

– A najstarszy syn Nancy i pana Altona? – próbuje się dowiedzieć Lorna, w duchu przeklinając psa za rozproszenie Dill w takim istotnym momencie. – No, wiesz, ten bliźniak, przyszły spadkobierca...

– Toby? – Dill wymawia imię ledwo słyszalnym szeptem, jakby jego brzmienie było tak delikatne, że mógłby poszarpać je oddech. – Słuch o nim zaginął.

– A więc żyje? Z tego, co mówiła pani Alton, sądziłam, że...

Dill odwraca wzrok i przygryza policzek.

– Ja... nie powinnam tyle paplać. Wybacz, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Mam robotę. Muszę posprzątać po psie.

– Pomogę ci. – Lorna zrywa się i rozgląda dokoła. Wszystko, byleby tylko przeciągnąć tę rozmowę. Gdzie obecnie jest Toby? A co z Lucianem?

– Nie, nie mogę pozwolić, żebyś sprzątała po psie.

– Czym to wytrzeć?

Oślupiała Dill wręcza jej papierową serwetkę, jakby nie dowierzała, że to pytanie naprawdę padło, że ktoś rzeczywiście choć raz ofiaruje jej się z pomocą.

Lorna ze wstrzymanym oddechem pospiesznie wyciera kałużę.

Zostawia nasiąkniętą serwetkę na podłodze. Na tym koniec, za żadne skarby jej nie podniesie.

– Dill, ty bardzo ciężko pracujesz. Dlaczego tu siedzisz? – pyta wzruszona oddaniem i lojalnością dziewczyny. – Jest w tym coś uroczo niedzisiejszego.

– Ja? Och, właściwie nie wiem. Nie znam innego życia. W okolicy nie ma wielu miejsc, gdzie można dobrze zarobić. Na dodatek z mieszkaniem i z utrzymaniem. – Rumieni się i odwraca wzrok. – Lorno, szczerze mówiąc, ja nigdy nie pracowałam gdzie indziej.

– Coś ty? Poważnie? Na pewno marzysz o...

– Podwójnych szybach. – Spogląda na Lornę z rozbrajająco nieśmiałym uśmiechem. – Marzą mi się podwójne szyby.

Lorna parska śmiechem i już ma nakierować rozmowę z powrotem na dzieci Altonów, gdy Dill nagle poważnieje.

– Lorno, ona jest chora. Obawiam się, że to kwestia tygodni.

Śmiech więźnie w jej gardle.

– Nie... – Zszokowana, zupełnie nie wie, co powiedzieć. Przychodzi jej na myśl chorobliwie przezroczyista cera pani Alton i to wrażenie rozkładu wokół niej, jakby zapach wędnących ciętych kwiatów. Teraz już całkiem zapomina o bólu głowy. – Tak mi przykro.

– Ten guz nazwała Nancy.

*

O dziwo, świat dociera do Black Rabbit Hall. Na dwunastym stopniu wielkich schodów poczta załadowuje się w komórcę z szybkością karabinu maszynowego. Lorna patrzy na wyświetlające się wiadomości z rosnącą paniką; znika wolność przebywania poza zasięgiem.

Louise: Jon szaleje. Co jest grane?

Tata: Tylko sprawdzam, czy wszystko ok? Jak wyłączyć w żelazku funkcję pary?

Jon: Oddzwon.

Jon: Niepokoję się.

Jon: Więzi cię? Wezwać gliny?

Szybko wstukuje odpowiedź; dopiero przeczytała esemesy, trochę źle się czuła, ale nie ma powodu do niepokoju i zamierza wrócić popołudniowym pociągiem. Z jakiegoś powodu treść esemesa wydaje jej się pokrętna; coś takiego mógłby napisać któryś z jej toksycznych „byłych” z czasów przed Jonem i obudzić

w niej poczucie niepewności, pociągające jak ogień dla ćmy. Naciska ikonkę. Wiadomość wysłana. W samą porę. Kreseczki zasięgu znikają. Ekran gaśnie.

Dwie godziny do odjazdu, uzmysławia sobie z ukłuciem żalu. Wie, że pomimo osobliwej atmosfery i tragicznej historii posiadłości będzie za nią tęsknić, tak jak się tęskni do wszystkich miejsc, które kreślą indywidualną historię każdego człowieka, gdy ten, zostawiając w nich choćby najmniejszą część siebie, w zamian zabiera coś z ich nastroju. Jej smutek pogłębia przeświadczenie, że organizacja ślubu w Black Rabbit Hall raczej nie wchodzi w grę. O ile w ogóle do niego dojdzie. Zupełnie jakby przeszłość, niczym potężny gład, zablokowała drzwi do jej przyszłości.

Wrzuca komórkę do torby. Z dworu dochodzi przytłumione popukiwanie, jakby ktoś kijem miotły trzepał zakurzony dywan. Dill? Wyglądała na załamana, gdy Lorna oznajmiła jej, że chce złapać pociąg o piątej po południu. Od tamtej pory traktuje gościa z uprzejmym dystansem, nie ma co liczyć na jej wylewność i opowieści. Pani Alton też wydaje się urażona. Skryła się w czeluściach wschodniej wieży, zostawiwszy ją samą na oszklonej werandzie z filiżanką rozpuszczalnej kawy i z psem, który właśnie obsikuje listwę przy podłodze. Tym razem po nim nie posprząta.

Jak spędzić ostatnie dwie bezcenne godziny? Gdy postawi stopę na peronie stacji Paddington, trudno będzie jej wyczarować obraz Black Rabbit Hall, uwierzyć, że ta posiadłość w ogóle istnieje. Codziennosc szybko wszystko przesłania.

Zatoczka. Oczywiście, musi ją zobaczyć. Dill ma rację.

Zdejmuje buty – po dzieciństwie chce czuć Black Rabbit Hall pod bosymi stopami – i przecinając trawnik, kieruje się do lasu, szczęśliwa, że ma okazję pobyc na powietrzu w taką letnią pogodę. Celowo wybiera drogę obok drzewa z wyrytymi napisami (całuje opuszki palców i przyciska je do imienia Barneya), a potem brodząc wśród wysokich traw wzdłuż brzegu rzeki, natrafia na wygodne miejsce w cętkowanym cieniu pod koroną drzewa. Rzuca kij do wody i zamyślona, patrzy, jak podryguje na połyskliwej, zielonej powierzchni. Przypomina sobie, że w dzieciństwie puszczały z siostrą patyki w strumieniu i Louise celowo myliła je na mecie, żeby Lorna mogła wygrać. Zapomniała o tym. Teraz widzi, że wiele cennych wspomnień z dzieciństwa zatarło się w jej pamięci. Na przykład, jak zdźbła trawy, wciskając się pomiędzy palce, ciągnęły za bosc stopy. Jak Louise, podnosząc rękę, deklarowała, że jak „bonie dydy” są siostrami. Do dzisiaj nie wie, co to są te „bonie dydy”, ale tutaj, w tym miejscu, to nawet jakoś sensownie brzmi. Rzuca jeszcze jeden kij, nakłada buty i idzie na przełaj po wyłożonej słońcem łące ku klifom.

Znajduje rozchwianą, białą ławkę tuż przy krawędzi skruszałych skał. Wysuwa stopy z butów i opiera je na miękkiej, ciepłej trawie, przesłania dłonią

oczy i podziwia położoną poniżej zatoczkę. Wygląda jak wyjęta z ilustracji z książeczek dla dzieci z lat pięćdziesiątych. Okrągła jak lizak, otoczona postrzępionymi, szarymi skałami, pierwotna i dzika, z trudnym dostępem wąską i kamienistą ścieżką. Wyobraźnia podsuwa jej widok pirackich łodzi wyrzuconych na piach. Potrafi wyobrazić sobie mnóstwo rzeczy. Szczególny nastrój tego miejsca buduje wrażenie, że w przeszłości wiele się tu musiało dziać i, co wydaje się trochę niepokojące, jeszcze może się wydarzyć. Ten dziwny niepokój, pomieszany z obawą, że spóźni się na ostatni pociąg do Londynu, każe jej podnieść się z ławki. Wciąga buty i pospiesznie rusza w drogę powrotną. Jednak na trawie pozostaje odcisk jej bosych stóp; zostawia po sobie coś, co będzie czekało na jej powrót.

Rozdział dwudziesty

Amber
Lipiec 1969

Kropelka potu ześlizguje mi się po nosie. Ścieram ją jedwabnym szalem, obserwując Peggy przez szparę wzdłuż zawiasów w drzwiach szafy. Doceniam namaszczenie, z jakim odkurza szczoteczką z piór drobiazgi na toalecie Mamy, ale wolałabym, żeby się pospieszyła. Peggy jest dzisiaj bardzo ospała, co chwila wierzchem dłoni ociera pot z czoła i porusza się niepewnie, jakby przy każdym kroku brało ją na wymioty. Mam nadzieję, że tutaj nie zwymiotuje, tak jak jej się przytrafiło wczoraj rano w ogrodzie za kuchnią. Twierdzi, że to jakiś wirus. Mam nadzieję, że się od niej nie zarażę.

W końcu trzaskają zamykane drzwi. Wychodzę z szafy, w zdrętwiałych stopach czuję kłujące szpilki. Szczęśliwa, że mogłam się wymotać z gorących futer i uwolnić od jeszcze gorętszych doznań, siadam na stołku przed toaletką i łapię oddech. W szafie jest teraz potwornie duszno, lecz to jedyne miejsce, gdzie mogę myśleć o Lucianie bez strachu, że Toby wyczyta to w moich oczach.

Och, jestem pewna, że Toby coś podejrzewa, lecz nie ma konkretnych dowodów. Gdyby je miał, zrobiłby mi awanturę. A prawda wygląda tak, że od tamtego pocałunku w Wielkanoc nic się nie wydarzyło. Zapowiedź taty w ostatni dzień ferii wielkanocnych, która spadła na nas jak grom z jasnego nieba, oznacza, że już nigdy nic wydarzyć się nie może: „Dzieci, znowu będziecie mieć matkę. Mam nadzieję, że z radością powitacie w tej roli Caroline, a jej syna Luciana jako waszego starszego brata”.

Brat. Jak on kiedykolwiek może zostać bratem?

Matilda twierdzi, że to możliwe pod warunkiem, że nie będę się upierać przy romantycznych rojeniach. Według niej mam ćwiczyć silną wolę i zdusić miłość do Luciana, tak jak ona, dzięki silnej woli, polubiła gorzki smak oliwek w Grecji. Muszę się w kimś zakochać. Może w jej bracie, Fredzie? Zawsze robił do mnie słodkie oczy. Przecież nie powiem Matildzie, że w tej chwili Fred wydaje mi się strasznie nudny i smarkaty.

Matilda radzi, że skoro mam widzieć w Lucianie wyłącznie brata, muszę sobie co rusz powtarzać, że on puszcza bąki, dłubie w nosie i obsikuje deskę sedesową. Wtedy na pewno mi przejdzie. Próbowałam. Nie przeszło. Sytuacja jest beznadziejna.

Co gorsza, ciągle na nowo odtwarzam tamten pocałunek, dodając różne

gesty czy pozy i zmieniając miejsca. Jednym razem jest to plaża, innym skalna półka albo wysokie trawy nad rzeką. Wszystko mi Luciana przypomina; spostrzegam na ulicy ciemnowłosego chłopaka, poruszającego się z nonszalancją, i już serce mi wali; siedzę na ławce na Fitzroy Square i myślę o tamtej parze, której przyglądałyśmy się z Mamą przez okno. Całowali się zapamiętale, nie zważając na to, że ktoś może ich widzieć, i od razu wspominam owo cudowne wiosenne popołudnie, kiedy ja też się z kimś tak samo całowałam.

Choćbym chciała, nie potrafię zapomnieć czułego podejścia Luciana do Barneya i Kitty, tolerancji na gburowate zachowanie Toby'ego i cichego podziwu dla Black Rabbit Hall. Czasem jestem gotowa przysiąc, że przez deski podłogi słyszę ciche dźwięki gitary, a przecież w domu nie ma gitary.

– Amber? – Drzwi otwierają się z hukiem i do blad różowej garderoby wpada wściekły Toby. Nabuzowany złą energią, zdaje się z trudem mieścić w podkoszulku i szortach. – Co tu robisz?

– Lubię być blisko rzeczy Mamy.

Staje za mną i nasze oczy zderzają się w lustrze.

– Znalazłem ciasto w spiżarni.

– Ciasto? – Przesuwam palcami po szczotce Mamy z włosia dzika. Nie ma na niej wijących się rudych włosów, bo wszystkie, co do jednego, zostały pieczołowicie powyjmowane i ukryte w naszych sekretnych miejscach. Przychodzi mi na myśl coś, co powiedziała Matilda: „Gdyby twoja mama żyła, zaczęłaby cię wkurzać, bo one wszystkie prędzej czy później nas wkurzają”. Ale ja w to nie wierzę. – No i co z tym ciastem?

– Pięć krążków. Różnej wielkości.

– I co z tego?

– Nie bądź idiotką. To na tort weselny, Amber. Cholerny tort weselny Peggy.

Na przyszły tydzień.

– Uch.

Wydaje z siebie indiański okrzyk.

– Dam je zeżreć Borisowi.

– To... strasznie głupie, Toby. – Kręcę głową, walcząc ze śmiechem. Pomimo beznadziejności tej całej sytuacji Toby, jak nikt inny, potrafi mnie rozśmieszyć. – Za coś takiego Peggy rzuciłaby cię na pożarcie Borisowi.

Zdejmuje długi, siwy włos z mojego nagiego ramienia, trzyma go w dwóch palcach, zaintrygowany, spogląda najpierw na mnie, potem na szafę i w końcu strzepuje go na podłogę. Oddycham z ulgą. Muszę mieć takie jedno miejsce, gdzie nikt nie depta mi po piętach.

– Poza tym Peggy upiekłaby nowe ciasto.

– Na jej miejscu spryskałbym biszkopt trucizną na szczury. Będzie miała ciężkie życie, kiedy się pobiorą. Wszystkim nam się pogorszy. – Kuca przy moim

stołku i balansuje na piętach jak na sprężynach. – Jak tylko obrączka wylądaje na palcu Caroline, to babsko zmieni się w potwora. Przypomnisz sobie moje słowa.

Odwracam lekko głowę, żeby zobaczyć się w lustrze z profilu, tak jak mnie widział Lucian w samochodzie.

– Przecież wtedy dopnie swego.

– To nie Caroline. Ona tak nie działa.

Przewracam oczami. Czarnowidztwo Toby'ego jest wyczerpujące.

– No co?

– Toby, nie pogarszaj sprawy. I tak już jest ciężko.

– Ja ci tylko mówię, jak będzie. Ona zrujnuje Black Rabbit Hall. Zniszczy wszystkie nasze miejsca.

– Nie w lesie. I nie na plaży. – To całe królestwo Toby'ego, forteca ze starych desek i metalowej siatki, zimny, mokry piasek i kopuła nieba. Tam jest najszczęśliwszy. Ma te miejsca we krwi. Uderza mnie myśl, że Toby bardziej niż którekolwiek z nas stanowi kwintesencję Black Rabbit Hall.

– Ona będzie się panoszyć w domu i dyrygować jego mieszkańcami.

– No, wielkie dzięki.

– Wiesz, że nie mówię o tobie.

Podnoszę się ze stołka, przygnieciona świadomością, że to ja z nas dwojga muszę być tą racjonalną połową, i zerkam za okno pomiędzy palczastymi liśćmi bluszczu na szybie.

– Toby, skończ z tym... fatalizmem. Mama mówiła nam, że świat jest dobry, pamiętasz?

– Bo nie wiedziała, co się z nią stanie.

Rośliny w ogrodzie, pozostawione same sobie, kwitną jak szalone i wypełniają na ścieżki.

– I bardzo dobrze.

– Dlaczego bardzo dobrze? Gdyby wiedziała, nie pojechałaby szukać Barneya. Żyłaby dzisiaj.

Zirytowana, odwracam się do niego.

– Ale nie wiedziała. Nikt z nas nie wie. Nigdy. Dopóki coś się nie stanie!

– Problem w tym, że ja wiem, Amber. – Przytyka dłoń do nosa i ciężko dyszy, jakby chciał opanować panikę. – Nie chcę wiedzieć, ale wiem. I zrobiłem wykres, który pokazuje dokładnie, kiedy to się stanie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

W kościele zdecydowanie mniejszy tłum niż podczas pogrzebu Mamy. Tata powiedział, że „uroczystość ma być skromna”, a poza tym sporo ludzi wyjeżdża na lato. Niemniej wielu twarzy zdecydowanie brakuje. Dawnych londyńskich przyjaciół rodziców. Części kuzynów ze strony taty, tych, co wnosili zapach koni i mokrych psów, no i uwielbiali Mamę. Nie ma cioci Bay. W zeszłym tygodniu podsłuchałam, jak tata klócił się z nią przez telefon. „A kiedy nie będzie za wcześnie?!” – wykrzykiwał. „Do końca życia będę kochał Nancy, więc czas nigdy nie będzie odpowiedni, nie rozumiesz tego, Bay? Nigdy!”. Prawdę mówiąc, nie ma nikogo ze Stanów. Brak mi melodii głosów, którą znam z dalekiego kraju i z filmów, tego dowodu, że istnieją inne światy poza moim.

Po stronie Caroline ławy są bardziej wypełnione. To inny gatunek ludzi: hałaśliwi, podekscytowani i absolutnie nieskrępowani faktem, że w tym kościele tak niedawno żegnaliśmy Mamę. Mężczyźni rżą jak konie (inaczej tego określić się nie da) i siedzą z odrzuconymi połami surdutów, których końce zwisają spod oparcie ław jak czarne jęczory. Pot perli się na ich grubych, czerwonych szyjach. Ich szczupłe żony pochylają się ku sobie niczym wiotkie trawy i taksują spojrzeniem suknie i buty sąsiadek. Goście zapamiętałe wachlują się złożonymi na pół broszurkami z porządkiem mszy, bo w kościele panuje niemiłosierna duchota. Jedna z kobiet zsuwa czólenka i chłodzi stopy w pończochach na posadzce, w rezultacie zostawia zaskakujące mokre ślady na zabytkowych normańskich płytach.

– Rany boskie. – Babcia Esme unosi kpiąco brew i ze zgrozą zerka na jej stopy. – Chyba takiej patelni jeszcze tu w lipcu nie było, co, skarbie? – Ściska moją rękę. Szmaragdy w jej pierścionkach wrzynają mi się w palce. – Jeżeli panna młoda będzie dłużej zwlekać, jej przyjaciółki naprawdę roztopią się jak wosk.

Tata stoi przed ołtarzem. Nie wydaje się zdenerwowany, tylko przygaszony. Wyprostowany jak struna, z dłońmi splecionymi z tyłu, bardziej przypomina żołnierza przed plutonem egzekucyjnym niż pana młodego. Toby jednostajnie skrobie paznokciem krawędź pulpitu, żeby dać upust nagromadzonym emocjom; w efekcie twarda, brązowa politura łuszczy się jak strup. Barney trzyma się jego nogi. On, w przeciwieństwie do Kitty, na tyle wyraźnie pamięta pogrzeb Mamy, że nachalne czułości, kwiaty i przeraźliwe popiskiwanie zardzewiałych zawiasów drzwi kościelnych przywołują z powrotem tamten dzień.

Ciężkie odrzwia otwierają się z jękiem. Wszyscy się oglądają, wyciągają szyje, żeby widzieć pannę młodą, nie przestając się wachlować, uśmiechać i szeptać. Organista wygrywa pierwsze grzmiące akordy. Tata nieruchomieje, i tylko jego lewa ręka odruchowo wędruje do płatka ucha. Westchnienie i słowa „Pięknie wygląda” przeciskają się spod dłoni zasłaniających usta i spod rond kapeluszy, by przetoczyć się ponad ławkami.

Widzę go. Wygląda tak pięknie, że z wrażenia zapiera mi dech.

Czarne włosy lśnią od brylantyny. Idzie dostojnie nawą z dłonią matki wspartą na ramieniu, twarz ma poważną i nieodgadnioną, oczy zimne i twarde jak dzęty, nieruchomo skierowane przed siebie. Wydaje się wyższy i potężniejszy, niż go zapamiętałam z Wielkanocy. Z każdym jego krokiem coraz bardziej spinam się w sobie. Nie wiem, jak wytrwam, kiedy znajdzie się po prawej stronie mojej ławki, zaledwie trzydzieści centymetrów ode mnie. Muszę się bardzo pilnować, żeby się ku niemu nie wychylić. Pragnę, aby po raz ostatni zobaczył we mnie tamtą dziewczynę, którą całował, a nie przyrodnią siostrę, kogoś, kogo odtąd będzie musiał tolerować. Jednak Lucian nie patrzy ani na mnie, ani na nikogo i tylko raz zwalnia, żeby obejrzeć się na Kitty, która onieśmielona, drecze za nimi wystrojona w beż z różowego i białego tiulu, przyciskając bukiet do piersi jak lalkę i szukając mnie wzrokiem w tłumie.

Na wytapetowanej, bladej twarzy mojej macochy gości cień triumfalnego uśmiechu. Ostry podbródek trzyma lekko uniesiony, a w jej chodzie jest coś wystudiowane królewskiego, jakby ćwiczyła wcześniej przed lustrem. Dół sukni – długiej, kremowej, obsypanej drobnymi perełkami – kołysze się w rytm kroków jej długich nóg, poruszających się jak nożyce. Ona także nie patrzy w naszą stronę. Może nie ma odwagi; na pewno podejrzewa, że Toby może wybuchnąć; nie wiadomo tylko, kiedy, jak i w którą stronę polecą wióry. Lepiej nie kusić losu.

Ona nie wie, że Toby obiecał mi nie wyprawiać żadnych ekscesów ze względu na Kitty i Barneya. Opanowanie brata napawa mnie dumą, bo wiem, że nie leży ono w jego naturze. Podczas przysięgi zaciska powieki i trzyma dłonie zwinięte w pięści, przyciśnięte do boków. Otwiera je tylko raz, gdy w kościele rozlega się szmer, bo obrączka nie chce wejść na palec. Wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia, pełne grozy, a zarazem nadziei – och, niech nie pasuje! – i patrzymy oniemiały, jak tata, z płonącymi uszami, ponownie pochyła się nad ręką. Próbuje jeszcze raz. Znowu nic. Caroline, już bez uśmiechu, rzuca tacie spojrzenie pełne paniki, a przekłety palec sterczy bez sensu w dusznej ciszy.

– O matko – szepcze babcia, zasłaniając się broszurką z porządkiem tej mszy. – Musiały jej spuchnąć dłonie w tym potwornym upale.

Tata, zdesperowany, niemal wpycha obrączkę na palec Caroline i tym ciasnym kółkiem z białego złota przypieczętowuje nasz los.

*

Macham do Peggy z okna samochodu, gdy kawalkada aut wylewa się na podjazd Black Rabbit Hall. Towarzyszy nam stłumione bicie kościelnych dzwonów. Wyraz twarzy Peggy się nie zmienia. Chyba nie widzi mnie za szybą.

Stoi obok Annie na najniższym stopniu z lekkim uśmiechem przylepionym do ust. Ma na sobie nowy, formalny uniform, złożony z czarnej sukni, która ją pogrubia, oraz białego fartuszka wykończonego falbanką. Brązowe kręcone włosy zebrane w nieduży koczek zasłania czepek z koronką.

Skręcam szybę, bo rozpaczliwe pragnę łączności z nią i ze wszystkim, co było dobre, ciepłe, trwałe i miało zapach maślanych bułeczek i ciasta. Dostrzega mnie. Uśmiecha się szeroko i oczyma daje mi znak, żebym spojrziała w górę.

Nabrzmiąle chmury suną ku Black Rabbit Hall, kładąc się cieniem na las i trawniki. W mgnieniu oka nadciągają nad dom i uwalniają swój ładunek. Deszcz! Leje jak cebra. Wielkie krople odbijają się od żwiru i przyginają do ziemi kwiaty na rabatach. Goście z piskiem rzucają się biegiem z samochodów do domu. Kobiety z uniesionymi spódnicami przeskakują przez kałuże, rozpryskując błoto.

W tym zamęcie tracimy się z Tobym z oczu. W holu kotłowanina mokrych nóg i ociekających kapeluszy. Panie gorączkowo osuszają tusz kapiący z rzęs czarnymi łzami. Boris, mokry i cuchnący, wpycha im nos pod spódnice. Big Bertie dokłada się do zamieszania, głośno i obłąkańczo wybijając niewłaściwą godzinę, a kuranty, jakby zaciął się mechanizm, nie przestają rozlegać się do chwili, gdy jakiś grubas ucisza zegar pięścią.

Peggy i armia jej pomocnic – ładnych, młodych córek okolicznych rybaków, wyszorowanych, lecz nadal lekko zalatujących makrelami, i wystrojonych w czarno-białe, źle dopasowane uniformy – krążą w ciżbie na śliskiej posadzce, desperacko balansując tacami z szampanem, popychane i poszturchiwane, a także podszcypywane przez szczerzących do nich żółte, krzywe zęby przyjaciół Caroline.

Mnie interesuje tylko jedna osoba.

Lucian karnie trwa przy matce, patrząc nie tyle na tłum, ile przez niego, jakby udawał, że jest zupełnie gdzieś indziej. Coś mi mówi, że czuje na sobie moje spojrzenie, lecz go nie odwzajemnia. Jakaś kobieta wystrojona w różowości pochyla się nad białą prunelką Caroline – muskając tyłkiem udo Luciana – i chusteczką szaleńczo ściera kapkę błota z atłasu.

– Cholera jasna – syczy w tym czasie panna młoda – dlaczego pada? Według prognozy pogody miało być słonecznie... – Spogląda gniewnie na ciężkie kornwalijskie niebo, jakby deszcz spadł celowo, co według mnie nie jest aż tak nieprawdopodobne.

Na widok tej ściany wody babcia Esme z dyskretnym uśmiechem komentuje, że deszcz obrócił w perzynę starannie wyreżyserowane przedstawienie Caroline.

Nie będzie przyjęcia z szampanem na trawniku, dynastycznej ślubnej fotografii z posiadłością w tle ani popisywania się hortensjami. Zamiast tego goście uwięzieni za szybami Black Rabbit Hall, atakowanymi przez ulewę, patrzą z otwartymi ustami, jak wiatr łomocze białymi i różowymi namiotami, wyrывa z ziemi kołki, niszczy dekoracje i podbija wysoko w górę stos białych serwetek, które kończą na gałęziach, łopocząc jak flagi na znak kapitulacji.

– Totalna klapa! – Toby staje za mną z błyszczącymi oczami. – Masakra!

– Może jednak jakiś bóg istnieje – szepczę i oboje parskamy pozbawionym radości śmiechem, choć odrobinę mniej nieszczęśliwi po raz pierwszy tego dnia.

Mija nas zestresowana Peggy; jest spocona i czerwona na twarzy, jakby groził jej udar. Babcia odciąga ją na bok i mówi jej coś na ucho. Peggy przyciska dłoń do ust i oblewa się purpurą. Wkrótce armia jej pomocnic zjawia się z blaszanymi wiadrami i podstawia je pod strużki wody ciurkające z sufitu. (Tata obiecał połączyć go przed weselem, lecz, oczywiście, tego nie zrobił). Goście Caroline obserwują te działania z trwoźną fascynacją, mrużąc coś pod nosem o tym, że „to zadanie stworzone dla niej”, jakby to ona trzymała wiadro, a nie ze sztucznym uśmiechem dyrygowała Peggy, zanim sama zniknęła na piętrze, żeby się przebrać w inną suknię.

Najgorzej cieknie w sali balowej. Caroline została o tym uprzedzona, lecz wykluczyła możliwość obfitych opadów w lipcu. Co prawda podłoga nie zapada się jeszcze pod ciężarem tych wszystkich osób, lecz według Peggy to tylko kwestia czasu, co poprawia nam nieco nastroj. Na razie musimy się zadowolić widokiem kropli bębniących o pokrywę fortepianu i pękających stiuków. Jest nadzieja, że jakieś większe kawałki gipsu posypią się na głowy. Może nawet pozbawią kogoś przytomności.

Babcia Esmé wygląda na znudzoną. Siedzi z opuszczonym podbródkiem i przymkniętymi oczyma nad nietkniętą różową terriną z mięsa, jakby lada chwila miała zasnąć. Zmęczona i oszołomiona Kitty wdrapuje się jej na kolana i wtula buzię w biust, który jest miękki i kwiecisty, trochę jak tamta sofa w Chelsea. Gdyby wypadało, najchętniej zrobiłabym to samo.

Lucian nadal nie patrzy w moją stronę, przez co jeszcze bardziej go pragnę, a zarazem nienawidzę. Za to Toby nie odrywa ode mnie wzroku przez cały czas trwania posiłku, jakby tylko dzięki temu powstrzymywał się przed zderzeniem obrusa na podłogę i kopaniem kawałków łososia ludziom w twarz.

Szkoda, że tego nie robi. Teraz żałuję, że go prosiłam, aby się kontrolował.

Po obiedzie, który zdaje się trwać całe wieki, goście – już chwiejąc się na nogach, gardłując i rozchlapując wino z kieliszków – przenoszą się do bawialni, gdzie migoczące świece od dołu podświetlają wytworne szale i umalowane kobiece twarze. Dlatego jak u śpiewaków na scenie operowej widać im przede wszystkim gałki oczu i nozdrza. Głosy przekrzykują nawet jazzband, który, jak mi się wydaje,

z każdym kawałkiem gra głośniejsz i gorzej.

Obcy ludzie smarują paluchami po marmurowych popiersiach i obrazach, zostawiają tłuste ślady na twarzy prapradziadka, ciągną za wiszące na ścianach dzwonki na służbę, dmuchają w myśliwski róg, kręcą opętańczo globusem i podrygują, śmiejąc się bez sensu.

Muzyka się zmienia, staje się głośniejsza, szybsza, bardziej agresywna. Mam wrażenie, że najechało nas stado pijanych jarmarcznych koni.

Staję na palcach w moich satynowych czółenkach i wyciągam głowę ponad tapirami, spoconymi łysinami i odstającymi uszami, żeby dostrzec moich braci, siostrę, Luciana, jakąś znajomą twarz. Nic z tego. Towarzystwo Caroline rusza teraz w tany. Kiwiają się, podrygują, wykonują jakieś śmieszne ruchy rękami, blokując mi drogę do drzwi. Ktoś łapie mnie za ramiona i ciągnie do tańca. Przepycham się pomiędzy naciskającymi na mnie wyдутymi brzuchami, twardymi od szampana i gazów.

W końcu, zrezygnowana, przyklejam się plecami do biblioteczki, czekając na koniec piosenki. Niepostrzeżenie przysuwa się do mnie jakiś cuchnący alkoholem wąsacz i rechocząc z własnego żartu, pyta, „jak mi się podoba obrzydliwie bogata macoszka”. Odciąga go kobieta w białej minisukience: „Bradley, ty stary zbereźniku, łapy precz od przedszkola!”. Sama przedstawia się jako Jibby i sepleniąc, raczy mnie opowieścią, „jak to mój seksowny nowy brat Lusian słał serce jej biednej szosztrzenicy, Belindzie, srywając z nią kontakt”, po czym pyta, „czy nie mogłabym go skłonić do słożenia jej wizyty”.

Broszka z pawiem! Widok babci Esme sprawia mi prawie taką samą ulgę jak wiadomość, że Lucian zerwał z Belindą. Jestem gotowa się rozplakać. Jibby przeprasza i oddala się chwiejnie w swych srebrnych kozaczkach do kolan.

– Och, kochanie, wyglądasz na wykończoną – mówi babcia, ujmując moje dłonie. Sama też nie najlepiej wygląda. W każdym razie wydaje się starsza, niż zazwyczaj widzę ją w myślach.

– Babciu, gdzie są wszyscy? Nikogo nie mogę znaleźć.

– Barney z Kitty, gdy ich ostatnio widziałam, garściami wyjadali kandyzowane orzechy ze srebrnej czaszy w holu. Nie mam pojęcia, co może robić Toby. Ale przyznasz, że jak dotąd zachowuje się bez zarzutu, prawda? Dajmy mu spokój, biedactwu.

Cisnie mi się na usta pytanie o Luciana, lecz szybko się rozmyślam ze strachu, że zdradzi mnie wyraz twarzy.

– Kochanie, dlaczego się dyskretnie nie ulotniesz? – szepcze babcia. – W tym zamęcie nikt nie zauważy.

Akurat tata wraca do pokoju. Natychmiast zostaje osaczony przez Caroline i jej otyłego towarzysza, który uwiesza się na nim i wyrzaskuje mu coś prosto do ucha, aż tata kuli się ogłuszony. Ciekawe, czy babcia widzi, jak niezręcznie nasz

ojciec się czuje we własnym domu, jak cofa się przed tym grubasem i przed Caroline, która w odpowiedzi przysuwa się do niego, nerwowo poprawiając błyskotki powplatane we włosy.

– Babciu, a tata się nie pogniewa? Zdaje się, że mieliśmy wszyscy go pożegnać przed wyjazdem na miesiąc miodowy.

– Załatwię to z twoim ojcem. – Babcia ponownie ściska moją rękę. – Wydaje mi się, że gdyby nie ty, prędzej czy później w trakcie tej raczej nużącej uroczystości doszłoby do jakiejś barwnej sceny. Dość już zrobiłaś.

– Nic nie zrobiłam – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Zrobiłaś, zrobiłaś. Oni ciebie naśladują, Amber. Swoim opanowaniem dodajesz im siły. – Babcia uśmiechem pokrywa wzruszenie. – Nancy byłaby z ciebie dumna.

– Dziękuję, babciu. – Po raz pierwszy w tym dniu ktoś wspomniał Mamę.

– Popatrz tylko na siebie... – Poprawia jedwabną szarfę z kokardą opasującą moją talię, a potem krzywi się pogardliwie. – Zachowujesz się z taką godnością w przeciwieństwie do większości obecnych tu pań. – No i naprawdę ślicznie wyglądasz w tej sukience.

Uśmiecham się, nie do końca przekonana. Tata w tajemnicy kupił mi tę sukienkę z blad różowego jedwabiu u Harrodsa. Ja bym takiej nie wybrała. Pomyślałabym raczej o czymś krótszym i bardziej wyrazistym, na przykład w czarno-białe pasy, z paskiem zapinanym na dużą klamrę, czymś z Biby albo od Mary Quant, bo takie rzeczy nosi siostra Matildy. Ta sukienka ma dopasowany stan oraz kloszową spódnicę na dwóch sztywnych halkach i przypomina mi zdjęcia Mamy z Nowego Jorku z lat pięćdziesiątych.

– Jest trochę staromodna.

– I na tym polega jej urok. Świetnie się w niej prezentujesz. Nic dziwnego, że ci wszyscy gburowaci prostacy wodzą za tobą oczyma. Jesteś królową balu, skarbie. Aż dziw, że Caroline nie ubrała ciebie w jakiś pokutny worek.

– W ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Chyba nawet nie zauważyła, że jestem.

– Zauważyła, moja droga. Możesz być tego pewna.

– Ja jej nie cierpię, babciu – wyznaję z budzącą się zapalczywością. – Nie znoszę jej.

Dokładnie w tej chwili Caroline spogląda w naszą stronę, jakby wyczuła, że o niej mówimy. Jej wzrok staje się lodowaty.

Babcia macha do niej radośnie i jednocześnie mówi do mnie kącikiem ust:

– Coś mi się zdaje, że nowa pani Alton należy do kobiet, które chcą sobie być lubiane, zanim dadzą się polubić, moja droga Amber. To my musimy zapoczątkować ten proces, co jest sporym wyzwaniem.

– Niestety, ja nie mogę. I nie sądzę, aby tata ją kochał.

– W sytuacji takiej jak ta, moja droga, wszyscy musimy szukać porozumienia, nawet jeżeli czasem dla dobra sprawy trzeba iść na ustępstwa. – Podnosi kieliszek do ust. – Matko jedyna, obawiam się, że Caroline zamierza nas zaszczycić swoim towarzystwem – szepcze dyskretnie znad kieliszka. – Jeżeli chcesz się zmyć, zrób to teraz, w końcu możesz nie wiedzieć o jej intencji.

Przemykam się pod ścianą i wybiegam z pokoju. W holu natykam się na Barneya i Kitty z garściami pełnymi lukrowanych migdałów. Zgarniam senną dwójkę i prowadzę na górę, podtrzymując pod pupy na schodach. Z podestu na piętrze spoglądam jeszcze na rojowisko na parterze i przyrzekam sobie, że nie zejść, dopóki ostatni z gości nie wyniesie się z domu.

W pokoju dziecinnym Kitty zaczyna popłakiwać, bo rozdarła swoją śliczną sukienkę, no i Peggy w czepku wygląda zupełnie jak nie ona. Barney przyznaje się do wypicia połowy kieliszka szampana, a teraz jest mu dziwnie i czy nie mogłabym go zanieść do łóżeczka? Poję go trzema szklankami wody i układam oboje do snu.

Gdy zaciągam zasłony, z dołu dobiegają entuzjastyczne oklaski i pobrząkiwanie puszek na żwirze za samochodem oddalającym się z podjazdu. No, nareszcie pojechała. Jutro goście też się rozjadą i dom z powrotem będzie nasz – staram się podnieść na duchu. Muszę podzielić się tą myślą z Tobym, odszukać go, sprawdzić, co się z nim dzieje.

Nie ma go w sypialni. Szeroko otwarte okno, na podłodze czarna kałuża, pamiątka po deszczu – księżyc odbija się na jej środku jak połyskliwe szklane oko. Staję na palcach na listwie przypodłogowej i wychylam się na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie zjeżdża na dół po bluszczu. Robi tak, gdy nie ma ochoty na kontakt z ludźmi.

– Amber? – dobiega mnie głos Luciana.

W pierwszej chwili nie jestem w stanie się ruszyć, lecz muszę zachować godność, zeskakuję więc z listwy na dywanik. Nie mam odwagi spojrzeć mu w oczy, za to serce aż rwie się do niego.

– Wszystko w porządku?

Pokój nagle robi się ciasny i pełen słów, których nie wolno nam wypowiedzieć. Skrępowanie nas paraliżuje.

– Próbuje... znaleźć Toby'ego – dukam, nie wiedząc, gdzie uciec oczami. W ustach mam sucho, serce wali mi tak, że on na pewno musi widzieć pulsowanie jedwabiu sukienki. – Nie ma go.

– Trudno mieć mu za złe, że się zmył. – Lucian przechodzi przez pokój i zamyka okno. Jest w samej koszuli, napięte mięśnie rysują się pod materiałem. – Towarzystwo mojej matki jest nudne na trzeźwo, a po alkoholu, niestety, dostaje małego rozumu.

– Nie zauważyłam.

Wybuch śmiechem i wreszcie napięcie znika. Z dołu płynie muzyka,

słychać falowanie głosów. Tam i tu – dwa odległe, niemożliwe do połączenia światy, które w rzeczywistości dzieli tylko parę kondygnacji. Lucian unosi rękę, jakby chciał odgarnąć grzywkę, ale dłoń trafia w próżnię, bo włosy ma zaczesane do tyłu, przez co jego twarz wydaje się bardziej otwarta, a jednocześnie dziwnie bezbronna.

– Mogę ci pomóc szukać Toby’ego?

Nie wiem, dlaczego mam wrażenie, że on pyta o coś innego. Kiwam głową, czując, że o cokolwiek prosiłby w tej chwili, powiedziałabym „tak”. I wcale nie ma mnie w tym pokoju, tylko pędzę słoneczną drogą wzdłuż klifu, a jedwab sukienki ślizga się na skórzanym fotelu.

Lucian przytrzymuje mi drzwi.

– Prowadź.

Sztywne halki pod spódnicą szeleszczą przy zetknięciu z jego nogami jak papier. Gdzieś we mnie, w środku, pojawia się tamto napięcie. Takie samo jak wtedy, gdy całował mnie u wylotu podjazdu. Jak mogę czuć coś takiego w przypadku przyrodniego brata? Czy to w porządku?

Może i nie. Ale tak jest. I już zostanie na tym etapie – mówię sobie stanowczo. I nigdy z pączka nie rozwinie się w kwiat.

– Na górę? – pyta i rzuca mi ukradkowe spojrzenie, po czym szybko ucieka oczyma.

Rumienię się i przytakuję, zamiast zaproponować, żebyśmy zaczęli od dworu, gdzie najpewniej ukrył się Toby, ale w tej chwili zupełnie mnie nie obchodzi, co on właściwie robi.

Na podeście za najwyższym biegiem schodów ścieram parę z małego okna i wyglądam przez to kółko na ciemny dwór.

– Widać coś? – pyta Lucian.

– Niewiele.

Deszcz ustał. Goście wysypują się na zewnątrz, sztormowe lampy na trawniku migocą jak świetliki. Za ciemno, żeby zobaczyć cokolwiek poza czarną krawędzią lasu, gdzie Toby – co do tego nie mam wątpliwości – zadekował się w domku na drzewie. W tym tygodniu spał tam dwa razy, po czym wracał o świcie i drzemał w nogach mojego łóżka jak pies, ubłocony, z gałązkami we włosach i dziwnym blaskiem w oczach po przebudzeniu.

Lucian odciąga ciężką zasuwę i podnosi okno do góry. Metaliczny zapach deszczu wypełnia nasze nozdrza.

– Słyszysz coś?

– Chyba głosy w ogrodzie. Dźwięki zdają się odbijać od dachu. Tu na górze zawsze są zniekształcone.

– Naprawdę jesteśmy pod dachem? – Wystawia głowę przez świetlik. – Można tam wejść?

– Chyba tak – odpowiadam niepewnie. Zawsze trzymałam się z daleka od tej części poddasza. Tata czasami się tędy wdrapuje, żeby coś załatać albo sprawdzić, czy w kominach nie ma gniazd. Mama zakazała nam kręcić się w pobliżu tego miejsca. Bała się, że Barney odkryje wyjście, zleci z dachu i złamie kark.

– Chodź. W życiu nie byłem na dachu. – Wyciąga do mnie rękę. – Obiecuję, że nie zeskoczę, jeśli ty nie skoczysz pierwsza – mówi, uśmiechając się.

Podaję mu rękę i czuję, jak prąd przebiega przez nasze dłonie.

Mdłe światło z korytarza pada na skrawek dachu, lecz to wystarczy, żeby widzieć drogę do przysadzistych blanków. Ostrożnie posuwamy się w tamtą stronę. Wiatr przykleja mi spódnice do nóg. Niebo jest teraz czyste i obsypane gwiazdami. Dawno nie czułam się taka ożywiona. Mam wrażenie, że skóra na mnie robi się za ciasna.

Nogę Luciana od mojej dzieli jakieś ćwierć metra.

– Próbowałem odwieść mamę od tego małżeństwa – wyznaje cicho.

Zerkam na niego przez zasłonę włosów, wzburzonych i poskręcanych z powodu nocnej wilgoci. Stoimy teraz bardzo blisko siebie, choć nie pamiętam, żebyśmy się przysuwali. Tamto skrępowanie z pokoju Toby’ego zmieniło się w coś innego.

– Niestety, nigdy jej specjalnie nie interesowało moje zdanie na jakikolwiek temat.

Robi mi się go trochę żal. Zawsze wydawało mi się, że nasza Mama chętnie słuchała tego, co chcemy jej powiedzieć.

– Ale matki się nie wybiera, prawda?

– No nie. – Dociera do mnie, jakie to szczęście, że trafiła mi się taka Mama ze wszystkich potencjalnych matek na świecie. Straciłam ją. Ale też ją miałam. Pierwszy raz pomyślałam o tym w ten sposób.

– Mama chce, żebym rządził światem i takie tam bzdury.

– Mój tata też miał nadzieję, że kiedyś Toby będzie rządził światem. Ale chyba już mu przeszło.

– Ach, Toby, król zamętu – podsumowuje Lucian z takim uśmiechem, że ta uwaga właściwie brzmi jak komplement.

– A twój ojciec? – pytam ośmielona niezwykłością pory i miejsca. Mam wrażenie, że tu, na górze, możemy się wzajemnie pytać, o co tylko chcemy, natomiast kiedy znowu znajdziemy się w domu, powrócą obowiązujące zasady. Będziemy rozmawiać o pogodzie, udawać, że jesteśmy rodzeństwem, i ewentualnie przy stole zwracać się do siebie z prośbą o podanie dżemu jeżynowego. Poza tym coś mi mówi, że Lucian nie ma nic przeciwko takim bezpośrednim pytaniom.

– Mój ojciec? Tata był dobrym człowiekiem. – Milknie na moment. – Nadal mi go brakuje. – Głos mu lekko drży. – Minęło dziesięć lat. To głupie, nie?

Zaprzeczam ruchem głowy, bojąc się, że jeśli się odezwę, mnie też

zawiedzie głos albo, co gorsza, rozbeczę się. Wiem, jak to jest, bo nie cierpię, kiedy ktoś się nade mną lituje, jakby przeżył to samo, co ja.

– Miał siedemdziesiąt trzy lata – mówi powoli, jakby musiał sobie przypomnieć. – Długo żył. – Milknie. – Twoja mama umarła młodo.

– Czterdzieści lat to znowu nie tak mało.

– Za wcześnie na umieranie.

– To prawda. Ale była szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa. Ilekroć o niej myślę, zawsze widzę ją uśmiechniętą. Miała szparę pomiędzy przednimi zębami. Można w nią było wsunąć zapałkę. – Normalnie nie lubię się rozwodzić na temat Mamy, bo to mnie krępuje, ale tym razem jest inaczej. Gdy zwieram się Lucianowi, staje przede mną jak żywa. – Nie wiem, czy lepiej umrzeć, kiedy jest się szczęśliwym, czy gorzej, bo jeszcze wiele można byłoby przeżyć.

Zastanawia się chwilę.

– Chyba lepiej.

– Była piękna. – Nie potrafię ukryć dumy w swoim głosie.

– Wiem. Widziałem jej portret w holu.

Uśmiecham się, bo ta noc ma w sobie coś szalonego. Czuję, jak but Luciana dotyka do mojego atłasowego czółenka.

– Jesteś do niej bardzo podobna – szepcze tak cicho, że nie jestem do końca pewna, czy rzeczywiście to powiedział.

Stoimy targani wiatrem i emocjami, moje halki szeleszczą, nietoperze kreślą ósemki nad blankami.

Jazzband zaczyna nową melodię. Wiatr wzbija w górę niektóre dźwięki, a inne tłumi. We mnie gra moja własna muzyka.

– Posłuchaj, wybacz mi tamten pocałunek. Gdybym wiedział, że oni się pobiorą... – Milknie zażenowany. – Ale nie wolno nam... zniszczyć... naszej przyjaźni.

Głośny huk jak wystrzał z broni rozrywa niebo. Wzdrygam się i zaciskam szczęki. Jeszcze jeden. Ogłuszający. Odbieram go wszystkimi nerwami. Czuję. Widzę. Bryzgi krwi na polepie w stajni. Mózg. Roztrzaskana czaszka w czarnej gablocie. Zaciskam powieki, jest mi niedobrze, słabo. Powraca tamta straszna noc.

– Amber, co się dzieje?

– Nic, nic – mamroczę i próbuję się opanować, żeby nie zrobić sceny. Zbieram się w sobie w oczekiwaniu na kolejny wystrzał. Jest, przetacza się jeszcze głośniej. Widzę palce na spuście. Szczelnie zaciskam powieki.

– Nie ma się czego bać. Uwierz mi. Naprawdę. To fajerwerki. Patrz.

Ufnie otwieram oczy.

Serpentyny bajecznie kolorowych świateł wiją się na niebie i rozmywają w srebrzyste smugi. Bum. Bum. Bum. Wzdrygam się przy każdym huku, ale jest mi lżej, bo Lucian otacza mnie ramieniem. Przywieram do niego i wtedy powraca

wspomnienie dopasowania naszych ciał, dotyku i zapachu. Te wszystkie doznania każą mi zapomnieć o powodach naganności naszego zachowania, o zasadach, które mi zabraniają go kochać. Wiem, że z nikim innym nie chciałabym się znaleźć na tym dachu. Przy nikim nie czułabym się tak bardzo sobą. Uszy owiewa nam ciepłym oddechem szeptana rozmowa o niezwykłości nietoperzy, o tym, że człowiek pewnie niedługo wyląduje na białym, pryszczatym Księżycu i że my tu, na dachu, jesteśmy ponad całym światem. Odgłosy sztucznych ogni powoli zamierają, brzmią bardziej jak aplauz niż strzelanina, oklaski bogów hen, wysoko w niebie. Przestrzeń między nami zamyka się w namiętym pocałunku i w szczelinie powiek widzę tylko złote migotanie na niebie. Usta Luciana osuwają się na szyję, cały czas szepcząc moje imię.

Rozdział dwudziesty drugi

– Amber. Amber! – Toby szarpie mnie za ramię. Oczy ma szklane i przekrwione. – Obudź się!

Z jękiem naciągam pled pod szyję.

– Czego chcesz?

– Czy Lucian nic ci nie zrobił? Powiedz tylko jedno słowo, a obedrę go żywcem ze skóry.

– Co? O czym ty bredzisz? Idź stąd. Chcę spać.

– Nic ci nie jest? Nic się nie wydarzyło?

– Toby, na miłość boską!

Opada na welurowy fotel z twarzą ukrytą w dłoniach. Jedno kolano mu podryguje, jakby chciał pilnie do toalety. Odwracam się twarzą do ściany, czując na sobie jego wzrok. Serce przyspiesza mi z niepokoju, bo myślę, że on wie, że podpowiada mu to jego zwierzęcy instynkt.

– Przepraszam. Ja... nie mogłem zmrużyć oka. Wbiłem sobie do głowy, że coś się stało. Że muszę cię bronić.

– Idź się przespać.

Sekrety są podniecające, natomiast oszustwa obrzydliwe. Od wesela minęło pięć dni. Bardzo chciałabym być szczerą wobec Toby'ego. Ale nie sądzę, aby to było możliwe. Absolutnie nie. Czuję się jak opalizująca mydlana bańka szybująca po letnim niebie. Nie jak siostra. Nie jak dziecko. Nie czuję się tym, kim byłam, ale jednocześnie bardziej niż kiedykolwiek jestem sobą.

Pod nieobecność taty i Caroline Black Rabbit Hall stał się epicki, nieokielznany, nasz. Peggy, znużona nawałem obowiązków, daje nam wolną rękę, zostawiając Kitty i Barneya pod leniwą opieką Annie. Pływamy, włączymy się, urządzamy pikniki na pastwiskach, jemy truskawki prosto z krzaków i surową fasolę ze strąków. Wymieniamy z Lucianem ukradkowe uśmiechy i szukamy okazji, żeby zostać sami. Zazwyczaj nie musimy długo czekać; Toby jest zajęty dokładaniem kolejnych „cel” – wyższych pięter – w domu na drzewie. Znika w lesie, rozgorączkowany ambitnym rozmachem swych planów, korzystając z nieograniczonej swobody upalnego sierpnia.

Oczywiście noc wesela też spędził na drzewie.

O świcie jego sypialnia była pusta. Chwilę wcześniej rozstałam się z Lucianem. Ponieważ i tak nie mogłam zmrużyć oka, wybrałam się do lasu na

poszukiwanie Toby'ego. Rzeźkość poranka przesączała mi się przez palce. Po drodze zobaczyłam jedwabne majtki wiszące na krzewie hortensji, a na trawniku natknęłam się na śpiącego grubasa, nadal z butelką szampana w ręce. Wydawało mi się, że dotarcie do drzewa zajmuje mi całe wieki. Właściwie byłam zadowolona, bo liczyłam, że czas jak woda usunie stygmatyzujące ślady pocałunków. Wreszcie w prześwicie gałęzi dostrzegłam brudną, bosą stopę, a w szparze pomiędzy deskami zmierzwioną rudą czuprynę. Spał jak wielki ptak rozpostarty w gnieździe. Już miałam go obudzić i ściągnąć do domu, lecz w ostatniej chwili zabrakło mi odwagi. Przestraszyłam się, że może zauważyć moje obrzmiałe wargi, wycofałam się więc bezszelestnie po dywanie z bukowych orzeszków, pozwalając mu spokojnie spać pośród noży, broni i kradzionego piwa. W drodze powrotnej przysięgłam sobie, że nigdy więcej nie będę się całować z Lucianem. Zbyt duże ryzyko.

Tymczasem kilka godzin później znowu się całujemy, jeszcze bardziej zachłannie. Cięży nam świadomość, że to, co robimy, jest złe, a jednocześnie jest nam tak dobrze, że nie możemy się powstrzymać. Całujemy się na skalnej półce. Pośród wysokich traw na skraju łąki, ukryci za sunącym stadem krów. Pod wodą, trwając w uścisku aż do utraty tchu. Całujemy się też w szafie, naszym ulubionym miejscu, gdzie bezpiecznie ukryci, szepczemy o wszystkim, co ma dla nas znaczenie – o muzyce, książkach, o tym, dlaczego na pogrzebach trudno zapanować nad śmiechem. Smakujemy naszą skórę słoną od morskiej wody i wolni od ubrań, cal po calu poznajemy nasze ciała.

Tam to zrobiliśmy.

Za pierwszym razem płonący ból wydarł z moich ust krzyk. Jednak teraz, gdy nauczyliśmy się pieszczot i moje ciało roztapia się i otwiera, zaskakując jak nowo odkryta planeta, wydaję z siebie inne, dziwne odgłosy, które muszę tłumić, wtulając twarz w futro. Wiem, że to jest wbrew zasadom – chociaż dotąd nikt, poza Anabel, siostrą Matildy, nie wyjaśnił mi, czym jest owo „to” – lecz jeśli o mnie chodzi, wszelkie zasady runęły tamtego dnia, gdy Mama spadła z konia. Zresztą wcale nie czuję się zbrukana czy wykorzystana, jak podobno powinna się czuć każda dziewczyna na moim miejscu. Ja czuję się... ubóstwiana. Kochana. I pomimo ryzyka, że możemy zostać przyłapani na gorącym uczynku, bezpieczna po raz pierwszy od wielu miesięcy.

Ale nie jestem głupia. Wiem, że muszę zachować ostrożność. Kąpię się dwa razy dziennie, żeby Toby nie wyczuł zapachu potu, miłości, zdrady. Jeżeli jest w pokoju, staram się nawet nie zerkać w stronę Luciana i siadam jak najdalej od niego, bo obojgu nam trudno jest uwolnić się od pokusy choćby dotknięcia się kolanami czy muśnięcia stopą.

Pod paznokciami, we włosach, mam zapach Luciana. Łapię się na tym, że co rusz szeptem wymawiam jego imię. Nie wiedziałam, że można kochać aż tak i aż

tak być kochaną. I w tym właśnie problem. A im problem większy, tym trudniej go ukryć.

Jestem idiotycznie, skandalicznie szczęśliwa i boję się, że prędzej czy później zdradzi mnie ten euforyczny stan. Bo przecież powinnam być przygnębiona – tata omotany przez Caroline, kości Mamy bielejące w ziemi, głupota, jaką jest kochanie kogokolwiek, skoro ludzie tak łatwo umierają... a jednak... jest tak, jakbym kompletnie znieczulona patrzyła na krwawiącą ranę.

Rozdział dwudziesty trzeci

Dwa dni później Caroline i tata wracają z Paryża. Są uśmiechnięci, ale nie trzymają się za ręce. Black Rabbit Hall już do nas nie należy. Wszędzie czai się niebezpieczeństwo. Czy tata zauważy jakąś odmianę? Czy nie zdradzi mnie plama z trawy lub zagniecenia na ubraniu? Wszystko potoczyło się tak szybko, mam wrażenie, że rozemocjonowana emanuję parzącym ciepłem. Jednak tata niczego nie widzi. Wodząc oczyma po suficie i pocierając opalony kark, pyta z roztargnieniem, czy dobrze się bawiliśmy, a niedługo potem wyjeżdża do Londynu w „pilnych sprawach”. Nie zabiera ze sobą Caroline!

Katastrofa.

Caroline jest bardziej spostrzegawcza. Stwierdza, że Lucian „zdziczał”, a jeśli chodzi o kondycję domu, to „Peggy i Annie zapewne cierpiały na jakąś chorobę, która wymusza siedzenie z założonymi rękami” – mówi. Co gorsza, zapowiada, że zostanie w Black Rabbit Hall do końca letnich wakacji, aby „mieć na wszystko oko” (cierpnę z wrażenia) i żeby „zaprowadzić w tym domu odpowiedni porządek”.

Nikt z nas nie wie, co ten nowy „porządek” może oznaczać dla Black Rabbit Hall. „Skąd mamy wiedzieć, skoro ona zmienia zachcianki tak samo często jak pościel?” – mruczy pod nosem Peggy, według której codzienne przewlekanie pościeli to karygodne marnotrawstwo i strata czasu. W końcu Caroline oznajmia nam, że któregoś dnia dom musi się pojawić w czasopiśmie „House and Garden”. Rozbawieni, dusimy się od tłumionego śmiechu, szczególnie Peggy, lecz już po chwili ogarnia nas coś w rodzaju bezsilnego przygnębienia w to upalne, duszne popołudnie.

Na szczęście dom podejmuje wyzwanie. Potrzaskuje i zacieka, pluje mętnawą, rdzawą wodą do wanny Caroline. W nocy w jej sypialni harcuje liczna rodzina myszy (ona panicznie się ich boi), zwabiona ziarnami owsa, które Toby rozsypuje pod łóżkiem. Nawet kiedy w następny weekend wraca tata, Black Rabbit Hall nie ma zamiaru się poddać. Po szczególnie burzliwym wieczorze – kot wyrzuje kłębki kłaków na jedwabne papcie Caroline, wysiada światło, zdechła wrona zatyka komin – tata proponuje jej wyjazd na resztę wakacji do wygodnej Fitzrovii, a on w tym czasie poprawi tutaj to i owo. Ona jednak, najwyraźniej podejrzewając, że nic z tego nie wyjdzie (i tu ma rację), stoi w holu i z zaciętymi ustami mierzy wzrokiem schody jak alpinista, który ocenia ryzyko wspinaczki na

szczególnie niebezpieczną górę, zdecydowany ją pokonać, nie bacząc na koszty.

Naturalnie nas też chce pokonać, wyciągając z lodowatoniebieskiego jedwabnego rękawa najróżniejsze podstępne chwytły, związane z jednym odrażającym pomysłem pod tytułem „Nasza Nowa Rodzina”. Stąd przyprawiające o mdłości, wymuszone sesje fotograficzne: Caroline z tatą sztywno obok siebie, ja i Lucian w bezpiecznej odległości, Barney i Kitty upozowani jak lalki bez śladu uśmiechu na buziach, no i Toby, patrzący wilkiem w obiektyw aparatu jakiegoś okrzykanego fotografa, który wysiadł spocony i zdezorientowany z wlokącego się londyńskiego pociągu. Caroline upiera się przy „rodzinnych obiadach spożywanych o właściwej porze”, koniecznie w stołowym („w kuchni je służba”). Zagrożenie w postaci „wspólnego spędzania czasu” (spacery, przejażdżki łódką, wypadły do St Ives) wisi nad nami w każdy słoneczny dzień jak nadciągająca burza, co przyprawia mnie, Luciana i Toby’ego o dreszcze; każde z nas z innego powodu.

Bardzo szybko orientujemy się, że najłatwiej można zburzyć wszelkie takie plany, niby przypadkiem wspominając Mamę. Natychmiast na skroni Caroline pojawia się pulsująca, zielona żyłka i cała jej misterna układanka rozpada się na milion ostrych kawałeczków jak kryształowy wazon upuszczony na kamienną posadzkę.

Niepunktualność też wprawia Caroline w irytację, więc staramy się spóźnić tak często, jak tylko możliwe, co nie jest znowu takie trudne. Jedną Kitty, która kocha jeść, zjawia się przy stole, zanim posiłek zdąży całkiem ostygnąć po meandrycznej wędrówce z kuchni. Barney, znany z awersji do ubrań w upały, zazwyczaj musi się przebrać, a uwagi Caroline w rodzaju „dobre maniere odróżniają nas od człekokształtnych małp” jedynie prowokują Toby’ego do drapania się pod pachą jak małpa za jej plecami, na co Lucian, lojalny w stosunku do matki tylko do pewnego stopnia, reaguje tłumionym śmiechem, niemal burząc ich kruche porozumienie, oparte na wzajemnym ignorowaniu się.

To nie tak, że Lucian nie próbuje okazywać przyjaznych gestów. Niestety, wszelkie jego wysiłki są odrzucane i spotykają się z całkowitą obojętnością. Ostatnią rzeczą, jakiej chce Toby, jest wyzbycie się własnych uprzedzeń. W pewnym sensie to dla mnie ulga. Bo gdyby się zaprzyjaźnili, to czy jeszcze bardziej nie ciążyłby mi brak szczerości wobec brata?

Natomiast Toby absolutnie nie ignoruje Caroline: prowokuje ją i dąży do konfrontacji, świadomy swej przewagi, bo podczas gdy ona wychodzi z siebie, on czuje totalny luz. Zdecydowanie odmawia stawiania się na wspólne posiłki: „Nie zamierzam odgrywać komedii ani uczestniczyć w tych wymuszonych rozmowach, które sprawiają, że mam ochotę odgryźć sobie język i rzucić go Borisowi. Wolę jeść słone paluszki u siebie na drzewie”. Kiedy Caroline z kieliszkiem sherry w trzęsących się dłoniach próbowała mu narzucić swoją wolę, mówiąc: „Młody człowieku, twoje zdanie zupełnie mnie nie obchodzi. Wszyscy siadamy razem do

posiłków jak normalna, szczęśliwa rodzina”, on w odpowiedzi jej wypunktował: „Po pierwsze, nie jesteśmy normalni. Po drugie, nie jesteśmy rodziną. A po trzecie, dzięki tobie zdecydowanie nie jesteśmy szczęśliwi”, po czym wyszedł z pokoju, po drodze czyszcząc paznokcie końcem ostrza scyzoryka i rzucając to, co wydłubał, na świeżo wyfroterowaną podłogę.

*

Im mniej Caroline udaje się nas kontrolować, z tym większym zapalem zajmuje się domem. Ku ogólnemu osłupieniu ogłosiła najęcie nowej kucharki, co równało się detronizacji Królowej i zastąpieniu jej „lepiej wykwalifikowaną siłą”. Peggy przyjęła tę wiadomość bez słowa, lecz z pobladłą twarzą, a złość rozładowała, waląc miedzianymi rondlami, przypalając grzanki i trzaskając drzwiami spiżarni.

Bartlett zjawiała się wczoraj.

To takie dziwne, że aż brakuje słów. Podczas gdy Peggy jest miękka, pulchna i z każdym dniem coraz bardziej się zaokrąglą, ta nowa okazała się koścista i przygarbiona, przez co przypomina wykrzywioną chochlę. Peggy i Annie odnoszą się do niej podejrzliwie („Nigdy nie ufaj chudej kucharce”), sceptycznie patrzą na jej nieskazitelnie biały fartuch i zastanawiają się pod nosem, czy Bartlett da radę sprawić węgorki, nie brudząc sobie rąk, i czy odróżnia *stargazy pie* od *hog pudding*. Nie miałam odwagi powiedzieć Peggy, że w tym właśnie kryje się problem – nie sądzę, aby Caroline kiedykolwiek zapomniała o widoku podsuszonych łebków sardynek sterczących z górnej warstwy jej zapiekanki. Odkąd nastąpiła Bartlett, nie widzimy domowych kornwalijskich dań. Nigdy nie sądziłam, że będzie mi ich brakować, a jednak za nimi tęsknię.

Dzisiaj na lunch wjechał na stół zimny, magicznie różowy łosoś, przybrany krążkami ogórka; danie niezwykle wystawne w porównaniu z tym, co zazwyczaj tu widzimy. Ugotowane ziemniaki były gładkie i białe jak jajka, nie jak te obierane przez Peggy, bo z tamtych zazwyczaj musimy wydłubywać widelcem oczka i zdejmować kawałki łupinki. Wypolerowane do błysku sztucce – robimy miny, przeglądając się w wypukłościach łyżek – lśnią na nieznanym obrusie: koronkowym i wiktoriańskim, zapewne wygrzebanym z archeologicznej głębi bieliźniarki. Wykrochmalone na sztywno serwetki stoją uformowane w wachlarze. Barney przewraca je prztyczkami.

Tata – o zgrozo! – zgodził się, aby ogród przeszedł coś, co Caroline nazywa rekultywacją, a Toby profanacją. Po ogłoszeniu przy stole, że „czas zrobić porządek z bujającymi dziko rabatami” – oboje z Lucianem zbledliśmy jak płótno – Caroline wyrzuciła starych, wiernych ogrodników („utknęli w przeszłości, bardziej wiekowi od żywopłotu z cisów”) i zatrudniła firmę, która przyjechała błyszczącą czarną furgonetką ze złotym napisem „Ted Duckett and Son” na drzwiczkach

i natychmiast zabrała się do wycinania pnących się swobodnie róż, tych ukochanych Mamy.

Caroline ściągnęła też grubasa w połówkowych okularach – jego mały palec jest jak mięsisty różowy kikut – do naprawy zegarów w Black Rabbit Hall. („Będzie z tym kupa roboty” – orzekł, sapiąc, gdy wsadził nalaną twarz w szafkę z mechanizmem Big Bertie. A Barney, zafascynowany upiornym wyglądem kikuta, cały czas zaglądał mu przez ramię). Obecnie zegary chodzą mniej więcej dokładnie, lecz to wcale nie wpływa na naszą punktualność. Przyzwyczajeni do dodawania brakującej godziny, teraz skołowani, wróciliśmy do szacowania czasu według intensywności poburkiwania w żołądku i pozycji słońca.

Nie wątpię, że gdyby Caroline mogła nająć kogoś, kto umiałby nas „przestawić” na jej podobieństwo i usunąć z naszych głów Mamę, na pewno by to zrobiła. Niestety, nie może. I to ją wkurza. Bywa na zmianę miła (prezenty!) i odpychająca. Nic nie robi na nas najmniejszego wrażenia. Jej wejście do pokoju sprawia, że ściany się kurczą i nawet największe pomieszczenia w domu zmieniają się w duszne metalowe windy zablokowane pomiędzy piętrami. Kiedy taty nie ma w pobliżu, przestaje udawać, że nas lubi, i patrzy na wszystkich (nawet na Luciana) z nieukrywaną irytacją, jakby żyło jej się znacznie lepiej, gdyby nas w ogóle nie było i miała tatę wyłącznie dla siebie.

Tata nie chce słyszeć złego słowa na temat Caroline. Zawsze staje po jej stronie, jak sądzę, dlatego, że ona pierwsza sący mu do ucha swoją wersję wydarzeń, ma więc czas przygotować argumenty na jej obronę. Gdy poskarżyłam się tacie, że macocha zachowuje się w stosunku do nas zupełnie inaczej pod jego nieobecność, westchnął: „Amber, Caroline ostrzegła mnie, że coś takiego powiesz”, a kiedy stwierdziłam, że według mnie jest zimną, apodyktyczną kobietą, rozżłościł się: „Ona darzy cię taką sympatią, a ty się jej tak odpłacasz!”.

Tata wpadł przy niej w stan dziwnego odrętwienia; snuje się po posiadłości z nieobecnym wzrokiem i ze szklaneczką whiskey w dłoni. Caroline bez przerwy uzupełnia jej zawartość. „Nic się nie martw, wszystkim się zajmę” – szczebiocze przy tym czule głosem, który rezerwuje wyłącznie dla niego, jakby był przerośniętym dzieckiem. Co gorsza, ojcu chyba to odpowiada.

Według Toby’ego tata odczuwa ulgę, że nie musi o niczym decydować. Że po śmierci Mamy gwałtownie się zestarzał, a starzy ludzie są jak dzieci: „Lubią, jak się ich prowadzi za rękę”.

Gdybym wierzyła, że on naprawdę ją kocha, może nie oceniałabym go aż tak surowo. Ale to Caroline zawsze wykazuje inicjatywę; bierze go za rękę, kładzie dłoń na udzie jego żółtych sztruksowych spodni. Wyczekuje jego powrotu, a gdy się zjawia, wystrojona, zbiega w pantoflach na obcasach ze schodów i przystaje na ostatnim stopniu, obrzucając niechętnym spojrzeniem portret Mamy, jak kobieta, która patrząc w lustro, nie jest zadowolona z tego, co tam widzi. Owszem, tata

regularnie ją komplementuje. „Urocza suknia, kochanie” – mówi na przykład, lecz w jego słowach brakuje pasji. Nie ma tamtych, wprawiających nas w zakłopotanie, ukradkowych czułości, jak to było z Mamą, przeciąganych pocałunków i uścisków. Nie rozjaśnia mu się wzrok na widok Caroline wchodzącej do pokoju. Myślę, że ona to widzi. Kiedy tata jest w Londynie, siedzi czasem sztywno wyprostowana przy stole w jadalni, z podbródkiem wspartym na nakremowanych dłoniach, i patrzy drętwo na jego puste krzesło, jakby nie przewidziała, że to miejsce będzie ziało taką pustką.

Właśnie ta pustka jest dla nas problemem. Przy częstych wyjazdach taty ona zdecydowanie za dużo siedzi sama. Ma wtedy czas na pielęgnowanie swojej paranoi – chociaż wcale nie jest paranoiczką, bo rzeczywiście serdecznie jej nie znosimy. Jestem pewna, że robi się coraz bardziej podejrzliwa. Lucian uważa, że niepotrzebnie się przejmuję – „Amber, ona w życiu się nie domyśli” – lecz ostatnio zauważyłam, jak na przemian obrzucała mnie i Luciana ostrym niczym brzytwa spojrzeniem, jakby coś jej się w nas nie zgadzało. Poza tym bez przerwy go przepytuje: „Gdzie byłeś? Z kim? Skąd się wzięły źdźbła siana na koszuli?”.

Nie umiem się oprzeć wrażeniu, że sprawy przybierają zły obrót. Nie potrafię go jeszcze nazwać, lecz różne drobne zdarzenia splatają się ze sobą i wskazują jeden kierunek jak promienie w ptasim piórku.

Rozdział dwudziesty czwarty

Lorna

Lorna z ciężkim sercem wsuwa brązową kopertę ze zdjęciami pomiędzy kartki nietkniętej książki. Czy kiedykolwiek się dowie, czemu matka wracała do Black Rabbit Hall? Może to nieistotne. Może niepotrzebnie usiłuje dorobić jakąś historię do tych zdjęć. Spiąć przypadkowe wydarzenia. Cokolwiek by mówić, matka miała swoje dziwactwa, obsesyjnie ciągnęło ją do starych rezydencji i lubiła wracać w te same miejsca. Może po prostu spodobał jej się tamten podjazd. Tak, to mógł być dla niej wystarczający powód.

Podnosi torbę podrózną i rozgląda się po apartamencie dla nowożeńców – urok tego pokoju przysłania nieco wspomnienie letargicznej doby spędzonej w łóżu z kolumnkami – i sprawdza, czy wszystko spakowała. Zawsze coś gubi. Tym razem to krem z filtrem UV. I samoopalacz. Wieczko od balsamu do ust zatoczyło się na wystrzępiony brzeg dywanika przed drzwiami. Pochyliła się po nie i wtedy dostrzega dziwne kółka odcisnięte w kurzu tuż za progiem. Okrągłe ślady o obwodzie mniej więcej dwóch centymetrów w odstępach średniej długości kroków prowadzą wzdłuż korytarza. To wygląda na odciski laski pani Alton. A więc jednak osoba przyglądająca się jej z progu, gdy spała, nie była wytworem wyobraźni. To niezbyt miła świadomość.

Podnosi wieczko, kieruje się do łazienki i podstawia pod kran pustą butelkę po wodzie Evian. Na dworze jest parno, a poza tym czuje się odwodniona, lepiej więc się zabezpieczyć. Z zardzewiałego kranu ciurka woda w kolorze kawy, zdecydowanie ciemniejsza niż wczoraj. Zapewne przez ten upał. W obawie przed sensacjami żołądkowymi podczas długiej jazdy pociągiem wytrząsa wodę do wanny. Poszuka kuchni. Tam na pewno leci czystsza woda. Zdąży. Ma jeszcze czas.

O dziwo, bez trudu znajduje kuchnię, jakby to kuchni na tym zależało. Jest duża, jasna i kwadratowa. Ściany ma w nieco wyblakłym modrym kolorze. Słońce wlewa się przez okno z szybkami dzielonymi szprosami i pada na prosty drewniany stół, który zdaje się stanowić serce pomieszczenia. Przy ścianie za stołem stoi staromodna kuchnia na drewno, poczerniała od tłuszczu i lat używania. Wiszą nad nią miedziane rondle i masywne emaliowane kuchenne przyrządy. Srebrne sztuce z ciemną patyną sterczą z pokrytych warstwą brudu baryłkowatych ceramicznych słoików ustawionych na wypaczonym drewnianym blacie. Lorna oczyma wyobraźni widzi sięgające po nie niecierpliwie dziecinne ręce. Wszędzie miski, mnóstwo

miseczek i misek. Kiedyś ktoś tu musiał lubić gotowanie. Jest też spiżarnia z wywietrznikami w kształcie serduszek wyciętych w drzwiach. Lorna nie potrafi się oprzeć pokusie...

I staje z otwartymi ustami. Podczas gdy na łatwo dostępnej półce stoją typowe produkty z supermarketu: kawa, herbata w torebkach, cukier w kostkach i makarony, to na tych wyższych tłoczą się cuda, które wyglądają na starsze od niej: puszki z groszkiem z wyblakłymi nalepkami sprzed lat i mielonka w puszcze, taka sama jak u jej babci w kredensie. Lorna słyszy cichy szelest. Ze strachu, że to może być mysz, wycofuje się i zamyka drzwi.

Racja. Woda. Koniec z węszeniem. Musi się skupić na tym, co istotne. Wraca do Londynu. Po zmaganiach z kurkiem nad przepastnym zlewem w końcu pojawia się strumyczek wody, która wygląda mniej ryzykownie od tej na górze. Przechyla się i podstawia butelkę. I wtedy jej wzrok pada na biały fartuch w niebieskie pasy na mosiężnym wieszaku obok zlewu. Widziała go już wcześniej. Ale gdzie?

Szuka w myślach skojarzeń, przywołując najróżniejsze sytuacje. Tak jest, już wie: to gospodyni na zdjęciach w tle. Sympatyczna, okrągła twarz i pasiasty fartuch. Na każdym zdjęciu w tym fartuchu. A więc należał do niej. Odstawia butelkę i zdejmuje fartuch z wieszaka. Niesamowicie, że nadal tu jest, choć z drugiej strony, biorąc pod uwagę zawartość spiżarni... Zagniata w palcach materiał; jest miękki, stary, a ona uwielbia takie stare materiały. Na rąbku natrafia na wyhaftowane niebieskim kordonkiem litery. Wodzi po nich opuszkami, aż pamięć przenosi ją pod różową kołdrę z Barbie, gdzie przy słabym świetle plastikowej latarki wielokrotnie przesuwała palcem po wypukłych, napisanych atramentem literach „P” na metryce urodzenia. Zbyt wiele tych „P”, żeby kiedykolwiek zapomnieć.

*

– Znalazłam na schodach. To chyba twoje. – Dill stawia druciany koszyk z jajkami, wyciąga z kieszeni kombinezonu brązową kopertę ze zdjęciami i podaje ją Lornie. Nie komentuje ani nie pyta, dlaczego ona siedzi na podłodze z fartuchem przyciśniętym do twarzy. Miała okazję widywać o wiele dziwniejsze rzeczy w Black Rabbit Hall.

Lorna z trudem wyciąga rękę. Zesztywniała na tej podłodze pokrytej linoleum, nie ma pojęcia, jak długo tak siedzi, widzi jedynie, że słońce odbija się ciepłym, gęstym blaskiem od miedzianych rondli i chyba nie było tak mroczno, kiedy tu weszła.

– Lorno, nie mogłam cię znaleźć – tłumaczy się Dill. – Musieliśmy odesłać taksówkę.

– Taksówka odjechała? – Przeciera oczy, zaczerwienione i suche. Jest zbyt

zszokowana, aby uderzyć w płacz. Czarna stonoga sunie po podłodze, omijając kałużę z rozlanej butelki, która Lornie wyslizgnęła się z rąk.

– Jest po szóstej.

– Mój pociąg...

– Jutro nic nie jeździ. Święto państwowe. Ale pojutrze rano... – Dill uśmiecha się niepewnie. – Pani Alton będzie zadowolona, że zostaniesz jeszcze na dobę czy dwie.

Uda kleją jej się do linoleum, bo ma poddartą spódnicę. Wyobraża sobie, że utknęła tu na dobre niczym mucha złapana na lep. Jak ma wydostać się stąd na pociąg, wrócić do Londynu, do swego niby normalnego życia? To się wydaje nieosiągalne.

Dill pochyla się nad nią nieśmiało.

– Lorno, ty... hm, dobrze się czujesz?

Lorna wpatruje się w fartuch na swych kolanach. Pasek jest wyświechtany, jakby go mocno zawiązywano. Wyobraża sobie, jak jej matka popuszczała go w miarę uwypuklania się brzucha. Czy starała się ukrywać ciążę pod fartuchem? Była samotna czy zamężna? A może wykorzystał ją jej pracodawca? Och, nie, tylko nie to. Ona dzieckiem z gwałtu? Tego właśnie zawsze najbardziej się bała. Że ma geny jakiegoś dewianta.

– Może filiżankę herbaty? – pyta Dill, błędząc dłonią po włosach, jakby nie bardzo wiedziała, co robić.

– Och, tak, poproszę... – Gdyby tak Dill wyszła z kuchni, może udałoby się Lornie pozbierać, zeszkrobać ze ścian rozprysnięte cząsteczki i ułożyć siebie z powrotem w bardziej rozpoznawalną formę.

– Zajrzałam do niej, mam nadzieję, że się nie gniewasz. – Dill z niepewnym uśmiechem wskazuje ruchem głowy kopertę.

– Ach. – Lorna spogląda na dłonie. Nie, to absurd. Dlaczego jej matka miałaby wracać do miejsca, gdzie mieszkała i pracowała biologiczna matka? To nie ma sensu. I po co miałaby ryzykować, zabierając ze sobą córkę?

– To, zdaje się, ja zrobiłam te zdjęcia.

– Co? – Chyba się przesłyszała.

– W dzieciństwie często kręciłam się u wylotu podjazdu, kiedy mama była zajęta w domu. Mówiłam ci, że ona tu pracowała?

Lorna drętwo zaprzecza ruchem głowy. Nie pamięta. Może nie słuchała uważnie.

– Wdrapywałam się na drzewo i czekałam, aż będą tędy przechodzić jakieś znajome dzieciaki. Bo, widzisz, pani Alton nie życzyła sobie, żeby one plątały się po posiadłości. Dlatego wychodziłam na koniec podjazdu.

Teraz coś zaczyna Lornie świtać; dziecięce stopy zwisające z drzewa; brązowe półbuty Mary-Janes ze zdartymi zelówkami; okrzyk: „Uśmiech!”.

– Ładna była twoja mama. Pamiętam, miała taki musztardowy płaszcz. Z jakiegoś powodu utkwił mi w pamięci ten płaszcz.

Musztardowy płaszcz. Zupełnie o nim zapomniała, lecz teraz widzi go wyraźnie. Kosmaty, zapinany na duże, ozdobne, brązowe guziki. Matka nosiła go przez okrągły rok; wiecznie było jej zimno.

– Stała na tym podjeździe i patrzyła na dom, jakby to był... no, nie wiem, Buckingham Palace czy coś w tym rodzaju. Zawsze pytała, czy nie zrobiłabym wam zdjęcia. Raz dała mi za to torebkę krówek.

Włoski unoszą się na ramionach Lorny. Pamięta papierową pasiastą tutkę z krówkami. I tamten żal i zazdrość, kiedy matka kazała ją dać obcej dziewczynce. Dziewczynce w zniszczonych butach. Z aparatem.

– Byłyśmy w tym samym wieku, tylko ty miałaś lepsze ubranie i wydawałaś się taka egzotyczna, bo przyjeżdżałaś z Londynu. Pamiętasz to? A mnie pamiętasz?

– Oczy dziewczyny błyszczą z podniecenia.

– Ja... ja... chyba... Tak, przypominam sobie.

– Niesamowite! – Dill kręci głową ze zdumienia. – Miałaś rację. Byłaś tu już kiedyś.

Lorna pochyla się nad fartuchem.

– Uraziłam cię czymś? – pyta Dill.

– Nie, nie. Przepraszam. Widzisz, ten fartuch... – Lorna płacze się, pociąga nosem. – Litera wyszyte na rąbku. – Unosi fartuch. – Zobacz.

– No tak, Peggy, zgadza się. – Dill wyraźnie nie rozumie, o co jej chodzi. – Peggy Mary Popple. To fartuch mojej mamy.

*

Lorna słyszy wołanie Dill, ale biegnie dalej, jeszcze szybciej, mrużąc oczy przed blaskiem zachodzącego słońca. Mota się w pranie wiszące na sznurze, młóci prześcieradła rękami, jakby walczyła z duchami, wpada do warzywniaka i tratuje krzaki pomidorów. Po drodze gubi japonkę. Bramka ogrodu zamyka się za nią z trzaskiem. Podłoże pod stopami się zmienia. Patio gorące jak kuchenna płyta. Sucha, ostra trawa. Kłujący żwir. Spada drugi japonkę. Nie przestaje biec. Musi biec. Musi uciec przed mętnymi wyjaśnieniami Dill; początek jej życia jest dokładnie tak żaloszny, jak się obawiała.

Wieczorek taneczny. Schadzka po pijanemu w parafialnej salce. Gosposię uwodzi skandynawski rybak – „ojciec nieznan” – i odpływa do dalekich portów, zanim ona pozna jego nazwisko czy choćby nazwę trawlera. To nie jest młoda, naiwna dziewczyna, tylko dojrzała kobieta, która powinna mieć więcej rozumu. Chodziła do kościoła, marzyła o ślubie z miejscowym piekarzem, a tymczasem dorobiła się brzucha. Zafundowała sobie panięskie bliźniaki. Tylko jedno dziecko zatrzymała.

Tylko jedno. Nie ją.

Nie została wybrana.

Lorna przyspiesza, złościąc stopami ślady w piasku. To na nic, nie umknie przed tym odrzuceniem. Łka głośno, niewiele widzi przez łyzy. Chce skryć się w mroku lasu. Zniknąć.

– Hej! Stop!

Znajomy głos. Głos z innego życia. Nie zatrzymuje się. Jak przez mgłę widzi samochód – niski, szarosrebrny – i słyszy rżenie silnika, gdy auto cofa się z podjazdu. Pisk hamulców. Trzask drzwi.

– Lorno!

Przygarniają ją czyjeś ramiona. Czuje zapach szamponu i chusteczek pielęgnacyjnych dla niemowląt. Szlocha jak dziecko w szyję siostry.

Louise mówi, że umierała z nerwów z powodu dziwacznych wiadomości w poczcie, a Jon odchodzi od zmysłów, bo nie było jej w pociągu, nikt nie ma z nią kontaktu, a on nie może się wyrwać z budowy i...

– Jasna cholera, Lorno, co z tobą? Mam wezwać policję? Lekarza?

Nie, nie, nie. Lorna próbuje wszystko wytłumaczyć. Naprawdę się stara. Jednak to nie trzyma się kupy. Widzi, że z początku Louise jej nie wierzy. Przytakuje dla świętego spokoju, jak Alfowi, gdy ten plecie bzdury. Dopiero coś się zmienia między nimi po spojrzeniu na jej oblepione krwią i brudem stopy, jakby to one potwierdzały prawdę. Louise zamyka jej dłonie w swoich.

– Ja jestem twoją siostrą – mówi cicho. – Lou i Lor, ramię w ramię, biodro w biodro, pamiętasz? Lou i Lor. I tylko to się liczy. – Ściska jej dłonie. – Jak bonie dydy.

Jak bonie dydy. Jak Lorna ma wytłumaczyć siostrze, że kiedyś to było proste – zanim zobaczyła tamten fartuch – lecz nigdy już takie proste nie będzie. Bo znalazła brakujące fragmenty, wypełniła luki. Cięży nad nią pewna historia. Nie jakiś wielki romans. Raczej wstydlivy błąd. I odrzucenie. Ma siostrę bliźniaczkę, z którą nie czuje związku.

– Smutno ci, ciociu? – Pulchne paluszki obejmują jej kolano. – Zgubiłaś króliczka?

Coś w widoku Alfa, jego szeroki uśmiech, oczekiwanie, że ona odpowie równie szczerym uśmiechem, sprawia, że się uspokaja i wyrównuje oddech. Ociera łyzy, bo wie, że on bardzo nie lubi, kiedy ktoś płacze, no, chyba że się skaleczył i trzeba mu przykleić plasterki.

– Alf, nie wierzę, że tu jesteś.

– Tata powiedział, że ma pod opieką za dużo dzieci, żeby jeszcze mną się zajmować.

Louise przewraca oczami ponad jego głowę.

– A mama wsadziła mnie do samochodu i dała serowe chrupki. Dziadek nie

patrzył na mapę, bo powiedział, że taksówkarze nie potrzebują map. No i się zgubiliśmy.

Lorna przyciska dłoń do ust.

– Taty tu nie ma? Powiedz, że go tu nie ma.

– Uparł się. Twierdzi, że się domyśla, o co może chodzić. – Louise krzywi się i zerka w stronę samochodu. – Co miałam robić?

Drzwi po stronie pasażera otwierają się z rozmachem i Doug wygrzebuje się z samochodu. Staje w przymglonym wieczornym słońcu, wystrojony w krzykliwą hawajską koszulę, i po podniesieniu okularów przeciera zaspane oczy.

– O kurde! – sapie.

Lorna, zaskoczona egzotycznym widokiem ojca w idiotycznej koszuli, w pierwszej chwili zapomina języka w gębie, ale szybko się otrząsa, bo wzbiera w niej złość.

– Wiedziałaś, tak?

– Tato, myślę, że macie ze sobą do pogadania. – Louise rzuca mu twarde spojrzenie. – Alf, chodź, pójdziemy na spacer szukać przygód.

Okrągła buzia Alfa poważnieje.

– Chcę znaleźć czarnego króliczka.

– Alfie, to nazwa domu. Porozmawiamy o tym po drodze, dobrze? – Louise bierze go za rękę i odciąga od samochodu. On jednak się wrywa, biegnie z powrotem do Lorny i obejmuje ją za nogi.

– Nie martw się, ciociu! – krzyczy na cały głos. – Znajdę czarnego króliczka.

Rozdział dwudziesty piąty

Amber
Sierpień 1969

– Nie wniesiesz tego paskudztwa do domu! – Głos Caroline odbija się od ceglanego murku warzywniaka jak garść gwoździ i niesie się po tarasie.

Przestajemy się z Tobym kłócić i wyciągamy szyje w stronę ogrodu. Caroline w czerwonej sukni za płotkiem ze sztachet wygląda jak przecięta na cztery części przez asystentkę magika. Podparta pod boki, pochyła się nad Barneyem, który coś tuli w objęciach.

– O czym ta stara jęcza gada? – Toby pręży ramiona gotów do walki.

– Bóg jeden wie – pryham, nadal na niego zła. Pokłóciliśmy się, komu przypadnie ostatni suchy ręcznik bez zapachu mokrej psiej sierści. A tak naprawdę poszło o to, że on chce iść ze mną pływać. Wiem, pilnuje, żebym nie spotkała się z Lucianem za jego plecami. I dlatego się wkurzyłam, bo właśnie taki miałam plan, a on powinien siedzieć teraz w swoim domku na drzewie i strzelać z pistoletu do wiewiórek.

Dom na drzewie ma już trzy albo cztery poziomy – trudno to powiedzieć, podobnie jak określić, z ilu gałązek składa się ptasie gniazdo. Toby przybił kalendarz do jednej ze zbutwiałych desek i odlicza dni do katastrofy, kiedy meteoryt czy coś w tym rodzaju spadnie na Kornwalię. Podobno ma do tego dojść w ostatnim tygodniu sierpnia, na koniec naszego pobytu w Black Rabbit Hall. Wyliczył wszystko skrupulatnie za pomocą rachunku prawdopodobieństwa. Wyszło mu, że to nie tyle prawdopodobne, ile możliwe. Pracował z takim entuzjazmem, jakiego nigdy nie wykazuje w szkole, i teraz rozkoszuje się oczekiwaniem na wielką katastrofę.

Ja nie wierzę, że coś się stanie – to kolejne z ponurych prorocत्व Toby’ego – niemniej dodaje ono dramatyzmu ostatnim dniom wakacji. Wszystko ma swój ciężar gatunkowy, jakby liczyła się każda godzina.

Na coraz krótsze słoneczne dni kładzie się także cieniem świadomość, że Lucian we wrześniu wyjeżdża do Oxfordu. Myśl o naszym rozstaniu jest trudna do zniesienia. Pozostaje nam jedynie trzymać się planu ucieczki. Mamy razem wyjechać do Nowego Jorku, kiedy „nadejdzie odpowiednia pora”, i spaść na głowę ciotce Bay. Bardzo tego pragnę – dziś rano złapałam się na tym, że nieobecna duchem, nagryzmoliłam na globusie kółko przy Nowym Jorku zielonym wyschniętym długopisem – a jednocześnie cierpnę na myśl, że musiałabym opuścić

rodzeństwo. Czy rzeczywiście potrafię złamać serce Toby'emu, ratując własne? Czy mogę zostawić Kitty i Barneya na łasce Caroline? Co pomyślałaby o mnie Mama? Czyby mi to wybaczyła?

Nie umiem znaleźć odpowiedzi na te pytania, pozostaje mi więc jedynie czekać na ponowne spotkanie z Lucianem w Boże Narodzenie i modlić się, żeby do tego czasu nikt się o nas nie dowiedział. To już będzie mały cud. Nawet teraz, stojąc na tarasie, cała pokryta gęsią skórą, w mokrym kostiumie kąpielowym, czuję, że w każdej chwili mogę się zdradzić jakimś nieopatrznym słowem czy gestem.

– No, idzie tu.

Caroline sunie długimi krokami przez taras i mijając nas, rzuca pod nasze bosa stopy:

– Kolacja o siódmej.

– Przynajmniej wiem, kiedy zniknąć – ripostuje Toby tak, aby usłyszała, gdy kierujemy się do warzywniaka.

Dziwny widok: Barney siedzi na grządce truskawek i tuli coś, co wygląda trochę jak czarna poduszka.

Podnosi na nas wzrok z radosnym, szerokim uśmiechem, jakiego dawno u niego nie widziałam; pokazuje przy tym rozchwiany mleczny ząb, który od kilku dni grozi wypadnięciem.

– Co to? – pyta Toby z rezerwą, chociaż oboje widzimy, co to jest. Po prostu nie wierzymy własnym oczom. Przytrzymuję Borisa za obrozę.

– Królik. – Barney uśmiecha się jeszcze promiennie. – Patrzcie.

– Królik? – Pochylamy się niżej, żeby sprawdzić, czy ta futrzana kulka jest naprawdę żywa. Nos wystający spod ramienia Barneya porusza się miarowo. – Dziki?

Barney przecząco kręci głową.

– Lucian mi go dał.

Toby z odrazą wygina usta.

– Lucian?

Barney podbródkiem muska królika po łebku.

– No, w kartonie. Ze sklepu zoologicznego.

– A ja sądziłam, że ty już nie lubisz królików – odzywam się, teraz rozumiejąc, dlaczego Lucian ukradkiem wyjechał rano, nic mi nie mówiąc. Powiedział tylko, że to tajemnica.

– Nie chciałem go dotknąć. Ale Lucian mnie zmusił... Przytknął moje palce do jego uszu. Z początku było dziwnie i tak szybko oddychałem, ale powoli, po kilku głaskach zrobiło mi się przyjemnie. – Podnosi na mnie lśniące miodowo oczy. – Zobacz, jaki on mięciutki. Pogładź go.

Łaskoczę królika za długimi, okłapłymi uszami, w duchu podziwiając

Luciana, który jednym słodkim, przemyślanym gestem wyleczył Barneya z irracjonalnego strachu przed królikami po śmierci Mamy. W przeciwieństwie do nas jemu się udało. Nawet Toby musi mu to oddać.

– Chciałem go nazwać Lucian...

– Jeezuu. – Toby tłumi jęk, zakrywając usta dłonią, a ja walczę ze śmiechem.

– Ale on powiedział, że to chyba nie jest dobry pomysł. No to nazwałem go Old Harry. Tak jak prom. Lucian mówi, że on dorośnie do swego imienia. Nawet króliki się starzeją.

– W takim razie, Old Harry, witaj w Black Rabbit Hall. – Rysuję palcami ścieżkę w błyszczącym futerku.

– Ani się obejrzysz, jak Bartlett wsadzi go do garnka – odzywa się Toby, unosząc śmieszne ucho Old Harry’ego i zaglądając do miękkiej, różowej sakiewki.

– Mniam.

– Przestań – uciszam go.

Barneyowi blednie uśmiech.

– Nie lubisz go?

– Zwierzęta nie budzą we mnie żadnych uczuć. – Toby wzrusza ramionami.

Zgadza się. On je lubi, ale po swojemu. Zjada wszystko, co się rusza.

– Toby, ja nie chciałem go pokochać – wyznaje skruszony Barney. – Bo się bałem, że wtedy stanie się coś złego.

– Złe rzeczy nie dzieją się z miłości – tłumaczę, przyciągając go do siebie.

Toby posyła mi wściekłe spojrzenie.

– A skąd ta pewność?

Przerażona, czuję, jak oblewam się rumieńcem; policzki dosłownie mi płoną, bo wiem, co on podłożył pod moje słowa.

– Czyżbyś chciała mi coś powiedzieć? – Dzień rozpada się z hukiem: kłótnia o ręcznik, królik od Luciana, zaciśnięte pięści brata. – No to jak?

– Nie bądź idiotą, Toby. – Odchodzę z zadartą głową, a mój sekret wisi na krwawej żyłce jak mleczak Barneya. Jedno szarpnięcie i już go nie ma.

Rozdział dwudziesty szósty

Drogi życia nie wytyczają wyłącznie ważne wydarzenia – zgony, śluby, to wszystko, co później zostaje wyryte na nagrobnych tablicach. Liczą się także nigdzie nieodnotowane drobiazgi. Pocałunki. Króliki.

W ciągu mniej więcej tygodnia Old Harry przeistoczył się ze zwykłego królika w bożka z cudownym darem uzdrowienia Barneya. Jak przystało na takie stworzenie, w nocy sypia w kojcu dla kurcząt na starej puchowej kołderce w jedwabnej poszewce. Za dnia amfilada służy mu za wybieg. Kitty wozi go po holu w wózku dla lalek przykrytego kocykiem i jeśli Barneya nie ma w pobliżu, nazywa go Baby Harriet. Nawet Peggy, która z powodu wirusa nadal cierpi na poranne mdłości i widzi w królikach szkodniki, karmi go z ręki młodymi marchewkami.

Caroline, oczywiście, zawłaszcza sukces: pomysł z Old Harrym to dowód łagodnego charakteru Luciana (w przeciwieństwie do brutalnego Toby'ego), a to (w domyśle) świadczy z kolei o jej talentach macierzyńskich. Używa królika jako oręża do antagonizowania Luciana i Toby'ego oraz Toby'ego i taty. Do przeciwstawiania przeszłości przyszłości. (Nic więc dziwnego, że Toby nie znosi Old Harry'ego, a ten natychmiast zmyka z pokoju na jego widok). Kilka dni temu podsłuchałam, jak Caroline mówiła do taty słodkim głosem: „Wiesz, kochanie, Lucian tak bardzo mi ciebie przypomina. To zadziwiające, że jesteście tacy do siebie podobni zarówno pod względem wyglądu, jak i charakteru, a Toby tak bardzo się od ciebie różni”. – Robi przerwę, a tata w tym czasie, jak podejrzewałam, łyknął whiskey albo uśmiechnął się skonsternowany. „Hugo, trzeba się cieszyć, że mamy w rodzinie podobnie myślącego młodego człowieka, który... w razie czego mógłby przejąć zarządzanie Pencraw”.

Tata zaprasza Luciana do biblioteki na wspólne słuchanie jazzu. Toby'ego nigdy nie zaprosił. Złości mnie, że on stara się poznać pasierba, a nie czyni najmniejszego wysiłku, żeby poznać własnego syna. Być może boi się, co mógłby odkryć. A może uważa, że dobrze go zna. Niestety. Tata już nie zna ani mnie, ani brata. Nie ma pojęcia, że oboje jesteśmy zupełnie innymi ludźmi niż chociażby na początku wakacji, że wszystko się zmieniło.

Myślę, że dorośli z czasem „się zużywają” – jak skały obmywane przez morze – a potem kostnieją; ewentualnie stają się powolniejsi i przybywa im siwych włosów oraz takich śmiesznych, pionowych zmarszczek przy uszach. Młodzi

natomiast zmieniają się z tygodnia na tydzień. Jeżeli chce się nas poznać, należy dotrzymywać nam kroku, jak pędzącemu pociągowi, gdy na peronie chce się usłyszeć wołanie z okna wagonu.

Rozdział dwudziesty siódmy

Caroline nie ma zwyczaju pukać.

– Dziewczęta, jeszcze nieubrane?

Czym prędzej nakrywam ręką szyję, tam gdzie po pocałunku Luciana została „malinka”. Kitty, która leży w poprzek na mojej poduszce, rzuca w jej stronę obojętne spojrzenie i powraca do budowania wigwamu ze spinek do włosów.

Caroline patrzy ze złością na but i książki porzrucane na dywanie, na majtki zwisające z oparcia welurowego fotela.

– Posprzątaj tu, Amber. Natychmiast zrób porządek. Życzę sobie, aby Peggy więcej uwagi poświęcała wspólnej części domu, a nie marnowała całego dnia na zbieranie po was rzeczy. Szczególnie teraz, gdy spowalnia ją ta niedyspozycja żołądkowa.

Zaczynam układać książki na stertę. Biedna Peggy. To nie jej wina, że paskudnie się czuje.

– Przyniosłam ci parę nowych sukienek. – Rzuca mi na łóżko pęk ubrań pachnących sklepem.

– Ja nigdy nie dostaję nowych rzeczy – wzdycha Kitty, dokładając kolejną spinkę do wigwamu. Konstrukcja rozsypuje się jak zapałki.

Z ociąganiem podnoszę jedną z sukienek. To burobrązowy bezrękawnik sięgający do połowy łydek, zapinany po samą szyję. W życiu nie widziałam czegoś równie brzydkiego.

– Lee – komentuje współczująco Kitty.

Następna sukienka jest chyba jeszcze gorsza. W bladożółtym kolorze z materiału szorstkiego jak worek jutowy.

– Amber, słowo „dziękuję” byłoby oznaką dobrych manier – zwraca mi uwagę Caroline ostrym tonem.

– Kitty też nie chciałaby ich nosić – odzywa się rezolutnie moja młodsza siostra. – Ani Gałganka.

– Zamilcz, Kitty. – Usta macochy zaciskają się w cienką kreskę. W porannym świetle przefiltrowanym przez bluszcz wydaje się niemal zielona z irytacji.

– To... to bardzo ładnie z twojej strony, Caroline...

– Chcę jedynie, żebyś odpowiednio się ubierała. Zadbaj o wygląd. Na jutro zamówiłam fryzjerkę.

– Fryzjerkę? – Lucian uwielbia moje włosy. Wymógł na mnie obietnicę, że ich nigdy nie zetnę.

Ignorując moje jęśliwe pytanie, otwiera szafę i lekceważąco przesuwa ramiączka z moimi ulubionymi sukienkami, podzwaniając paznokciami o mosiężny pręt.

– Powyrzucam te stare rzeczy.

– O nie! Tylko nie te. – Przecież nie powiem jej, że tego lata upchnęłam do walizki moje ulubione londyńskie ubrania – nie chciałam chodzić w złachanych ciuchach z Black Rabbit Hall – bo wiedziałam, że spotkam się tu z Lucianem. – Są w porządku.

– W porządku? – prychnęła, przekładając całą stertę przez ramię. – Chyba tylko twój ojciec nie dostrzega, że chodzisz w kusych, niesłychanie opiętych sukienkach. One są nieodpowiednie dla dziewczyny w twoim wieku. Jesteś za bardzo... – Jej wzrok pada na moje piersi. Skrępowana, krzyżuję ramiona na nocnej koszuli. Wpatruje się we mnie całą wieczność, jakaś nieobecna myślami, bawiąc się perłami na szyi, po czym odwraca się na pięcie. – Ubierzcie się i zejdźcie na śniadanie, bo jeszcze trochę i będzie czas na obiad – rzuca z wściekłością przez ramię.

Cierpnę na myśl, że Lucian mógłby mnie zobaczyć w tym szkaradztwie, rzucam więc brązową sukienkę w kąt i nakładam tę, którą kupiłam z Matildą w Chelsea – brzoskwiniową, do kolan, z białymi guzikami wielkości ciasteczek – i prowokująco schodzę w niej na śniadanie.

Oczy Caroline tną ją na mnie jak nożyce, ale macocha powstrzymuje się od komentarza. Z opanowaniem odkłada nożyk do masła na śnieżnobiały obrus i chłodnym tonem zwraca się do Luciana:

– Kochanie, pomyślałam, że moglibyśmy zaprosić na ten weekend Belinę. Niedługo wyjedziesz do Oxfordu. Zostało już niewiele weekendów.

Okrucie grzanki więźnie mi w gardle. Krztusząc się, zbyt gwałtownie podnoszę szklankę i ochlapuję wodą przód sukienki.

– Mamo, to nie jest miejsce w typie Belindy – odpowiada, siląc się na obojętny ton.

– Bzdura. Będzie zachwycona Pencraw. – Caroline z powrotem bierze nożyk i rozsmarowuje cienko masło na grzance. – Jibby Somerville-Rourke, ciotka Belindy. Kojarzysz Jibby? Z wesela? Tę, co tak sepleni?

Lucian przytakuje skinieniem głowy i rzuca mi spanikowane spojrzenie. Czuję ulgę, że Toby zlekceważył obowiązek uczestniczenia we wspólnym śniadaniu. Natychmiast wychwyciłby nasze zdenerwowanie.

– Biedaczka ponownie napisała, zobowiązując mnie do zaproszenia Belindy, oczywiście wraz z nią w charakterze przyzwoitki. Podobno Belinda liczy na zaproszenie, a tymczasem ono jakoś nie nadchodzi. – Przechyliła się ku Lucianowi, a on natychmiast się cofa. – Kochanie, odnoszę wrażenie, że ona zagięła na ciebie

parol.

Bawię się guzikiem przy sukience, policzki mi płoną i z trudem łykam ślinę przez ściśnięte gardło. Belinda. Bogata, piękna Belinda.

– Chciałem w weekend pomóc Toby’emu. – W głosie Luciana słyszę zadyszkę. – Ma coś konstruować nad rzeką, prawda, Barney?

– Most linowy. – Barney zlizuje z łyżki dżem renklodowy. Uśmiecha się. – Straszny. Nie ma boków.

– Taki jest najlepszy. – Lucian stara się rozładować atmosferę, lecz nie za bardzo mu to wychodzi.

– Ale Toby nie będzie chciał, żebyś mu pomagał – oznajmia radośnie Kitty. – Nie lubi, jak do nas dołączasz, pamiętasz?

Caroline uśmiecha się pod nosem, zadowolona, że ma kolejny dowód wrogości Toby’ego. Wiem, że później doniesie o tym tacie.

– A ja chcę poznać Belinę. Podoba mi się to imię – papla irytująco Kitty. Gałanka zgina się w pół na jej kolanach. – U nas w szkole jest jedna Belinda. Ma najdłuższy warkocz w klasie. Jej niania w piątce zawiązuje na nim różową kokardę.

– Kitty, ta twoja niechlujna lalka wpadła w marmoladę. Proszę ją natychmiast wyjąć. Lucianie – Caroline przybiera mentorski ton – od tygodni nie widzisz się ze swoimi znajomymi. Uważam, że nie zaszkodziłoby im się przypomnieć, zanim wrócisz do cywilizowanego świata. I jak najbardziej masz prawo zaprosić ich tutaj. To jest teraz również twój dom. – Zerka na puste krzesło Toby’ego. – I nie pozwól, aby ktokolwiek uważał inaczej.

– W takim razie, korzystając z mojego prawa, nie zaproszę ich tutaj! – Lucian podnosi głos: – Ani Belindy. Ani nikogo innego.

– Uhm. – Caroline zaciska szczęki. Na jej skroni pojawia się żyłka. – No cóż, zakończmy na razie tę dyskusję. Nie znoszę takich emocjonalnych wystąpień przed dziewiątą rano. Są niestrawne.

*

Następnego dnia fryzjerka – masywna kobieta o antypatycznym wyglądzie, z nietwarzową grzywą, którą wiatr zwiewa jej z czoła – ciężko stąpając, z ponurą determinacją wspina się po kamiennych stopniach, ciągnąc duży sakwojaż z brązowej skóry. Zupełnie jak chirurg, który przybywa zrobić amputację – żartuje ponuro Toby, po czym czmycha do lasu, dalej roić o burzy meteorów.

Fryzjerka – zdaje się, Betty, bo przedstawia się mrukliwie, jakby wolała pozostać anonimowa – urządza się w kuchni, z dala od robotników, którzy zjawili się rano i teraz tupią na górze, nie wiadomo co tam robiąc. Grubymi rzeźnickimi paluchami rozkłada na kuchennym stole swoje przybory: grzebienie, nożyczki, niebieski słoik z brylantyną. Bartlett częstuje ją herbatą i ciastem, które ona przeżuwa trochę jak krowa.

Upieram się, żeby być ostatnia w kolejce, siadam na stołku i obserwuję.

Betty wcale nie jest brutalna, jak można by sądzić z wyglądu. Lucian z krótszymi włosami i przyciętymi pejsami wydaje się jeszcze bardziej przystojny. (Podnoszę kosmyk lśniących, ciemnych włosów i chowam do kieszeni). Loczki Kitty nie zostają zmasakrowane. Barneyowi wreszcie grzywka nie wpada do oczu. Ostrzyżony, w podskokach wybiega z kuchni z królikiem na ramieniu i na pożegnanie macha do mnie dłonią przyłożoną do pupy, która ma udawać ogonek.

– No, kochana, twoja kolej. – Fryzjerka wskazuje mi kuchenne krzesło i odgarnia nogą stertę włosów na podłodze.

Siedzę sztywno wyprostowana, z dłońmi splecionymi na podołku, zdecydowana zgodzić się na skrócenie włosów najwyżej o cal. Palce fryzjerki pachną włosami i skórą na głowie, gdy rozczesuje pasma i tnie je zimnymi metalowymi nożyczkami. Mam wrażenie, że całe wieki tkwię na tym krześle.

– Gotowe – oznajmia w końcu i sprawnie zgarnia akcesoria do sakwojażu.

Moja głowa wydaje się taka lekka, jakby miała oderwać się od tułowia i poszybować jak balon. Długie, rude pukle wiją się na kamiennej posadzce. Dotykam szyi, gdzie powinny być włosy, i natrafiam na pustkę.

Przerażona, pędzę obejrzeć się w lustrze. Natychmiast natykam się na Luciana. Kręci się przy schowku na szczołki, jakby czekał tam przez cały czas.

– Nie patrz na mnie! – Ze łzami w oczach zasłaniam głowę rękami. – Nie patrz!

Wciąga mnie do przedsionka i całuje po szyi, mrucząc, że teraz może się w nią wessać jak wampir, co mimo wszystko jest zabawne. Po chwili dochodzą nas kroki na schodach i odskakujemy od siebie spłoszeni.

Nieco podniesiona na duchu wchodzę po pokoju Toby'ego. Leży na podłodze z bosymi stopami na ścianie i scyzorykiem obiera trzymane nad głową twarde, wczesne jabłko.

– Zobacz – mówię, licząc, że pochwali moją nową fryzurę. Nadal zależy mi na jego aprobacie. – Popatrz, jak mnie ostrzygła!

– No, wycięła z ciebie Mamę, siostrzyczko – mówi łagodnie i z powrotem skupia się na jabłku. – Wiedziałem, że tak będzie.

– Mogłeś mnie ostrzec! – wrzeszczę, wychodząc i trzaskając drzwiami.

– Ostrzegałem! – słyszę zza zamkniętych drzwi.

*

– Toby, coś się stało! – krzyczę przez ściśnięte gardło, wpadając do jego sypialni parę minut później. Leży dokładnie tam, gdzie go zostawiłam, skórka zwisa z jabłka długą spiralą, odsłaniając biało-zielony miąższ.

– Już mi zademonstrowałaś nową fryzurę. – Jeden zręczny ruch noża i skórka spada na podłogę. – Włosy odrastają.

– Nie o to chodzi. Zapomnij o włosach. To coś o wiele gorszego.

Spogląda na mnie ze zdziwioną miną.

– Przecież do ostatniego dnia wakacji nic takiego nie ma się wydarzyć.

– Nie... nie chodzi o twoje idiotyczne planetarne fantazje. To jest naprawdę straszne. W holu. Chodź! Sam zobaczysz.

Portret, który zastąpił tamten, Mamy, jest znacznie większy. Nie tylko pod względem rozmiaru. Postać Caroline zdaje się wystawać z masywnych, rzeźbionych, połączonych ram, emanując szczególnym chłodem na cały hol. Obraz oddaje nie tylko fizyczne podobieństwo – mimo że Caroline jest na nim sporo młodsza – lecz również odzwierciedla jej wybujałe ambicje.

– Suka – syczy Toby przez zaciśnięte zęby. – Głupia suka. – Ciska obrane jabłko na kafle i wyciąga scyzoryk z kieszeni. – Wybebeszę ją jak rybę.

Chwytam go za ramię, nóż drży w powietrzu.

– Nie. Jak tata wróci, to go zdejmie.

– Tata? Dlaczego ty jeszcze w niego wierzysz? – Wyszarpuje rękę. – Nie widzisz, co się tutaj dzieje?

– On uwielbia ten portret Mamy. Nikomu nie pozwoli usunąć go z holu.

– Naiwna. Czy ty nic nie rozumiesz, Amber? Tu nie chodzi o uczucia, tylko o władzę. Liczą się pieniądze.

– Co?

– Caroline jest bogata. My jesteśmy biedni.

– Nie bądź śmieszny.

– Amber, tata zawałił sprawy finansowe. Stracił dużo pieniędzy po śmierci Mamy, a jak sama wiesz, nigdy nam się nie przelewało. Nie stać go na utrzymanie domu.

– W Black Rabbit Hall nigdy nie było luksusów. I nikomu to nie przeszkadza.

– Caroline przeszkadza. I będzie tak długo inwestować w dom, aż w końcu go zawłaszczy.

– On nadal należy do taty. Jest nasz. Twój.

Twarz Toby'ego tężeje, staje się zimna, obojętna.

– Osoba, o której myślisz jako o tacie, już nie istnieje. To ktoś zupełnie inny.

– Nie – protestuję, bo nie chcę tego przyjąć do wiadomości. – Nie mów tak.

– My wszyscy też się zmieniliśmy, prawda? – przypomina mi. – A wszystko przez Caroline i Luciana.

– Lucian nie ma z tym nic wspólnego... – instynktownie staję w jego obronie, zanim zdążę pomyśleć.

– Lucian nie ma z tym nic wspólnego... – przedrzeźnia mnie wysokim, dziewczęcym głosem. – Lucian, miłośnik królików. Lucian, idealny syn. Amber, do diaska, ocknij się wreszcie!

Trzęsę się cała. Boję się, że wymknie mi się coś, co lepiej zachować dla siebie. Chcę odejść, lecz Toby mi nie pozwala.

– Patrz! – Przytrzymuje mnie za ramię, machając szaleńczo nożem w kierunku portretu. – To pryszcz. Nawet nie początek. Zaledwie rozgrzewka. Znikną wszelkie ślady po naszej rodzinie. Zostaną stąd usunięte jak portret Mamy. A ponieważ jesteśmy jej częścią, nas też się w końcu pozbędzie. Przede wszystkim ciebie. Tak, ciebie, Amber. W jej oczach jesteś Mamą. Z każdym dniem robisz się coraz bardziej do niej podobna. Dlatego sprowadziła fryzjerkę, żeby obciąła ci włosy. Dlatego ubiera cię w te ohydne kiecki, nie widzisz tego?! – krzyczy, jakby to wszystko była moja wina. – Pozbycie się ciebie to jedyny sposób na ostateczne usunięcie stąd śladów Mamy!

Nie śmiem napomknąć, że moim zdaniem ona chce mnie obrzydzić Lucianowi, ponieważ podejrzewa, że między nami coś jest. Wolę nie podsuwać tej myśli Toby'emu, bo ziarno zasiane w jego głowie tylko czeka, żeby się przedrzeć na światło dzienne, jak pęd kolczastych jeżyn przez szparę w deskach podłogi.

– Minie jedno pokolenie i w Black Rabbit Hall nikt nie będzie pamiętał o Altonach. – Toby, jakby pomniejszony przez rozmiar portretu, wwierca się w niego oczyma. – Prawdopodobnie zniknie sam Black Rabbit Hall. Bo ona go sprzeda. A potem podzieli go na mieszkania albo urządzi tu dom starców czy coś w tym rodzaju.

– Bzdura – ucinam drżącym głosem. – Jesteś najstarszym synem, spadkobiercą.

Toby wydaje z siebie dziwny, głuchy śmiech.

– Caroline szykuje na to miejsce Luciana i dobrze o tym wiesz.

– Lucian nigdy by się na to nie zgodził...

Zwinnym ruchem zachodzi mnie od frontu.

– Skąd wiesz? Skąd możesz być tak cholernie pewna, czy Lucian się zgodzi, czy nie? – Jego oddech mdląco owiewa mi twarz.

– Bo... – Więcej nie chce mi przejść przez usta.

– Bo co, Amber? – Mruży oczy; patrzy na mnie lodowato spod sterczących, rudych rzęs.

– On jest po naszej stronie.

– Tak ci mówi? Jesteś aż tak naiwna?

– Nic z tego, co się dzieje, nie jest jego winą. – Wiem, że powinnam się zamknąć. Ale nie mogę. Chcę, żeby to do niego dotarło.

– Nie... próbuj go bronić – mówi bardzo cicho z gardłowym pomrukiem. – Nie, gdy trzymam nóż. – Ma rozszerzone źrenice i obłąd w oczach.

– Bo co? Pchniesz mnie nożem? – Podnoszę rękę i prowokująco przyciskam nagie ramię do zimnego ostrza. Furia, frustracja, miłość, to wszystko we mnie puszcza. – I co, wtedy będziesz miał mnie na zawsze, tak? Będziemy tylko my

dwoje. Zatargasz mnie do swojego pokoju! – zaczynam krzyczeć. – Posadzisz w pluszowym fotelu... i... i zostawisz, dopóki nie zgniję, a potem wypolerujesz szczątki tą swoją specjalną ściereczką i dołączysz do kolekcji kości!

Toby jest wyraźnie wstrząśnięty. Cofa nóż.

– Co?! O czym ty, do diaska, mówisz?

– Ty. Nie. Pozwolisz. Mi. Odejść – łkam, zalewając się łzami.

– Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy. Nigdy bym cię nie skrzywdził. – Z łoskotem ciska nóż na posadzkę. Chwyta mnie za ramiona, jakby chciał coś ze mnie wytrząsnąć. A ja cały czas beczę. – Przestań, przestań, przestań – powtarza, aż wreszcie się uspokajam. – Pamiętasz, co sobie przyrzekliśmy po śmierci Mamy? – pyta.

Zamykam oczy, żeby się od niego odgradzić. Jednak to nie pomaga, bo on jest we mnie.

– Pamiętasz?

Chcę powiedzieć, że tak. Jednak przez poczucie winy słowa więzną mi w gardle.

– Patrz na mnie. – Szuka czegoś w moich oczach. Uciekam spojrzeniem, bo nie chcę, żeby cokolwiek z niego wyczytał, a wtedy on szorstkim ruchem unosi mi podbródek, zmuszając, żebym patrzyła mu w oczy. – Ty. Ja. My. Zawsze, my. To sobie przysięgliśmy. Pamiętasz? Powiedz, że pamiętasz. Powiedz to. Na głos.

– My – szepczę i po tym jednym zwykłym słowie do oczu napływają mi łzy.

Rozdział dwudziesty ósmy

Lorna

– Tato, nie możesz przebierać we wspomnieniach, jak ci się żywnie podoba. Koniec z tym. – Lorna, zła, odwraca się na pięcie. Wie jednak, że ojciec podąża za nią; kątem oka widzi hawajską koszulę unoszącą się w rytm oddechu, słyszy skrzypnięcie stawów w kolanach, gdy on siada ciężko na brzegu wyschniętego trawnika z głową opartą na rękach. Lorna schodzi na podjazd i kieruje się w stronę domu. W oparach gorącego letniego wieczoru Black Rabbit Hall nie wygląda na kamienną budowlę; drży i migocze jak utkany z powietrza.

– Niech będzie, Sheila raz wspomniała o Pencraw Hall! – woła za nią Doug.

Lorna odwraca się gwałtownie.

– Co?

Ojciec pociera twarz dłonią. Przez większość swojego małżeńskiego życia nauczył się ostrożnie omijać ten niewygodny temat i teraz trudno mu się przełamać, nawet jeśli ma to o wiele większe znaczenie niż kiedykolwiek dotąd.

– Powiedziała... że kobiecie w ośrodku adopcyjnym wymknęło się coś o dużym domu...

– O Pencraw Hall? – Wraca biegiem do ojca i klęka na trawie, patrząc mu z bliska w twarz, aby dostrzec najmniejsze wahanie w jego łagodnych, brązowych oczach. – Chodziło o Pencraw Hall, tak?

– Nie powiem ci na sto procent. Ale mogło tak być. – Zakłopotany, wbija wzrok w dłoń.

– I dlatego nie chciałeś, żebyśmy tu urządzili wesele? – Nagle żałuje, że Louise dyskretnie zostawiła ich samych i zniknęła z Alfem gdzieś w lesie. Siostra nie pozwoliłaby ojcu wykręcać się od odpowiedzi na niewygodne pytania.

Przytakuje skinieniem głowy i odciąga kołnierzyk koszuli od spoconej szyi.

– Wiedziałem, że nic dobrego z tego nie wyniknie. I miałem rację, nie zaprzeczysz. – Twarz ojca się zapada. – Popatrz na siebie. Tylko spójrz. Serce mi się kraje. – Do oczu napływają mu łzy. Ociera je kostkami dłoni. – Teraz twoje życie jest z Jonem, córuś. Nie tutaj.

– Tato, to miejsce to też moje życie. Chyba jakaś część mnie to wiedziała. Nie mam pojęcia, jakim cudem, ale nabrałam takiej pewności, jak tylko weszłam do tego domu. To się stało na schodach. Dokładnie w tamtym momencie.

– Tak mi przykro, tak przykro, kochanie.

Lorna potrząsa głową, w gardle ma smak łez.

– Zawsze się bałam, że coś jest ze mną nie tak, teraz wiem to na pewno – mówi gorączkowo.

– Przestań, Lorno. To nieprawda.

– Odrzucona bliźniaczka! Czy coś takiego nie zostawia skazy na psychice?

– Masz silną konstrukcję i dobrze o tym wiesz.

– Nie, tato, wcale nie. Wiem tylko, że Jon pochodzi z sympatycznej, normalnej rodziny i takie obciążenie nie jest mu potrzebne. Matka jego dzieci, przekazująca im jakieś pokrecone geny. Nie sądzę, aby... – Łzy dławią ją w gardle. Słowa tłumi szloch.

– Dlaczego on w ogóle miałby coś takiego pomyśleć? Jon cię uwielbia. A ty wspaniale radzisz sobie z dziećmi. Zawsze tak było.

– A jeżeli jestem podobna do biologicznej matki? Kobiety, która wybiera jedno z bliźniąt i odrzuca drugie? Jaka kobieta tak postępuje? Tak właśnie będzie myślał. Ja o tym tak... myślę – dodaje i zrozpaczona chowa twarz w dłoniach.

– Córku, chodź do mnie. – Przygarnia ją do siebie. Lorna słyszy bicie jego serca, w nozdrzach ma zapach herbaty, proszku do prania i potu. – Widzę, że ponosi cię wyobraźnia.

– Nieprawda. Coś stało się dla niej potwornie jasne. Odrywa się od ojca.

– Nie mogę wyjść za Jona. Zadzwoń do niego i wszystko mu powiem. – Szuka w torbie komórki. – Nie mam prawa go w to wciągać.

Doug przytrzymuje ją za ramiona.

– Przestań. Uspokój się. Pamiętasz, co mówiła babcia? Życiowych decyzji nie podejmuje się ani w stresie, ani z pustym żołądkiem. – Ruchem głowy wskazuje telefon w jej drżącej dłoni. – Wrzuć go z powrotem do torebki. Pytaj, o co chcesz. Powiem wszystko, co wiem.

Lorna ociera łzy i chowa komórkę.

– Tato, chcę usłyszeć całą historię. – Nachodzi ją myśl, że jeżeli nie zna się początku własnej historii – nawet gdy ten początek nie należy do przyjemnych i samemu by się takiego nie napisało – to nie ma mowy o poznaniu dalszego ciągu, nie mówiąc już o zakończeniu. – Tylko niczego nie przemilczaj.

– Dobrze. – Ojciec długo i głośno wydmuchuje nos, żeby zyskać na czasie. – Przede wszystkim musisz pamiętać, że w tamtych latach ośrodki adopcyjne niechętnie udzielały jakichkolwiek informacji. A twoja mama też nie była zbyt rozmowna.

– Chwila. Chcesz powiedzieć, że znasz wagę spermy wieloryba, pamiętasz listę przebojów z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku i mnóstwo innych takich... kompletnie bzdurnych i niepotrzebnych rzeczy, a nie wiesz nic o pochodzeniu własnej córki?

Ojciec się wzdryga.

– No, tak jakby.

– Jasny gwint.

– Nie obchodziło mnie, czy urodziłaś się w slumsach, czy w Buckingham Palace, nie rozumiesz tego? – Zakłada jej za ucho pasemko wilgotnych włosów. – Byłaś moją śliczną Lorną. Nadal nią jesteś. I zawsze będziesz. Nieważne, skąd pochodzisz. To dla mnie było i jest bez znaczenia.

– Ale dla mnie ma znaczenie. – W jej oczach pojawia się gniewny błysk.

Doug jest wyraźnie zbity z tropu.

– Zawsze twierdziłaś, że to cię nie obchodzi. Mówiłaś mnie i Sheili, że nie chcesz odnaleźć biologicznych rodziców. Gdyby ci na tym zależało, próbowalibyśmy ci pomóc.

– Jak niby mama miałyby mi pomóc, skoro wymawiając samo słowo „adopcja”, miała taką minę, jakby połknęła szerszenia? Dlaczego nigdy się o tym nie rozmawiało?

– Hmm, widzisz... z perspektywy czasu to może wszystko nie wydaje się takim dramatem, lecz musisz wiedzieć, że matka przeżyła kilka poronień – dokładnie pięć – zanim u nas nastałaś. Była załamana, Lorno. Nie wierzyła, że uda jej się donosić ciążę. Chyba zawsze myślała o tobie jak o kimś nie do końca jej, a to wynikało ze strachu, że być może kiedyś zechcesz odszukać matkę, i ta obawa ją paraliżowała.

– Ja też miałam uczucia. I swoje prawa – szepcze Lorna, pociągając nosem. Wiedziała o poronieniach, lecz nie przypuszczała, że było ich aż tyle. Biedna mama.

– Lata siedemdziesiąte, osiemdziesiąte to zupełnie inne czasy. Z dziećmi na pewne tematy się nie rozmawiało, nie tak jak teraz... – Doug milknie na chwilę. – Niektóre dzieciaki nawet nie wiedziały, że są adoptowane. Uważano, że tak będzie najlepiej. Żeby nie komplikować spraw.

– Ale po co te przyjazdy do Kornwalii? Nie lepiej było trzymać się z daleka?

Doug się rozpogadza.

– Kochała ją, od zawsze. Sama przyjeżdżała tu jako dziecko. I myślę, że gdzieś głębi serca miała takie uczucie, że w pewnym sensie ta ziemia jej ciebie darowała. Lorno, możesz mi wierzyć, to był najszcześniejszy dzień, gdy wzięła cię w ramiona. Wszystko działo się tak szybko. Zaledwie kilka dni wcześniej dostaliśmy telefon. Kornwalijskie niemowlę, powiedzieli, jesteście zainteresowani? Sheila widziała w tym zrzędzenie losu.

– Jednak nadal nie rozumiem, czemu przywoziła mnie do tego domu. To przecież nie ma sensu, tato. Po prostu się nie klei.

– Zgadzam się z tobą. – Kręci głową. – Pamiętasz słabość matki do takich miejsc. Zaczytywała się w głupich historycznych romansach. Może... – zastanawia się nad czymś i odrzuca tę myśl, potrząsając głową – ...nie, nie wiem. – Bierze Lornę za rękę. – Jestem pewien, że któregoś dnia wszystko by ci opowiedziała.

– Któregoś dnia? Tato, ja mam trzydzieści dwa lata!

– Nie wiedziała, że się przewróci, prawda? – Jego oczy w czerwonych obwódkach błagają o zrozumienie. – Przecież nie wiadomo, co komu pisane. Gdybyśmy to wiedzieli, wszyscy w porę uwalnialibyśmy się od ciężących nam spraw.

– O mój Boże. – Lorna przyciska dłoń do ust, na moment zamiera jej serce. – Tato, ty masz rację. – Nie ma czasu do stracenia. Podrywa się z ziemi i wzbija chmurę kurzu. Jeżeli się pospieszy – myśli – może cofnie się w czasie, przebije ciemność odrobiną światła.

*

W salonie oczy Dill robią się duże pod szopą włosów, zmiotka wypada jej z ręki. Lorna, zasapana po biegu, staje zgięta w pół z dłońmi wspartymi na kolanach i wpatrzona w twarz dziewczyny, szuka powiązań, podobieństwa. W rezultacie czuje jedynie zwątpienie i lekkie zażenowanie.

– Hej! – Dill uśmiecha się niewyraźnie.

Jak powinny się zachować dawno rozdzielone siostry? Uściskać się? Wyciągnąć? Lorna nie jest na to gotowa. Bąka więc coś bez ładu i składu o ojcu, siostrze i siostrzeńcu, którzy właśnie przyjechali do Black Rabbit Hall (słowo „siostra” jakoś tak trudno przechodzi przez usta), i że musi pilnie zobaczyć się z panią Alton, zanim będzie za późno.

Dill o nic nie pyta – Lorna rozważa, czy ona się domyśla – i proponuje, żeby poszukała białej ławki przy klifie. Niech wypatruje niebieskiego sportowego samochodu. Potem zerka na jej białe stopy. Może weźmie jakieś buty? W trawie jest pełno os. I gnijących spadów.

Właśnie, Lornie myśli wirują w głowie, to czas dojrzałych jesiennych jabłek. A po zbiorach śmierć i rozkład. Może pani Alton akurat w tej chwili gaśnie, zapada się i kurczy jak miękkie, szerniałe jabłko. Dlaczego nie miałyby się to stać teraz? Albo za pięć minut? Za dziesięć? Właśnie tak było z jej matką. Zmarła i zabrała ze sobą wszystkie tajemnice. Nie może do tego po raz drugi dopuścić.

Lorna, szurając ciężkimi, pożyczonymi gumiakami, dociera do krawędzi lasu. Zadyszana, opiera dłoń na zimnym żelazie bramki i wtedy uderza ją myśl, że to właśnie tutaj się zaczęło. Łapczywie wciąga powietrze, a wraz z nim żywiczny zapach sosny. Las – drzewo – początek wszystkiego.

Dziecięcy wesoły okrzyk. Wzdryga się, niepewna, czy rzeczywiście coś słyszała, czy to raczej wytwór jej wyobraźni, lecz już po chwili śmiech Alfa odbija się od drzew; dzieciak śmieje się sam do siebie. Tak samo mógł się śmiać Barney – myśli i przymyka na moment powieki, chłonąc te radosne dźwięki, które wypełniają ją trudną do wyjaśnienia odwagą.

Przecina pole, nie bojąc się dłużej rogatych krów, ospale sunących w jej

stronę. Wchodzi na drogę na klifie. Za trzecim zakrętem dobiega ją łopot, jakby odgłos powiewającej plandeki namiotu, która zerwała się z kołków. W szczelinach żywopłotu miga poszarpany dach kabrioletu. Nieco dalej na białej ławce siedzi pani Alton i wsparta na lasce, wpatruje się w morze, które zmienia barwę z porcelanowoniebieskiej na butelkowozieloną. Bryza znad klifu igra z jej szarą pelerynką i burzy fryzurę.

Lorna przystaje, jeszcze gotowa się wycofać. Czy na pewno chce poznać odpowiedź na swoje pytania? Czy możliwe, aby ona i Jon nigdy nie wracali w rozmowach do Black Rabbit Hall? Udawali, że tego lata nic szczególnego się nie wydarzyło? Przez ułamek sekundy prawie wierzy, że to się uda, że wystarczy zawrócić i odejść, zamknąć przeszłość w kartonie, tak jak zrobiła jej matka. Wyobraźnia podsuwa Lornie obraz Peggy Popple na tej samej ławce – to działo się ponad trzy dekady temu, lecz morze, odgłosy, zapachy były przecież takie same – jak poluzowuje wiązania fartucha i kładzie spracowane ręce na ciepłej wypukłości, gdzie jej dzieci pływają we własnych, ciemnych wodach. Teraz Lorna wie, że nie ma odwrotu. Już za późno.

– Pani Alton – woła półgłosem.

Stara kobieta nie ogląda się, lecz drgnięcie pleców świadczy, że usłyszała.

– Mogę? – Lorna podchodzi i siada. Czuje wilgotny chłód ławki przez bawełnianą sukienkę, gumki ciężą jej na nogach.

– Oczywiście. – W bezlitosnym, nadmorskim świetle Lorna widzi na jej rzęsach drobinki pudru. Ściągnięta twarz przypomina mordkę gronostaja. Gruba warstwa makijażu nie może zatuszować gąbczastych, sinych worków pod oczami. Tak, ona zdecydowanie źle wygląda.

*

– Pani Alton, muszę z panią porozmawiać.

– Niewątpliwie. – Starsza kobieta odpowiada zrezygnowanym tonem kogoś, kto wie, że nie uniknie pytań. Wiatr unosi jej przerzedzone włosy, odsłaniając czaszkę obciążoną bladą skórą.

– Chodzi o moją... – Słowa grzęzną Lornie w gardle. – O moją matkę.

– Tak. Dill mnie uprzedziła. Gadała jak nakręcona. Nie wiem, co w nią wstąpiło.

– Pani... znała moją matkę? – wyjąkuje Lorna. Szumi jej w uszach; strach, podniecenie, pulsowanie krwi, to wszystko przypomina odgłos płynącej wody.

– Aż za dobrze. – Twarz pani Alton pozostaje nieprzenikniona.

– Jaka była moja... jaka ona była?

Kulik sfruwa z klifu; powietrze, niczym niewidzialne palce, czesze mu pióra.

– Jaka była twoja matka? – powtarza pani Alton, a to pytanie w jej ustach brzmi banalnie, zważywszy na wagę tematu. – Moja droga, to zależy, zresztą jak

wszystko, od tego, kogo się pyta.

– Panią pytam – mówi z naciskiem Lorna. W tej chwili nie zamierza pozwolić tej kobiecie na żadne wybiegi.

– Odpowiem dyplomatycznie. – Pani Alton wpatruje się ponuro w pociemniałe morze. – Masz jej uśmiech.

Och. Lorna zamyka oczy z uczuciem ulgi. Ma uśmiech taki sam jak ktoś jeszcze. Ta odrobina wiedzy wydaje się niezwykle cenna. Ileż razy przez te wszystkie lata, patrząc w lustro, snuła tysiące domysłów?

– Kiedy śpisz... – Jej rozmówczyni kaszle i splota w chusteczkę. – Śpisz jakby rozrzucona, z ramionami wyciągniętymi nad głową. Ona dokładnie tak samo spała.

A więc jednak się nie myliła, pani Alton zaglądała do apartamentu dla nowożeńców. Stąd ślady laski przy drzwiach. Może stała nad nią, gdy spała otępią po tamtych tabletkach? Kto wie, czy specjalnie jej nimi nie poczęstowała? – Po kręgosłupie Lorny przebiega lekki dreszcz.

– Moja droga. – Pani Alton przysuwa się bliżej; jej twarz to księżycowy krajobraz z kraterami zapudrowanych porów. – Tamtego wieczoru, gdy wypytywałam mnie pod pretekstem zbierania materiałów do strony internetowej, czy czegoś w tym rodzaju, widziałam w tym sprawcze działanie pewnych sił.

– Sił? – Lornie unoszą się włoski na przedramionach. – Ja... nie rozumiem.

– Och, zrozumiesz – odpowiada chłodno, kierując z powrotem wzrok na morze. – Te wszystkie lata nauczyły mnie nie bagatelizować wpływu Pencraw.

Stado mew podrywa się ze skał z przeraźliwym jazgotem, jakby coś je stamtąd spłoszyło. Nagle Lorna żałuje, że nie może, tak jak one, stąd zniknąć. To głupie, ale czuje się dziwnie bezbronna.

– Oczywiście, twoja matka mnie nienawidziła. Nie będę udawać, że było inaczej.

– Przepraszam? – Chyba się przesłyszała.

– Nie byłam Nancy. Nie byłam zwariowaną Amerykanką, idealną i martwą. Ten problem cały czas mi towarzyszył. – Zaciska szczęki. – Zostałam skazana na przegraną.

Lorna się wzdryga. Czy przeraził ją bezwzględny opis pierwszej żony, czy raczej zawziętość tej starej kobiety, która nie potrafi się opanować, nawet stojąc nad grobem.

– To była walka od pierwszego dnia. – Laska zaczyna drżeć w gnieździe zdeformowanych palców. – Jak się okazało, walka na śmierć i życie.

Wiatr, który niespodziewanie się zrywa, wciska się Lornie w nozdrza i szarpie ją za włosy, jakby słowa pani Alton obudziły żywioły. Odsuwa się dyskretnie.

– Bez przerwy wracam myślami do początku, usiłuję zrozumieć. Och, Boże.

– Kręci głową z rezygnacją. – Tamta okropna chwila w garderobie.

– Co się wydarzyło w garderobie? – Głos Lorny brzmi piskliwie, dłonie zaciskają się na krawędzi ławki.

– Zmieniłam się w potwora, za jakiego wszyscy mnie uważali. Stałam się taką kobietą, Lorno. – Odwraca się do niej gwałtownie. – Nie widzisz tego? Oczywiście, że widzisz!

– Przepraszam, ja naprawdę nie rozumiem... – Ta rozmowa robi się mroczna i chaotyczna. Lorna wciska stopy w gumki, gotowa wstać z ławki.

– To było kłamstwo, głupie kłamstwo spowodowane rozpaczą, ale urosło... urosło do... – Pani Alton zaciska powieki. Kiwa się na ławce. Pelerynka trzepocze na wietrze jak skrzydła. Dziwnie wygląda. Lorna nie jest pewna, czy to przypadkiem nie jest jakiś dementywny odlot, ucieczka we własne światy. – Idealny sierpniowy wieczór – mruczy pod nosem. – Błękitne niebo. Niewiarygodne, że w taki dzień ktoś może umrzeć.

Lorna nabiera przekonania, że pani Alton posunęła się do jakiejś potworności.

– Nie musi mi pani o tym mówić.

– Muszę. – Otwiera oczy, uśmiecha się. – Czy Endellion poinformowała cię, że niewiele czasu mi zostało?

– Przykro mi.

– Och, nie musi ci być przykro – zbywa ją lekceważąco. – Żyłam dłużej, niż ktokolwiek się spodziewał czy sobie życzył. Trzymaj się z daleka od szpitali, a dożyjesz starości. Zapamiętaj to sobie.

Lorna podnosi się z ławki. Ma dość tej rozmowy o jakichś strasznych kłamstwach i śmierci w idealny wieczór.

– Mam poszukać Dill? Chciałaby pani? Może przyda się pomoc przy powrocie do domu?

– Widzisz, zatrzymanie dziecka absolutnie nie wchodziło w grę.

Lorna analizuje te słowa, obraca każde z nich w myślach, bojąc się, że źle je interpretuje.

– Pani Alton, stara się pani powiedzieć, że moja matka chciała zatrzymać...

– Tak, chciała cię zatrzymać – potwierdza obojętnym tonem. – Bardzo chciała. – Wyciąga rękę i trzyma ją w powietrzu, dopóki Lorna jej nie ujmie, żeby pomóc podnieść z ławki to kruche ciało. – Chodź. Pokażę ci pokój, gdzie się urodziłaś. O ile najpierw podprowadzisz mnie do samochodu. Nie widzę już tak dobrze jak dawniej.

*

– Przeklęta kierownica! – Pani Alton uderza dłonią w krytą skórą obręcz. – Ma luzy od siedemdziesiątego piątego roku.

– Proszę poczekać. Nie! – Lorna chwyta się za żołądek, bo na widok uskoku przed nimi robi jej się słabo; nos niebieskiego kabrioletu surrealistycznie celuje w niebo niczym skrzydło samolotu widziane przez okno. Dziewczyna kątem oka dostrzega uniesioną stopę pani Alton.

– Nie! – Przechyliła się nad dźwignię biegów i szarpnięciem wrzuca wsteczny bieg, zanim tamta zdąży nacisnąć pedał gazu i posłać je w przepaść z klifu. Samochód ostro rusza, dygocząc, plując spalinami i rwąc kępy trawy. Rozpędzony wjeżdża tyłem w żywopłot z kolcolistu, płosząc chmarę sikorek. Silnik gaśnie.

Pani Alton mimo wszystko nie zgadza się zamienić miejscami.

– Nie bądź śmieszna. Po tej drodze mogę prowadzić z zamkniętymi oczyma.
– Przechylona do przodu, podzwaniając perłami o kierownicę, z nosem przy ochlapanej błotem szybie, pędzi wijącą się drogą na klifie w kierunku Black Rabbit Hall.

Lorna chwyta się klamki, lecz ta zostaje jej w dłoni. Płócienny dach trzepocze im nad głową, wtłaczając do ciasnego wnętrza podmuchy powietrza. W niepokojącej dziurze przy stopach Lorny droga przesuwa się w takim tempie, że przypomina powierzchnię księżyca. Ulgę, że uniknęły lotu z klifu, szybko przyćmiewa strach, że skończą na którymś z przydrożnych drzew.

Samochód hamuje ostro przed frontem z kamiennymi sokołami. Pani Alton przygląda włosy.

– Samochody zawsze rujnują fryzury.

Lorna na miękkich nogach pomaga jej wysiąść. W upalnym wieczornym powietrzu wisi niepokojąca cisza. Zastanawia się, gdzie są wszyscy, może przypadkiem szukają jej w domu.

– Tam – rzuca jej przewodniczka i osłaniając oczy przed słońcem, z nieodgadnionym wyrazem twarzy wskazuje ruchem głowy ponurą wschodnią wieżę oplecioną bluszczem, obecnie swoją część mieszkalną.

W holu dobiega z amfilady paplanina Alfa. Pani Alton dostrzega wahanie Lorny.

– Tędy. Nie traćmy czasu.

Do wschodniej wieży prowadzą z głównego holu drzwi wbudowane we wnękę z łukowym sklepieniem z nakrapianego kamienia. Dotąd ich nie zauważyła, chociaż musiała je wielokrotnie mijać w ciągu ostatnich dni. Pani Alton porusza mosiężną gałką najpierw w jedną, a potem w drugą stronę.

– Idź przodem – nakazuje, widząc, że Lorna nie rusza się z miejsca. – Boże. Nie rób takiej wystraszonej miny. Nie zamknę nas tam na klucz.

Dziewczyna nie brała takiego scenariusza pod uwagę, więc odpowiada szczerliwym, nerwowym śmiechem. Z ociąganiem wchodzi do czegoś, co wygląda na kolejny hol, choć zdecydowanie mniejszy od głównego. Panuje tu mrok i duchota. Ściany są w płowobrazowym kolorze. Lorna zwraca uwagę na zapach;

jest inny niż w pozostałej części domu. Wilgotne wełniane okrycia. Lawenda. Psia sierść. I jeszcze coś, co budzi skojarzenia z rzeczami przechowywanymi przez długi czas. Takiego zapachu nie można do końca pozbyć się z ubrań, jeżeli za długo leżą upchnięte na strychu.

Pani Alton bezceremonialnie otwiera kolejne drzwi czubkiem laski.

– To miejsce, moja droga, nazywam swoim domem.

Lornę zaskakuje prowincjonalna tuzinkowość salonu; cukierkowe, porcelanowe figurki zwierząt na sosnowym gzymsie nowoczesnego kominka wyglądają, jakby przydreptały tu prosto ze straganu na rynku; podejrzany grzejnik z pięcioma spiralami; rozdeptane papcie z różowego weluru ze znoszonymi obcasami.

Najdziwniejsze, że to miejsce absolutnie nie przypomina domu jej babci. Podczas gdy czteropokojowy szeregowiec babci w Hounslow lśnił taką czystością, że można było tam jeść z podłogi, tutaj wszystko pokrywa lepka patyna. Babcia miała ściany wytapetowane zdjęciami siostrzenic, siostrzeńców i wnuków, tu, na jedynej fotografii – rzucającej się w oczy ze względu na swe osamotnienie oraz eksponowane miejsce na komodzie – jest przystojny nastolatek z fryzurą, jaką we wczesnych latach sześćdziesiątych nosili Beatlesi. Fotel i papcie stoją dokładnie naprzeciwko komody, a nie telewizora, jakby ich właścicielka najczęściej przesiadywała wpatrzona w to zdjęcie.

– Uważam, że na małej przestrzeni łatwiej utrzymać porządek – wyjaśnia dziarsko pani Alton, czytając w jej myślach. – Poza tym tu jest cieplej niż w reszcie domu, bo tam od października krew ścina się w żyłach. Ale nie martw się, nie tutaj przyszłaś na świat.

Lorna usiłuje ukryć uczucie ulgi.

– Na schody. – Pani Alton wskazuje drzwi w sąsiedztwie regału z książkami. Lorna z bijącym sercem wspina się za swoją przewodniczką wąską drewnianą klatką schodową. Po drodze mijają wiele innych drzwi, które ponoć wychodzą na korytarze kolejnych pięter głównej części domu. Na kilku, uchylonych, widać zasuwę po wewnętrznej stronie skrzydła. Zimny dreszcz przebiega Lornie po plecach. Co musiała czuć ciężarna kobieta, gdy wdrapywała się po schodach w tej kamiennej studni odciętej od świata masywnymi czarnymi ryglami?

Zwężająca się klatka schodowa tonie w półmroku. Nagie żarówki kołyszą się na cienkich kablach nad głowami. Panuje tu szczególna akustyka: ich kroki, odbijając się od twardego drewna, brzmią jak stąpanie nie czterech, lecz mnóstwa stóp. Zupełnie jakby deptali im po piętach wszyscy poprzedni mieszkańcy domu.

Wreszcie stają przed prostymi białymi drzwiami. Z klamką z ciemnego drewna. Nic więcej tutaj nie ma.

Lorna wpatruje się w te drzwi i czuje, jak nogi miękają jej w kolanach. Są jak kamień blokujący wejście do grobowca. Nie jest pewna, czy się przełamie, żeby

przez nie przejść. Czy zdobędzie się choćby na jeden krok.

– Kiedyś to była służbówka, jeszcze w czasach, gdy rodzinę stać było na służbę.

Lorna kiwa głową i przetyka ślinę.

– Kwatera dla służących, to brzmi sensownie.

– Idealny azyl ze wspaniałym widokiem. – Pani Alton szarpie za klamkę. – Nie miała powodu robić takiej potwornej afery. Absolutnie nie.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Amber

Tydzień przed końcem letnich wakacji, sierpień 1969

– To koniec – szepcze Toby, zapamiętałe obgryzając paznokieć. – Zaczęło się.

Nic się nie zaczęło, nie ma też końca – przekonuję go. Rzeczywiście jest kiepsko, ale nieraz zdarzały się nam ciemne, frustrujące sytuacje, a potem nagle wszystko się zmieniało i światło znów przeciskało się przez szczeliny. Łapię się na tym, że pocieszając go, myślę o Lucianie, czym prędzej więc się poprawiam: życie jest dziwne i nieprzewidywalne – mówię – wszystko może się zdarzyć i któregoś dnia to on, Toby, zostanie właścicielem Black Rabbit Hall, tak jak tego pragnie, będzie robił kanapki z kiełbaskami na kolację i z powrotem powiesi w holu portret Mamy.

Toby patrzy na mnie błędnym wzrokiem, jakby nic z tego, co mówię, do niego nie docierało, zupełnie jak kuzyn taty, Rupert, gdy się go pytało o wojnę.

Nie jest dobrze. Po usunięciu portretu Mamy Toby zapadł się w sobie nagle i niespodziewanie jak zdradzieckie ruchome piaski. Jakby stracił resztki nadziei i wolę walki. Wyraz jego oczu wprawia mnie w panikę, bo nie wiem, czy tym razem uda mi się go wyrwać z tej zapaści.

W sumie to tata go zawiódł, nie Caroline. I chociaż Toby przewidywał, że tak będzie – ostrzegął mnie przecież – zdrada ojca głęboko go zraniła.

Natychmiast po powrocie taty z Londynu pobiegłam do biblioteki, lecz Caroline mnie wyprzedziła. Z uchem przyciśniętym do drzwi słuchałam ich podniesionych głosów. Tata wykrzykiwał, że to cholernie bezduszne, że jutro musi zdjąć ten przeklęty portret. Potem krzyki przeszły w inne odgłosy; posapywanie, postękiwanie, wiele mówiący łomot jakiegoś mebla o ścianę i na koniec przeciągły jęk. Portret Caroline pozostał.

Tamtą noc i następną Toby spędził w domku na drzewie. Po powrocie do domu kładł się u nóg Peggy z głową na jej kolanach i leżał bez życia ze stopami zaplątanymi w robótkę, a ona wyjmowała mu z włosów igliwie i skorki i próbowała karmić piernikiem własnej roboty, łamiąc ciasto na kawałeczki i podając mu je do ust. Widok był niepokojący: wyrośnięty nastolatek z otwartymi ustami i drobne palce Peggy wsuwające w nie kęsy. Myślę, że to było wszystko, co jadł. Przez materiał koszuli odznaczają mu się gruzelki kręgosłupa.

Według Caroline „przedstawienie” Toby’ego jest kiepskie i nużące.

Ostrzegła go, żeby się opamiętał, „jeżeli nie chce jeszcze bardziej stracić w oczach ojca”. Nie sądzę jednak, żeby jej zależało na zmianie. Najwyraźniej czerpie satysfakcję z cierpienia Toby’ego, sądząc po jej świetnym humorze. Tata rzeczywiście próbował z nim porozmawiać – „jak mężczyzna z mężczyzną” – lecz spokojna rozmowa szybko przemieniła się w awanturę z trzaskaniem drzwiami i miotaniem przekleństw. Natychmiast się okazało, że tata ma mnóstwo spraw do załatwienia w Londynie. Pojechał tam dziś rano.

Reszta nas stara się Toby’emu pomóc. Lucian, zażenowany, przeprosił go za zachowanie matki, lecz on, udając, że nie słyszy, patrzył jakby przez niego. Ja przesiaduję z Tobym na występie klifu albo w domku na drzewie. Przeważnie milczymy, bo on nie wydaje się skory do rozmów. Boris lojalnie czeka na powrót swojego pana z lasu, śpiąc na jego łóżku, i pocieszająco trąca go nosem, gdy Toby ze łzami toczącymi się po policzkach patrzy przez okno. Kitty podkrada dla niego żelki i obejmuje wiotkimi rękami Gałganki za szyję. Barney pozwala mu nawet pogłodzić Old Harry’ego – mówi: „Zobacz, on ma takie milutkie uszy, zaraz poczujesz się lepiej” – lecz za każdym razem spotyka się z ostrą odprawą. Czasem mi się wydaje, że Toby za wszystko obwinia tego królika.

Rozdział trzydziesty

Dwa dni do końca wakacji

– Lucianie, skarbie, przyszło zaproszenie do Bigbury Grange. – Caroline przyciska bladnoróżowy kartonik do płonącego dekoltu. – Jibby daje mi jasno do zrozumienia, że odrzucając je, narażamy się na bolesny towarzyski niebyt w West Country. Co ty na to?

Ustaliliśmy po cichu z Lucianem, że musi pojechać i udawać, że jest zachwycony. W ostatnich dniach Caroline coraz częściej go rozlicza z wolnego czasu, a mnie bacznie się przygląda, już jawnie wodząc oczyma po moich okropnych sukienkach, po szyi, po piersiach. Robimy się nerwowi.

Wyjechali sześć godzin temu. „Niezobowiązujący lunch” najwyraźniej przeciągnął się do podwieczorku. Smukła mosiężna wskazówka Big Bertie przesuwa się z minuty na minutę z morderczą powolnością. Czy Lucian wróci chociaż jutro, w ostatni dzień wakacji? A jeżeli w ogóle nie wróci? Wszystkie złe rzeczy wydają się możliwe.

Staram się myśleć pozytywnie. Już pomijając wszystko inne, chyba nie chciałby przeoczyć przyływu. Miejscowi mówią, że tym razem będzie potężny, największy tego lata, podobno ma sięgnąć aż do wysuszonej na kość ściany klifu, wyrzuci też różne skarby z głębi morza. Nie, nie, na pewno zechce to zobaczyć.

Po sekundzie dręczą mnie wątpliwości. Przecież Luciana nie obchodzą pełnie i przyływy. Co mi chodzi po głowie? To nie Toby! Podejmują go teraz w jednej z najokazalszych rezydencji, podsuwają schłodzony szampan, białe mięso krabów i bosko piękną Belindę Bracewell.

A może on nie żyje. Albo ginie akurat w chwili, gdy patrzę na zegar. Wyobraźnia podsuwa mi obraz dachującego samochodu z kołami kręcącymi się w powietrzu. Proszę Boga, żeby go uratował, wyciągnął go przez małe okno, zanim auto stanie w płomieniach. Jeżeli Bóg musi już kogoś zabrać, błagam, niech weźmie Caroline. Tak, najlepiej niech w ogóle ją sobie zabierze.

Jednak Bóg nie zabiera Caroline. Dzwoni późnym popołudniem i informuje Peggy, że pogoda się zepsuła – kłamaczucha, niebo jest porcelanowobłękite – i zostają na noc. Wszyscy cudownie się bawią.

*

O zmierzchu nie znajduję już dłużej ukojenia we łzach. Pozostaje mi tylko czekać i stojąc na spakowanej walizce, z brodą opartą na łuszczącym się parapecie,

wypatrywać na podjeździe małego, niebieskiego samochodu.

Chrząknięcie.

Odwracam się i widzę Toby'ego. Wychudły, z płonącymi oczami stoi oparty o ścianę. Dzisiaj zrobił się bardziej rozmowny, być może to znak, że opuszcza go posępny nastrój.

– Hej, jak się czujesz? – Siłę się na raźny ton z nadzieją, że nie mam opuchniętych oczu.

– Lepiej, jak do tego przywykniesz – mówi kącikiem ust, prawie nie poruszając wargami.

– Co?

– Amber, Lucian to kot dachowiec. Wisi mu, czyja ręka go karmi, a już na pewno nie odtrąci łapki Belindy Bracewell.

– Wcale nie myślałam o Lucianie – zaskoczona, pospiesznie zaprzeczam. Sądziłam, że Toby, zajęty swoimi myślami i nieobecny duchem, nie zorientował się, dokąd pojechał Lucian. Myliłam się. Dzisiaj oczy mojego brata są bystre, patrzą twardo i czujnie. Powinno mnie cieszyć, że on odzyskuje wigor, a jednak tak nie jest. Mam wrażenie, że patrzymy na siebie przez grubą taflę lodu na zamrożonym stawie.

– Wyjeżdża do Oxfordu prowadzić życie złotego chłopca. Wkrótce zapomni o tobie, o nas, o Black Rabbit Hall. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? To lato pozostanie w jego pamięci jako coś w rodzaju miłego przerywnika.

Przygryzam policzek, zmagając się z kolejną falą łez. Wiem, że jeżeli się rozplącę, potwierdzę podejrzenia Toby'ego. On wkrótce wyjeżdża do szkoły z internatem, ja do Londynu, a Lucian do Oxfordu. Nasz sekret pozostanie w Black Rabbit Hall, bezpiecznie uspijony do ferii zimowych, kiedy wrócimy tu z Lucianem i obudzimy go pocałunkiem.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Ostatni dzień letnich wakacji

O świcie wsuwam się do łóżka Kitty; szukam ukojenia w bliskości miękkiej, słodkiej kluseczki, w jaką mała zmienia się podczas snu. Dołącza do nas Barney, ruchliwa płatanina rąk i nóg, który traktuje moją pierś jak poduszkę. W łóżku jest ciasno i trochę smrodliwie, lecz wszystko wydaje się lepsze od bezsennej samotności w moim pokoju i torturowania się słowami Toby'ego. Niestety, gdy słońce zaczyna przebijać przez wzorzyste zasłony dziecięcej sypialni, jestem już przekonania, że Lucian nie tylko zapomni o mnie w Oxfordzie, ale na dodatek ożeni się z Belindą Bracewell. Oczywiście nie zechce mu się wracać do Black Rabbit Hall, żeby się ze mną pożegnać! Jestem tego pewna na sto procent mniej więcej do lunchu, gdy z podjazdu dochodzi warkot silnika. Biegnę do mojej sypialni i staję przy oknie.

Z sercem w gardle patrzę, jak Peggy – widziana z góry wydaje się taka okrągła – zbiega ze stopni i otwiera drzwiczki po stronie pasażera. Z samochodu wylania się Caroline, powiewając turkusowym szalem owiniętym wokół szyi. Czekam i czekam. Wreszcie...

Na żwir wysuwa się but Luciana. To bardziej ekscytujący widok od astronauty stawiającego pierwszy krok na Księżycu.

Nie mogę złapać tchu. W ciągu ostatnich kilku godzin z milion razy przeżywałam w wyobraźni scenę jego powrotu – zbiegam na dół się przywitać, wymieniamy tajemne uśmiechy, nasze palce stykają się, gdy mijamy się w holu – a tymczasem nie mam siły ruszyć się z miejsca, bo paraliżuje mnie świadomość, że wystarczy mi jedno spojrzenie w jego oczy, aby poznać, czy doszło do czegoś między nim i Belindą. Jeżeli coś między nimi się wydarzyło, to będzie dla mnie jak widok zwłok na dnie stawu. Chora ze zdenerwowania, siedzę na brzegu łóżka, szczypię się w policzki i zaciekle szcnotkuję włosy, zrozpaczona, że nie mam jakiejś ładnej sukienki. Czas płynie, moje naelektryzowane włosy potrzaskują i sterczą na wszystkie strony. Nareszcie słyszę jego kroki na schodach i pacnięcie torby o podłogę.

Trzy ciche puknięcia w drzwi; nasz szyfr.

*

Gdy tylko drzwi szafy się zamykają, zamotani w futra, rzucamy się sobie w objęcia. On jest taki umięśniony, ciepły, taki mój, że płaczą ze szczęścia i ulgi.

Jego udo niecierpliwie rozsuwa mi nogi, urywany oddech owiewa moje ucho. Narastające gwałtowne pulsowanie, spazm i rozluźnienie. Odrzucam głowę, z gardła wrywa mi się jęk.

Wśród szeptów i pieszczot wracamy na ziemię. Wychwytyję jakiś odgłos, jakby węszenie i ruch za drzwiami szafy. Boris?

– Ćśśś... – Wciskam się głębiej, serce mi wali, nasłuchuję.

– To nic – szepcze i nachyla się, żeby mnie pocałować.

Wszystko dzieje się błyskawicznie. Oślepiający blask słońca. Szczekanie Borisa. Krzyk Caroline. Osłaniam się futrem i skulona, przywieram do pudeł z kapeluszami.

– Ty mała dziwko! – wrzeszczy Caroline z wytrzeszczonymi oczyma.

– Chryste. – Lucian w popłochu naciąga spodnie.

– Chodź tu! – Zanim zdążę cokolwiek zrobić, Caroline wyciąga mnie z szafy. Jej pierścionki wrzynają mi się w ramię. Ku mojemu przerażeniu wrywa mi futro z rąk. Stoję przed nią naga i bezbronna, trzęsąc się i dzwoniąc zębami. – Och, spójrz tylko na siebie! Ty głupia, głupia dziewucho! – Szarpie mną jak opętana, aż bolą mnie rozkołysane piersi. Uderzam w płacz, łyżę palą w policzki.

– Przestań! – krzyczy Lucian. Błady jak płótno, wydobywa się z szafy. – Przestań, na miłość boską! Mamo, my się kochamy.

– Kochacie się? – Przestaje mną potrząsać, lecz to nic nie znaczy, bo w każdej chwili może zacząć na nowo z jeszcze większą siłą. – Przyrodni brat i przyrodnia siostra – syczy, odwijając górną wargę. – Nie możecie się kochać. Nie tak.

Spuszczam głowę i krzyżuję ramiona na piersiach. Różowa garderoba zaczyna wirować jak karuzela z koszmarnego snu. W gardle mam słony smak łez, krwi i strachu. Caroline przechyla się i z zaskoczenia mocno uderza mnie w twarz. Zszokowana, nie czuję bólu.

Lucian chwyta ją za ramię. Przemoc wisi w powietrzu.

– Nigdy. Więcej. Tego. Nie rób – cedzi przez zaciśnięte szczęki.

Caroline cofa się ze wzrokiem wbitym w rękę syna. Coś zmienia się w wyrazie jej oczu. Furię zastępuje zimna, złowroga kalkulacja.

– Bardzo mnie zawiodłeś, Lucianie.

– Zwyczajnie się zakochałem.

Oswobadza ramię z jego uścisku, zamyka oczy, powieki jej drżą, jakby pod skórą przemieszczały się mikroskopijne owady. Gdy otwiera oczy, patrzy na niego z zaciętą determinacją.

– W takim razie muszę ci to powiedzieć, Lucianie.

– Co powiedzieć? – pyta niespokojnie. Na pierś występują mu szkarłatne plamy, czarne włoski unoszą się na przedramionach.

Roztrzęsiona, podnoszę z podłogi futro i niezdarnie się nim okrywam. Głos

Caroline przebija się przez pulsowanie krwi w moich uszach, lecz słowa zmieniają się w szum.

– Albert nie jest twoim ojcem, Lucianie.

– Co? Co ty, do diabła, mówisz? – Odskakuje od matki jak oparzony. Potworny smutek przesłania jego przystojną twarz, ściąga w dół kąćki ust i kładzie się cieniem pod oczyma.

– Nigdy się nie zastanawiałaś, skąd u ciebie te czarne włosy? Wzrost? Cygański typ urody?

– Po stronie taty była domieszka krwi indiańskiej.

Caroline powoli kręci głową, trzymając nas, pokój, a nawet czas w paraliżującym napięciu.

– Twoim prawdziwym ojcem jest Hugo. Hugo Alton.

Słyszę własny zdławiony jęk, jakby dochodził gdzieś z zewnątrz. Widzę imię ojca wypisane krwawymi literami w zastygłym powietrzu. Lucian zamarł błądy na twarzy, z ustami na wpół otwartymi w niemym krzyku.

– Kłamiesz – chrypi. – Kłamiesz, mamó.

– Mój drogi, kiedy Hugo zostawił mnie dla Nancy, nie wiedziałam jeszcze, że jestem w ciąży.

– Nie. – Lucian szaleńczo kręci głową, jakby chciał wytrząsnąć jej słowa z uszu. – Nie.

– Wysłałam za Alfreda i ten dobry człowiek wychowywał ciebie jako własne dziecko. Nigdy nie poznał prawdy. Nikt jej nie znał, Lucianie. – Opuszcza oczy i zniża głos jak pokorna kobieta w kościele. – A teraz już wiesz.

Zwierzęcy skowyt wrywa mu się z głębi gardła. Zaciskam dłoń na jego ramieniu, lecz on nie reaguje i tylko patrzy niewidzącymi oczami prosto przeze mnie. Czuję, jak opuszcza go duch, serce mu się ściska i traci kontakt z moim.

– To nieprawda! – krzyczę. – Nie wierz jej!

Caroline przybliżyła twarz do twarzy syna, sączy mu truciznę do ucha:

– Lucianie, jesteś prawowitym dziedzicem Pencraw. A ta mała kurewka to twoja siostra.

Łomot za drzwiami garderoby. Szamotanina, głośnie sapanie. Boris. Niech to będzie Boris!

– Kto tam? – Caroline prostuje się gwałtownie, niebieska żyłka pulsuje jej na skroni. – Pytam: kto tam?

Rozdział trzydziesty drugi

Caroline wrzuca gitarę i torbę z ubraniem na tylne siedzenie kabrioletu.

– Jedź! – krzyczy, uderzając dłonią w zderzak. – Szybko! Nie możesz tu zostać ani chwili dłużej. Przysięgam, Toby cię zabije. Jedź już. Błagam!

Lucian spogląda na mnie przyciśniętą do okna w sypialni. Przytakuję skinieniem głowy. Jedź.

Samochód rozpędza się na podjeździe i z rykiem silnika ginie między drzewami. Stoję odrętwiała i patrzę przez chwilę na czubki zasłaniających go drzew. Jeszcze do mnie nie dotarło znaczenie tamtych słów i tylko jedno wiem na pewno: nie mogę cofnąć się w czasie, żeby zapobiec wypadkowi Mamy ani odkochać się w Lucianie. Muszę znaleźć Toby'ego.

Tak, to właśnie zrobię. Poszukam go. I wszystko mu wytłumaczę. Wytłumaczę tak, że zrozumie. Już dawno należało to zrobić. Jestem prawie pewna, że mi wybaczy, kiedy zrozumie. I nawet na moment nie uwierzy w kłamstwa Caroline. Co z tego, że Lucian jest śniady jak tata? Że obaj są podobnego wzrostu i budowy? My wszyscy mamy jasne albo rude włosy, a na pewno jesteśmy dziećmi taty.

Zbieram się na odwagę – już widzę rozpaloną do białości wściekłość Toby'ego – ochlapuję twarz wodą, przeczesuję palcami potargane włosy i biorę parę rwących się oddechów, niepewna, co czeka mnie na dole. Czy Caroline już wszystkim powiedziała? Czy Peggy wie? Błagam, tylko nie to!

Na parterze wręcz niepokojący bezruch, wszystko tak samo jak godzinę temu. Słysząc ciche zgrzytanie i stukot maglownicy Annie. Rudy kot przecina hol z wyprężonym ogonem. Nigdzie nie widać Caroline. Ani Bartlett.

Klik, klik, klik.

Odgłos podzwaniających drutów prowadzi mnie na werandę. Kitty na kolanach Peggy nalewa z dzbanuszka zabawki wodę do plastikowej lalczyniej filiżanki, druty migają w szczupłych, silnych palcach Peggy.

– Nie widziałas przypadkiem Toby'ego? – Mój głos brzmi prawie normalnie. Peggy kręci głową, nie odrywając oczu od robótki.

– Myślę, że niedługo powinien wrócić. Zbiera się na deszcz. Czuję to w kościach. Amber, jak go znajdziesz, powiedz mu, że ten patchwork do domku na drzewie całkiem ładnie wychodzi. – Podnosi do góry w połowie gotowy koc w różnych odcieniach zieleni: mchu, wody w rzece i żółknących liści. – Przyda mu

się podczas ferii zimowych. Przynajmniej nie zamarznie na tym swoim drzewie.

Ferie zimowe; jak można snuć takie odległe plany? W tej chwili nawet jutro wydaje mi się przerażająco nieznane. Jakbym zawisła w próżni.

Peggy odkłada robótkę na kolana.

– Jesteś biała jak twaróg. – Ściąga brwi. – Co się dzieje?

– Nic – odburkuję i wychodzę, żeby uniknąć dalszych pytań.

Na dworze powietrze jest ciężkie i wilgotne, na niebie wiszą nabrzmiałe chmury. Przystaję przy sokołach i zastanawiam się, gdzie zacząć poszukiwania. No, jasne, las. Toby będzie w lesie. Próbuję biec, lecz nogi mnie nie słuchają, stopy mam jak z ołowiu.

Zaczyna padać. Pierwsze krople są duże i ciepłe jak łyzy. Błyskawicznie przemaka mi sukienka. Ze spódnicą nieprzyjemnie klejącą się do ud brnę jeszcze kawałek, lecz wkrótce rezygnuję, bo nogi ledwie mnie niosą i mało co widzę przez ścianę deszczu.

Poczekam na Toby'ego w bawialni – decyduję znużona – złapię go, jak tylko wejdzie do holu. Z tym postanowieniem kładę się na dywanie przy globusie i obracając go zimnymi palcami, zatrzymuję na Nowym Jorku w zielonej obwódce narysowanej w szczęśliwszych czasach. Wprawiam kulę w szybki ruch w poszukiwaniu ukojenia w jego pszczelim brzęczeniu. Tym razem globus wydaje jednak inny dźwięk, bardziej podobny do zamieszania w gnieździe os niż buczenia ula.

– Nie widziałaś Old Harry'ego? – Nade mną stoi Barney z lizakiem w buzi i z białą tenisową piłeczką przy bosej stopie. Bawi się jakimś dużym chrząszczem, który akurat przepelza mu z palca jednej ręki na drugą. – Zostawiłem go w holu, ale dał drapak. Chcę sprawdzić, jak mu będzie w tym nowym podróżnym koszyku.

– Nigdy specjalnie się nie oddala – mówię pod nosem, starając się okazać zainteresowanie królikiem, mimo podłego nastroju. – Może Kitty wsadziła go do wózka?

– Nie, sprawdziłem. – Podchodzi bliżej, tocząc stopą piłeczkę. – Chcesz zobaczyć? – Wyciąga dłoń. Żuk jest fioletowy i połyskliwy, zupełnie jak jedna z broszek babci Esme, z tą różnicą, że się rusza.

– Ładny.

– Ha. To chłopak!

– Groźny?

– No. Groźny. – Ze śmiechem strząsa żuka z nadgarstka na dłoń. – Pomożesz mi szukać Old Harry'ego?

– Przykro mi, ale teraz nie mogę.

– To kiedy?

– Później, Barns – wzdygam. – Czekam... na Toby'ego.

– Królik ważniejszy. Bez niego nie wracam do Londynu. – Wsuwa lizak z powrotem do ust i turlając piłeczkę, znika z pokoju. Chwilę później słyszę trzask frontowych drzwi. Prawdopodobnie Barney wyszedł na dwór. Na wszelki wypadek wolę sprawdzić, czy przypadkiem nie wrócił Toby, zwlekam się więc z podłogi.

W pustym holu czuję powiew mokrego powietrza z dopiero co otwieranych drzwi. Spoglądam na schody. Nikogo. Nasłuchuję kroków. Cisza. Zerkam na Big Bertie; dochodzi czwarta. Jeszcze trochę poczekam. Nadal jestem dziwnie zmęczona i taka ociężała. Wracam do bawialni, ściągam z fotela poduszkę i układam się na dywanie. Powieki same mi opadają.

*

– Kto idzie na plażę?

Ten głos, dźwięczny jak dzwoneczek, wrywa mnie ze snu. Przecieram zaklejone oczy. Jest na wyciągnięcie ręki: w jedwabnej zielonej sukni, przycupnięta jak konik polny na brzeżku różowego pluszowego fotela, przechyla głowę i uśmiecha się przez firankę miedzianych fal.

– Mama? – Oszołomiona ze szczęścia, półprzytomna po śnie, jak małe dziecko podpełzam do niej na kolanach i sięgam do rąbka sukni. Trzymam w zaciśniętych palcach frędzle zdobiące brzeg zielonej poduszki. Fotel jest pusty, a jednak widzę zarys sylwetki, rozmywający się powoli jak smuga dymu za samolotem na niebie.

Nie wiem, jak długo, ścierpięta, wpatruję się w fotel w nadziei, że ukaże się znowu. Wiem, że musiałam jeszcze spać i że to gra wyobraźni, a z drugiej strony jestem przekonana, że naprawdę widziałam Mamę. Kto idzie na plażę? Już wiem, co muszę zrobić.

– Ach, jesteś, młoda damo! Zastanawiałam się, gdzie zniknęłaś. – Peggy zastępuje mi drogę w holu z tłustym, kuchennym kotem w zgięciu ramienia. – Skąd ta nieprzytomna mina?

– Ja... ja przysnęłam.

– To do ciebie niepodobne. Może coś cię bierze. Nadal jesteś strasznie blada.

Milkniemy. Przeciąg hula po czarno-białych kaflach. Ciekawe, kiedy ona się dowie, dręczy mnie myśl. Czy zmieni zdanie na mój temat, uzna mnie za zepsutą i bezwstydną?

Peggy, gładząc podbródkiem łepkę kota, ruchem głowy wskazuje na drzwi bawialni.

– Są tam nasze małpiszony?

– Nie. – Kot zaczyna głośno mruścić. – Toby’ego dotąd nie znalazłam. Barney poszedł szukać Old Harry’ego.

– Gania nie wiadomo gdzie za tym głupim zwierzakiem! Akurat dzisiaj. Chcę, żeby Barney, no i oczywiście Toby usiedli do stołu i porządnie się najedli

przed wyjazdem. Tym razem ja gotuję. Pani Alton dostała potwornej migreny i nie życzy sobie, żeby jej przeszkadzano. Puściła wcześniej Bartlett do domu, bo podobno dziś już nie będzie potrzebna. – Peggy nie potrafi ukryć zadowolenia. – Muszę złapać Barneya. Nadal nie mogę namierzyć jego lewego buta i torby z przyborami toaletowymi. Gdzie go poniosło?

– Przykro mi, nie mam pojęcia.

– A kiedy wyszedł?

– Uhm. Jakąś godzinę temu.

– To znowu nie tak dawno. Damy mu jeszcze trochę czasu.

Jestem już przy frontowych drzwiach, gdy woła za mną:

– A tobie dokąd tak śpieszno?

– Idę na plażę. Myślę, że Toby może tam być. Przyprowadzę go.

– Amber, nigdzie nie chodź, skoro się źle czujesz.

– Nic mi nie jest. Byłam tylko trochę zmęczona.

Nie wydaje się przekonana.

– Na pewno jesteś spakowana? Musicie być jutro raniutko na stacji. Bez żadnego marudzenia.

Wybiegam na dwór.

– Tylko uważaj! – woła jeszcze. – Jest wysoka fala. I żadnych głupot, żeby cię przyływ czasem nie odciął! Powiedz wszystkim, że dzisiaj będzie *stargazy pie*, no i że jemy w kuchni. Jak za dawnych czasów.

Rozdział trzydziesty trzeci

– Nieżywy niemowlak! – krzyczy przeraźliwie Kitty, wbiegając na stopnie przed domem. Szeroko otwarte niebieskie oczy błyszczą gorączkowo. – Nieżywy niemowlak!

– Co? – Przytrzymuję ją za ramiona i klękam na mokrych kamieniach. – Kitty, spokojnie. Jaki niemowlak? O czym ty mówisz?

– W lesie... tam, w lesie. – Pokazuje palcem. – Widziałam. Przy huśtawce. Widziałam, Amber, naprawdę.

Zaalarmowane Peggy i Annie wybiegają na zewnątrz, ale też nie potrafią jej uspokoić.

– Niemowlę? Daj spokój, Kitty. – Annie kręci głową z niedowierzaniem.

– Było takie... – Ika mała, przyciskając Gałgankę do buzi.

– Annie, zaprowadź Kitty do domu – poleca Peggy, nagle niespokojna.

– Pegs... – Annie bierze Kitty na ręce. – Pamiętasz – zniża głos do szeptu – historię z podrzutkiem w St Mawes w zeszłym roku? Myślisz, że któraś z miejscowych dziewczyn mogła zostawić... noworodka w lesie?

Peggy się zasepia.

– Nie wiem.

– O matko! I pomyśleć, że u nas we wsi są takie dziewczuchy!

– Nie powinniśmy nikogo osądzać – ucina Peggy. – Nie wolno oceniać zdesperowanych.

– Pewnie nie – odpowiada Annie bez przekonania. – Ale nie każdy, Pegs, ma takie wielkie serce jak ty. Nic dziwnego, że dziewczyna się tego pozbyła. Wyobrażasz sobie ten wstyd?

– Annie, proszę cię, bądź już cicho – irytuje się Peggy. – To na pewno nic takiego, ale na wszelki wypadek wezmę ze sobą koc. – Odwraca się do mnie z rumieńcami na policzkach. – Amber, biegnij przodem. Zaraz do ciebie dołączę. Mocno przytul je do siebie. Za wszelką cenę staraj się utrzymać maleństwo w ciepłe, dopóki nie przyjdę.

Zadowolona, że wreszcie mogę się od nich uwolnić, i już całkiem obudzona, nie przejmuję się noworodkiem – bo skąd niby miałyby się wziąć w lesie? – ale Tobym. Gdzie on zniknął? Jakie myśli chodzą mu po głowie? Przystaję co kilka jardów i wołam go, rozglądając się wśród drzew. Odpowiadają mi jedynie ptaki. Ani śladu Toby'ego. Ani też niemowlęcia.

Zwalniam w pobliżu huśtawki. Robię jeszcze parę kroków, przystaję. Wysilam wzrok.

Coś widzę.

Skradam się z bijącym sercem, usiłując zobaczyć, co to jest.

To coś powieszona za nogi na drzewie jest obdarte ze skóry, nagie, różowe i lepkie jak noworodek.

Jednak to nie dziecko. To królik. Jak u rzeźnika na wystawie. A pod truchłem na wystających z ziemi korzeniach leży czarne futerko, ściągnięte fachowo bez kropli krwi. Przyciskam dłonie do ust. Znam tylko jedną osobę, która potrafi tak oskórować zwierzę.

– Kłusownicy? – Staje za mną zdyszana Peggy z kraciastym kocem pod pachą. – Co za okru... – Głos ją zawodzi. I ona, i ja mamy już pewność, bo niemal jednocześnie dostrzegamy kilka stóp dalej nóż pradziadka połyskujący w kępie mokrych paproci.

Cofam się osłupiała i bliska mdłości. Zabijając królika, Toby tym samym cięciem rozdzielił nas wszystkich, przerwał więzy, lojalność, delikatną tkanę wspólnej przeszłości. Całkowicie i na dobre odciął się od nas.

– Dobry Boże – mruży Peggy, po czym sili się na rzeczowy ton gospodyni. – No cóż, zdejmijmy tego biedaka. Przecież nie chcemy, żeby Barney go znalazł.

Podaje mi koc, a sama rozciera dłonie, jakby chciała je rozgrzać przed tym makabrycznym zadaniem, po czym odczepia związane skoki od gałęzi. Być może, gdyby nie łyzy w jej oczach, przyrządziłaby tego królika na kolację. Widzę, że się nad czymś zastanawia.

– Co, Peggy?

– Jest zimny. Prawie sztywny. Musiał wisieć już jakiś czas. – Jej twarz przybiera dziwny wyraz. Zawija królika w koc – wystaje spod niego żałosne, pokryte żyłkami ucho – i spogląda na mnie. – Amber, skarbie, mówiłaś, że kiedy Barney wyszedł?

*

Ukrywamy królika w ciasnym, smrodliwym pomieszczeniu nad piwnicą, gdzie zazwyczaj wiszą bażanty, bo tam Barney na pewno nie zajrzy. Peggy z kropelkami potu na czole, oparta plecami o starannie zamknięte drzwi, zasypuje mnie pytaniami: Dlaczego Toby miałby coś takiego zrobić? Czy to ma coś wspólnego z gorączkowym wyjazdem Luciana? Czy coś przed nią ukrywam? Zaprzeczam słabo, udając, że nic nie wiem. Gdy jestem już bliska wyznania wszystkiego, Peggy stwierdza, że królik zaczyna cuchnąć, wychodzimy więc, zamykając za sobą drzwi na klucz.

W kuchni Kitty, już spokojniejsza, pałaszuje markizy, siedząc u Annie na kolanach. Ze względu na nią mówimy, że nic takiego się nie stało, że to była

martwa wiewiórka, która musiała się zaczepić o gałęzie. Jednak kiedy wychodzimy, czuję na plecach jej podejrzliwe spojrzenie. Dziecięce antenki wychwytyją inną historię.

Peggy ciągnie mnie ze sobą na obchód najbardziej oczywistych miejsc w domu. Toby'ego nigdzie nie ma; nic dziwnego po tym, co zrobił. Ale Barney? Wracamy do holu, tam gdzie zaczęliśmy. Kręci mi się w głowie, w gardle mam sucho, a w ustach dziwny smak atramentu. Peggy otwiera drzwi frontowe, rozgląda się po trawniku i zerka przez ramię na Big Bertie.

– Cóż, dopiero dochodzi piąta. W końcu nie tak dawno wyszedł.

– Och, ten zegar pokazuje tę samą godzinę, odkąd wróciliśmy z Kitty – informuje nas Annie, wysuwając głowę zza ogromnego wazonu z kwiatami, który stawia z rozmachem na marmurowej półce. – Nie zauważyliście, że Big Bertie znowu się spóźnia? Coś tam się zacina przed pełnymi godzinami. I tyle warta robota tamtego starego partacza! Założę się, że nieźle sobie za nią policzył. – Kręci głową i poprawia długi, niebieski kwiat. – Naprawdę, to przywiązanie pani Alton do akuracji zegarów tylko wprowadza zamęt. Zawsze powtarzam, że tutaj łatwiej sprawdzać czas według słońca.

Niepokój lodem ścina mi żołądek. To wcale nie takie oczywiste, jak długo nie ma Barneya, ile spałam, czy na pewno wyszedł około czwartej i czy miał dość czasu, żeby natknąć się na królika. Ile minut nam umknęło? Czy to istotne? Nie jestem w stanie racjonalnie myśleć, już nie wiem, co jest ważne, a co nie.

– Gdyby go coś wystraszyło, przybiegłby do domu, prawda? Poza tym teraz w lesie już nic nie ma, więc nie musimy się martwić – mruczy Peggy do siebie.

– Idę go poszukać.

– Idziesz? Czekał... – Peggy waha się, zamyślona. – Nie mów mu, co się stało z królikiem.

– Pegs, zdaje się, mówiłaś, że to była wiewiórka. – Annie, zaciekawiona, podchodzi bliżej.

– Co mam mu powiedzieć? – pytam, nie zwracając na nią uwagi.

– Nic. Tylko nie wracajcie za szybko. Mam we wsi znajomą, która trzyma z tuzin królików na potrawki. Skoczę teraz do niej i wybiorę zastępstwo za Old Harry'ego. – Rozwiązuje pasiasty fartuch, wciska go w ręce zaskoczony Annie. – Dobra, to leć. Wskrzysz biednego królika, to jedyne wyjście.

*

Stoję na mokrej trawie, obejmując się ramionami, i dygoczę mimo słońca, które przebija się przez deszczowe chmury. Nie mogę się pozbierać, usunąć z myśli słów Caroline. Gdziekolwiek spojrzę, widzę szklistoróżowe szczątki królika. Nie, nie mam czasu na rozczulanie się nad sobą, muszę się skupić. Odnaleźć Barneya. Tylko to się w tej chwili liczy.

Biorę głęboki oddech i zastanawiam się, w którą stronę ruszyć. Najpewniej Barney liczył, że znajdzie królika na trawniku. Old Harry nieraz tam się zapuszczał, podniecony perspektywą wolności, a jednocześnie przestraszony zapachem lisów. Jednak Barney go tam nie znalazł. Nie mógł. W takim razie poszedł rozejrzeć się gdzieś dalej. Tylko gdzie?

Żelazna bramka na skraju lasu jest uchylona. Niewiele. Akurat na tyle, aby precyzyjnie się przez nią mały chłopiec. A może to my z Peggy jej nie zatrzasnęliśmy? Całkiem możliwe.

Z rosnącym zdenerwowaniem idę szybkim krokiem wąską, krętą ścieżką między drzewami. Poruszam się bezgłośnie w tenisówkach na gumowych podszwach. Nasłuchuję i wytyżam wzrok. Najpierw kryjówka przy drzewie z huśtawką – postanawiam. Potem dróżka wzdłuż rzeczki do domku na drzewie, gdzie najprawdopodobniej ukrywa się Toby.

Przystaję po kilku minutach. Uderza mnie myśl, że Barney po przeszukaniu parteru domu mógł wyjść na dwór przez tylne drzwi. Do ogrodu kuchennego. Trzeba sprawdzić warzywniak. Zabudowania gospodarcze. Dlaczego nie pomyślałyśmy o tym z Peggy? Zawróć.

Jednak się nie cofam, bo dostrzegam coś białego i okrągłego na ścieżce; to piłeczka tenisowa, wyraźnie widać żółte szwy na tle płatków kory. Ta sama piłka, którą wcześniej Barney kopał w bawialni?

Serce zaczyna mi walić o guziki sukienki. Stąd niedaleko do drzewa, na którym wisiał Old Harry. A jeśli Barney go znalazł, to dokąd pobiegł zaślepiiony rozpaczą? Jeżeli nie do domu, to gdzie?

Kto idzie na plażę? – kołacze mi w głowie. Świszczący odgłos jak przy wdmuchiowaniu powietrza w szyjkę pustej butelki. Szelest liści. Kto idzie na plażę?

Puszczam się biegiem, ledwo dotykam stopami ziemi. W życiu tak szybko nie pokonałam tej drogi. Szew sukienki wrzyna mi się w bok. Niestety, Barneya nie ma na plaży. Zresztą niewiele z niej zostało, bo pochłania ją przypływ. Nawołując braciszka, wracam na górę kamienną ścieżką. Po drodze zaglądam pod janowiec i krzaki trybuły, rozgarniam kępy wysokich traw. Przy przelazie w żywopłocie oddzielającym pastwisko wołam go na cały głos. Nigdzie, absolutnie nigdzie go nie widać.

Ile mam czasu? Niebo różowieje, lecz słońce jeszcze świeci. Nie jest źle. Skalna półka. Tak, wdrapię się tam. Najlepszy punkt obserwacyjny w całej posiadłości. Jeżeli Barney czy Toby są gdzieś na klifie, na pewno stamtąd ich dojrzę.

Jednak na klifie – tam, gdzie kępy ostrej twardej trawy przeciskają się przez szczeliny pomiędzy skałami – zaczynam się wahać. Nie wiem, czemu. Może mam złe przeczucia, a może odwagę odbiera mi brak Toby'ego. Tym razem zmuszam się do spuszczenia nóg z krawędzi. Nie patrz w dół. Nie patrz w dół, to nie

spadniesz – tak zawsze mówi Toby. Spadanie jest w głowie.

Nie spadam.

Przywieram plecami do pionowej ściany. Osłaniam oczy i wodzę wzrokiem po zielonych szczytach klifu. Pusto. Może Barney już wrócił do domu? Wyobrażam sobie, że biegając w różne strony, wielokrotnie mijaliśmy się o włos, bo nasze drogi przecinały się z kilkusekundową różnicą. Siadam więc, powoli wyrównuję oddech i błędząc oczyma po bezkresie różowego nieba, zaczynam snuć plany ucieczki. W końcu co mnie tutaj trzyma? Jest tak źle, że, o dziwo, czuję się wolna.

Z zadumy wyrывa mnie ogromny czarny ptak nurkujący tak nisko nad klifem, że szponami mógłby mi się wczepić we włosy. Kulę się odruchowo pod powiewem jego skrzydeł, aż dotykam nosem do chłodnej skóry na kolanach. Kiedy podnoszę głowę, mój wzrok nie zatrzymuje się na niebie, tylko na jakichś łachmanach podrygujących na wysokiej fali wzbierającego przyływu.

Nie, to nie łachmany ani szczątki łodzi. Chyba coś żywego. Delfin? A może te meduzy, które przez cały tydzień prąd znosił w naszą zatoczkę niczym zapomniany ładunek misek z szarego szkła. Kto wie? Wychylam się poza krawędź, żeby lepiej się przyjrzeć. Wiatr miota moimi włosami, serce przyspiesza rytm, bo czuję, że coś strasznego przemieszcza się pod połyskliwą, niebieską powierzchnią, ale nie widzę, co to jest.

Mija chwila.

Ciemny kształt unosi się ponad powierzchnię wody. Co to? Wydęty powietrzem T-shirt. Włosy, czarno-rude loki, poplątane wodorosty...

Sparaliżowana paniką, niezdarnie zsuwam się z półki, bezowocnie szukając znanych mi wgłębień pod stopy na pionowej ścianie klifu. Zrozpaczona, ześlizguję się ze skał, muszę jak najszybciej znaleźć się w morzu i wyciągnąć Toby'ego. Gdy zeskakuję na piasek, on już zdążył się wydostać na spłachetek plaży jeszcze wolny od zachłannego przyływu. Ociekając wodą, pochyla się nad małą, wygiętą figurką. Zaciskam i otwieram oczy, lecz nic się nie zmienia; nadal widzę Toby'ego, który wdmuchuje Barneyowi w usta powietrze. Z kącika jego ust sączy się woda. Toby spogląda na mnie i łka: przepraszam, przepraszam, przepraszam. Bełkocze coś o Lucianie i o króliku i że zdał sobie sprawę, co zrobił, dopiero gdy zobaczył na ziemi zakrwawiony nóż i futerko... Oddychaj, Barney, oddychaj! Tak mocno uciska mu pierś, że drobne ciało podryguje na piasku, a ja, nie mogąc na to patrzeć, odwracam oczy i tylko trzymam braciszka za mokrą, wiotką rączkę. Morze sięga nam już do kostek, skrawek plaży kurczy się z każdą chwilą. Chwytny Barneya pod pachy i za nogi i przenosimy go z bezwładnie zwisającą głową pod pionową ścianę klifu. Nagle mały kaszle i pluje wodą. Żyje!

– Ocknij się, Barns! – krzyczy Toby, lecz kaszel ustaje, drobne ciało zapada się nam na rękach i wszystko, co kiedykolwiek dotąd przeżyliśmy, sprowadza się

do czarnego punktu na wąskim pasku naszej plaży, który wkrótce też ginie pod wodą.

Rozdział trzydziesty czwarty

Przyklejona do okna, z niedowierzaniem patrzę, jak opuszczają Black Rabbit Hall. Dlaczego nikt nie spojrzy w górę? Nie wiedzą, że tu jestem? Opętańczo pukam w szybę. Ale Toby ma twarz ukrytą w dłoniach, gdy wsiada chwiejnie do taksówki Grubego Tela; bezwolny nastolatek złamany rozpaczą i poczuciem winy. Taksówka z terkotem silnika zabiera mojego brata. Do szkoły z internatem o surowej dyscyplinie na północy Szkocji – mówi Peggy – gdzie w ostre zimy zmierzch zapada krótko po dwunastej w południe. Jakiś czas później druga taksówka odjeżdża do Londynu. Annie, Kitty i Boris siedzą z tyłu. Nigdzie nie widać rollsa taty. Czyżby też wyjechał? Czy ten milczący pocałunek w czoło wczorajszego wieczoru stanowił pożegnanie?

I gdzie jest mój kochany mały braciszek? Gdzie on jest? Nie przyjmuję do wiadomości, że uwiązał na zawsze w tamtych straconych minutach, gdy zaciął się mechanizm Big Bertie. Nie wierzę, że jestem tą starszą siostrą, która nie poszła szukać królika, bo dla niej to było nieistotne. To nie ja. Czy możliwe, że w jednej chwili z dumą pokazuje się siostrze żuka na palcu, a w drugiej już się nie istnieje? To do mnie nie dociera.

Kroki. Zrywam się z łóżka. Peggy. Niech to będzie Peggy. Jednak w miarę jak się zbliżają, coraz wyraźniej słyszę stukot obcasów. To nie Peggy.

Zgrzyt klucza w zamku. Caroline, nie patrząc na mnie, puszcza ślizgiem po biurku przy drzwiach tacę z jedzeniem – zupa, chleb, woda – i potrąca talerz z nietkniętymi grzankami. Ja nadal mam na sobie nocną koszulę, podczas gdy ona jest starannie ubrana i umalowana. Oczyma duszy widzę, jak zanurza puszek do pudru w kryształowej puderniczce, pociąga usta różową szminką i bierze pęk podrzewiałych kluczy, który trzyma teraz w zaciśniętej dłoni.

- Zjedz coś. – Ruchem głowy wskazuje tacę.
 - Nie jestem głodna.
 - Musisz zachować siłę.
 - Muszę być przy Kitty. Potrzebuje mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek. – Mój głos jest szeptem ochryplym od płaczu. – Pozwól mi z nimi pojechać.
 - Niemożliwe – ucina bez wahania.
 - Co dobrego przyjdzie z zamykania mnie tutaj? Ja tego nie wytrzymam.
 - Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zawiodłaś brata.
- Nawet nie drgnę pod jej spojrzeniem. Nie uciekam oczyma. Ona kłamie,

jestem tego pewna. Toby ostrzegał mnie, do czego ta kobieta jest zdolna. Wtedy mu nie wierzyłam. Teraz tak. Ostrzegał, że stanie się coś potwornego. To nie meteoryt, choć ten cios tak samo nas zmiażdżył.

– I przestań walić w drzwi jak jakaś łobuzica. I tak nikt nie usłyszy.

– Peggy usłyszy – protestuję słabo.

– Amber, Peggy wie, jak ma postępować. – Caroline odwraca się i sięga do klamki, powiewając szerokim jedwabnym rękawem.

– Żądam widzenia się z tatą. – Nie odrywam oczu od klamki, zastanawiając się, czy zdążę doskoczyć do drzwi i przecisnąć się przed nią.

– Twój tata jest dziś w okropnym stanie. W ogóle o tym nie myśl. Nie będzie cię odwiedzał przez jakiś czas. Nikt tu nie będzie przychodził. – Jej głos przechodzi w zawzięty szept, blade oczy błyszczą zimno jak światło w szczelinach lodu. – A przede wszystkim Lucian.

– Gdzie on jest?

– W Oxfordzie. Żyje własnym życiem.

Tęsknota za nim sprawia mi fizyczny ból.

– Powiedziałaś mu? – Przełykam ślinę. – Czy... on wie?

– Naturalnie, że nie, Amber. To nasz mały sekret. Twój, mój, Peggy i Hugona. Nikt więcej nie może wiedzieć, jeżeli nie chcemy narazić na szwank naszej reputacji.

Z całej siły staram się zapanować nad płaczem. Mały, klaustrofobiczny pokój zdaje się kurczyć i wyciskać mi powietrze z płuc.

– Nie zgadzam się siedzieć tu zamknięta jak jakiś przestępca. Ucieknę.

– Amber – ostrzega mnie – nie chcę złamać ci ducha.

– Nie dałabyś rady.

Podzwaniają klucze na kółku.

– Lepiej mnie nie prowokuj.

– Jak ja cię nienawidzę!

Prycha ironicznie.

– Z pewnością jeszcze bardziej znienawidzisz siebie.

Przypomina mi się Mama, która zawsze mówiła nam, jacy jesteśmy kochani, niezależnie od naszych uczynków i błędów. Usiłuję przywołać jej obraz. Nic z tego nie wychodzi. Łzy zalewają mi oczy. Mrugam, żeby je strząsnąć, lecz natychmiast pojawiają się nowe.

– Posłuchaj, Amber. – Jej głos nieco łagodnieje. – Na szczęście twój ojciec ma miękkie serce. Są takie miejsca, gdzie wysyła się dziewczyny takie jak ty, i uwierz mi, tam by się z tobą tak nie cackali. – Uchyła drzwi. Trójkąt światła z korytarza wpada do pokoju. Liczę kroki do drzwi. Cztery? Pięć? – Poza tym nie będziesz tu siedzieć bez końca.

Wyciąga rękę po talerz z grzankami. Bosa, przesuwam się bezszelestnie. Ona

rzuca szybkie spojrzenie za siebie, sprawdza, czy się poruszyłam. Nieruchomieję jak w dziecięcej zabawie „Figurki, figurki, zmieniajcie się”. Teraz, już nie odrywając ode mnie oczu, wyciąga rękę po talerz, a drugą, wolną, blokuje wyjście.

Zbieram resztki sił i rzucam się do drzwi. Widzę wszystko jakby w zwolnionym tempie. Jej otwarte usta. Lot talerza. Grzanki i porcelanowe skorupy rozpryskujące się po podłodze. Caroline, o ułamek sekundy szybsza, wymyka się i zatrzaskuje za sobą drzwi. Wściekle szarpnięciem za klamkę. Jednak ona już przekręca klucz. Słyszę jej głośny, pełen ulgi oddech. I stuk obcasów na schodach. Walę pięściami w drzwi i jak oszalała wołam Barneya.

Nie wiem, jak długo tak krzyczę i łomoczę, lecz kiedy słabnę, pięści i gardło mam obolałe. Pokój widziany przez łyżki mieni się jak obraz w kalejdoskopie. Niespodziewanie zjawia się Mama; pociąga mnie za rękaw nocnej koszuli i prowadzi w cudowne miejsce, o którym myślałam, że jest utracone. Rzeźki, słoneczny wiosenny dzień, cicha plaża i zamek, który od wielu godzin budujemy z Tobym. Fale przyływu zalewają nam stopy, spieniona woda podmywa blanki z piaskowych babek. Nasze szorty i koszulki są szorstkie od piasku, palce u stóp mamy sine z zimna, jesteśmy głodni i chce nam się pić. Mama, uśmiechnięta, woła nas na kanapki z szynką, ale my nie reagujemy, bo przede wszystkim musimy udowodnić, że tym razem, w przeciwieństwie do niezliczonych wcześniejszych prób, pokonamy przyływ i nasz zamek oprze się falom. Toby szaleńczo macha łopatką, którą trzyma w lewej ręce, ja kopię prawą. Fontanny piasku lecą w górę. Poprawiamy uszkodzone miejsca, przyklepujemy przypory. Jedna wieża się osuwa. Po niej następna. Cała konstrukcja powoli się rozpada, a Barney i Kitty, klaszcząc i chichocząc, obserwują nas z plaży. Wszyscy czworo przywieramy do nieforemnej kupy piasku, dopóki nie rozplaszczy jej wściekłe uderzenie wysokiej fali, które zmywa nas w lodowatą pianę i zalewa nosy słoną wodą.

Następnego ranka ścieżką na klifie schodzimy na plażę i budujemy nowy, tym razem większy zamek.

Rozdział trzydziesty piąty

Lorna

– Oczywiście, od razu się zorientowałam, jak zobaczyłam Amber nago tam, w garderobie. – Cień laski pani Alton wydłuża się w pozłocie zmierzchu z okna, kreśląc czarną linię na drewnianej podłodze. – Wiedziałam, że przy jej figurze długo się nie da tego ukrywać. Nie mogło być mowy o powrocie do Londynu.

Co? Chyba się przesłyszała. Lorna opada ciężko na wąskie żelazne łóżko z napiętą pościelą, które wygląda, jakby trafiło tu prosto z lazaretu. Na poduszce leży wyblakła lalka z oczami wyszytymi czarną nitką. Z jednego z nich zwisa koralik. Podnosi ją. Lalka zgina się wpół w jej rękach, z rozprutej szyi wystaje wata.

– Przepraszam, chyba się pogubiłam.

Pani Alton wychyla się w drewnianym fotelu i palcem wskazującym dotyka do nosa.

– Och, mam nadzieję, że nie.

Lorna spięta, a jednocześnie zaintrygowana, rozgląda się po surowym, klasztorным wręcz pomieszczeniu w szczytowej części wschodniej wieży – szkolne biurko, komoda, rząd sfatygowanych książek w miękkich okładkach na jedynej półce – i czuje na karku lodowaty oddech przeszłości.

Pani Alton wzdycha przeciągle.

– Oczywiście, nie jesteś siostrą Endellion, bliźniaczą czy nie bliźniaczą – odzywa się, składając dłonie na gałce laski.

– Słucham? Czyli... Ale czemu... czemu Dill miałaby kłamać? – Lorna jąka się nieprzekonana.

– Endellion jest naiwna. Powtarza to, co jej powiedziano, i w przeciwieństwie do ciebie nie jest dociekliwa. Jak widzisz, wmówiono jej, że miała siostrę bliźniaczkę.

Lornie zasycha w ustach, w głowie zaczyna pulsować. Nie, nie kupuje tego. Musi się stąd wydostać. Ta kobieta najwyraźniej jest niespełna rozumu.

– Endellion urodziła się sześć tygodni przed terminem, dwa dni przed tobą, co dla wszystkich zainteresowanych było wielce pomyślnym zbiegiem okoliczności.

– Ale... Peggy... – Tamte wszystkie „P” maszerujące po papierze. – Peggy Mary Popple; takie dane były na mojej metryce.

– Rzeczywiście. Lekarz bez oporów zatuszował sprawę. Stary przyjaciel

rodziny. Lojalny jak pies. Do śmierci nie puścił pary z ust. Obaj z Hugonem starannie pozacierali wszelkie ślady. Tak, aby absolutnie nie prowadziły do ciebie. Reputacja Luciana i Amber została uratowana.

Lucian? Lucian i Amber? Lorna łapczywie chwyta hausty powietrza. Nie. Niemożliwe. Po prostu niemożliwe. Jeszcze nie oswoiła się z jedną rewelacją, a już musi uwierzyć w coś, co doszczętnie rozsypuje historię jej życia i pisze ją od nowa.

– Peggy chciała ciebie zatrzymać jako bliźniaczkę swojej nieślubnej córki. Oczywiście się nie zgodziliśmy, bo widzieliśmy w tym zbyt duże ryzyko. – Kiwa głową, jakby nadal utwierdzała się w swoim przekonaniu. – Natomiast podsunęła nam pomysł.

Lorna przyciska lalkę do brzucha, jasny pokój ciemnieje jej w oczach.

– Nie rób takiej przerażonej miny. To był... administracyjny szczegół, który wszystkim ogromnie pomógł. Naprawdę. Peggy była skazana na ostracyzm we wsi. No i liczyła się z utratą pracy w Pencraw. Tymczasem zaproponowaliśmy jej dożywotnie utrzymanie – jej i Endellion – w zamian za uratowanie Altonów przed niechybnym skandalem. – Krzywi się, wyobrażając sobie jego skutki. – Dzięki temu zapewniła dziecku, znaczy tobie, w połowie udokumentowane pochodzenie. Naturalnie, nigdy nie wyszło na jaw, że dziecko było owocem kazirodztwa...

Lorna przyciska rękę do ust.

– O Boże, niech pani powie, że to kłamstwo.

– Tak, to było kłamstwo. – Pani Alton prostuje się gwałtownie i bezwiednie podnosi dłoń do policzka, jakby mocno dostała w twarz. – Po śmierci Hugona powiedziałam prawdę Lucianowi. Ale wtedy było już za późno. Życie jest twarde jak beton, Lorno. Bezlitośnie szybko twardnieje.

Lorna z cichym jękiem opiera głowę na dłoniach. Obie milczą jakiś czas, pogrążone we własnych mrocznych światach. Za oknem krążą mewy, w bluszczu brzęczą pszczoły murarki.

– Nikt z naszego środowiska, ale to bardzo przyzwoici ludzie, zapewnił nas lekarz. Przeżyli kilka poronień i pragną ciebie adoptować – pierwsza przerywa ciszę pani Alton, jakby chciała tej rozmowie nadać jaśniejszy ton. – Kobieta obiecała regularnie przywozić cię do Kornwalii, żebyś miała jakieś wyobrażenie o miejscu, z którego pochodzisz. Myślę, że Amber czerpała z tego pocieszenie. Mój Boże, Lorno, zdaje się, że przytłoczyłam cię tą spowiedzią. Odezwij się, powiedz coś.

Ona jednak nie może wydobyć słowa. Nareszcie wszystkie, zdawałoby się, luźne kawałki układanki pasują do siebie: wakacyjne wyjazdy do Kornwalii, zdjęcia przy wylocie podjazdu, naciski matki, aby poznawała „swoje dziedzictwo kulturowe”, podczas gdy nigdy nie miała podobnych wymagań w stosunku do Louise. A więc matka się starała. Pomimo swoich lęków związanych z adopcją starała się robić to, co uważała za właściwe. Twardy kamień zalegający w jej

wnętrzu powoli mięknie i znika. Jakie to niesamowite – myśli – że odnajdując rodzoną matkę, jednocześnie poznają prawdziwą naturę adopcyjnych rodziców.

– Oczywiście, nie wiedzieli, że pochodzisz z Pencraw. Boże broń, absolutnie nie. Podejrzewam jednak, że mogły pojawić się jakieś plotki – wzdycha. – Nie da się ich uniknąć.

Siedząc teraz na gładko zasłanym łóżku – łóżku, na którym przyszła na świat – Lorna przebiega w myślach tamte wydarzenia z przeszłości, widzi, jak kłamstwo pani Alton trzyma je zszyte ciemną metaliczną nicią. Wzbiera w niej gniew, oczy ciskają ciemne błyski.

– Po co był ten okrutny postępek, pani Alton? Czemu to służyło?

Stara kobieta mruga w rytm wyrzucanych przez Lornę słów.

– Sądziłam, że to definitywnie rozdzieli Amber i Luciana i będziemy mogli spokojnie dalej żyć.

– Spokojnie żyć? – powtarza z niedowierzaniem, głosem łamiącym się ze wściekłości.

– Lorno, zrozum, dla Hugona Pencraw miał ogromne znaczenie, a los tego domu był bardzo niepewny. Toby nie nadawał się na spadkobiercę. Natomiast Lucian gwarantował trwanie rezydencji. Hugo też zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego unikał zadawania pytań. Oni nawet byli do siebie podobni. I dobrze się rozumieli. Hugo chciał, żeby Lucian był jego synem. – Cień laski zaczyna drzeć. – Zanim umarł – miał zawał, jestem pewna, że przyczyniła się do tego rozpacz po śmierci Barneya dwa lata wcześniej – uroczyście mu przysięgłam, że zachowam dom niezależnie od okoliczności, i dotrzymałam słowa. Przynajmniej w tym jednym przypadku dotrzymałam obietnicy.

– Pani tu nie powinna mieszkać! – wykrzykuje Lorna i zrywa się z miejsca, oburzona niesprawiedliwością całej sytuacji.

– Lorno, mam prawo tu przebywać tak długo, jak zechcę. W sytuacji, gdy nie ma mieszkającego tutaj właściciela lub wyznaczonego przez niego administratora, ja zarządzam posiadłością. Testament Hugona stanowi to jednoznacznie.

– Przecież to Toby jest spadkobiercą!

Wzdycha.

– Tak, i to jest wada systemu. Wiele posiadłości oraz rodzinnych fortun gromadzonych przez wieki bywa doprowadzanych do ruiny w zaledwie kilka miesięcy z powodu pewnych... obciążeń najstarszego syna.

– On był tylko zagubionym dzieciakiem! Potrzebował pomocy.

– Widzę, że nie na darmo jesteś nauczycielką.

– Jak pani mogła tak oszukać Toby'ego?!

– Lucian jakiś czas po śmierci Hugona, wiele lat temu, przeniósł prawo własności do Pencraw Hall na Toby'ego. Tak więc w końcu nie został oszukany.

– W takim razie gdzie on jest?

Usta pani Alton zaciskają się w cienką kreskę.

– Gdzie jest Toby?

Stara kobieta odwraca wzrok. Lorna cofa się zniesmaczona.

– Nic dziwnego, że nikt nie chce tu wrócić. Pani zmieniła Pencraw w upiorne miejsce! Dom z wyrwanym sercem! On jest jak... jak wypchane zwierzę. Nic, co pani zrobiła, nie ma żadnej wartości. Żadnej.

Twarcz pani Alton robi się szaroblada.

– Moja droga, sądziłam, że jeżeli się wytłumaczę, zrozumiesz.

– Ależ rozumiem. – Gniew stygnie; Lorna uspokaja się, ręce przestają drżeć, łzy już nie płyną. Dostała to, po co przyjechała do Black Rabbit Hall: swoją historię, na dobre i na złe. Tak, przeszłość oplątywała ją jak więcierz do połowu homarów. A teraz się z niego wymotała. Jest wolna i bardzo chce wrócić do domu.

– Muszę się zbierać, pani Alton. To nie jest moje miejsce.

– Jest, jak najbardziej jest. – Jej dłoń wędruje do koralu, palce coraz szybciej kręcą perłami. Lorna ma wrażenie, że lada moment zerwą się ze sznurka i rozprysną na podłodze jak drobne, białe zęby. – Sprowadziła cię tu opatrność, w twojej osobie zwraca mi Luciana. Zostań, Lorno. Musisz zostać.

A ją bierze pusty śmiech.

– Zostać tu? Po tym wszystkim, co pani zrobiła? To jakieś szaleństwo.

– On jest budowlańcem, tak? Ten Jon? Tom? – bełkocze gorączkowo pani Alton, przyskając kropelkami śliny. – Hydraulik. Hydraulika też możesz sprowadzić, jeśli chcesz. Weź skrzydło! Cały dom! A może wolisz domek gospodarczy?

– Pani Alton, proszę... – Jest coś zadziwiająco infantylnego w tym braku rozumienia konsekwencji własnych czynów. – Niech pani przestanie.

Ku przerażeniu Lorny oczy starej kobiety wypełniają się łzami.

Z dworu dochodzi chrzęst opon na żwirowym podejździe.

– Przykro mi, że zostawiam panią w takim stanie – mówi cicho.

Pani Alton bez ostrzeżenia rzuca się do przodu i ryzykownie zsuwając się z fotela, macha bezładnie rękami jak człowiek tonący.

– Przecież jestem twoją babką!

To słowo, mimo że się spodziewała, a jednocześnie obawiała je usłyszeć, uderza ją z groteskową siłą. Obie kobiety milkną. W niezręcznej ciszy słychać kroki na schodach, ciche z początku, z każdą chwilą się przybliżają. Obie kierują spojrzenie na drzwi i czekają, kto w nich stanie, wiedząc, że zostało niewiele czasu.

Lorna zbiera się do wyjścia.

– Pani Alton, ja miałam babcię, najlepszą, jaką można mieć. Innej nie potrzebuję.

– W takim razie zostań ze mną jeszcze chwilę. – Kobieta chwyta się dłońmi oparcia fotela, przez co wprawia go w chybotanie. – Proszę, weź mnie za rękę. Nikt

nigdy nie trzyma mnie za rękę.

Lorna wygląda na klatkę schodową, ciemną jak wejście do jaskini. Musi uciec z tego pokoju, jeśli chce zostać przy zdrowych zmysłach. Zejść po tych schodach na sam dół, gdzie jest jaśniej i nie tak klaustrofobicznie. Do światła.

– Potrafisz mi przebaczyć? Błagam, wybacz mi. Lorno, ja umieram.

Waha się z ręką na klamce. Boże. Co robić? Jak może kiedykolwiek wybaczyć tej kobiecie? Zaciska powieki, serce łomocze jej jak oszalałe. Co w takiej sytuacji powiedziała by babcia? Najprzystwoitszy człowiek pod słońcem. Zawsze mogła polegać na jej radach.

– Lorno. – Głos pani Alton zmienia się w żalosne skomlenie. – Nie zostawiaj mnie samej w tym upiornym miejscu.

Wraca z powrotem w głąb pokoju.

*

Parę sekund później w drzwiach staje blond Goliat z rozpostartymi ramionami, gigant wypełniający wąską futrynę.

– Jon! – Lorna bez namysłu rzuca się biegiem w te otwarte ramiona i przytula policzek do jego koszuli. Uczucie ulgi podcina jej nogi w kolanach.

On przytrzymuje ją za ramiona i badawczo zagląda w oczy.

– Wszystko w porządku?

Kiwa głową i trzepocze powiekami, żeby powstrzymać łzy; radość, smutek i wiele nienazwanych emocji przepływa między nimi.

– Dużo się wydarzyło – tyle tylko jest w stanie z siebie wydusić, choć powoli się uspokaja pod kojącym ciężarem jego rąk.

– Wiem. – Odgarnia luźne pasemko włosów z jej rozpalonego policzka.

Pani Alton chrząknięciem przypomina o swojej obecności. Jon spogląda ponad głową Lorny na bladą damę, zaciskając gruzłowate palce na podłokietnikach fotela.

– Pani Alton?

Przytakuje kiwnięciem głowy. Nadal w jej szeroko otwartych oczach widać zaskoczenie.

– Dobrze się pani czuje? – pyta, odgadując, że rozmowa w tym dziwnym, małym pokoju musiała mieć burzliwy przebieg.

– Jestem... jestem znużona.

– No, to zbierajmy się stąd. Pozwoli pani, że pomogę. – Jon ujmuje starą damę pod kościste, drżące ramię i sprowadza powoli, stopień po stopniu ze schodów, usadawia w fotelu w skromnym saloniku na parterze wschodniej wieży, okrywa jej nogi pledem w kratę i nalewa do kieliszka morderczą porcję sherry, a ona akceptuje te wszystkie poczynania bez oporu czy słowa protestu, jakby długo czekała, aby jakiś młody mężczyzna był gotów przejąć inicjatywę. Podbródek

opada jej na pierś, powieki powoli się zamykają. Jon odwraca się do Lorny, która przygląda się takiej uległej pani Alton z rosnącym zdumieniem.

– Masz ochotę na drinka? – pyta.

Zupełnie tak samo jak na tamtym przyjęciu, kiedy się poznali; cichnie gwar, tłok się rozrzedza. Odpowiada mu też tak samo jak wtedy.

– Tak, poproszę. Z przyjemnością się napiję.

Pojawia się wino z piwnicy – w drobnych dłoniach Dill pokryte kurzem butelki kołyszają się jak wałki do ciasta – wino z miodowo-kwiatowym bukietem śródziemnomorskiego słońca sprzed wielu lat. Dill, Alf, Doug i Louise rozszczebiotani jak podniecone ptaki otaczają Lornę i Jona w bawialni, a potem dyskretnie rozpierzchają po domu, zostawiając ich samych z winem, z puszką krewetek, z krakersami i ciastem. I tylko śmiech Alfa i podekscytowane poszczekiwanie psa świadczą o tym, że nie są sami w tym wielkim domu.

W tej chwili Black Rabbit Hall wydaje się należeć do nich – myśli Lorna, splatając palce z palcami Jona. Na tę jedną noc staje się ich. Bo, o dziwo, już jest noc; połyskliwie czarną tkaninę nieba znaczą świetliste dziurki z gwiazd. Po zachodzie słońca temperatura spadła i przez otwarte okno z sierpniowym wiatrem wpada delikatny zapach schyłku lata i słodczy jesiennych zbiorów.

Jon obejmuje ją w pasie i przyciąga do siebie. Ciepły oddech krąży w zamykającej się przestrzeni między ich ustami. Tyle jest do opowiadania, Lorna nie wie, od czego zacząć. Intensywność emocji z ostatnich kilku godzin odbiera jej mowę.

– Mam napalić w kominku? – pyta szeptem Jon.

Kiwa głową – on wie, czego ona chce, zanim sama o tym pomyśli – i patrzy zauroczona, jak Jon przykłęka i ustawia polana i szczapy w zgrabną piramidkę. Potem przykłada zapaloną zapałkę i wdmuchuje powietrze do paleniska. Płomyki pełgają i tańczą, zupełnie jak jej serce.

Już po chwili ogień strzela w górę, dym snuje się w kątach atramentowoniebieskiego pokoju. Pierwotne potrzaskiwanie płonącego drewna wycisza tamto drżenie głęboko w niej i pozwala się zatracić w cennym miejscu, gdzie wyraźna jest tylko terażniejszość, a przeszłość i przyszłość pozostają mgliste jak sen.

Siadają na wytartym dywanie. Ona mości się w gnieździe jego podgiętych nóg, on opiera podbródek o czubek jej głowy. Z początku z wahaniem, niepewnie, a potem coraz płynniej relacjonuje Jonowi to, co usłyszała, od nowa przeżywając tamte wydarzenia, jednak tym razem z bezpiecznego dystansu. On słucha z rozchylonymi ustami i wilgotnymi oczami, głośno przełykając ślinę. Gdy Lorna kończy opowieść, ciszę przerywa jedynie potrzaskiwanie ognia i nikłe tykanie zegara. Jon nachyla się i muska ustami dziecięco delikatną skórę za jej uchem.

– Jesteś niesamowita.

Rozczuła ją tą uwagą, znowu w oczach kręcą się łzy.

– Wcale się taka nie czuję.

Przytula ją mocniej.

– A jednak jesteś.

Lorna sięga po pogrzebacz i zadumana, szturcha nim rozżarzone polano. Snop iskier strzela na ciemnoniebieskim tle ponad paleniskiem.

– Te wszystkie sprawy. Tyle zła. Nie wiem, co z tym zrobić.

– To nie twoje sprawy. To nie ty.

– A jednak to moja historia. To część mnie, Jonie.

– I dlatego jestem wdzięczny za te wszystkie tragiczne losy, za każde z tych podłych kłamstw, za wszystko, Lorno.

Odwraca się ku niemu.

– Nie mówisz poważnie.

– Lorno, kocham cię taką, jaka jesteś, kocham kobietę, jaką się staniesz, i matkę, którą zapewne będziesz. Zależało mi na poznaniu tej części twojej historii, do której tak konsekwentnie broniłaś mi dostępu.

Opuszcza oczy.

– Bo nie chciałam, żeby ona... stała się też częścią nas. Wolałam, żeby zniknęła.

– A jednak nie zniknęła.

– Nie.

– Nie powinienem na ciebie wywierać presji. Przepraszam. Źle postąpiłem.

Cień uśmiechu unosi Lornie kąciki ust. Opiera głowę na jego ramieniu.

– Zabawne, że to dom wciągnął mnie w przeszłość i w końcu ją uwolnił. Nie ja. Ani ty.

Jon składa pełen uszanowania ukłon ścianie w zadymionym pokoju.

– To ci dopiero dom.

– A ty mnie dzisiaj uratowałeś. Dziękuję. – Opuszkami palców przesuwając po kostkach jego dłoni i podnosi ją do ust. – Nie chce mi się wierzyć, że jechałeś taki kawał drogi.

– Pędziłem jak wariat, przynajmniej ze dwie kamery cyknęły mi fotki. – Milknie. – Jak na Jona to niezbyt rozsądnie.

Lorna uśmiecha się szerzej.

– Powiedziałałabym, że jak na Jona to bardzo nieroztropnie.

Wodzi ustami po jej szyi.

– Wyznam ci w tajemnicy, że to mi się całkiem podobało.

Lorna wybucha śmiechem. Ma wrażenie, że na jej śmiech nakłada się echo innych, odległych śmiechów. Zerka na Jona, sprawdza, czy też to słyszał. Jednak on patrzy na nią z niezmiennym wyrazem twarzy. Przez jedną magiczną chwilę dzieci Altonów – Toby, Amber, Kitty, Barney – są migotaniem w smudze szarego,

drzewnego dymu, niebieską poświatą w strzelającym w górę złotym płomieniu.

Rozdział trzydziesty szósty

Osiem dni później, Nowy Jork

Przyciemnione wnętrze restauracji pachnie kawą. Na jaskrawo oświetlonej ulicy hula wiatr, miasto mieni się pod absurdalnie niebieskim niebem. To migotanie drażni oczy Lorny. Drażni ją.

Nowy Jork. Greenwich Avenue. Sam środek atramentowego kółka na globusie w Black Rabbit Hall. Złe samopoczucie po długim locie i zmianie stref czasowych, bezsenna noc, mózg atakowany odgłosami obcego miasta – to wszystko sprawia, że Lorna od rana porusza się w dziwnej, surrealistycznej mgle. Nie potrafi się oprzeć bzdurnemu wrażeniu, że trafiła w środek jakiegoś filmu. Za chwilę ktoś podbiegnie, krzyknie: „Cięcie!” i znajdą się w domu w Bethnal Green.

– Dobrze się czujesz? – pyta Jon, chowając laminowaną, składaną mapę do tylnej kieszeni jeansów.

– Sama nie wiem. – Nie jest pewna, czy bliżej jej do płaczu, czy ataku histerycznego śmiechu. Może powinna złapać taksówkę i wrócić na lotnisko JFK. – Ręce mi się trzęsą. Jon, jestem kompletnie rozbita.

– Wcale tego nie widać – przemawia do niej ciepło. Jego cętkowane, brązowe oczy wypełnia światło.

– To już coś.

– Ślicznie wyglądasz.

Uśmiecha się po tym komplementcie i nerwowo skręcając włosy, unosi je znad szyi – jak we wrześnie może być taki upał? – a potem pozwala im opaść swobodną burzą błyszczących loków. (Efekt wizyty w salonie fryzjerskim na Broadwayu i modelowania za pomocą szczotki oraz suszarki z parzącym skórę strumieniem powietrza). Zgodnie z poleceniem Louise dała sobie zrobić paznokcie u rąk i nóg – najwyraźniej w Nowym Jorku brak lakieru na paznokciach jest porównywalny z paradowaniem po Bond Street z nogami owłosionymi jak u antylopy gnu – i fundnęła sobie drogą niebieską sukienkę w jednym z butików w Meatpacking District na Manhattanie. Czerwone szpilki – zdecydowanie niesprzyjające długim spacerom – to jej szczęśliwe buty; miała je na nogach, gdy poznali się z Jonem. Czerwone pantofelki Dorotki z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. Trzykrotnie stuknij obcasami.

– Jestem gotowa – oznajmia.

– Dobra. Muszę tylko złapać kierunek. – Jon zsuwa na czubek nosa słoneczne okulary i ze skupioną miną rozgląda się po ulicy. – Myślę, że to będzie

jakieś trzy przecznice stąd, idąc w tę stronę.

– Może lepiej sprawdź na mapie?

– Niepotrzebna mi mapa. Układ ulic w Nowym Jorku jest bardzo logiczny.

– Skąd u facetów taka niechęć do map?

– To nie Kornwalia – przypomina jej tamtą podróż, błyskając zębami w uśmiechu. – Nic się nie martw.

A jednak jest niespokojna. Myśl, że mogą się spóźnić, że pobłądzą...

Jak dotąd jakimś cudem wszystko idzie gładko. Żadnych sensacji żołądkowych. Nie obsypało jej pryszczami. Nawet samolot nie spadł z nieba. Jest tu, w Nowym Jorku, stoi na chodniku i zaledwie kilka minut drogi dzieli ją od kobiety, która dała jej życie. Ta świadomość budzi jednocześnie i lęk, i euforię. Kurczowo trzyma się Jona. Och, jak ona kocha tego faceta! Jeszcze raz wraca myślami do tamtej długiej, magicznej nocy w atramentowej bawialni Black Rabbit Hall; czas zawieszony w snującym się drzewnym dymie do chwili, gdy świt pocałunkiem przebudził pokój, wyganiając ich do łóżka na piętrze.

Po powrocie do Londynu – na ulicach metropolii żyjącej w szybkim rytmie odmierzonym uderzeniami Big Bena – wszystko natychmiast nabrało tempa i nadal przyspiesza. Jon chciał pomóc Lornie. O ile ona pozwoli. Czego chciała? Chciała... tak, chciała odszukać rodzoną matkę. Nie, absolutnie się nie rozklei. Z Jonem u boku wystarczy jej siły na podjęcie tego ryzyka. Zresztą tak naprawdę nie wierzyła, że uda im się namierzyć Amber Alton.

Wystarczyło zaledwie kilka kliknięć myszką. Lorna zupełnie się rozsypała. To Jon musiał wysłać mejl, zadzwonić, bo ona nie była w stanie, zadać pytanie, którego nie miała odwagi postawić: „Czy chce się spotkać?”, a gdy padła odpowiedź: „O Boże, tak, tak... kiedy?”, z wrażenia wypuściła filiżankę z ręki. Jon zajął się wszystkim. Wcisnął wyjazd w ostatni weekend przed rozpoczęciem roku szkolnego we wrześniu, wystawił do wiatru bogatych klientów w Bow, zarezerwował bilety na samolot w klasie biznes – lepiej, żeby przyleciała wypoczęta po ostatnich piekielnych dniach – i wynajął pokój w ciasnym, ale przytulnym hoteliku na Washington Square, swobodnie pokonując wszelkie bariery, które zazwyczaj uważał za nieprzekraczalne. Jednak życie wcale tak szybko nie zastyga jak beton.

Czerwone światło. – Nie idź.

Zapala się zielone. – Idź.

Trąbi taksówka. Za wolno przechodzą przez jezdnię. To przez te czerwone czółenka. Skręcają w boczną ulicę. Lorna pociąga Jona za rękę. Przystańmy. Chce przez chwilę chłonąć to wszystko: filmową perspektywę Nowego Jorku widoczną w szczelinie pomiędzy domami z brunatnego piaskowca; podmuch gorącego powietrza z kratek nad tunelem metra; monumentalność tej metropolii, przy której Black Rabbit Hall kurczy się do rozmiaru mikroskopijnego, nieważnego punkciku.

Trzy kwartały. Dwa. Jeden.

– Jon, nie dam rady. Poważnie, to mnie chyba przerasta.

On jest przygotowany na taką ewentualność. Ma gotowy plan awaryjny.

– Dobra. Nie ma problemu. Wracajmy do hotelu.

– Tego też nie mogę zrobić!

– No to postójmy tutaj. – Obejmuje ją ramieniem i przyciąga do siebie. – Aż będziesz gotowa.

– Lalka! Kurczę. Zapomniałam zabrać lalkę Kitty. – Bezlładnie grzebie w torbie.

Pani Alton na wiadomość, że Lorna leci do Nowego Jorku, wysłała Dill z lalką do Londynu, którą ta przekazała chyłkiem na stacji Paddington, niczym przeschmugłowany cenny kamień lub porwane dziecko, bełkocząc przy tym coś o konfiskacie szmacianki przez jej chlebodawczynię przed wielu laty.

– Nie. Mam. Jednak ją wzięłam. – Wyszarpuje lalkę z torby i z ulgą całuje. Żaden z przechodniów nie zwraca uwagi na to dziwne zachowanie. Odpowiada jej to miasto.

Jon ujmuje w dłonie jej twarz. Słońce piecze ich w plecy.

– Widzisz. Masz wszystko, czego potrzeba.

Czy aby na pewno? Jeśli to spotkanie zawiedzie jej oczekiwania, okaże się klęską – a może tak być, nie jest naiwna – z czym zostanie? Ma Jona, ma swoją rodzinę i boleśnie zdobyłą znajomość siebie. Tak, stwierdza, to wystarczy.

– Wiem.

– To dobrze. Bo jesteśmy na miejscu.

– Żartujesz? Och. Mój. Boże. Mówisz poważnie, tak?

Sześć schodków. Eleganckie czarne drzwi. Trzy przyciski rzędem na zmatowiałej mosiężnej tabliczce. Drugi dzwonek. Mieszkanie numer dwa. Amber i Lucian Shawcrossowie.

Rozdział trzydziesty siódmy

Amber

Dzień ślubu Lorny

Pobrzękiwanie w rurach pod podłogą garderoby – ten odgłos ukryty gdzieś głęboko we mnie, niemal zapomniany, akustyczna wersja patrzenia do lustra, w którym przez elektryzującą, ulotną chwilę zamiast siebie widzę moją Matkę – podrzuca mnie do góry, lecz zaraz parskam śmiechem.

Dzisiaj Mama jest niezwykle blisko mnie, od dawna nie odczuwałam tak wyraźnie jej obecności. Niemal widzę, jak zmienia najróżniejsze suknie i oglądając się przez piegowate ramię, prosi, żebym zasunęła jej zamek. Barney, chichocząc, kręci się nam pod nogami, Piotruś Pan, już na zawsze sześćioletni. Toby, oparty o framugę, obserwuje nas z przechyloną głową. Rudzielec. Lewa ręka, uzupełnienie mojej prawej.

Siadam na taborecie przed toaletką, owładnięta pragnieniem obalenia praw fizyki, chociażby na kilka sekund – gdyby to było możliwe, niewątpliwie wydarzyłoby się tu i teraz – bo tak bardzo chciałabym zobaczyć w lustrze tamte ukochane twarze, zaróżowione i pełne życia, takie, jakie były.

Niestety, tylko moja twarz odbija się w zmatowiałej tafli. Oglądam ją z zaciekawieniem, przekrzywiam głowę, unoszę podbródek, obsesyjnie doszukując się podobieństwa. Tak, jest – w wykroju górnej wargi, w zarysie szczęki – moja córka. Moja. Córka. Niesamowite słowa!

Trudno uwierzyć, że to zaledwie dwa miesiące: niekończące się rozmowy telefoniczne, trzy spotkania, dwa w Nowym Jorku, jedno w Londynie. Wszystkie nacechowane chaotycznymi próbami wciśnięcia całego życia w ciasne ramy kilku dni spędzanych w różnych strefach czasowych. Pilnujemy się z Lucianem, aby nie przesadzić z nadmiarem informacji, pozwolić jej oswoić się z nami, dać jej czas. Tak samo ostrożnie postępujemy z naszym synem, Barneyem. Co prawda cieszy się, że ma siostrę, lecz jako jedynak przywykł do skupiania całej uwagi na sobie. Powoli, spokojnie, Lucian hamuje entuzjastyczne zapędy cioci Bay, Kitty i jej rodziny, Matildy, naszych oniemiałych przyjaciół, artystów z mojej galerii i swoich zszokowanych kolegów w Columbia University.

Każdego ranka od tamtego telefonu od Jona budzę Luciana, trącając go w ramię. Słuchaj, czy to nie sen? Jesteś pewien, że to dzieje się naprawdę? Znowu ujawnia się mój głęboko ukrywany lęk – ludzie, których kocham, umierają albo znikają. Lucian trze oczy, po omacku szuka okularów na nocnym stoliku i uspokaja

mnie tak, jak tylko on jeden potrafi.

Dopiero po tym małym rytuale pozwalałam sobie na słodką torturę liczenia dni, godzin, minut do następnej rozmowy lub spotkania z Lorną, oczarowana tą cudowną, młodą kobietą, podobną do mnie i niepodobną, dzieckiem całym sercem kochanym i całkowicie utraconym. Kobietą, która tak dzielnie kształtowała własne życie, szukała odpowiedzi na nurtujące ją pytania, przeżyła rewelacje z Black Rabbit Hall, zachowując hart ducha i równowagę. Boże, odbiera mi rozum z tej miłości!

Lorna. Nie wybrałabym tego imienia. Ale pasuje do niej, ma w sobie taką otwartość, szczerłość. Ja nigdy nie mówiłam o niej inaczej jak „niemowlę”, żeby jeszcze bardziej jej nie pokochać – wszystko na nic, i tak pokochałam – bo od początku wiedziałam, że nie pozwolą mi jej zatrzymać. Gdy mi ją odebrali – mój rozpaczliwy krzyk, zacięte usta Caroline, jej syk, żebym nie była egoistką, zrobiła to, co dla dziecka najlepsze, szybkie kroki lekarza na schodach – wróciłam do Londynu; byłam jak zranione do żywego stworzenie. Jednej Matildzie powiedziałam; nikt poza nią nie wiedział, moją nieobecność wytłumaczono chorobą. W tamte, bezcenne dla mnie noce, kiedy spałam z Matildą „na waleta” w jej łóżku, godzinami rozmawiałyśmy „o niemowlęciu”: gdzie jest, kim zostanie w przyszłości, czy jest rude jak ja, czy ciemnowłose jak Lucian. Kilka miesięcy później ojciec, zdesperowany moim łzawym, depresyjnym stanem, zgodził się w końcu, abym na jakiś czas zamieszkała u cioci Bay w Nowym Jorku i tam się dalej uczyła. Żadne z nas nie podejrzewało, że zostanę w tym mieście na zawsze. Pamiętam, jak stoję na lotnisku z brązową skórzaną walizką przy nogach, a Matilda w okularach spadających z nosa nachyla się nade mną i szepcze: „Amber, któregoś dnia ona cię odnajdzie. Tak będzie. Przysięgam”. Nie uwierzyłam jej.

W samolocie, zapatrzona na grubą warstwę białych chmur, postanowiłam udawać przed sobą, że dziecko zmarło, tak jak wcześniej Mama i Barney. To był jedyne sposób, abym mogła przetrwać.

Naturalnie nigdy nie zapomniałam o mojej córce. Patrząc na kalendarz, myślałam: „ma trzy lata” albo „jest w pierwszej klasie” czy „dziś kończy szesnaście lat”. I przetrwałam. Życie toczy się dalej i wypełnia je cała masa zajęć. W Nowym Jorku jest sporo psychiatrów, mnóstwo klubów jogi i galerii sztuki. Miasto oferuje wiele możliwości. Żyłam z ranami, którym nie chciałam pozwolić się zagoić – to oznaczałoby zapomnienie, a ja nie chciałam zapomnieć – lecz musiałam zachować zdrowe zmysły, bo miałam obowiązki wobec Barneya.

Pukanie do drzwi.

– Skarbie, przyjęcie się zaczyna – wrywa mnie z zadumy głos Luciana. – Myślisz, że zdążysz przed świtem?

– Jestem prawie gotowa. – Przybliżyłam twarz do lustra i językiem przesuwam po zębach, żeby zetrzeć ewentualne różowe ślady pomadki Chanel. Okręcam się

i sprawdzam, czy suknia dobrze spływa. Opuszcza mnie pewność siebie. Czy zielony kolor pasuje na taką okazję? Może jest zbyt intensywny? Czy Lorna zaakceptuje tę sukienkę? Może nie jest odpowiednia dla matki panny młodej? Właściwie jakie zasady ubioru obowiązują w Kornwalii na ślubie dawno straconej i dopiero odnalezionej córki? Absolutnie nie mam pojęcia.

– Barney zszedł już na dół i jak zwykle kręci się koło najładniejszej dziewczyny w pokoju. – Lucian przesuwa się z lewego skrzydła lustra na jego środek. Opasuje mnie w talii ramionami i całuje w odsłonięty kark, uśmiechając się do naszego odbicia spod szpakowatej czupryny.

Zastanawia mnie, co on widzi. Małżeństwo w średnim wieku? Czy tamtą parę nastolatków z przeszłości? Wiem jedynie, że kiedy na niego patrzę, nie dostrzegam siwych włosów ani zaokrąglonej linii podbródka. W moich oczach pozostał taki sam jak tamtego dnia, gdy się ponownie zesłiśmy. Zobaczyłam wtedy młodego, obiecującego naukowca o smukłych biodrach, z grzywą opadającą na oczy, który przechadzał się nerwowo pod Mostem Westchnień w miodowym oxfordzkim słońcu, nieświadomy, że obserwuję go z odległości zaledwie metra, zbyt przerażona, aby wyjść z cienia wąskiej, brukowanej alejki. Prawie dwa lata minęły od naszego rozstania, a mnie na jego widok tak samo zapało dech.

Zaledwie kilka dni wcześniej list od Luciana, ekscytująco opatrzone znaczkiem z królową Elżbietą i lekko pachnący atramentem, wpadł do skrzynki pocztowej ciotki Bay. Pisał, że matka przyznała się do kłamstwa – ja zawsze czułam, że ona wtedy skłamała tylko po to, aby nas rozdzielić – że nie wiedział o dziecku i że wyobraża sobie, przez co musiałam samotnie przechodzić. Czy potrafię mu kiedykolwiek wybaczyć? Czy jest szansa, abyśmy się spotkali? To, że teraz, wiedząc już o dziecku, nadal chce mnie widzieć – przecież Caroline wyraźnie oświadczyła, że zrujnuję mu życie, jeśli kiedykolwiek mu to powiem, i w efekcie Lucian mnie znienawidzi – wywołało ogromny szok, a jednocześnie przyniosło taką ulgę, że usiadłam na podłodze i płakałam jak bóbr. Inicjatywę przejęła ciocia Bay; wrzuciła mi do torby najładniejszą, najkrótszą sukienkę, wsadziła mnie do taksówki na lotnisko i po przylocie kazała pojechać taksówką prosto do Oxfordu.

Wychodząc z cienistej, wąskiej alejki, nie miałam pojęcia, co się dalej wydarzy. Minęło tyle czasu. Czułam się znużona i doświadczona przez życie, już nie byłam tamtą nastolatką o świeżej twarzy, którą Lucian pokochał. Jednak kiedy spojrzał na mnie i promień słońca odbił się w jego czarnych oczach, wiedziałam. Po prostu wiedziałam, że nic nas więcej nie rozdzieli. Naturalnie nie miałam pojęcia, jakie trudne czasem bywa wspólne życie, gdy po pierwszych słodkich pocałunkach następuje dwudziestoletni małżeński staż. Chyba nikt sobie tego nie uświadamia.

– Świetna suknia.

Uśmiecham się do niego w lustrze, zadowolona, że wyrwał mnie

z zamyślenia.

– Nie przesadziłam?

– Jeśli nawet, to w pozytywnym sensie.

– Tak czy owak, za późno na przebranie. Poza tym posiałam gdzieś torebkę.

Nie widziałeś mojej złotej kopertówki?

Nakłada okulary w czarnych oprawkach i rozgląda się po garderobie.

Dostrzegamy ją równocześnie, wisi na... drzwiach szafy.

– Mój Boże. – Drewniane rzeźbione łapy. Krzyki tłumione przez futra.

Radość. Przeżalenie. To, co nastąpiło potem. To wszystko nadal tu jest.

Lucian bierze mnie za rękę.

Jakiś czas stoimy z pochylonymi głowami i wspominamy tych, którzy odeszli. Potem Lucian zdejmuje torebkę z drzwi i trochę mocniej trzymając się teraz za rękę, schodzimy na dół na przyjęcie.

*

Kilka godzin później wycofuję się dyskretnie na krawędź lasu i zatrzymuję się w pobliżu króliczych nor – nadal uparcie je kopią. Wylewność nieznanych ludzi – „Ha, wyglądasz zupełnie jak Lorna!”. „Lil, chodź, poznasz słynną Amber Shawcross, tak, tę Amber Shawcross, przyleciała aż z Nowego Jorku...” – jest wzruszająca, ale bardzo nuży.

Poza tym chcę spędzić trochę czasu wyłącznie w towarzystwie własnych wspomnień. Tego wieczoru są szczególnie żywe. Kiedy tak siedzę na omszałym pniu – już sam aksamitny dotyk zielonego mchu przenosi mnie parę dekad wstecz – widzę swoje dzieciństwo o wiele wyraźniej niż jeszcze tydzień temu w Nowym Jorku. Powracamy wszyscy tacy, jacy byliśmy. Mama z tatą śmieją się na tarasie z jakiegoś dowcipu; Kitty z uporem sprowadza wózek po kamiennych schodach; Barney z padalcem w złożonych garściach gania po trawniku; Toby macha do mnie z granicy lasu: „Amber, chodź, zobacz...”.

Niestety, nie udaje mi się zatrzymać moich drogich duchów na długo; przeszłość płoszy oszałamiająca witalność dzisiejszego Black Rabbit Hall. Nigdy nie wyglądał bardziej radośnie, obwieszony chińskimi lampionami i kolorowymi światełkami, ozdobiony balonami i serpentynami. W świeżo umytych oknach odbija się niskie jesienne słońce. Dzieci kulają się po spadku trawnika. Młodzi, piękni ludzie tańczą na tarasie. Mój rozanielony syn płąsa w wianuszkach długonogich dziewcząt, po kolei rozkręcając je za ręce w rokendrolowych figurach. Miejscowe nastolatki, krążąc w ciżbie, roznoszą trójkątne, krabowe kanapki, trzymając chwiejnie tace na otwartej dłoni uniesionej na wysokość barku. („Dużo alkoholu, mało jedzenia – szepcze mi na ucho Lucian. – Jak na wszystkich najlepszych weselach”).

Chłonę te scenki całą sobą. Zaskakuje mnie widok przechodzącej Dill.

Skórka zdjęta z matki. Podobieństwo jest tak niesamowite, że o mało nie podbiegłam jej wyściskać. Kiedy ostatni raz ją widziałam, była nie większa od kociaka; w tamte dziwne, słodko-gorzkie dni po urodzeniu Lorny Peggy przekradała się do mojego pokoju z foremką ciasta i obie, siedząc na moim łóżku, próbowałyśmy karmić piersią nasze maleństwa.

Lorna twierdzi, że tylko dzięki pomocy jej uroczej siostry, Louise, oraz Dill udało się urządzić to wesele, dopiąć wszystko dosłownie na ostatnią chwilę. Zdaje się, że dzisiaj też obie mają ręce pełne roboty; troskliwie ratują stare ciocie błędzące po zakamarkach wieży i cierpliwie namawiają półnagich gości do wyjścia z rzeki, a jeszcze na dodatek bez przerwy depcze im po piętach cała gromada podeksytowanych dzieciaków z Alfem na czele, który co jakiś czas zmusza Luciana do wystukiwania na fortepianie melodii z *Toy Story*. Lorna ma wspaniałą rodzinę; kochającą, zgraną i szczęśliwie bardzo normalną; taką, jakiej dla niej pragnęłam. Gdyby Sheila żyła, z całej duszy bym jej dziękowała. Co prawda, z tego, co mówi Lorna, jej relacje z matką nigdy nie należały do najłatwiejszych, lecz według mnie ta kobieta zrobiła coś bardzo wyjątkowego i za to będę jej dozgonnie wdzięczna. Doug jest kapitalny. Bardzo go polubiłam. Podobnie jak Lucian. Obaj panowie – przedziwny tandem, gdy się patrzy na nich z boku: Doug w jasnoniebieskim garniturze z różowym krawatem, Lucian w pogniecionym czarnym smokingu od Prady – już z godzinę siedzą na beli siana, śmiejąc się, popijając cydr i ćmiąc papierosy, chociaż obaj podobno rzucili palenie lata temu. Widzę, że Lorna też ich dyskretnie obserwuje, pewnie sprawdza, czy dobrze się dogadują.

Dalsza rodzina Jona – glamour! zamieszanie! cekiny! – cały czas krąży po posiadłości jak ławica egzotycznych ryb. Bardzo rzuca się w oczy teściowa Lorny, Lorraine. Jakimś cudem ta kobieta jest zawsze w polu widzenia w swoim kapeluszu wielkości anteny satelitarnej w lamparci wzór. Ale ten kapelusz to pikuś w porównaniu ze stroikiem cioci Bay, gigantyczną konstrukcją z pawich piór, które chwieją się dostojnie ponad głowami towarzystwa, gdy ciocia, przechadzając się wsparta na ramieniu Kitty, opowiada każdemu, kto tylko chce słuchać, o swojej drogiej, zmarłej siostrze, Nancy, która uwielbiała przyjęcia i wręcz bosko wyglądała w zieleni. Kitty z radością pozwala cioci grać pierwsze skrzypce. Jej wystarcza, że ma okazję zaprezentować czwórkę swoich dzieci – wszystkie urodziły się w Stanach. Kiedy skończyła szesnaście lat, dołączyła do mnie w Nowym Jorku, a potem wyszła za mojego bliskiego przyjaciela. Przenieśli się do Maminego Maine – tamten legendarny, stary dom, o którym Mama nam tyle opowiadała, naprawdę istnieje. I, w co może trudno uwierzyć, telefony komórkowe tam nie działają.

Chcąc nie chcąc, zastanawiam się, jak Caroline patrzyłaby na to wszystko. Czy byłaby zadowolona? Czy ona w ogóle potrafiła się cieszyć? Nigdy się tego nie

dowiemy. Na szczęście zmarła w hospicjum w Truro w zeszłym miesiącu, ściskając za rękę Luciana. W końcu jakoś znalazł w sobie siłę, żeby jej przebaczyć. Ja nigdy się nie przemogę. Tak jak cała reszta świata odetchnęłam z ulgą na wieść o jej śmierci, pytając Boga, czemu tak cholernie długo zwlekał.

– Przynieść pani coś? – Podnoszę głowę. Mam przed sobą Jona; wysoki i przystojny w ciemnogramatowym garniturze, uśmiecha się nieśmiało. – Może drinka?

– Nie, dzięki. – Wskazuję mu miejsce obok siebie na zwalonym pniu. – Bardzo tu wszyscy o mnie dbają. Cudowne wesele, Jonie.

Siada przy mnie, materiał spodni napina mu się na masywnych, kanciastych kolanach.

– Trochę dziwnie tu wracać?

Śmieję się.

– Trochę.

– Lorna się bała, że to może obudzić złe wspomnienia.

– Ach, nie przejmuj się. Black Rabbit Hall cały czas mam tutaj. – Dotykam do głowy. – I wiesz, cieszę się, że tak jest. Naprawdę.

Spuszcza głowę i wpatruje się w swoje duże stopy, emanując tą uroczą aurą lekkiego speszenia, typową dla mężczyzn w dniu ślubu. Przypomina mi Luciana w ratuszu przed laty. Ładne buty – myślę. Kasztanowe, włoskie broggy, nieco staromodne. Widzę tu wpływ Lorny. Szkoda, że moje nauczycielki nie miały choćby połowy takiego wyczucia stylu.

Zaczyna mu podrygiwać kolano.

– Pani...

– Proszę cię, Amber.

– Przepraszam. – Śmieje się nerwowo, kolano drga coraz szybciej. – Rozmawiałem z Tobym.

Nieruchomieję.

– Co? Co powiedziałeś?

– Twój brat, Toby, zadzwonił do mnie – mówi ciszej.

Kiedy dociera do mnie sens tych słów, ziemia dosłownie usuwa mi się spod nóg. Przytrzymuję się ręką pnia.

– Rozmawiałeś z Tobym przez telefon? Jak... cholera. Przepraszam. Wybacz mi... Jak...

– Wysłałem mu zaproszenie na ślub razem z listem, w którym wyjaśniłem, kim jesteśmy, i podałem namiary na siebie, na wypadek gdyby chciał się skontaktować. Nie odpowiedział i szczerze mówiąc, już nie liczyłem, że się odezwie, ale gdy dziś rano wychodziłem spod prysznic, zajęty swoimi myślami, zadzwonił jakiś mężczyzna. Ochryplym głosem przedstawił się jako Toby Alton i spytał, czy na pewno chodzi o ślub dawno zaginionej córki Amber. Nie mógł w to

uwierzyć. Potwierdziłem, że tak, to ona, i chyba go przekonałem.

Mam łzy w oczach. Odtwarzam w myślach tamtą noc w Londynie, gdy nie mogąc zasnąć, wiedziona impulsem, usiadłam w łóżku i używając kolan jako podkładki, napisałam list do Toby'ego, do jego szkoły z internatem na końcu świata – nazywał ją więzieniem – w którym powiedziałam mu o dziecku. Przez ponad rok ukrywałam to przed nim i dłużej już nie mogłam wytrzymać. Tydzień później dostałam krótką odpowiedź, którą na zawsze zapamiętałam: *Wiem. Nieraz mi się śniła. Trzymaj się, siostrzyczko. Uściski, T.*

– Amber, chcesz przez chwilę побыć sama? – pyta Jon, kiedy osuszam oczy.
– Powiniennem cię uprzedzić. Ale na wszelki wypadek wołałem nie budzić nadziei.

– Nie, nie, już dobrze. – Wyłapuję na opuszkę palca czarną od tuszu łzę i usiłuję się uśmiechnąć. – Proszę, opowiadaj. Co jeszcze mówił?

– Niewiele. Nie może pojawić się na weselu, ale życzy nam wszystkim dużo szczęścia. – Jon spuszcza oczy. – Potem były jakieś trzaski na linii i połączenie się zerwało.

– Ja... nadal nie rozumiem. Skąd wiedziałeś, gdzie wysłać zaproszenie? Bo, widzisz, on co kilka lat dzwoni do mnie lub pisze, żeby dać znać, że żyje i nic złego się u niego nie dzieje. Jednak nigdy nie podaje adresu zwrotnego ani żadnych dodatkowych informacji.

– Dill znalazła jego adres.

– Dill? – powtarzam. Z wrażenia niemal odbiera mi mowę.

– Caroline kilka dni przed śmiercią przekazała jej ogromną stertę zawilgoconych starych listów, urzędowych pism i różnych dokumentów – wszystko razem obwiązane szpagatem – bo uznała, że te rzeczy mogą się jej przydać do administrowania domem. Gdzieś pośród tych szpargałów Dill natrafiła na korespondencję dotyczącą Toby'ego – najróżniejsze adresy w ciągu tych wszystkich lat: Kenia, Jamajka, Irlandia, Szkocja – głównie to były listy od adwokata Caroline z żądaniem pieniędzy na utrzymanie domu i tym podobne sprawy. Przeważnie pozostawiał je bez odpowiedzi. Niemniej... – Milknie, a ja kręcę głową z niedowierzaniem. – No wiesz, to raczej logiczne, że Caroline cały czas wiedziała, gdzie on przebywa. Ona mogła zarządzać posiadłością, ale nie miała do niej prawa własności.

Kręci mi się w głowie. Mam w nosie posiadłość i kto jest jej właścicielem, a kto nie. Tylko jedna rzecz mnie interesuje i zawsze interesowała.

– Gdzie? Gdzie się podziewa mój cholerny brat?

– Ma niewielkie gospodarstwo na szkockiej wyspie Arran.

– Arran? Arran? No nie, to jakiś szczyt głupoty... Jon, daj mi jego numer. W tej chwili do niego dzwonię.

– Wiedziałem, że będziesz chciała. Ale przykro mi, jego numer mi się nie wyświetlił.

No i kolejny raz się wymknął. A ja chciałabym tak porządnie potrząsnąć tym moim egoistycznym, szalonym, cudownym bratem za to skazanie się na wygnanie. Karząc siebie za tamto, co się stało, ukarał nas wszystkich. Ale taki właśnie jest Toby: szczęśliwy, unosi cię ze sobą pod niebo niczym bóg, a zdruzgotany, ciągnie za sobą na samo dno. Boże, jak ja za nim tęsknię!

– Przepraszam, jeżeli wybrałem nieodpowiedni moment. – Jon przygryza dolną wargę. – Ale wcześniej nie było okazji, no i pomyślałem, że jednak wolałabyś wiedzieć. Nawet Lornie jeszcze o tym nie mówiłem.

Oto i ona. Pojawia się jak na zawołanie. Biegnie boso po trawniku, a za nią w podskokach podąża Alf z jej pantofelkami w ręce. W ciemne, lśniące włosy, przerzucone przez ramię, ma powplatanę białe kwiatki. Muszę się wziąć w garść. Nie chcę, żeby cokolwiek położyło się cieniem na weselu Lorny. Ta sprawa dotyczy mnie i Toby'ego.

– Pozwoliłeś mi zdjąć szpilki, prawda, Alf? – Ze śmiechem opada na pień obok mnie. Słońce, teraz nisko za lasem, opromienia jej rozradowaną twarz w obramowaniu z białej etoli Mamy, którą podtrzymuje na ramionach migotliwa diamentowa zapinka. – Obcasz nie sprawdzają się na trawie. Jon, szybciotko do sali balowej! Czas na tańce!

Jon raczej ochoczo podnosi się z pnia.

– Zobaczymy się później. – Rzuca mi przepraszający uśmiech i bierze Alfa za rękę. – Chodź, Alf.

– Ale ja jestem tragarzem jej butów! – protestuje malec, a potem mości się na kolanach Lorny i nie daje się stamtąd wyłuskać.

– Bardzo poważne zadanie. – Lorna obejmuje go, uśmiechając się do Jona. – Za chwilę do ciebie dołączę, dobrze? Przyprowadzę Alfa. Muszę trochę odpocząć od twojego wujka, Rega.

– Jeszcze nie padł pod jakimś drzewem? – Jon pochyla się i całuje Lornę. – Siedź tu, ile chcesz. Mamy lekki poślizg. Na szczęście nikomu to nie przeszkadza.

Milczymy. Ja nadal jestem myślami przy Tobym.

– Myślisz, że nam się uda? – szepcze Lorna ponad głową Alfa, gdy Jon już nie może jej słyszeć.

Ściskam jej dłoń, może trochę za mocno. Gdyby to było możliwe, najchętniej przez cały dzień trzymałabym ją za rękę.

– Na pewno, Lorno. Stanowicie udaną parę.

Uśmiecha się, macha nogami, wierci palcami w trawie. Teraz widzę, że ma stopy mojej Mamy, drugi palec jest dłuższy od pierwszego.

– Też tak myślę.

Siedzimy w przyjaznej ciszy, bo ciągle nie jestem zbyt rozmowna. Lorna, gawędząc z Alfem, pokazuje mu pierwsze nietoperze, las, klif widoczny między drzewami z małą zatoczką, gdzie uwielbiało bawić się czworo dzieci. Opowiada

o wraku przemytniczej łodzi, sterczącym z piasku podczas odpływu, i o delfinach na głębinie. Mały słucha z otwartą buzią. Nagle słońce gaśnie – tutaj w październiku zawsze zachodzi tak, jakby lalkarz pociągnął je za sznurek – i momentalnie robi się chłodno.

Czas wracać! Alf zsuwa się z jej kolan. Będą tańce! Kierujemy się w stronę domu. Alf przystaje co kilka kroków i zaciekawiony, wsadza pulchny paluszek w brunatne kopczyki mrówek. Z tarasu dochodzi rytmiczne dudnienie, mnóstwo ludzi tańczy, choć trudno wychwycić melodię.

– Ciociu... – Alf pociąga Lornę za suknię.

Nie słyszy go. Wujek Reg idzie ku nim chwiejnie, trzymając się balustrady.

– Niech im gwiazdka pomyślności nigdy nie zagaśnie! – śpiewa pijackim barytonem.

Kobieta w kanarkowożółtej sukni wciska nam w dłonie kieliszki z szampanem! Błyska lampa w aparacie.

– Uśmiech! – Następny błysk. – Jeszcze jedno! Dla wnuków!

– Ciociu Lorno! – Alf niecierpliwie ciągnie ją za rękaw. – Coś ci pokażę.

Dokładnie w tej chwili to się zaczyna; gdzieś we mnie uruchamia się wewnętrzny, dawno uspiony sonar. Znad krawędzi kieliszka spoglądam niespokojnie na niebo, sprawdzam, czy nie nadciąga burza z piorunami.

– Ciociu, patrz!

– Przepraszam, Alf, co chciałeś? – Lorna pochyła się nad nim rozkojarzona.

– Czarne króliki!

Hałas cichnie i wszystko blednie, gdy podążam wzrokiem za wyciągniętym pulchnym paluszkiem poza króliki kicające wśród nor, aż na skraj lasu. Jakaś postać – chyba mężczyzna, tak, na pewno mężczyzna – wspina się na pochyłość; chuda, przygięta sylwetka wsparta na długim kijem z psem pasterskim u boku wyraźnie widoczna na tle krwistoczerwonego nieba. Idzie pod wiatr z pochyloną głową, przytrzymując dłonią kapelusz. Stawia powolne, ale zdecydowane kroki, niczym farmer obchodzący pole o zmierzchu. Pokonuje na skróty najwyższe wzniesienie, tak jak zawsze to robił, przystaje na szczycie, unosi palcem rondo kapelusza i spogląda na dom. Na jedną ulotną chwilę jego rudą brodę oświetla słońce, zanim całkiem schowa się za drzewa.

Wołam jego imię i puszczam się biegiem.

Epilog

Nancy Alton

Kwiecień 1968, dzień burzy

Czoła moich dzieci: Toby, żywica; Amber, burza hormonalna; Kitty, mleko. Barneya nie mogę pocałować ani powąchać, bo nie widzę go w kuchni. Zaglądam pod stół, na wpół pewna, że tam go znajdę.

– Gdzie Barns?

– Króliki – mówią mi. – Hasa gdzieś z Borisem.

Chwilę później znajdujemy stare, głupie psisko skulone za drzwiami.

Grzmot. Peggy wygląda przez okno i bawiąc się krzyżykiem na szyi, mruczy ponuro, że tę burzę sam diabeł tu nasłał.

To pewnie szkwał. Często czarne chmury, które nadciągają znad morza, zapowiadając spektakularne burze – tak chętnie obserwowane przez mojego drogiego męża z tarasu – rozwiewają się, zanim tutaj dotrą. Bardziej trzeba uważać na niespodziewane błyskawice rozrywające niebo z hukiem wystrzału z karabinu. Tym razem na to się nie zanoszą. A ogrodowi przyda się porządny deszcz.

– Gdzie znajdę tego urwisa, waszego brata?

– W kryjówce przy linowej huśtawce – mówi Amber, podnosząc swoje poważne zielone oczy znad bułeczki, którą smaruje bitą śmietaną. Ponieważ moja córka bardzo często ma rację, postanawiam od tego miejsca zacząć poszukiwania.

Toby, mój słodki, mały dżentelmen, chce mnie wyręczyć. Nie, musi dokończyć jedzenie. Wszyscy muszą się porządnie najeść, bo podwieczorek wypadł dzisiaj bardzo późno. Wszystko przez tę starą kuchnię na drewno. Od naszego ostatniego pobytu tutaj dzieciaki, wiecznie głodne, strzeliły w górę jak trzciny. Spodnie sięgają im nad kostki, chude, blade nadgarstki wystają z rękawów. Peggy nie może nadążyć z gotowaniem.

Zostawiam ich rozświergotanych i wychodzę na korytarz. Postanawiam nie brać ani peleryny, ani kapelusza. To głupie, ale po tylu dniach siedzenia bez ruchu, z nogą na stołku, zamoczona środkami przeciwbólowymi, marzę o wyjściu na deszcz. Kornwalijskie burze biją na głowę poranne kawy na Fitzroy Square.

Rycerz nie podziela mojego entuzjazmu. Drobi w miejscu, strzyże uszami, zupełnie jak nie on. Dosiadam go, obejmuję za szyję i tak jak lubi, pieszczotliwie przemawiam do niego dziecinnym głosem. Trochę się uspokaja, chociaż pozostaje niechętny. Wsuwam stopy w strzemiona. Ostry ból, przypomnienie o wypadku i tych wszystkich dniach spędzonych w fotelu przeszywa mi nogę.

Jestem wdzięczna Barneyowi za wyciągnięcie mnie z domu. Wiatr szarpie drzewami, grzmoty brzmią jak cudownie niezestrojona szkolna orkiestra.

Bramka – zawiasy skrzypią, muszę przypomnieć Hugonowi, żeby je naoliwił – i wjeżdżam do lasu. Niby ciszej, ale jechać trudniej. Leży kilka powalonych drzew, konary potrzaskują, sypią gałązkami. Przedzieramy się do miejsca, gdzie w surrealistycznym burzowym świetle kołysze się sznurowa huśtawka, jakby dopiero co zeskoczyło z niej dziecko.

– Barney! – wołam. – Podwieczorek!

Chichot. Kręcę się w koło i usiłuję go dostrzec w pomroce.

– Barney?

Z wigwamu z gałęzi wyskakuje roześmiany chochlik i biegnie, migając bosymi piętami.

– Spróbuj mnie złapać!

– Och, na miłość boską, gdzie masz buty? – Nie słucha. Przeskakuje przez zwalony pień i ogląda się na mnie przez ramię. – Barney, koniec żartów! – złoszczę się, choć w dzieciństwie robiłam to samo.

Wspina się na drzewo, krnąbrny jak zawsze – jak później będzie wściekać się Hugo – i obejmując bosymi stopami pień niczym niedźwiadek, wdrapuje się aż na ciemną koronę. Spogląda w dół, uśmiechając się do mnie. Widzę go takiego, jakim jest naprawdę, a on widzi prawdziwą mnie i oboje wybuchamy śmiechem.

Rycerz się cofa, przestraszony grzmiotem przetaczającym się nad doliną. Zahaczam bluzką o gałąź, rozdarty materiał trzepocze na wietrze. Barney znika mi z oczu. Wpadam w panikę. Spadnie? Już spadł? Nie, Barney nigdy z niczego nie spada.

– Dość tego, Bar...

Zygzak błyskawicy rozpruwa niebo. Wysrebrzona buzia Barneya pośród liści. Rycerz podrywa się do biegu, mocno osadzam go w miejscu. Moja chora noga wysuwa się ze strzemienia. Koń naprawdę boi się tej burzy, muszę jak najszybciej sprowadzić Barneya do domu.

– Chwyć mnie za rękę! – krzyczę, wyciągając się ku niemu.

Potężny huk trzęsie liśćmi. Zbyt potężny.

Rycerz parska, wierzga i staje dęba. Pode mną próżnia; znika siodło, strzemiona, gorący koński grzbiet. Nasze wyciągnięte ręce, mięśnie palców, oślepiająca iskra miłości strzelająca pod niebo jak gwiazda.

Podziękowania

Z całego serca dziękuję pracującym z takim talentem i pasją zespołom z domów wydawniczych Michael Joseph i Putnam, a szczególnie moim znakomitym redaktorkom Maxine Hitchcock i Tarze Singh Carlson, z którymi współpraca była przyjemnością; dzięki Wam ta powieść nabrała rozmachu.

Jestem wdzięczna Louise Moore za mądre rady i zachętę od pierwszej chwili, gdy pomysł na fabułę zakiełkował w mojej głowie.

Składam podziękowanie wspaniałym agentkom Lizzy Kremer i Kim Witherspoon, których niezachwiana wiara w tę powieść w dużej mierze przyczyniła się do jej powstania.

Dziękuję:

Harriet Moore, Alice Howe, Allison Hunter i wszystkim pozostałym pracownikom David Higham Associates oraz InkWell Management;

Mamo, Tobie, jak zawsze... za podtrzymywanie domowego ogniska;

Tess, Emmie, Kirsty, Izzy i Filipowi za przemiłą gościnę w posiadłości;

moim dzieciom – trzyosobowemu stadku – najlepsze kawałki są Wasze i Benowi za to, że zawsze wyciąga króliki z kapelusza.

Jeszcze raz dziękuję.

